Trzecia część bestsellerowego cyklu Wallflowers
Lisa
Kleypas
Zimowy ślub
Prószyński i S-ka

Lisa Kleypas

Zimowy ślub

Przełożyła
Teresa Komłosz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE DEVIL IN WINTER

Copyright © 2006 by Lisa Kleypas
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Lee Avison/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978–83–8097–789–1

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02–697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Christinie, Connie, Liz, Mary i Terri
– za cudowną przyjaźń.

Zawsze z miłością, L.K.

ROZDZIAŁ 1

LONDYN, 1843

Patrząc na młodą kobietę, która wdarła się do jego londyńskiej rezydencji, lord Sebastian St. Vincent pomyślał, że być może tydzień wcześniej w Stony Cross Park próbował porwać niewłaściwą pannę.

Wprawdzie do tamtego czasu porwanie nie figurowało na długiej liście jego występków, jednak powinien był wykazać więcej rozumu w tej sprawie.

Z perspektywy czasu Lillian Bowman wydała mu się głupim wyborem, choć wtedy widział w niej idealne rozwiązanie swojego problemu. Pochodziła z bogatej rodziny, podczas gdy Sebastian miał tytuł, ale groziła mu katastrofa finansowa. Sama Lillian, ciemnowłosa piękność o wybujałym temperamencie, zapowiadała się na odpowiednią partnerkę łóżkowych uciech. Powinien był wybrać znacznie mniej waleczną ofiarę. Lillian Bowman, pełna życia dziedziczka amerykańskiej fortuny, stawiała zacięty opór jego planom, dopóki nie uratował jej narzeczony, lord Westcliff.

Panna Evangeline Jenner, stojąca teraz przed Sebastianem istota nadzwyczajnej łagodności, różniła się od Lillian Bowman pod każdym możliwym względem. Przyglądał się jej z nie do końca skrywaną pogardą i próbował sobie przypomnieć, co właściwie o niej wie. Evangeline była jedynym dzieckiem Ivo Jennera, okrytego złą sławą właściciela londyńskiej jaskini hazardu, i kobiety, która z nim uciekła… by wkrótce zrozumieć, jak wielki popełniła błąd. Matka Evangeline miała zacnych przodków, ale ojciec wywodził się z mocno szemranego środowiska. Mimo skazy na rodowodzie Evangeline stanowiłaby całkiem przyzwoitą partię, gdyby nie jej chorobliwa nieśmiałość, skutkująca nieznośnym dla ucha jąkaniem.

Sebastianowi zdarzyło się słyszeć, jak mężczyźni deklarowali, że woleliby nosić włosienicę i mieć skórę otartą do krwi, niż nawiązać rozmowę z Evangeline Jenner. Rzecz jasna sam bardzo się starał jej unikać, co nie przedstawiało

trudności, jako że panna Jenner zwykle chowała się po kątach. Do tej pory nie mieli okazji do bezpośredniego kontaktu, którego brak najwidoczniej odpowiadał im obojgu.

Teraz jednak Sebastian musiał stawić jej czoło. Z jakiegoś powodu panna Jenner uznała za stosowne pojawić się bez zaproszenia w jego domu, i to o skandalicznie późnej godzinie. Jakby ta okoliczność nie była dość kompromitująca, przyszła sama… a pół minuty spędzone sam na sam z Sebastianem wystarczało, by zrujnować reputację każdej dziewczyny. Uchodził za zdeprawowanego, pozbawionego zasad i w dodatku z dumą manifestował te cechy. Celował w swym ulubionym zajęciu – bezwzględnym uwodzeniu – i osiągnął w nim mistrzostwo, dostępne niewielu innym rozpustnikom.

Rozparty na fotelu, Sebastian z udawaną obojętnością patrzył na zbliżającą się Evangeline Jenner. Bibliotekę oświetlał jedynie ogień z paleniska; pełgające płomyki wydobywały z mroku twarz młodej kobiety. Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat, miała świeżą cerę, a w oczach rodzaj niewinności, która zawsze budziła w nim niechęć. Nigdy nie cenił ani nie podziwiał tej cnoty.

Uprzejmość nakazywała unieść się z miejsca, jednak w zaistniałych okolicznościach nie widział potrzeby silenia się na tego rodzaju gesty. Nonszalanckim machnięciem wskazał na drugi fotel stojący przed kominkiem.

– Proszę usiąść, jeśli ma pani ochotę – rzekł. – Choć na pani miejscu nie planowałbym tu długo zabawić. Łatwo się nudzę, a pani bynajmniej nie cieszy się opinią błyskotliwej rozmówczyni.

Evangeline nie dała się zniechęcić jego gburowatością. Sebastian z mimowolnym zaciekawieniem pomyślał o wychowaniu, które uodporniło ją tak skutecznie, że gładko przełknęła jego obraźliwe zachowanie, podczas gdy każda inna dziewczyna spłonęłaby rumieńcem lub zalała się łzami. Panna Jenner miała albo mózg jak ziarnko grochu, albo wyjątkowo mocne nerwy.

Evangeline zdjęła płaszcz, umieściła go na podłokietniku tapicerowanego fotela, po czym usiadła, bez wdzięku i wystudiowanej pozy. Szara mysz, pomyślał Sebastian, przypominając sobie, że dziewczyna przyjaźni się nie tylko z Lillian Bowman, ale też z jej młodszą siostrą Daisy i z Annabelle Hunt. Te cztery młode kobiety uczestniczyły w wielu balach i wieczorkach muzycznych ostatniego sezonu, niezmiennie podpierając ściany. Ostatnio los stał się dla nich łaskawszy, ponieważ Annabelle w końcu udało się złapać męża, a Lillian niedawno usidliła lorda Westcliffa, Sebastian wątpił jednak, by uśmiech fortuny obejmował również tę niewydarzoną istotę.

Kusiło go, żeby zapytać o powód odwiedzin, ale bał się, że dojdzie do rozwlekłych dukanych wyjaśnień, które umęczą ich oboje. Czekał więc z wymuszoną cierpliwością, aż Evangeline zbierze się w sobie na tyle, by powiedzieć, z czym do niego przyszła. Wykorzystał przeciągające się milczenie, by lepiej się przyjrzeć pannie Jenner, i z pewnym zaskoczeniem odkrył, że jest całkiem atrakcyjna. Dotąd nigdy nie okazał jej bezpośredniego zainteresowania – kojarzył ją raczej jako nieciekawego rudzielca o niepozornej sylwetce. Tymczasem była śliczna.

Gapił się na Evangeline, czując, jak tężeją mu mięśnie i unoszą się cienkie

włoski na karku. Nie zmienił pozy na fotelu, tylko wbił koniuszki palców w miękką tapicerkę. Wydało mu się dziwne, że nigdy nie zwracał uwagi na tę kobietę, podczas gdy tak wiele w niej zasługiwało na zauważenie. Włosy o najbardziej żywym odcieniu rudości, jaki w życiu widział, w świetle płomieni lśniły czerwonym żarem. Cienkie, regularne brwi i gęste, długie rzęsy miały nieco ciemniejszą barwę. Cerę, jasną jak u wszystkich rudowłosych, znaczyły piegi na nosie i policzkach. Sebastian pomyślał z rozbawieniem, że wyglądają jak ozdobne złote cętki, którymi oprószyła ją jakaś przyjazna wróżka. Evangeline miała niemodnie pełne, naturalnie różowe usta i wielkie, okrągłe, niebieskie oczy. Piękne, lecz pozbawione emocji, jak u woskowej lalki.

– O-otrzymałam wiadomość, że moja przyjaciółka, panna Bowman, jest obecnie lady Westcliff – zaczęła ostrożnie Evangeline. – Wyjechała z lordem Westcliffem do Gr-gretna Green, po tym jak pana… odprawił.

– Stłukł mnie na miazgę, należałoby raczej powiedzieć – wtrącił lekkim tonem Sebastian, wiedząc, że musiała zauważyć siniaki na jego szczęce, powstałe w wyniku słusznej wściekłości hrabiego Westcliffa. – Nie spodobało mu się, że chciałem pożyczyć jego narzeczoną.

– Pan ją p-porwał – przypomniała mu spokojnie Evangeline. – „Pożyczenie" sugeruje, że zamierzał ją pan zwrócić.

Sebastian po raz pierwszy od dawna szczerze się uśmiechnął. Najwyraźniej wcale nie była taka głupia.

– Zatem porwał, skoro zależy pani na dokładności. Czy dlatego postanowiła mnie pani odwiedzić, panno Jenner? Żeby powiadomić mnie o szczęściu tej pary? Mam dość tego tematu. Lepiej, żeby powiedziała pani coś ciekawego, bo inaczej obawiam się, że będzie pani musiała wyjść.

– P-pragnął pan panny Bowman, ponieważ jest dziedziczką – kontynuowała Evangeline. – A pan potrzebuje się ożenić z kimś bogatym.

– W istocie – przyznał Sebastian. – Mój ojciec, książę, nie dopełnił jedynego obowiązku, jaki miał w życiu: nie utrzymał rodzinnej fortuny, żeby mi ją przekazać. Moim obowiązkiem natomiast jest spędzanie czasu na rozpuście i czekanie na jego śmierć. W przeciwieństwie do księcia wręcz popisowo wywiązuję się ze swojego zadania. Tymczasem on nie dość, że fatalnie rozporządził rodzinnym majątkiem i jest obecnie niewybaczalnie ubogi, to jeszcze, co gorsze, cieszy się dobrym zdrowiem.

– Mój ojciec jest bogaty – oznajmiła Evangeline bez emocji. – I umierający.

– Gratuluję. – Sebastian przyjrzał się jej z uwagą. Nie wątpił, że Ivo Jenner dorobił się znacznej fortuny na swoim przedsięwzięciu. Londyńscy dżentelmeni chodzili do klubu Jennera wabieni hazardem, dobrym jedzeniem, mocnymi trunkami i niedrogimi prostytutkami. Panowała tam atmosfera ekstrawagancji zaprawionej swojską pospolitością. Prawie dwadzieścia lat wcześniej klub Jennera stanowił pośledniejszą konkurencję dla legendarnego Craven's, najwspanialszego i odnoszącego największe sukcesy klubu hazardowego, jaki kiedykolwiek działał w Anglii.

Jednak kiedy Craven's doszczętnie spłonął, a właściciel nie zdołał go odbudować, Jenner, siłą rzeczy, odziedziczył rzeszę bogatych klientów i zyskał

wyższą niż wcześniej pozycję, co nie znaczy, że w czymkolwiek dorównywał Craven's. O charakterze tego rodzaju miejsca decydował temperament i styl właściciela, a Jennerowi brakowało jednego i drugiego. Derek Craven bez dwóch zdań miał usposobienie showmana. Ivo Jenner w niczym go nie przypominał — był brutalem o mocnych pięściach, byłym bokserem bez specjalnego talentu, któremu jakimś cudownym zrządzeniem losu powiodło się w interesach.

I oto Sebastian miał przed sobą córkę Jennera, jego jedyne dziecko. Jeśli zamierzała złożyć mu propozycję, której się spodziewał, nie mógł sobie pozwolić na odmowę.

– Nie chcę pańskich g-gratulacji – powiedziała Evangeline, odnosząc się do jego wcześniejszej uwagi.

– A czego chcesz, dziecko? – spytał łagodnym tonem Sebastian. – Zechciej, proszę, przejść do rzeczy. To już się staje męczące.

– Chcę spędzić z ojcem ostatnie dni jego ż-życia. Rodzina matki nie pozwala mi się z nim widywać. Próbowałam uciec do jego klubu, ale zawsze mnie łapali i ponosiłam karę. Tym razem d-do nich nie wrócę. Mają wobec mnie plany, których zamierzam uniknąć… nawet kosztem mojego życia, jeśli zajdzie taka konieczność.

– A jakież to plany? – rzucił lekko Sebastian.

– Próbują mnie zmusić do poślubienia jednego z moich kuzynów. Eustace'a Stubbinsa. Nic go nie o-obchodzę, podobnie jak on mnie… ale jest posłusznym pionkiem w spisku uknutym przez moją rodzinę.

– Mającym na celu przejęcie kontroli nad fortuną pani ojca po jego śmierci?

– Tak. Z początku brałam pod uwagę takie rozwiązanie, bo myślałam, że moglibyśmy z panem Stubbinsem mieć własny dom… i sądziłam… że dałoby się żyć z dala od reszty z nich. Ale pan Stubbins powiedział mi, że nie ma zamiaru nigdzie się wyprowadzać. Chce nadal mieszkać pod rodzinnym dachem… a ja chyba długo tam nie zostanę. – W obliczu obojętnego milczenia Sebastiana dodała cicho: — Sądzę, że zamierzają mnie z-zabić, kiedy już dostaną pieniądze ojca.

Sebastian nie odrywał wzroku od jej twarzy, choć zachował lekki ton.

– Bardzo niełądnie z ich strony. Ale dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

Evangeline nie dała się sprowokować; jej spokojne, pewne spojrzenie dowodziło wewnętrznej siły, jakiej Sebastian jeszcze nigdy nie spotkał u kobiety.

– Proponuję panu małżeństwo – oświadczyła. – Chcę, żeby mnie pan chronił. Mój ojciec jest zbyt chory i słaby, żeby mi pomóc, a dla przyjaciół nie chcę być ciężarem. Wierzę, że zgodziliby się mnie przygarnąć, ale nawet wówczas musiałabym ciągle mieć się na baczności w obawie, że moi krewni wykradną mnie od nich i zmuszą do uległości. Niezamężna kobieta ma niewiele możliwości, zarówno towarzyskich, jak i prawnych. To nie w p-porządku… ale nie mogę sobie pozwolić na walkę z wiatrakami. Potrzebuję m-męża. Pan potrzebuje bogatej żony. Oboje jesteśmy zdesperowani, co każe mi wierzyć, że zgodzi się pan na moją p-propozycję. Jeśli tak, chciałabym pojechać do Gretna Green jeszcze dzisiaj. Natychmiast. Jestem pewna, że moi krewni już mnie szukają.

Zapadła ciężka, pełna napięcia cisza. Sebastian mierzył Evangeline

nieprzyjaznym spojrzeniem. Nie ufał jej. A po porażce sprzed tygodnia nie miał ochoty na powtarzanie niemiłych doświadczeń.

Co do jednego panna Jenner miała rację. Sebastian był zdesperowany. Wielu mogło zaświadczyć, że lubił dobrze się ubierać, smacznie jadać, prowadzić życie na wysokim poziomie. Skąpe miesięczne uposażenie, które dostawał od księcia, wkrótce miało zostać obcięte, a na rachunku pozostało mu zbyt mało, by przeżyć do końca miesiąca. Dla człowieka, który nie miał oporów przed wybieraniem łatwych rozwiązań, taka oferta stanowiła wybawienie. Jeśli naprawdę kobieta była gotowa wcielić swój plan w życie.

– Nie zagląda się w zęby darowanemu koniowi – odezwał się w końcu spokojnie. – Ale ile życia zostało pani ojcu? Niektórzy spędzają na łożu śmierci długie lata. Zawsze uważałem, że niełądnie tak trzymać ludzi w oczekiwaniu.

– Nie będzie pan musiał długo czekać – odpowiedziała cierpkim tonem. – Powiedziano mi, że może umrzeć do dwóch tygodni.

– Jaką mam gwarancję, że nie zmieni pani zdania, zanim dotrzemy do Gretna Green? Wie pani, jakim jestem typem człowieka, panno Jenner. Mam pani przypomnieć, że w zeszłym tygodniu próbowałem porwać i zniewolić jedną z pani przyjaciółek?

Evangeline wytrzymała jego spojrzenie. Oboje mieli niebieskie oczy, ale on jasne, ona – ciemnoszafirowe.

– Próbował pan zgwałcić Lillian? — spytała lekko zduszonym głosem.

– Groziłem jej, że to zrobię.

– Zamierzał pan spełnić groźbę?

– Nie wiem. Nigdy wcześniej tego nie zrobiłem. Ale jak sama pani powiedziała, jestem zdesperowany. A skoro już jesteśmy przy tym temacie… proponuje mi pani małżeństwo z rozsądku czy też mamy czasami ze sobą sypiać?

Evangeline zignorowała jego pytanie.

– Wziąłby ją pan siłą czy nie? – powtórzyła z naciskiem.

Sebastian popatrzył na nią z nieskrywaną drwiną.

– Jeśli powiem, że nie, panno Jenner, to skąd pani będzie wiedzieć, czy przypadkiem nie kłamię? Nie. Nie zgwałciłbym jej. Takiej odpowiedzi pani sobie życzy? Proszę w nią wierzyć, jeśli dzięki temu czuje się pani bezpieczniej. A co do mojego pytania…

– P-prześpię się z panem jeden raz, żeby małżeństwo nabrało mocy prawnej – oznajmiła. – I nigdy więcej.

– Cudownie – mruknął. – Rzadko miewam ochotę iść do łóżka z tą samą kobietą więcej niż raz. Kiedy mija urok nowości, robi się strasznie nudno. Poza tym nigdy nie będę aż takim mieszczuchem, żeby pożądać własnej żony. To by oznaczało brak środków na utrzymywanie kochanki. Oczywiście jest jeszcze kwestia zapewnienia mi dziedzica… ale jeśli zachowa pani dyskrecję, nie będzie mnie obchodziło, kto tak naprawdę go spłodził.

Nawet nie mrugnęła.

– Będę chciała cz-części dziedzictwa w formie funduszu powierniczego na moje imię. Pokaźnej części. Dochód będzie do mojej wyłącznej dyspozycji i będę z niego korzystać wedle własnego uznania. Bez tłumaczenia się panu ze swoich

poczynań.

Sebastian zrozumiał, że tej kobiecie bynajmniej nie brak inteligencji, choć przez nieszczęsne jąkanie wielu zakładało inaczej. Bez wątpienia przywykła do tego, że jest niedoceniana, ignorowana, niezauważana. Czuł, że w miarę możliwości obraca to na swoją korzyść. Wzbudziła jego zainteresowanie.

– Byłbym głupcem, ufając pani – stwierdził. — Może się pani w każdej chwili wycofać z naszej umowy. A okazałaby pani jeszcze większą głupotę, ufając mi. Ponieważ kiedy już będziemy małżeństwem, mogę pani zgotować piekło, o jakim rodzinie pani matki nawet się nie śniło.

– Chyba wolę, żeby mnie to spotkało ze strony kogoś, kogo sama wybiorę – odparła ponuro Evangeline. – Wolę pana od Eustace'a.

Sebastian uśmiechnął się szeroko.

– Nie najlepiej to o nim świadczy.

Nie odwzajemniła uśmiechu, jedynie lekko odchyliła się do tyłu, jakby opadło z niej wielkie napięcie, i popatrzyła na niego z rezygnacją. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, Sebastian poczuł dziwne mrowienie przebiegające od głowy aż do palców stóp.

Widok kobiety zawsze łatwo go podniecał, już dawno to sobie uzmysłowił. Niektóre wzbudzały w nim rodzaj żaru, rozpalały jego zmysły do niespotykanego stopnia. Z jakiegoś powodu ta niezręczna, jąkająca się dziewczyna do nich należała. Miał ochotę pójść z nią do łóżka.

Ożywiona wyobraźnia podsuwała mu widok jej ciała, kończyn i krągłości, skóry, której jeszcze nie widział, pośladków miękko układających się w dłoni. Chciał czuć w nozdrzach jej zapach… dotyk jej długich włosów na swojej piersi i szyi. Miał ochotę robić z jej ustami… i z własnymi rzeczy wprost niesłychane.

– Zatem postanowione – rzekł. — Przyjmuję pani propozycję. Jest jeszcze wiele do omówienia, ma się rozumieć, ale będziemy mieć na to dwa dni, zanim dotrzemy do Gretna Green. – Wstał z fotela i się przeciągnął; kąciki ust same uniosły mu się w uśmiechu, gdy zauważył, że Evangeline Jenner szybko prześliznęła się wzrokiem po jego ciele. – Zarządzę przygotowanie powozu i każę kamerdynerowi spakować moje ubrania. Wyjedziemy w ciągu godziny. Jeśli przypadkiem będzie się pani chciała wycofać podczas podróży, to panią uduszę.

Spojrzała na niego z ironią.

– N-nie byłby pan taki nerwowy, gdyby w zeszłym tygodniu nie trafił na niechętną ofiarę.

– Celny cios. Czy zatem możemy panią uznać za chętną ofiarę?

– Więcej niż chętną – oznajmiła zwięźle Evangeline. Sprawiała wrażenie, jakby chciała natychmiast ruszyć w drogę.

– Takie lubię najbardziej – oznajmił Sebastian, po czym, skłoniwszy się uprzejmie, wyszedł z biblioteki.

ROZDZIAŁ 2

Po wyjściu lorda St. Vincenta Evie wydała z siebie drżące westchnienie i zamknęła oczy. St. Vincent nie musiał się obawiać, że mogłaby zmienić zdanie. Teraz, kiedy już doszli do porozumienia, to jej o wiele bardziej niż jemu śpieszyło się do Gretna Green. Przerażała ją świadomość, że wujowie Brook i Peregrine prawdopodobnie już jej szukają.

Kiedy uciekła z domu pod koniec lata, złapano ją przy wejściu do klubu ojca. Wuj Peregrine podczas jazdy powrotnej tak dotkliwie pobił ją w powozie, że miała rozciętą wargę, podbite oko, a plecy i ramiona całe w siniakach. Następne dwa tygodnie spędziła zamknięta w swoim pokoju, żywiona głównie chlebem i wodą wsuwanymi do środka przez uchylone drzwi.

Nikt — nawet jej przyjaciółki, Annabelle, Lillian i Daisy — nie wiedział tak do końca, przez co przechodziła. Życie u Maybricków przypominało najgorszy koszmar. Maybrickowie, krewni jej matki, połączyli siły ze Stubbinsami – siostrą matki i jej mężem, Peregrine'em – żeby złamać wolę Evie. Dziwiło ich i złościło, że jest to takie trudne, co zresztą zaskakiwało również samą Evie. Nigdy by nie przypuszczała, że potrafi znieść złe traktowanie, obojętność, a nawet nienawiść — i się nie załamać. Może miała w sobie więcej z ojca, niż ktokolwiek sądził. Ivo Jenner był w końcu bokserem, walczył na gołe pięści, a sekret jego sukcesów – tych w ringu i poza nim – tkwił nie w talencie, lecz w nieustępliwości. Odziedziczyła po nim tę cechę.

Evie chciała zobaczyć ojca. Jej tęsknota objawiała się fizycznym bólem. Wierzyła, że ojciec jest jedyną osobą na świecie, którą obchodzi jej los. Wprawdzie jego miłość rzadko znajdowała wyraz, ale była jedynym tego rodzaju uczuciem, jakiego kiedykolwiek od kogokolwiek doznała. Rozumiała, dlaczego zostawił ją u Maybricków zaraz po tym, jak jej matka zmarła w połogu. Klub hazardowy nie był odpowiednim miejscem dla niemowlęcia. A Maybrickowie wprawdzie nie posiadali tytułu, ale uchodzili za dobrze urodzonych. Evie nie przestawała zadawać sobie pytania, czy gdyby ojciec wiedział, jak będzie traktowana, dokonałby tego samego wyboru. Gdyby mógł przypuszczać, że złość rodziny z powodu buntu najmłodszej córki spadnie na bezbronne dziecko… Tak czy inaczej, tego rodzaju rozważania w tym momencie nie miały sensu.

Matka nie żyła, ojciec umierał, a Evie musiała spytać go o pewne rzeczy,

zanim będzie za późno. Najlepszy sposób na ucieczkę z rąk Maybricków mógł jej zapewnić zdemoralizowany arystokrata, którego właśnie zgodziła się poślubić.

Zdumiewało ją, że tak łatwo zdołała się porozumieć z St. Vincentem, zwykle bowiem onieśmielał ją swą męską urodą, na którą składały się złocista czupryna, lodowato niebieskie oczy oraz kształtne usta stworzone do pocałunków i kłamstw. Wyglądał jak upadły anioł, hojnie wyposażony przez Lucyfera w niebezpieczne męskie przymioty. Był przy tym samolubny i bezwzględny, czego dowodziła próba porwania Lillian. Evie uznała jednak, że tylko ktoś taki może stawić czoło Maybrickom.

Wiedziała oczywiście, że St. Vincent będzie okropnym mężem, jednak nie żywiła wobec niego żadnych złudzeń, co pozwoliło jej zakładać, że jakoś sobie poradzi. Nic do niego nie czuła, mogła więc przymykać oko na jego występki i nie słuchać obraźliwych uwag.

Jakże różnić miało się to małżeństwo od związków zawieranych przez jej przyjaciółki. Na myśl o nich nagle zachciało się jej płakać. Nie widziała możliwości, by Annabelle, Daisy czy Lillian… zwłaszcza Lillian, nadal się z nią przyjaźniły po tym, jak wyjdzie za St. Vincenta. Zamrugała gwałtownie, żeby powstrzymać łzy, przełknęła dławienie w gardle. Płacz w niczym by jej nie pomógł. Rozwiązanie, które wybrała, miało swoje niewątpliwe minusy, ale niczego lepszego nie umiała wymyślić.

Na myśl o furii, w jaką wpadną ciotki i wujowie, dowiedziawszy się, że Evie – i jej fortuna – wymknęła im się z rąk, poczucie niedoli trochę zelżało. Gotowa była poświęcić dosłownie wszystko, byle nie musieć żyć pod ich dyktando do końca swoich dni. Równie chętnie uwolniła się od perspektywy małżeństwa z tym biednym tchórzem Eustace'em, który uciekał od problemów w jedzenie i picie, aż w końcu tak się zaokrąglił, że ledwie przechodził przez drzwi swojego pokoju. Choć nienawidził swoich rodziców prawie tak mocno jak Evie, nigdy nie ośmieliłby się im przeciwstawić.

O ironio, to właśnie Eustace sprawił, że tego ranka Evie zdecydowała się na ucieczkę. Przyszedł do niej z pierścionkiem zaręczynowym – złotą obrączką z jadeitowym oczkiem. „Proszę", powiedział gapowatym tonem. „Matka powiedziała, że mam ci to dać… i że nie dostaniesz nic do jedzenia, jeśli nie siądziesz w nim do stołu. Powiedziała, że zapowiedzi zostaną ogłoszone w przyszłym tygodniu".

Nie nastąpiło to niespodziewanie. Przez trzy nieudane sezony rodzina bezskutecznie próbowała znaleźć dla Evie arystokratycznego męża, aż w końcu doszła do wniosku, że nie uda się zyskać przez nią żadnych pożądanych koligacji. A ponieważ wkrótce miała odziedziczyć fortunę, uknuli plan zatrzymania majątku dzięki wydaniu jej za jednego z kuzynów.

Słowa Eustace'a wzbudziły w niej złość, od której aż poczerwieniała na twarzy. Widząc to, Eustace stwierdził ze śmiechem: „Ależ wyglądasz z tym rumieńcem. Twoje włosy przy nim wydają się całkiem pomarańczowe".

Evie zdołała się powstrzymać przed uszczypliwą ripostą, nakazała sobie w duchu spokój i skupiła się na słowach, które wirowały w niej i opadały niczym liście na wietrze. Pozbierała je starannie i zdołała, bez jąkania, zadać pytanie:

„Kuzynie… jeśli zgodzę się za ciebie wyjść… czy kiedyś weźmiesz moją stronę przeciwko swoim rodzicom? Pozwolisz mi odwiedzić ojca i zaopiekować się nim?”.

Uśmiech na twarzy Eustace’a zamarł, pulchne policzki obwisły. Przez chwilę gapił się Evie w oczy, a potem opuścił wzrok i rzekł wymijająco: „Nie traktowaliby cię tak szorstko, kuzynko, gdybyś nie okazywała tyle uporu”.

Tracąc cierpliwość, Evie czuła, że nie jest w stanie zapanować nad jąkaniem. „Ch-chciałbyś zagarnąć moją f-fortunę, nie dając mi n-niczego w zamian…”.

„A po co ci fortuna?”, rzucił lekceważąco. „Jesteś zalęknioną istotą, która przemyka się z kąta w kąt. Nie potrzebujesz modnych strojów ani klejnotów. Do rozmowy się nie nadajesz, do łóżka jesteś zbyt nieatrakcyjna, a do tego nie masz żadnych talentów. Powinnaś się cieszyć, że w ogóle chcę cię poślubić, ale jesteś zbyt głupia, żeby to docenić!”.

„J-ja…”. – Rozżalenie całkiem odebrało jej mowę. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, żeby się bronić; oddychała głośno, próbując wydobyć z siebie głos.

„Ależ z ciebie skończona idiotka”, rzucił zniecierpliwiony Eustace. Cisnął pierścionek na podłogę, wykonując przy tym mocny zamach ramieniem. Złoty krążek odbił się, a potem wtoczył pod kanapę. „No proszę, zginął. I to twoja wina, bo mnie rozgniewałaś. Lepiej go znajdź, bo inaczej umrzesz z głodu. Pójdę powiedzieć matce, że wykonałem swoją część zadania. W końcu ci go dałem”.

Evie zrezygnowała z kolacji, ale zamiast szukać pierścionka, szybko spakowała niewielką walizkę. Następnie uciekła przez okno na piętrze, zsunęła się po rynnie i biegiem pokonała dziedziniec. Dopisało jej szczęście, bo gdy tylko wybiegła za bramę, udało jej się zatrzymać pierwszą wolną dorożkę.

Pomyślała z satysfakcją, że prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy Eustace’a. Nieczęsto pokazywał się w towarzystwie. Im bardziej rosła jego tusza, tym chętniej pozostawał w Maybricks House. Wiedziała, że niezależnie od tego, jak potoczą się jej losy, nigdy nie będzie żałować, że nie została jego żoną. Istniało małe prawdopodobieństwo, by Eustace kiedykolwiek próbował z nią współżyć… brakowało mu tego, co nazywano zwierzęcym instynktem. Namiętność odczuwał wyłącznie do jedzenia i wina.

Lord St. Vincent natomiast uwiódł i skompromitował niezliczoną rzeszę kobiet. Wiele pań jego reputacja fascynowała i uważały ją za pociągającą, ale Evie do nich nie należała. Niemniej mogła mieć pewność, że wszyscy uznają ich małżeństwo za w pełni skonsumowane.

Na myśl o tym poczuła nerwowy skurcz w środku. W marzeniach wyobrażała sobie, że wyjdzie za jakiegoś wrażliwego mężczyznę o nieco chłopięcym usposobieniu. Nigdy nie będzie wyśmiewał jej jąkania, za to dozna od niego wiele uczucia i czułości.

Sebastian, lord St. Vincent, stanowił absolutne przeciwieństwo jej wymarzonego kochanka. Nie był ani czuły, ani wrażliwy, ani chłopięcy. Był drapieżnikiem, który bez wątpienia lubił się pobawić swoją ofiarą, zanim ją zabił. Gapiąc się na pusty fotel, gdzie wcześniej siedział, Evie myślała o tym, jak wyglądał w świetle płomieni z kominka. Wysoki i smukły, ubrany z elegancką

prostotą, która stanowiła idealną ramę dla jego męskiej urody, nie odciągając od niej uwagi. Włosy o barwie złota ze średniowiecznej ikony, gęste i lekko kręcone, w migotliwym świetle mieniły się bursztynowymi pasemkami. Bladoniebieskie oczy błyszczały niczym wyjątkowo cenne brylanty z naszyjnika starożytnej cesarzowej. Piękne oczy, które podczas uśmiechu nie zdradzały żadnych emocji. A uśmiech zapierał dech w piersi. Zmysłowe, cynicznie wygięte usta, błysk śnieżnobiałych zębów… O tak, St. Vincent był wyjątkowo pięknym mężczyzną. I doskonale o tym wiedział.

O dziwo, Evie wcale się go nie bała. Ktoś taki jak on nie uciekał się do fizycznej przemocy, skoro kilkoma dobrze dobranymi słowami mógł osiągnąć ten sam efekt — przy znacznie mniejszym wysiłku. Evie o wiele bardziej obawiała się prostackiej brutalności wuja Peregrine'a, nie wspominając już o ciotce Florence, która lubiła wymierzać bolesne policzki i szturchańce.

Próbując usunąć ze spódnicy czarne smugi brudu pochodzące z rynny, Evie przysięgła sobie, że nigdy więcej nie pozwoli sobą pomiatać. Kusiło ją, żeby się przebrać w czystą suknię, którą zapakowała do walizki pozostawionej w holu przy drzwiach. Uznała jednak, że trudy podróży i tak odcisną swoje piętno na jej ubraniu — zakurzy się i zemnie — więc przebieranie się w tym momencie nie miało sensu.

Nagle dźwięk dobiegający od progu przyciągnął jej uwagę. Spojrzawszy w tamtą stronę, zobaczyła pulchną pokojówkę, która niepewnym tonem spytała ją, czy chciałaby się odświeżyć w jednym z pokoi gościnnych. Evie, myśląc ze smutkiem, że dziewczyna musi być przyzwyczajona do wizyt samotnych kobiet w tym domu, pozwoliła się zaprowadzić do niewielkiej sypialni na piętrze. Wnętrze, podobnie jak część parteru, którą dotąd widziała, było gustownie urządzone i schludnie utrzymane. Ściany pokrywała jasna tapeta w ręcznie malowane chińskie ptaki i pagody. Evie z radością odkryła, że w przylegającym do pokoju niewielkim pomieszczeniu znajduje się umywalka z bieżącą wodą – uchwyty kranów uformowano w sylwetki delfinów – a stamtąd drzwi prowadzą do toalety.

Po załatwieniu potrzeb fizjologicznych podeszła do umywalki, umyła ręce i twarz, a potem napiła się łapczywie ze srebrnego kubka. Następnie przeszła do sypialni, by poszukać grzebienia lub szczotki. Nie znalazła ani jednego, ani drugiego, więc tylko poprawiła dłońmi upięte włosy.

Panowała cisza, żaden dźwięk nie ostrzegł jej o czyjejś obecności, ale nagle wyczuła, że nie jest sama. Odwróciła się gwałtownie. St. Vincent stał tuż przy drzwiach w swobodnej pozie i obserwował ją z głową lekko przechyloną na bok. Owładnęło nią dziwne wrażenie, coś w rodzaju łagodnego ciepła, i znienacka poczuła słabość w całym ciele. Uświadomiła sobie, że jest bardzo zmęczona. I jeszcze to wszystko, co ją czekało… podróż do Szkocji, pośpieszny ślub, noc poślubna… Wyprostowała ramiona i ruszyła przed siebie, lecz w tym samym momencie zrobiło się jej ciemno przed oczami, więc zatrzymała się na chwiejnych nogach.

Potrząsnęła głową, próbując odzyskać jasność widzenia, i dopiero po chwili dotarło do niej, że St. Vincent stoi tuż obok i ściska ją za łokcie. Po raz pierwszy

znalazł się tak blisko. Czuła jego zapach – delikatną nutę drogiej wody kolońskiej, czystej skóry, świeżej bielizny i najprzedniejszego wełnianego sukna. Promieniował zdrowiem i witalnością. Wytrącona z równowagi, Evie zamrugała i spojrzała mu w twarz; musiała zadrzeć głowę, bo był znacznie wyższy, niż się spodziewała. Zdumiało ją, że jest taki duży, nie dało się tego zauważyć, dopóki nie stanął całkiem blisko.

– Kiedy ostatni raz coś pani jadła? – spytał.

– Wczoraj r-rano… chyba…

– Chyba nie zamierza pani powiedzieć, że rodzina chciała panią zagłodzić? – Uniósł brew. Kiedy przytaknęła skinieniem, wymownie uniósł wzrok ku niebu. – Robi się coraz bardziej sentymentalnie. Każę kucharce zapakować pełen koszyk kanapek. Proszę mnie wziąć pod rękę, pomogę pani zejść na dół.

– Nie potrzebuję pomocy, dzię-dziękuję.

– Proszę mnie wziąć pod rękę – powtórzył miłym tonem, pod którym kryło się coś na kształt groźby. – Nie pozwolę, żeby pani spadła ze schodów i skręciła sobie kark, jeszcze zanim wsiądziemy do powozu. Trudno znaleźć wolną dziedziczkę fortuny. Musiałbym się srodze namęczyć, żeby zastąpić panią jakąś inną.

Evie musiała być bardziej wyczerpana, niż sądziła, bo kiedy razem schodzili po schodach, była zadowolona, że może się na nim oprzeć. W pewnym momencie St. Vincent otoczył ramieniem jej plecy, wolną ręką ujął jej dłoń i ostrożnie sprowadził ją z ostatnich stopni. Dostrzegła na jego kostkach kilka blednących siniaków – pozostałość po walce z lordem Westcliffem. Na myśl o tym, jak by poszło temu wymuskanemu arystokracie z jej masywnym wujem Peregrine'em, aż zadrżała. Pragnęła jak najszybciej znaleźć się w drodze do Gretna Green.

St. Vincent najwyraźniej wyczuł jej drżenie, bo objął ją mocniej.

– Zimno pani? – zapytał. – Czy to z nerwów?

– Ch-chcę jak najszybciej opuścić Londyn – odpowiedziała – …zanim krewni mnie znajdą.

– Czy mają jakiekolwiek powody podejrzewać, że przyszła pani akurat do mnie?

– A-ależ nie – zapewniła pośpiesznie. – Nikt by nie uwierzył, że mogę być aż tak szalona.

Gdyby dotąd nie była oszołomiona, od jego uśmiechu bez wątpienia zakręciłoby się jej w głowie.

– Dobrze, że mam tak mocno rozwinięte poczucie próżności. W przeciwnym razie całkiem by je pani zniszczyła.

– Jestem pewna, że wiele kobiet je w panu pielęgnuje. Nie potrzebuje pan kolejnej.

– Zawsze potrzebuję kolejnej, moja droga. Na tym polega mój problem.

Zaprowadził ją z powrotem do biblioteki, gdzie przesiedziała przed kominkiem kilka minut. Kiedy już zapadała w drzemkę na fotelu, St. Vincent wrócił, żeby zabrać ją do powozu. Pomógł jej wsiąść do błyszczącego czarnego pojazdu, który czekał na nich przed domem. Aksamitna tapicerka w niepraktycznym kremowym kolorze wyglądała niezwykle elegancko

w łagodnym świetle małej lampki. Evie doświadczyła komfortu, jakiego wcześniej nie znała, kiedy usadowiła się na miękkiej kanapie i odchyliła plecy na oparcie. Krewni jej matki żyli według zasad ściśle określających wymogi dobrego smaku, ale odnosili się nieufnie do wszystkiego, co zakrawało na zbytek. Natomiast St. Vincent, jak podejrzewała, nie widział w zbytku nic szczególnego, zwłaszcza gdy chodziło o cielesne wygody.

Na podłodze ustawiono kosz wypleciony ze skórzanych pasków. Zajrzawszy do niego ostrożnie, Evie znalazła kilka zawiniętych w serwetki kanapek; kromki białego pieczywa przełożono cienko pokrojonymi plastrami wędliny i sera. Zapach wędzonego mięsa pobudził głód Evie do tego stopnia, że pochłonęła dwie kanapki, jedną po drugiej, z pośpiechu niemal się dławiąc.

St. Vincent wsiadł do powozu i zajął miejsce naprzeciwko Evie. Uśmiechnął się, widząc, jak dojada ostatnie okruchy.

– Czuje się pani lepiej?

– Owszem, dziękuję.

Otworzył schowek wbudowany przemyślnie w wewnętrzną ścianę pojazdu i wyciągnął butelkę białego wina i mały kryształowy kieliszek, umieszczone tam zawczasu przez służbę. Napełnił kieliszek i podał go Evie. Pociągnęła niepewnie pierwszy łyk, a potem łapczywie dopiła resztę słodkiego, dobrze schłodzonego trunku. Młodym kobietom rzadko podawano wino o pełnej mocy, zwykle rozcieńczano je wodą. Opróżniwszy kieliszek, nie zdążyła nawet poprosić o następny, bo od razu został ponownie napełniony. Powóz ruszył z lekkim szarpnięciem, zęby Evie zadzwoniły cicho o szkło. W obawie, że mogłaby rozlać wino i poplamić kremową tapicerkę, wzięła pokaźny łyk. Usłyszała, że St. Vincent się śmieje.

– Spokojnie, dziecino. Przed nami długa podróż. – Rozparty na poduszkach kanapy, wyglądał jak basza z powieści uwielbianych przez Daisy Bowman. – Proszę mi powiedzieć, co by pani zrobiła, gdybym nie przystał na pani propozycję. Dokąd by się pani udała?

– Prawdopodobnie p-pojechałabym do Annabelle i pana Hunta. – Ucieczka do Lillian i lorda Westcliffa nie wchodziła w grę, ponieważ wyjechali na miesiąc w podróż poślubną. Zwracanie się do Bowmanów niewiele by dało, bo wprawdzie Daisy z pasją wstawiłaby się za przyjaciółką, ale jej rodzice nie chcieliby mieć nic wspólnego z całą sytuacją.

– Dlaczego od razu pani się na to nie zdecydowała?

Evie zmarszczyła czoło.

– Huntom byłoby trudno… o ile w ogóle zdołaliby powstrzymać moich wujów od zabrania mnie z powrotem do Maybricks House. Będę o wiele bardziej b-bezpieczna jako pańska żona niż jako gość w czyimś domu. – Wino wprawiło Evie w nastrój przyjemnego rozluźnienia; odchyliła głowę na oparcie.

St. Vincent przyglądał jej się z zadumą. Schylił się, żeby zdjąć jej buty z nóg.

– Bez nich będzie pani wygodniej – zapewnił. – Na litość boską, proszę się nie wzdragać. Nie mam zamiaru napastować pani w powozie. – Rozwiązując sznurówki, mówił dalej miękkim tonem: – A gdyby nawet, to przecież i tak wkrótce mamy się pobrać. – Uśmiechnął się szeroko, kiedy wyrwała mu z rąk

bosą stopę, po czym sięgnął po drugą. – Evie pozwoliła, by ściągnął jej drugi but; zmuszała się do zachowania spokoju, choć muśnięcia jego palców na kostce wzbudzały w niej dziwny dreszcz. – Mogłaby pani też poluzować sznurówki gorsetu – poradził. – Przyjemniej pani będzie podróżować.

– Nie mam na sobie g-gorsetu – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Nie ma pani? Mój Boże. – Obrzucił ją spojrzeniem znawcy. – Zatem los obdarzył panią doprawdy wspaniałą figurą, dziewczyno.

– Nie podoba mi się to określenie.

– Dziewczyna? Proszę mi wybaczyć. Siła przyzwyczajenia. Zawsze traktuję damy jak dziewczyny, a dziewczyny – jak damy.

– I to podejście się sprawdza? – spytała Evie z niedowierzaniem.

– Ależ tak – odparł tonem żartobliwej przechwałki, który tak ją rozbawił, że nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– O-okropny z pana człowiek.

– W istocie. Ale tak to już jest, że okropni ludzie zwykle kończą lepiej, niż na to zasługują. Podczas gdy ci zacni, jak pani... – Wykonał gest, który miał potwierdzać, że jej obecna sytuacja doskonale ilustruje tę tezę.

– Może nie jestem aż tak z-zacna, jak by się panu wydawało.

– Mogę jedynie żywić taką nadzieję. – Zmrużył oczy. Evie zauważyła, że jak na mężczyznę ma nieprzyzwoicie długie rzęsy, o kilka tonów ciemniejsze niż włosy. Mimo wysokiego wzrostu i szerokich barów miał w sobie coś kociego, był jak leniwy, lecz śmiertelnie groźny tygrys. – Jaki charakter ma choroba pani ojca? – spytał znienacka. – Słyszałem różne pogłoski, ale nic pewnego.

– Cierpi na suchoty – powiedziała cicho Evie. – Diagnozę postawiono pół roku temu i od tego czasu go nie widziałam. To n-najdłuższy okres bez wizyty u niego. Maybrickowie zwykle pozwalali mi chodzić do jego klubu, bo nie widzieli w tym żadnego zagrożenia. Ale w zeszłym roku ciotka Florence doszła do wniosku, że kontakty z ojcem ograniczają moje szanse na znalezienie męża, więc powinnam się od niego odciąć. Chcą, bym udawała, że on nie istnieje.

– Zdumiewające – mruknął z ironią i skrzyżował przed sobą długie nogi. – Skąd ta nagła potrzeba pochylenia się nad jego łożem śmierci? Chce pani mieć pewność, że została ujęta w testamencie, tak?

Evie początkowo puściła mimo uszu złośliwość zawartą w pytaniu, jednak po chwili zastanowienia odparła chłodno:

– Kiedy byłam małą dziewczynką, pozwalano mi go często widywać. Łączyła nas silna więź. Był… jest jedynym człowiekiem, któremu tak naprawdę na mnie zależało. Kocham go. I nie chcę, żeby umarł samotnie. Może pan d-drwić, jeśli to pana bawi. Pańskie zdanie nic mnie nie obchodzi.

– Spokojnie, dziecino. Wyczuwam charakter, który bez wątpienia odziedziczyła pani po swoim tacie. Widziałem taki sam błysk w jego oczach, kiedy jakiś drobiazg go zdenerwował.

– Zna pan mojego ojca? – Nie kryła zaskoczenia.

– Oczywiście. Każdy mężczyzna szukający takiej czy innej rozrywki odwiedził klub Jennera. Pani ojciec jest przyzwoitym człowiekiem mimo swej pobudliwości. Nie mogę sobie odmówić pytania: jakim cudem panna Maybrick

poślubiła londyńskiego cwaniaka z plebsu?

– Sądzę, że moja matka, poza innymi powodami, musiała w nim widzieć szansę ucieczki od swojej rodziny.

– Czyli było podobnie jak w naszym przypadku – skomentował bezbarwnym głosem St. Vincent. – Dostrzegam pewną analogię, a pani?

– M-mam nadzieję, że na tym analogia się kończy – odparła Evie. – Biorąc pod uwagę fakt, że zostałam poczęta niedługo po ich ślubie, a matka zmarła w połogu.

– Nie zrobię pani brzucha, jeśli pani sobie tego nie życzy – obiecał. – Dzisiaj nietrudno uniknąć ciąży. Są kondomy, gąbki, irygacje, nie wspominając już o tych małych srebrnych amuletach, które można… – zamilkł na chwilę, widząc jej minę, po czym rzekł ze śmiechem: – Mój Boże, ma pani oczy jak spodki. Przestraszyłem panią? Proszę mi nie mówić, że nigdy pani nie słyszała o takich rzeczach od swoich zamężnych przyjaciółek.

Evie wolno pokręciła głową. Wprawdzie Annabelle Hunt wykazywała czasami chęć wyjaśnienia jej niektórych tajemnic pożycia małżeńskiego, ale z całą pewnością nie wspominała o wynalazkach zapobiegających ciąży.

– Wątpię, żeby same kiedykolwiek o nich słyszały – odpowiedziała, co wprawiło go w jeszcze większe rozbawienie.

– Bardzo chętnie panią oświecę, kiedy już dotrzemy do Szkocji. – Wygiął usta w uśmiechu, który siostry Bowman uważały kiedyś za niezwykle czarujący. Musiały przy tym nie zauważyć błysku wyrachowania w jego oczach. – Kochanie, wzięła pani pod uwagę możliwość, że nasza pierwsza wspólna noc tak się pani spodoba, że zechce pani powtórki?

Jakże łatwo czułe słówka wychodziły z jego ust.

– Nie – oznajmiła zdecydowanie Evie. – Nie zechcę.

– Uhm… – St. Vincent wydał z siebie odgłos podobny do kociego mruczenia. – Lubię wyzwania.

– M-może spodoba mi się z panem w łóżku – dodała Evie. Patrzyła mu prosto w oczy, nie uciekła wzrokiem, nawet kiedy przedłużające się napięcie wywołało rumieniec skrępowania na jej policzkach. – Właściwie mam taką nadzieję. Ale to nie zmieni mojego postanowienia. Ponieważ wiem o panu wszystko… i wiem, do czego jest pan zdolny.

– Moja droga – odezwał się niemal czule – jeszcze nawet nie zaczęła się pani dowiadywać o mnie tych najgorszych rzeczy.

ROZDZIAŁ 3

Dla Evie, która w poprzednim tygodniu męczyła się podczas dwunastogodzinnej jazdy z posiadłości Westcliffów w Hampshire, czterdziestoośmiogodzinna podróż do Szkocji była prawdziwą mordęgą. Znacznie łatwiej zniosłaby jej trudy, gdyby nie pośpieszne tempo. Jednak to na jej życzenie udawali się prosto do Gretna Green, przystając co trzy godziny, żeby zmienić zaprzęg i woźnicę. Evie obawiała się, że jeśli krewni przejrzeli jej zamiary, natychmiast ruszą w pościg. A zważywszy na wynik bójki St. Vincenta z lordem Westcliffem, istniała słaba nadzieja, że mógłby wygrać w bezpośrednim starciu z wujem Peregrine'em.

Mimo znakomitego wyposażenia powozu i mocnych sprężyn jazda z niezmiennie dużą prędkością wprawiała pojazd w ciągłe podskoki i kołysanie, aż w końcu Evie zaczęła odczuwać mdłości. Była zmęczona, ale nie mogła znaleźć wygodnej pozycji, która pozwoliłaby jej zasnąć. Co chwilę uderzała głową o ścianę. Miała wrażenie, że ledwie uda jej się zapaść w drzemkę, natychmiast, po zaledwie paru minutach, się budzi.

St. Vincent sprawiał wrażenie mniej strudzonego, ale również po nim było widać, że spędził wiele godzin w podróży. Dawno przestali się silić na podtrzymywanie rozmowy i jechali w milczeniu. O dziwo, St. Vincent nawet jednym słowem nie zaprotestował przeciwko długotrwałym niewygodom; Evie szybko sobie uświadomiła, że tak samo jak jej zależało mu na jak najszybszym dotarciu do Szkocji. Ba, nawet bardziej niż ona był zainteresowany tym, by ślub nastąpił w możliwie najbliższym czasie.

Jechali i jechali, powóz podskakiwał na nierównościach, czasami niemal zrzucając Evie z kanapy. Cykl zapadania w niespokojną drzemkę i wymuszonej pobudki regularnie się powtarzał. Za każdym razem, gdy drzwi pojazdu się otwierały i St. Vincent wyskakiwał na zewnątrz, by rzucić okiem na nowy zaprzęg, do środka wpadał podmuch lodowatego powietrza. Zziębnięta i obolała, Evie kuliła się wtedy w kącie.

Po nocy nastąpił dzień z fatalną pogodą; marznący deszcz przemoczył Evie płaszcz, kiedy St. Vincent prowadził ją przez plac przed gospodą. W wynajętym pokoju zjadła miskę letniej zupy i skorzystała z nocnika, podczas gdy on poszedł dopilnować kolejnej zmiany koni i woźnicy. Widok łóżka wzbudził w niej niemal bolesną tęsknotę. Sen mógł jednak poczekać, aż dojadą do Gretna Green i na

dobre uwolni się z rąk swojej rodziny.

Popas trwał niespełna pół godziny. Po powrocie do powozu Evie próbowała zdjąć buty, nie brudząc przy tym błotem aksamitnej tapicerki. St. Vincent wsiadł za nią i schylił się, żeby pomóc. Kiedy rozwiązywał jej buty i ściągał je z zesztywniałych stóp, Evie bez słowa zdjęła mu z głowy przemoczony kapelusz i rzuciła na siedzenie naprzeciwko. Włosy miał gęste i miękkie, mieniły się odcieniami od bursztynowego po barwę szampana.

St. Vincent usadowił się na kanapie, przez chwilę spoglądał na ściągniętą zmęczeniem twarz Evie, a potem dotknął jej zziębniętego policzka.

– Jedno muszę pani przyznać – mruknął. – Każda inna kobieta w takiej sytuacji nie przestawałaby narzekać.

– T-trudno, żebym narzekała, skoro sama się domagałam, żeby jechać prosto do Szkocji – odparła Evie wstrząsana gwałtownym drżeniem.

– Jesteśmy już w połowie drogi. Jeszcze jedna noc, a potem dzień i jutro przed wieczorem będziemy po ślubie. – Uniósł kąciki ust w ledwie zauważalnym, cierpkim uśmiechu. – Chyba jeszcze żadna panna młoda tak bardzo nie marzyła o łożu małżeńskim.

Evie także się uśmiechnęła. Od razu zrozumiała, że chodziło mu o sen, a nie o miłosne igraszki. Patrząc na jego twarz z bardzo bliska, zastanawiała się, jak to możliwe, że cienie pod oczami i oznaki zmęczenia dodają mu atrakcyjności. Może dlatego, że z nimi wyglądał jak istota ludzka, a nie jak piękny, pozbawiony serca rzymski bóg. Jego arystokratyczna wyniosłość gdzieś się rozwiała, zapewne by powrócić, kiedy będzie wypoczęty. Na razie jednak wydawał się spokojny i przystępny. Evie miała nawet wrażenie, że jakaś słaba więź wytworzyła się między nimi podczas tej piekielnej podróży.

Przerwało im pukanie w drzwi powozu. Kiedy St. Vincent otworzył, ujrzeli moknącą na deszczu pokojówkę.

– Proszę, milordzie – odezwała się, spoglądając spod kaptura ociekającej wodą peleryny. – Ciepły napój i cegła, tak jak pan prosił. – Podała mu obie rzeczy.

St. Vincent wyciągnął z kieszeni kamizelki monetę i podał dziewczynie; uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i pomknęła z powrotem pod dach gospody.

Evie zamrugała ze zdziwienia, gdy St. Vincent podał jej emaliowany kubek wypełniony parującym płynem.

– Co to jest?

– Coś, co panią rozgrzeje od środka. – Zważył w dłoni cegłę owiniętą w kilka warstw szarej flaneli. – A to dla pani stóp. Proszę podnieść nogi na siedzenie.

W każdych innych okolicznościach Evie pewnie oburzyłaby jego bezceremonialność, jednak nie zaprotestowała, kiedy ułożył jej nogi na kanapie, otulił fałdami spódnicy i wsunął pod spód rozgrzaną cegłę.

– Och... – wyrwało jej się, kiedy błogie ciepło zaczęło przywracać życie zdrętwiałym palcom. – Och… j-jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze…

– Kobiety ciągle mi to powtarzają – stwierdził z rozbawieniem w głosie. – Śmiało, proszę się o mnie oprzeć.

Evie usłuchała, a on otoczył ją ramieniem. Pierś miał szeroką i twardą,

wygodnie było trzymać na niej głowę. Podniosła kubek do ust i ostrożnie napiła się gorącego napoju. Był to jakiś trunek wymieszany z wodą, cukrem i cytryną. Popijała wolno, czując, jak ciepło rozchodzi się po całym jej ciele. Nie mogła się powstrzymać przed kolejnym westchnieniem zadowolenia. Powóz ruszył z szarpnięciem, ale St. Vincent natychmiast napiął ramię, żeby przytrzymać ją przy swej piersi. Evie trudno było uwierzyć, że piekło może tak szybko zmienić się w niebo.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła tak bliskiego fizycznego kontaktu z mężczyzną. Wydawało jej się naganne, że znajduje w tym przyjemność. Z drugiej strony musiałaby chyba stracić przytomność, by jej nie odczuwać. Natura z niesprawiedliwą hojnością obdarzyła St. Vincenta męskim wdziękiem, choć bynajmniej na to nie zasługiwał. Co więcej, dosłownie emanował ciepłem: Evie z trudem opanowała pragnienie, by mocniej do niego przywrzeć. Ubranie miał uszyte z najprzedniejszych materiałów: surdut z cienkiej wełny, kamizelkę z grubo tkanego jedwabiu, koszulę z płótna miękkiego jak masło. Pachniał krochmalem, drogą wodą kolońską i czystym, lekko słonawym zapachem skóry.

Z obawy, że kiedy opróżni kubek, St. Vincent może chcieć się od niej odsunąć, Evie starała się pić tak wolno, jak tylko to było możliwe. Niestety, w końcu z żalem przełknęła ostatnie krople krzepiącej słodyczy. St. Vincent wyjął naczynie z jej ręki i odstawił na podłogę, po czym ku uldze Evie umościł się wygodniej na siedzeniu, nie wypuszczając jej z objęć. Usłyszała, jak ziewnął nad jej głową.

– Proszę spróbować zasnąć – mruknął. – Ma pani trzy godziny do następnej zmiany koni.

Evie przycisnęła stopy do ciepłej cegły, przybrała wygodniejszą pozycję, napierając mocniej na pierś St. Vincenta, i zapadła w drzemkę.

Z reszty podróży niewyraźnie zapamiętała ruch pojazdu, zmęczenie i gwałtowne pobudki. Coraz bardziej wyczerpana, coraz chętniej korzystała z przysług St. Vincenta. Na każdym postoju udawało mu się zdobyć dla niej kubek herbaty lub bulionu i przy każdej okazji rozgrzewał cegłę na palenisku. Przyniósł nawet gruby koc, radząc Evie szorstko, by nie pytała, jak go pozyskał. Głęboko przekonana, że bez jego pomocy zamarzłaby na kość, Evie wyzbyła się wszelkich oporów i przywierała do niego, ilekroć znajdował się z powrotem w powozie.

– Ja n-nie próbuję pana do niczego zachęcać – zastrzegła, układając się na jego piersi. – Po prostu jest pan jedynym dostępnym źródłem ciepła.

– Skoro pani tak twierdzi. – Naciągnął wyżej koc na nich oboje. – Jednak od kwadransa gładzi pani części mojej anatomii, których nikt dotąd nie śmiał dotykać.

– B-bardzo w to wątpię. – Wtuliła policzek w połę wełnianego surduta, po czym dodała stłumionym głosem: – Pewnie bywa pan dotykany częściej niż koszyki u Fortnuma i Masona.

– I można mnie mieć za znacznie rozsądniejszą cenę. – Wzdrygnął się gwałtownie, po czym chwycił ją za ramiona i trochę przesunął. – Proszę nie kłaść tu kolana, bo pani plany dotyczące nocy poślubnej mogą ulec gwałtownej

zmianie, kochana.

Evie drzemała do następnego postoju. W chwili gdy zaczęła zapadać w naprawdę głęboki sen, St. Vincent delikatnie potrząsnął jej ramieniem.

– Evangeline – odezwał się cicho, odgarniając jej z twarzy kosmyk włosów. – Proszę otworzyć oczy. Jesteśmy przed kolejną gospodą. Czas wejść do środka na kilka minut.

– Nie chcę – wymamrotała, odpychając ze złością jego rękę.

– Musi pani – nalegał. – Tym razem mamy przed sobą dłuższy odcinek drogi bez postoju. Musi pani skorzystać z toalety, bo przez długi czas nie będzie pani miała ku temu okazji.

Evie już miała ponowić protest, gdy sobie uświadomiła, że powinna usłuchać jego rady. Na samą myśl o wyjściu spod ciepłego koca w lodowatą szarą mżawkę prawie zachciało jej się płakać. Pochyliła się, żeby włożyć namoknięte, brudne trzewiki. Widząc, że kiepsko sobie radzi ze sznurówkami, St. Vincent sam je zawiązał, a następnie pomógł jej wysiąść z powozu. Na zewnątrz panował dokuczliwy ziąb, smagana zimnymi porywami wiatru Evie zagryzła zęby. St. Vincent naciągnął jej głębiej na czoło kaptur płaszcza, po czym objął ją i poprowadził w stronę wejścia do gospody.

– Proszę mi wierzyć – powiedział z przekonaniem – że lepiej spędzić kilka minut tutaj, niż później zatrzymywać się na skraju drogi. A o ile znam kobiecą fizjonomię…

– Ja też znam swoją fizjonomię – przerwała mu cierpko. – Nie ma potrzeby niczego mi wyjaśniać.

– Oczywiście. Proszę mi wybaczyć gadatliwość. Walczę w ten sposób z sennością. Własną i pani.

Obejmując go w pasie, Evie brnęła przez lodowate błoto. Przypomniał jej się Eustace, pomyślała o tym, jaka jest szczęśliwa, że nie musiała go poślubić. I że nie będzie musiała mieszkać pod dachem Maybricków. Ta świadomość dodała jej sił. Od momentu gdy zostanie żoną St. Vincenta, rodzina nie będzie mogła już nic jej zrobić. Wprost nie mogła się doczekać upragnionej wolności.

St. Vincent zapłacił za możliwość skorzystania z osobnego pomieszczenia, po czym chwycił Evie za ramiona i przyjrzał się jej uważnie.

– Wygląda pani, jakby zaraz miała zemdleć – ocenił rzeczowo. – Skarbie, mamy dość czasu, żeby pani wypoczęła tu godzinę lub dwie. Może by…

– Nie – przerwała mu stanowczo. – Chcę jechać dalej.

St. Vincent popatrzył na nią z nieskrywaną irytacją, ale kiedy się odezwał, w jego tonie nie było urazy:

– Czy zawsze jest pani taka uparta?

Potem zabrał ją do pokoju na piętrze i napomniał, by po jego wyjściu przekręciła klucz w zamku. – Proszę się postarać nie zasnąć na nocniku – poradził życzliwie.

Po powrocie do powozu Evie zrobiła to, co zdążyło jej już wejść w nawyk: zdjęła buty i pozwoliła, by St. Vincent wsunął jej gorącą cegłę pod stopy. Usadził Evie między swoimi rozłożonymi nogami, jedną oparł na cegle, drugą pozostawił na ziemi dla utrzymania równowagi. Evie krew zaszumiała w żyłach, kiedy wziął

ją za rękę i zaczął masować zziębnięte palce. Dłonie miał ciepłe i miękkie, z krótkimi, gładko opiłowanymi paznokciami, silne, lecz typowe dla człowieka nieimającego się pracy.

Lekko splótł palce z jej palcami, narysował kciukiem krąg we wnętrzu jej dłoni, a potem przyłożył płasko jej rękę do swojej. Choć miał jasną karnację, jego skóra nosiła lekki ślad opalenizny, jakby łatwo chwytała słońce. W końcu zastygł w bezruchu i tylko trzymał Evie za rękę.

To nie mogła być ona… ta szara myszka Evangeline Jenner. Sam na sam w powozie z owianym złą sławą rozpustnikiem w drodze do Gretna Green. I proszę, na co się odważyłam, pomyślała półprzytomnie. Odwróciła głowę na jego piersi, ocierając się policzkiem o miękką tkaninę koszuli, i spytała sennym głosem:

– Jaka jest pańska rodzina? Czy ma pan braci i siostry?

Przez moment wodził ustami po jej włosach, a potem uniósł głowę, żeby odpowiedzieć:

– Nie ma już nikogo poza moim ojcem i mną. Matki nie pamiętam… zmarła na cholerę, kiedy byłem niemowlęciem. Miałem cztery starsze siostry. Jako najmłodsze dziecko, i do tego jedyny chłopiec, byłem rozpieszczony ponad wszelką miarę. Jednak dość szybko straciłem trzy siostry z powodu szkarlatyny. Pamiętam, że wysłano mnie do naszej wiejskiej posiadłości, kiedy zachorowały, a gdy przywieziono mnie z powrotem, ich już nie było. Ta, która przeżyła, najstarsza, wyszła za mąż, ale podobnie jak pani matka zmarła podczas porodu. Dziecko także umarło.

Evie milczała podczas jego rzeczowej relacji, starała się nie okazywać poruszenia. Jednak w środku czuła głębokie współczucie dla tego małego chłopca, o którym opowiadał. Matka i trzy kochające siostry nagle zniknęły z jego życia. Taka strata byłaby trudna do udźwignięcia dla dorosłego człowieka, a co dopiero dla dziecka.

– Zastanawiał się pan kiedyś, jak mogłoby wyglądać pana życie, gdyby pan miał matkę?

– Nie.

– A ja tak. Często się zastanawiam, jakich rad by mi udzieliła.

– Pani matka skończyła w małżeństwie z awanturnikiem Ivo Jennerem – przypomniał jej z ironią St. Vincent. – Więc raczej nie brałbym sobie jej rad do serca. – Na moment zawiesił głos. – Jak doszło do tego, że się poznali? Nieczęsto się zdarza, żeby dobrze wychowana panna spotykała ludzi pokroju Jennera.

– To prawda. Matka jechała powozem z ciotką. To był jeden z tych zimowych dni, kiedy londyńska mgła w południe jest tak gęsta, że widoczność wynosi zaledwie parę metrów. Powóz wykonał gwałtowny manewr, żeby ominąć wózek ulicznego sprzedawcy, i przewrócił mojego ojca, który akurat stał na chodniku. Matka uparła się, żeby woźnica stanął i zapytał o kondycję poszkodowanego. Nabawił się jedynie kilku siniaków, nic poważnego. I chyba… chyba wzbudził zainteresowanie matki, bo następnego dnia posłała mu list, jeszcze raz pytając go o zdrowie. I tak się zaczęła ich korespondencja. Ojciec musiał dyktować komuś swoje listy, ponieważ sam był niepiśmienny. Nie znam więcej szczegółów poza

tym, że w końcu razem uciekli. – Evie uśmiechnęła się z satysfakcją na myśl o furii, w jaką wpadli Maybrickowie, gdy dowiedzieli się o ucieczce matki z Ivo Jennerem. – Miała dziewiętnaście lat, kiedy umarła – dodała z zadumą. – A ja mam dwadzieścia trzy. To dziwne, że żyję dłużej niż ona. – Zmieniła pozycję w ramionach Sebastiana, żeby spojrzeć mu w oczy. – A pan ile ma lat, milordzie? Trzydzieści cztery? Trzydzieści pięć?

– Trzydzieści dwa. Chociaż w tej chwili czuję się, jakbym miał co najmniej sto dwa. – Przyglądał jej się z zaciekawieniem. – Gdzie się podziało pani jąkanie, dziecino? Zniknęło gdzieś w okolicach Teesdale.

– Doprawdy? – zdziwiła się Evie. – Widocznie… muszę czuć się z panem bezpiecznie. Przy niektórych osobach mniej się jąkam. – O dziwo, do tej pory ta przypadłość nigdy nie ustępowała zupełnie, o ile Evie nie zwracała się do dzieci.

Pierś St. Vincenta zafalowała pod jej uchem, kiedy parsknął z rozbawieniem.

– Jeszcze nikt nigdy mi nie powiedział, że jestem typem, przy którym kobieta czuje się bezpiecznie. Wcale mi się to nie podoba. Będę musiał wkrótce zrobić coś diabolicznego, żeby sprostować pani wrażenie.

– Bez wątpienia pan to zrobi. – Zamknęła oczy i przylgnęła do niego mocniej. – Myślę, że po prostu jestem zbyt zmęczona, żeby się jąkać.

Zaczął delikatnie gładzić ją po włosach i po policzku, masując skronie opuszkami palców.

– Proszę spać – szepnął. – Jesteśmy prawie na miejscu. Skoro zmierza pani do piekła, kochana, to powinno być pani cieplej.

A jednak wcale nie było. Im bardziej na północ, tym robiło się zimniej, aż w końcu Evie pomyślała, że chętnie łyknęłaby jakiegoś diabelskiego naparu, byle był gorący. Wieś Gretna Green leżała w hrabstwie Dumfriesshire, nieco na północ od granicy pomiędzy Anglią a Szkocją. W odpowiedzi na surowe prawo małżeńskie Anglii setki par przemierzały trasę gościńcem wiodącym z Londynu, przez Carlisle, do Gretna Green. Przybywali pieszo, powozami lub wierzchem, szukając miejsca, gdzie mogliby złożyć przysięgę małżeńską, by wrócić do Anglii jako mąż i żona.

Po przejściu mostu na rzece Sark para znajdowała się na terenie Szkocji i mogła wziąć ślub w dowolnym miejscu tego kraju. Wystarczyło oświadczenie złożone w obecności świadków. W Gretna Green rozkwitł przemysł ślubny, mieszkańcy prześcigali się w urządzaniu ceremonii w prywatnych domach, oberżach czy nawet pod chmurką. Największą sławę – czy może raczej niesławę – jako miejsce pośpiesznych zaślubin zyskała kuźnia; formalizowano w niej tyle związków, że każde małżeństwo zawarte w obrębie Gretna Green uważano za „przyklepane na kowadle". Tradycja zrodziła się w osiemnastym wieku, gdy pewien kowal ustanowił się pierwszym z długiej linii kowali kapłanów.

W końcu powóz St. Vincenta dotarł do celu podróży, zajazdu położonego tuż obok rzeczonej kuźni. St. Vincent, najwyraźniej podejrzewając, że Evie może się przewrócić ze zmęczenia, obejmował ją mocno, kiedy stanęli przed zniszczoną ladą, za którą siedział właściciel zajazdu. Pan Findley rozpromienił się na wiadomość, że są parą narzeczonych, i zapewnił ich z wymownym mrugnięciem, że zawsze trzyma pokój przygotowany na taką okoliczność.

– Wiecie, że małżeństwo nie ma mocy prawnej, dopóki nie zostanie skonsumowane – powiedział z akcentem, który prawie uniemożliwiał zrozumienie jego słów. – Już kiedyś musieliśmy szmuglować pana młodego i jego narzeczoną tylnymi drzwiami do kowala, podczas gdy goniący ich krewni dobijali się od frontu. A jak już weszli do środka i znaleźli młodych razem w łóżku, pan młody wciąż miał na sobie buty! Ale nie było wątpliwości, że nowożeńcy zrobili, co trzeba. – Ryknął śmiechem.

– Co powiedział? – wymamrotała Evie z ustami przy ramieniu St. Vincenta.

– Nie mam pojęcia – szepnął jej do ucha Sebastian. – I wolę się nie domyślać. – Następnie zwrócił się do gospodarza: – Chcę mieć przygotowaną gorącą kąpiel, kiedy wrócimy.

– Tak jest, milordzie. – Właściciel skwapliwie przyjął monety, które St. Vincent wręczył mu w zamian za staroświecko wyglądający klucz. – Życzy pan sobie również tacę z kolacją, milordzie?

St. Vincent spojrzał pytająco na Evie, a kiedy ta pokręciła głową, odparł:

– Nie, ale pewnie będziemy chcieli zjeść rano porządne śniadanie.

– Tak jest, milordzie. Zamierzacie się pobrać u kowala, tak? I dobrze. Nie ma lepszego księdza w Gretna Green niż Paisley MacPhee. Umie czytać i pisać… posłuży wam też za urzędnika i sporządzi eleganckie zaświadczenie o ślubie.

– Dziękujemy.

St. Vincent cały czas obejmował Evie, kiedy wyszli z zajazdu i skierowali się do sąsiedniej chaty, należącej do kowala. Wzdłuż ulicy stały rzędy schludnych domów i sklepów; zapadał zmierzch, więc zapalano lampy, które miały rozproszyć mrok. Kiedy zbliżali się do pomalowanego na biało budynku, St. Vincent powiedział do Evie:

– Wytrzymaj jeszcze chwilę, skarbie. Już prawie jesteśmy u celu.

Oparta o St. Vincenta całym ciężarem, z twarzą na wpół ukrytą w jego płaszczu, Evie słuchała, jak puka do drzwi. Otworzyły się i na progu stanął zwalisty, czerwony na twarzy mężczyzna z ładnie wypielęgnowanym wąsem, który sięgał aż do bujnych bokobrodów. – Pan MacPhee? – rzucił krótko St. Vincent.

– Owszem. – Na szczęście szkocki akcent wąsacza nie był aż tak niewyraźny, jak w przypadku właściciela zajazdu.

St. Vincent szybko wyjaśnił, kim są i po co przybyli. Kowal uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Znaczy chcecie się pobrać, tak? Wejdźcie do środka.

Wezwał swoje dwie córki, pulchne, ciemnowłose dziewczyny, które przedstawił jako Florag i Gavenię, po czym zaprowadził ich do przybudówki, w której mieściła się kuźnia. Wszyscy członkowie rodziny MacPhee wykazywali ten sam prześny humor co właściciel zajazdu Findley, zadając kłam wszystkiemu, co Evie słyszała o rzekomo posępnej naturze Szkotów.

– Weźmiecie moje córki za świadków? – ni to spytał, ni zaoferował MacPhee.

– Tak – odpowiedział St. Vincent, rozglądając się po pomieszczeniu wypełnionym podkowami, częściami do powozów i narzędziami rolniczymi. Światło lampy padało na dolną część jego twarzy, uwidaczniając szorstki zarost

na podbródku. – Jak pan zapewne widzi, moja… – zawiesił głos, jakby wybierał w myślach właściwe określenie – …narzeczona i ja jesteśmy dość wyczerpani. Jechaliśmy z Londynu co koń wyskoczy, dlatego chciałbym, żeby wszystko odbyło się jak najrychlej.

– Z Londynu? – ucieszył się kowal, spoglądając promiennym wzrokiem na Evie. – Czemu przyjechałaś do Gretna, panienko? Rodzice nie wyrazili zgody na ślub?

Evie uśmiechnęła się słabo.

– Obawiam się, że to nie takie p-proste, sir.

– To rzadko jest proste – przyznał MacPhee i z miną mędrca pokiwał głową. – Ale muszę cię ostrzec, panienko… skoro tak ci śpieszno wyjść za mąż. Szkocki ślub to węzeł, którego nie wolno przerwać. Musisz być pewna, że naprawdę kochasz…

– Nie pobieramy się z miłości – rzucił szorstko St. Vincent, przerywając tę zapowiedź tyrady ojcowskich rad. – To małżeństwo z rozsądku, między nami nie ma nawet tyle ognia, żeby zapalić urodzinową świeczkę. Proszę więc przystąpić do rzeczy, bo żadne z nas od dwóch dni nie miało szansy się wyspać.

W kuźni zapadła cisza. MacPhee i jego córki byli wyraźnie zszokowani bezceremonialnym wyznaniem St. Vincenta. Kowal ściągnął krzaczaste brwi i oznajmił:

– Nie podobasz mi się pan.

St. Vincent popatrzył na niego z rezygnacją.

– Mojej narzeczonej też się nie podobam. Ale skoro to jej nie powstrzymuje przed wyjściem za mnie, pana nie powinno powstrzymywać przed udzieleniem nam ślubu. No, dalej.

MacPhee znów spojrzał na Evie, tym razem z wyraźnym współczuciem.

– Panna młoda nie ma kwiatów – stwierdził, próbując dodać ceremonii choć odrobinę romantyzmu. – Florag, skocz no, narwij trochę białego wrzosu.

– Nie potrzebuje kwiatów – warknął St. Vincent, ale dziewczyna i tak wybiegła, żeby spełnić polecenie ojca.

– Stary szkocki zwyczaj wymaga, żeby panna młoda trzymała biały wrzos – wyjaśnił Evie MacPhee. – Mam powiedzieć dlaczego?

Evie przytaknęła, starając się zdusić w sobie chichot stanowiący wyraz zarazem rozbawienia i bezradności. Mimo zmęczenia, a może właśnie z jego powodu, widok St. Vincenta walczącego z irytacją sprawiał jej przewrotną radość. W tym momencie stojący obok niej mężczyzna, nieogolony i wytrącony z równowagi, zupełnie nie przypominał gładkiego arystokraty z przyjęcia lorda Westcliffa w Hampshire.

– Dawno, dawno temu – zaczął MacPhee, nie zwracając uwagi na groźny pomruk wydobywający się z gardła pana młodego – dziewczyna imieniem Malvina zaręczyła się z Oscarem, dzielnym wojownikiem, który zdobył jej serce. Oscar poprosił ukochaną, by na niego czekała, a sam wyruszył szukać fortuny. Jednak pewnego dnia Malvina otrzymała wiadomość, że jej kochanek zginął w bitwie. I spoczął na wieki w odległych wzgórzach, pogrążony w bezkresnym śnie…

– Boże, ależ mu zazdroszczę – mruknął St. Vincent, trąc sino podkrążone oczy.

– Łzy Malviny, wylewane z żalu, nawadniały trawę niczym rosa – ciągnął MacPhee – a purpurowy wrzos u jej stóp zmienił się w biały. I dlatego każda szkocka panna młoda trzyma podczas ślubu bukiet z białego wrzosu.

– I to ma być ta historia? – spytał St. Vincent z niedowierzaniem i nutą niesmaku. – Biały wrzos wyrosły na łzach dziewczyny opłakującej śmierć kochanka?

– Właśnie.

– Jak coś takiego może stanowić dobrą wróżbę?

MacPhee otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w tej samej chwili Florag wróciła z gałązką ususzonego białego wrzosu. Evie podziękowała i pozwoliła, by gospodarz podprowadził ją do kowadła na środku kuźni.

– Ma pan obrączkę dla dziewczyny? – MacPhee zwrócił się do St. Vincenta, który w odpowiedzi pokręcił głową. – Tak myślałem – mruknął z satysfakcją kowal. – Gavenia, przynieś kasetkę z obrączkami. – Pochylając się ku Evie, wyjaśnił: – Kuję nie tylko żelazo, ale też szlachetne metale. To ładne wyroby, wszystkie ze szkockiego złota.

– Ona nie potrzebuje… – St. Vincent urwał w pół zdania, kiedy Evie podniosła na niego wzrok. Westchnął z irytacją. – No dobrze. Wybierz coś szybko.

MacPhee wyciągnął z kasetki prostokątny pas wełnianej tkaniny, rozciągnął na kowadle i ostrożnie ułożył na nim kilka obrączek. Evie pochyliła się, żeby dokładniej je obejrzeć. Różniły się wielkością i wzorami, ale wszystkie były piękne i tak delikatne, że wydawało się niemożliwe, by stanowiły dzieło wielkich, sękatych rąk kowala.

– Ta ma wzór ostów i węzłów – objaśnił MacPhee, unosząc jeden z wyrobów. – Na tej są klucze, a tu szkocka róża.

Evie wybrała najmniejszą i przymierzyła ją na serdeczny palec lewej dłoni. Pasowała jak ulał. Podniosła ją do oczu, żeby dokładniej obejrzeć. Wyglądała najskromniej z zaprezentowanych wyrobów, na wypolerowanym złotym pasku wygrawerowano słowa *Tha Gad Agam Ort.*

– Co to znaczy? – zwróciła się do kowala.

– W tobie pokładam swoją miłość.

St. Vincent nawet nie drgnął. Zapadła niezręczna cisza. Evie zarumieniła się i ściągnęła z palca obrączkę, żałując, że w ogóle wykazała zainteresowanie. Sentymentalne zdanie, tak niepasujące do okoliczności ich zaślubin, tylko podkreślało groteskowość tej pośpiesznej ceremonii.

– Chyba jednak nie chcę obrączki – wymamrotała, odkładając złoty krążek na tkaninę.

– Weźmiemy ją – rzucił St. Vincent ku jej zaskoczeniu. Wziął obrączkę do ręki. Kiedy Evie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, dodał szorstko: – To tylko słowa. Nic nie znaczą.

Evie skinęła szybko i opuściła głowę, wciąż zarumieniona.

MacPhee przyglądał im się spod ściągniętych brwi, skubiąc kosmyk brody na prawym policzku.

– Dziewczęta – odezwał się do córek z nieco wymuszonym entuzjazmem –

teraz zaśpiewacie pieśń.

– Pieśń… – zaczął protestować St. Vincent, ale zamilkł, kiedy Evie pociągnęła go za rękaw.

– Proszę im pozwolić – poprosiła szeptem. – Im bardziej będzie się pan sprzeciwiał, tym dłużej to potrwa.

Przeklinając w duchu, St. Vincent wbił wzrok w kowadło, podczas gdy siostry śpiewały całkiem dobrze zestrojonymi głosami:

Ma miłość jest jak róży krew,
Krew róży w czerwca świt.
Ma miłość jest jak rzewny śpiew,
Melodii cudnej rytm.
W piękności twojej strojna blask,
Jak w łunę jasnych zórz,
Ma miłość przetrwa świat i czas
*Gdy dna już wyschną mórz**.

Kowal słuchał córek, promieniejąc dumą, a po wybrzmieniu ostatniej, przeciągłej nuty wylewnie je pochwalił. Następnie zwrócił się do pary przy kowadle, nadając swojemu głosowi brzmienie pełne powagi:

– A teraz muszę was zapytać, czy oboje jesteście osobami wolnego stanu.

– Tak – odparł zwięźle St. Vincent.

– Czy ma pan obrączkę dla panny młodej?

– Przecież dopiero co… – zaczął St. Vincent, ale zaraz urwał na widok pytająco uniesionych krzaczastych brwi. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli chcą, by zaślubiny w ogóle doszły do skutku, muszą się stosować do wymagań kowala. – Tak – warknął. – Mam tutaj.

– W takim razie proszą ją włożyć na palec narzeczonej.

Stojąc naprzeciw St. Vincenta, Evie czuła się skołowana i oszołomiona. W momencie gdy wsunął jej na palec obrączkę, serce zaczęło jej bić stanowczo za szybko, wprawiając ją w stan ni to oczekiwania, ni to lęku – stan dotąd jej nieznany i nieznośnie wyostrzający zmysły. Nie potrafiła nazwać tego uczucia. Wraz z przyśpieszeniem pulsu rosło w niej napięcie.

Złączyli rozpostarte dłonie. Jego dłoń była znacznie dłuższa niż jej, gładka od wewnątrz i gorąca. Pochylił lekko głowę, przybliżając twarz do twarzy Evie. Minę miał nieprzeniknioną, ale na policzkach i u nasady nosa nabrał nieco koloru. Oddychał szybciej niż zwykle. Uświadomiła sobie, że zdążyła już poznać jego cechę tak intymną, jak normalny rytm oddechu. Odwróciła wzrok. Zobaczyła, że kowal bierze od jednej z córek długą białą wstążkę. Wzdrygnęła się bezwiednie, kiedy zdecydowanym ruchem zarzucił ją na ich złączone nadgarstki.

Usłyszała ciche mruczenie tuż przy uchu i poczuła, jak St. Vincent wolną ręką gładzi ją po karku, jakby była spłoszonym zwierzęciem. Stopniowo uspokajała się pod delikatnym dotykiem jego palców.

MacPhee dokładnie owinął wstążką ich przeguby.

– A teraz zawiążemy węzeł – stwierdził z zadowoleniem. – Powtarzaj za mną, panienko: „Biorę sobie ciebie za męża”.

– Biorę sobie ciebie za męża – powtórzyła Evie szeptem.

– Milordzie? – Kowal zwrócił się do pana młodego.

St. Vincent spojrzał na Evie. Oczy miał błyszczące jak diamenty, o niemożliwym do odczytania wyrazie. Mimo to wyczuła, że on także jest świadomy dziwnego napięcia, które między nimi narastało.

Odezwał się niskim, spokojnym głosem:

– Biorę sobie ciebie za żonę.

– Przed Bogiem i tymi świadkami ogłaszam was mężem i żoną – oświadczył triumfalnie MacPhee. – Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. Należą się osiemdziesiąt dwa funty, trzy korony i jeden szyling.

St. Vincent oderwał wzrok od Evie i spojrzał na kowala spod uniesionych brwi.

– Pięćdziesiąt funtów za obrączkę – odpowiedział MacPhee na jego nieme pytanie.

– Pięćdziesiąt funtów za obrączkę bez kamieni? – zdziwił się kwaśno St. Vincent.

– To szkockie złoto – odparł MacPhee, wyraźnie urażony. – Pochodzi ze wzgórz Lowther…

– A reszta?

– Trzydzieści funtów za ceremonię, funt za korzystanie z mojej kuźni, gwinea za zaświadczenie o zawarciu małżeństwa, które będzie gotowe na jutro rano, po koronie dla świadków… – Wskazał na córki, które jednocześnie dygnęły, chichocząc. – I korona za kwiaty…

– Korona za garść ususzonych chwastów? – rzucił ze złością St. Vincent.

– Za pieśń nic nie policzę – dodał wspaniałomyślnie MacPhee. – Aha, jeszcze szyling za wstążkę, której nie wolno wam rozwiązać, dopóki małżeństwo nie zostanie skonsumowane, bo inaczej wyjedziecie z Gretna z pechem.

St. Vincent już otwierał usta, żeby wyrazić swoje zdanie na ten temat, ale po jednym spojrzeniu na zmęczoną twarz Evie sięgnął do kieszeni po pieniądze. Ruchy miał niezdarne, bo był praworęczny, a mógł się posługiwać tylko lewą ręką. Wyciągnął zwitek banknotów i kilka monet, rzucił je na kowadło.

– Proszę – mruknął ponuro. – Reszty nie trzeba. Proszę ją przekazać córkom… wraz z moim podziękowaniem za pieśń – dodał z nutą złośliwości.

Rozległy się chóralne podziękowania ze strony kowala i jego córek, które postanowiły odprowadzić nowożeńców do wyjścia, śpiewając im dodatkową zwrotkę:

Ma miłość przetrwa świat i czas,
Gdy dna już wyschną mórz…

* R. Burns, *Ma miłość jest jak róży krew*, przeł. Z. Kierszys.

ROZDZIAŁ 4

Zanim wyszli z chaty kowala, deszcz się wzmógł; spływał teraz ciężką kurtyną. Evie przyśpieszyła kroku, zbierając w sobie resztki sił, by wrócić pod dach zajazdu. Miała wrażenie, że porusza się we śnie. Wszystko wydawało się jakieś nienaturalne, miała trudności ze skupieniem wzroku w jednym punkcie, a błotnista ziemia jakby przesuwała się pod jej stopami, znacząco utrudniając chodzenie. Jakby tego było mało, St. Vincent zatrzymał ją przy ścianie budynku pod osłoną okapu.

– O co chodzi? – spytała z rezygnacją.

Zaczął szarpać węzeł na wstążce łączącej ich nadgarstki.

– Zamierzam się tego pozbyć.

– Nie. Zaczekaj. – Kaptur płaszcza zsunął jej się do tyłu. Dotknęła ręki Sebastiana, unieruchamiając ją na chwilę.

– Dlaczego? – spytał wyraźnie zniecierpliwiony. Patrzył na nią, a woda ściekała z ronda jego kapelusza. Słabe światło mrugających ulicznych lamp rozjaśniało wieczór. Kiedy wpadło do jego bladoniebieskich oczu, rozbłysły, jakby wydzielały własny, wewnętrzny blask.

– Słyszałeś, co mówił MacPhee… Rozwiązanie wstążki przyniesie nam pecha.

– Jesteś przesądna – stwierdził z niedowierzaniem, na co Evie tylko przepraszająco skinęła głową. Nietrudno było zauważyć, że jego cierpliwość wisi na nitce znacznie cieńszej od wstążki łączącej ich ręce. Kiedy tak stali w ciemności i zimnie, z połączonymi rękami uniesionymi pod nienaturalnym kątem, Evie poczuła, jak jego spętana dłoń zamyka się na jej podwiniętych palcach. I to miejsce było jedyną ciepłą częścią jej ciała. St. Vincent odezwał się z przesadną pobłażliwością w głosie, która – gdyby Evie w pełni panowała nad swoim umysłem – powinna ją ostrzec, że należy szybko się wycofać: – Naprawdę chcesz tak wejść do tawerny?

Trwanie w uporze nie miało żadnego sensu, ale wyczerpanie nie pozwalało Evie rozeznać się we własnych uczuciach. Wiedziała tylko, że dotąd pech wystarczająco uprzykrzał jej życie, i nie chciała, by nadal ją prześladował.

– Jesteśmy w Gretna Green, nikt nie zwróci na to uwagi. Poza tym sądziłam, że nie przejmujesz się tym, co o tobie pomyślą.

– Nigdy się nie przejmowałem, że uważają mnie za zdeprawowanego łajdaka,

ale wyjść na skończonego idiotę to zupełnie inna sprawa.

– Nie – zaprotestowała, gdy znów sięgnął do węzła. Przytrzymała jego dłoń, ich palce przypadkiem się splotły.

A potem znienacka dopadł ustami do jej ust, pchnął ją na ścianę budynku i naparł na nią całym ciałem. Wolną rękę położył na jej karku, tuż pod linią włosów. Dotyk jego warg wywołał gwałtowny odzew w całym jej ciele. Nie umiała się całować; oszołomiona i drżąca, naciskała na niego zamkniętymi ustami, podczas gdy jej serce trzepotało jak szalone, a kolana dziwnie miękły.

Chciał od niej czegoś, czego nie umiała mu dać. Wyczuwając jej zagubienie, oderwał się od niej, a potem zaczął muskać jej usta drobnymi, delikatnymi pocałunkami. Jego szorstki zarost łaskotał jej policzki. Ujął jej podbródek i kciukiem nacisnął dolną wargę, a kiedy odruchowo rozchyliła usta, znów przywarł do nich pocałunkiem; tym razem poczuła jego smak, subtelny i pociągający, ożywiający zmysły niczym egzotyczny narkotyk. Wsunął w nią język – najpierw ostrożnie, oswajał ją z nowym doznaniem, wykonując powolne ruchy, po czym – nie napotykając oporu – sięgnął głębiej.

Po dłuższej chwili odchylił się, tak że ich usta ledwie się stykały, para oddechów tworzyła jeden obłok, wyraźnie widoczny w chłodnym wieczornym powietrzu. Otarł się o jej usta rozchylonymi wargami, raz, drugi, a potem przesunął nimi po policzku w stronę ucha. Wstrzymała oddech, kiedy obwiódł językiem wrażliwy brzeg małżowiny, a następnie chwycił lekko zębami drobny płatek. Zadrżała, przeszyta dreszczem, który przebiegł ją na wskroś, rozpalając żar w piersiach i podbrzuszu.

Wyprężona jak struna naparła na niego, po omacku szukając ustami jego rozgrzanych warg, jedwabistej pieszczoty języka. Skwapliwie spełnił jej niewypowiedziane życzenie. Wolną rękę zarzuciła na jego szyję, żeby nie upaść; drugą trzymała przyciśniętą do ściany. Dwa pulsy biły jeden przy drugim pod oplotem z białej wstążki. Kolejny namiętny pocałunek był łapczywy i jednocześnie kojący. Evie miała wrażenie, że Sebastian ją pożera, smakuje, zgłębia… Rozkosznie kręciło się jej w głowie, bała się, że zaraz zemdleje. Nic dziwnego, myślała półprzytomnie. Nic dziwnego, że tak wiele kobiet ulegało temu mężczyźnie, narażając dla niego swoją reputację i honor. Niektóre nawet, jeśli wierzyć plotkom, groziły, że się zabiją, kiedy je porzucał. Stanowił uosobienie zmysłowości.

Gdy w końcu się odsunął, była zdziwiona, że zdołała ustać na nogach, zamiast bezwładnie opaść na ziemię. Oddychał tak samo głośno jak ona, może nawet głośniej, jego pierś falowała rytmicznie. Oboje milczeli, kiedy zabrał się do rozsupływania węzła na wstążce, bez reszty skupiony na tym, co robi. Ręce wyraźnie mu drżały. Nie patrzył na nią, ale nie potrafiła odgadnąć, czy nie chciał widzieć jej miny, czy też nie życzył sobie, by ona zobaczyła wyraz jego twarzy. Kiedy w końcu biały pas jedwabiu opadł na ziemię, Evie miała wrażenie, że nadal są ze sobą związani, może dlatego że wciąż czuła na przegubie uścisk jego palców.

Wreszcie St. Vincent odważył się spojrzeć jej w oczy – w taki sposób, jakby oczekiwał protestów. Nie odezwała się jednak, tylko wzięła go pod rękę.

W milczeniu przeszli niewielką odległość dzielącą ich od zajazdu. W głowie jej wirowało, ledwie słyszała jowialne gratulacje pana Findleya. Wchodziła po ciemnych, wąskich schodach z takim trudem, jakby miała nogi z ołowiu. W końcu doszło do tego, że musiała zaciskać zęby, by nie upaść.

Doszli do niewielkich drzwi w korytarzu na piętrze. Oparta plecami o ścianę, patrzyła, jak St. Vincent je otwiera. Gdy klucz obrócił się w zamku z głośnym zgrzytem, Evie spróbowała zrobić chwiejny krok.

– Zaczekaj. – St. Vincent pochylił się, żeby wziąć ją na ręce.

– Nie musisz…

– To przez wzgląd na twoją przesądną naturę – wyjaśnił, podnosząc ją tak lekko, jakby była dzieckiem. – Chyba lepiej wziąć pod uwagę i ten zwyczaj. – Ustawiając się bokiem, przeniósł ją przez próg. – Panna młoda nie powinna się potknąć i wywrócić na progu, bo to przynosi pecha. A widywałem mężczyzn po trzydniowych bachanaliach, którzy trzymali się na nogach pewniej niż ty teraz.

– Dzięki – mruknęła Evie, kiedy postawił ją na ziemi.

– Należy się pół korony – odparł. Żartobliwe przypomnienie o wymaganiach finansowych kowala wywołało uśmiech na jej twarzy.

Nie zagościł tam jednak na długo. Zgasł, kiedy się rozejrzała po niewielkim, lecz schludnym pokoju. Łóżko, wystarczająco duże na dwie osoby, wyglądało na czyste i miękkie, pościel nosiła ślady niezliczonych prań. Metalowa rama miała mosiężne ozdoby w kształcie kul. Lampka z rubinowego szkła stojąca na nocnym stoliku wypełniała pokój różową poświatą. Ubłocona, zziębnięta i odrętwiała ze zmęczenia, Evie bez słowa wpatrywała się w staroświecką blaszaną wannę wykończoną drewnem, którą ustawiono przed rozpalonym kominkiem.

St. Vincent zamknął drzwi na klucz. Potem podszedł do niej i rozpiął jej płaszcz. Wyraz współczucia ściągnął mu rysy, kiedy zobaczył, że Evie drży z wyczerpania.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział cicho, zdejmując z niej okrycie. Odłożył je na krzesło przy kominku.

Evie starała się stać prosto i panować nad kolanami, które same się zginały, jakby nie mogły utrzymać jej ciężaru. Strach ściskał ją w środku, ilekroć zawadziła wzrokiem o łóżko.

– Czy my będziemy… – zapytała chropawym głosem, podczas gdy St. Vincent rozpinał jej suknię.

– Czy będziemy… – powtórzył, podążając za jej spojrzeniem. – Dobry Boże, nie. – Szybko uporał się z rzędem guzików na staniku. – Wprawdzie bardzo mnie pociągasz, kochanie, ale jestem zbyt zmęczony. Jeszcze nigdy w życiu tego nie powiedziałem… ale w tym momencie zdecydowanie wolę spać, niż chędożyć.

Evie odetchnęła z nieskrywaną ulgą. Musiała go chwycić za ramiona, żeby utrzymać równowagę, kiedy zsuwał z niej suknię.

– Nie podoba mi się to słowo – powiedziała stłumionym głosem.

– Cóż, lepiej, żebyś się z nim oswoiła – odparł szorstko. – To słowo często pada w klubie twojego ojca. Aż dziw, że dotąd się z nim nie zetknęłaś.

– Oczywiście, że się zetknęłam – sprostowała urażona. – Tylko nie wiedziałam, co znaczy. Aż do teraz.

St. Vincent schylił się, żeby rozwiązać jej buty. Jego szerokie ramiona drżały. Wydawał z siebie dziwny, świszczący dźwięk, jakby się krztusił. Evie wystraszyła się, że coś mu dolega, dopiero po chwili do niej dotarło, że St. Vincent się śmieje. Po raz pierwszy słyszała u niego taki śmiech i nie miała pojęcia, co go rozbawiło. Stojąc nad nim – w samej koszuli i pantalonach – obronnym gestem skrzyżowała ramiona.

St. Vincent, wciąż chichocząc, zdjął jej buty i odrzucił na bok. Ściągnięcie pończoch poszło mu wprost błyskawicznie.

– Wykąp się, skarbie – zachęcił, opanowawszy się nieco. – Dzisiejszej nocy jesteś przy mnie bezpieczna. Mogę patrzeć, ale nie będę dotykać. No, śmiało.

Evie nigdy wcześniej nie rozbierała się w obecności mężczyzny. Zsuwając ramiączko koszuli, czuła, jak szczypiący rumieniec oblewa całe jej ciało.

St. Vincent odwrócił się taktownie i podszedł do umywalki z dzbankiem gorącej wody zabranym sprzed kominka. Zajęty wyjmowaniem przyborów do golenia z kufra podróżnego, nie patrzył, jak Evie sztywnymi ze skrępowania ruchami zdejmuje z siebie bieliznę i wchodzi do wanny.

Zanurzając się w cudownie gorącej wodzie, czuła przyjemne łaskotanie w przemarzniętych nogach, jakby nakłuwano je tysiącami cieniutkich igiełek.

Na taborecie obok wanny stał słój z galaretowatym brązowym mydłem o nieco cierpkim zapachu. Evie nabrała odrobinę na końce palców i rozsmarowała po piersi i ramionach. Miała wrażenie, że zesztywniałe dłonie nie chcą się poddawać jej woli. Zanurzyła głowę pod wodą i sięgnęła po więcej mydła, omal nie przewracając przy tym słoja. Umyła włosy. Pisnęła z bólu, kiedy z powodu piany zaczęły ją szczypać oczy. Próbowała je przepłukać, chlapiąc sobie wodą w twarz.

Widząc to, St. Vincent szybko podszedł do wanny. W rękach trzymał dzbanek. Przez plusk wody usłyszała jego głos:

– Odchyl głowę. – Wylał resztę czystej wody na włosy Evie, zręcznie osłaniając jej twarz czystym, szorstkim ręcznikiem, po czym kazał jej wstać.

Posłusznie chwyciła jego wyciągniętą rękę i podniosła się. Powinna się wstydzić swej nagości, ale zdążyła osiągnąć stan krańcowego wyczerpania, w którym nie było miejsca na wstydliwość. Skorzystała z jego pomocy przy wychodzeniu z wanny, co więcej – pozwoliła, by ją wytarł, ponieważ nie miała siły zrobić tego samodzielnie. Stała bez ruchu i było jej wszystko jedno, czy na nią patrzy.

St. Vincent radził sobie lepiej niż niejedna pokojówka. Szybko ubrał Evie w białą flanelową koszulę, którą znalazł w jej walizce. Osuszył ręcznikiem jej włosy, a potem podprowadził ją do umywalki. Nawet się nie zdziwiła, gdy znalazł w bagażu jej szczoteczkę do zębów i nasypał na nią trochę kredowego proszku. Umyła zęby, niezdarnie suwając po nich szczotką i spluwając do umywalki. Szczoteczka wypadła z jej pozbawionych czucia palców na podłogę.

– Gdzie jest łóżko? – spytała szeptem, z zamkniętymi oczami.

– Tutaj, skarbie. Weź mnie za rękę.

Wpełzła na posłanie jak ranne zwierzę. Łóżko było suche i ciepłe, materac miękki, gruba wełniana narzuta cudownie otuliła jej obolałe członki. Wtulając

głowę w poduszkę, wydała z siebie głębokie westchnienie. Bez protestu znosiła zabiegi Sebastiana, który próbował choć z grubsza rozczesać jej mokre włosy, pozwoliła nawet przetoczyć się na drugi bok, żeby mógł dosięgnąć szczotką i tej strony głowy.

Wykonawszy zadanie, St. Vincent także podszedł do wanny, żeby wziąć kąpiel. Evie zdołała unieść ciężkie powieki na tyle, by ujrzeć jego smukłe, gładkie ciało w świetle płomieni z kominka. Oczy same jej się zamknęły, kiedy wszedł do wanny. Zanim w niej usiadł, głęboko zasnęła.

Żadne majaki nie zakłóciły jej błogiego snu. Istniały tylko przyjemny, gęsty mrok, miękkie łóżko i spokój szkockiej wsi w zimną jesienną noc. Poruszyła się dopiero o świcie, kiedy hałas z zewnątrz wdarł się do pokoju: wesołe pokrzykiwanie sprzedawczyni ciastek i gałganiarza, turkot wozów ciągniętych przez zwierzęta po ulicy. Otworzyła oczy i w bladym świetle przenikającym przez luźno tkane beżowe zasłony ujrzała drugą osobę śpiącą w tym samym łóżku.

St. Vincent. Jej mąż. Był nagi, przynajmniej od pasa w górę. Spał na brzuchu. Umięśnionymi ramionami obejmował poduszkę pod głową. Jego szerokie, gładkie barki i plecy miały idealnie regularny kształt, jakby zostały wyciosane z bałtyckiego bursztynu i wypolerowane piaskiem na wysoki połysk. Jego twarz we śnie wyglądała znacznie łagodniej, bez taksującego spojrzenia, pozbawiona czujności, z ustami wygiętymi w niewinnie zmysłową linię.

Zamykając oczy, pomyślała, że jest zamężną kobietą. Wkrótce będzie mogła zobaczyć ojca i zostać z nim tak długo, jak zechce. A że prawdopodobnie St. Vincent okaże niewiele zainteresowania tym, co robi jego żona i dokąd chodzi, mogła się spodziewać pewnej wolności. Mimo obaw czających się w głębi duszy ogarnęło ją uczucie podobne do szczęścia. Z westchnieniem znów zapadła w sen.

Tym razem śniło się jej, że idzie słoneczną alejką obsadzoną astrami i nawłocią. To była ścieżka w Hampshire, którą spacerowała wcześniej wielokrotnie, wzdłuż mokrych pól porośniętych tawułą i wysokimi letnimi trawami. We śnie szła tamtędy samotnie w stronę studni życzeń, gdzie kiedyś wraz z przyjaciółkami wrzuciły monety do wody, wyrażając w myślach życzenie. Evie znała miejscowy przesąd dotyczący ducha studni, który rzekomo mieszkał głęboko w ziemi, i bała się, że stoi zbyt blisko krawędzi. Według legendy duch tylko czekał, by złapać jakąś niewinną dziewczynę i wciągnąć ją w głębinę, żeby tam żyła jako jego małżonka. We śnie jednak Evie wcale nie czuła strachu, przeciwnie – odważyła się ściągnąć buty i zanurzyć palce stóp w chlupoczącej wodzie. Ku jej zdziwieniu okazała się przyjemnie ciepła.

Przysiadła na brzegu studni i przebierając gołymi nogami w wodzie, wystawiła twarz do słońca. Poczuła lekkie dotknięcia na kostkach. Znieruchomiała, nadal bez lęku, nawet kiedy zauważyła, że coś się rusza pod powierzchnią wody. Jeszcze jedno dotknięcie… ręka… długie palce delikatnie masowały jej stopy, rozcierały bolesne miejsca, aż w końcu wydała z siebie westchnienie przyjemności. Duże męskie dłonie przesunęły się wyżej, pieściły łydki i kolana. Z głębi studni wynurzyła się rosła, zgrabna sylwetka. Duch studni przybrał postać mężczyzny, który się do niej zalecał. Kiedy wziął ją w ramiona,

zaciskała powieki w obawie, że jeśli będzie próbowała na niego spojrzeć, może zniknąć, a wraz z nim cudowne doznania. Skórę miał gorącą i jedwabistą, mięśnie jego pleców drżały leciutko pod jej palcami.

Kochanek ze snu szeptał czułe słówka, wodząc ustami po jej szyi. W każdym miejscu, którego dotknął, czuła przyjemne mrowienie.

– Mam cię posiąść? – wyszeptał, ostrożnie ściągając z niej odzienie, wystawiając skórę na działanie światła, powietrza i wody. – Nie bój się, maleńka, nie… – Drżąc, przywarła do niego na oślep, a on dalej całował jej szyję i piersi. Ujął między palce nabrzmiałe sutki, wodził rozchylonymi wargami po jej rozgrzanej skórze. Wysunął język i muskał wrażliwy czubek, aż jęknęła cicho i wsunęła mu palce we włosy. Wtedy otoczył nabrzmiałą brodawkę ustami i zaczął ją delikatnie ssać, wykonując przy tym rytmiczne ruchy językiem. Wygięła ciało w łuk i głośno wciągnęła powietrze, bezwiednie rozłożyła szerzej uda… a potem…

Gwałtownie otworzyła oczy. Budziła się, oszołomiona snem i pożądaniem. Jej pierś falowała w przyśpieszonym oddechu. Stopniowo docierała do niej rzeczywistość: nie była w Hampshire, tylko w wynajętym pokoju w Gretna Green, a plusk wody nie pochodził ze studni życzeń, ale zza okna. Na zewnątrz lał rzęsisty deszcz. Świeciło nie słońce, lecz świeżo rozpalony w kominku ogień. A leżał na niej nie duch studni, tylko mężczyzna z krwi i kości… Trzymał głowę na jej brzuchu i leniwie muskał skórę ustami… przesuwając się coraz niżej. Evie ze zdumieniem odkryła, że jest całkiem naga, a St. Vincent pieści ją namiętnie… i to już od jakiegoś czasu.

Uniósł głowę i spojrzał na nią. Przy lekko zarumienionych policzkach jego oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze i bardziej wyraziste. W kącikach ust igrał mu przewrotny uśmieszek.

– Trudno cię dobudzić – odezwał się cichym, jakby zdyszanym głosem. Ponownie opuścił głowę; jedną ręką przesuwał wolno po jej udzie. Zaskoczona, poruszyła się pod nim, chciała zaprotestować, ale powstrzymał ją czułym głaskaniem i ułożył w innej pozycji na posłaniu. – Leż, nie musisz nic robić, kochanie. Pozwól, że ja się tobą zajmę. Tak. Możesz mnie dotykać, jeśli… mmm, tak… – zamruczał, kiedy drżącymi rękami dotknęła jego włosów, potem karku, aż w końcu zacisnęła je na ramionach.

Przeniósł się niżej, poczuła łaskotanie, kiedy otarł się owłosionym torsem o wewnętrzną stronę jej ud. Nim się spostrzegła, jego twarz znalazła się na wysokości ogniście rudego trójkącika. Zawstydzona, odruchowo wyciągnęła rękę, żeby zasłonić miejsce intymne.

– Nie powinnaś tego robić – powiedział, muskając ustami jej biodro. Po brzmieniu jego głosu poznała, że się uśmiecha. – Kiedy coś przede mną ukrywasz, tym bardziej tego pragnę. Obawiam się, że podsuwasz mi do głowy najbardziej lubieżne pomysły… Lepiej zabierz tę rękę, skarbie, bo mógłbym zrobić coś naprawdę nieprzyzwoitego. – Kiedy usłuchała, wsunął palec w sprężyste kędziory, poszukując czułego punktu. – O tak…bądź posłuszna swojemu mężowi – szepnął, sięgając głębiej. – Zwłaszcza w łóżku. Jesteś taka piękna. Rozsuń nogi, kochanie. Będę cię dotykał w środku. Nie, nie bój się. Może

najpierw cię tam pocałuję? Nie ruszaj się, proszę… – Evie wstrzymała oddech, kiedy jego cierpliwy, gorący język odnalazł to, czego szukał; jednocześnie długie, zręczne palce badały wejście do jej ciała. Wycofał się natychmiast, gdy wzdrygnęła się zaskoczona. Szepcząc kojące słowa, spróbował ponownie, tym razem sięgając głębiej. – Niewinny skarb – wymruczał i połaskotał językiem miejsce tak wrażliwe, że przeszyta siłą doznania, zadrżała, wydając z siebie jęk. W tym samym czasie palec wolnym, lecz nieustępliwym rytmem gładził ciasny przesmyk do jej wnętrza. Starała się nie wydawać żadnych dźwięków, zaciskała zęby, jednak bez skutku, bo raz po raz wyrywały jej się z gardła ni to jęki, ni to westchnienia. – Jak sądzisz, co się stanie… – odezwał się leniwie – …jeśli dalej będę tak robił, jeśli nie przestanę… – Ich spojrzenia spotkały się nad jej odsłoniętym brzuchem. Czuła, że twarz ma ściągniętą i zaczerwienioną, skóra na całym jej ciele płonęła. St. Vincent wyraźnie oczekiwał odpowiedzi, tymczasem Evie miała trudność z wyduszeniem choćby jednego słowa.

– N-nie wiem – wydukała w końcu.

– No to sprawdźmy, dobrze?

Tym razem w ogóle nie zdołała odpowiedzieć. Patrzyła ze zdumieniem, jak St. Vincent przywiera twarzą do rudego wzgórka. Głowa opadła jej do tyłu, gdy poczuła jego język trafiający niezawodnie w ten najczulszy punkt. Słyszała dudniące bicie własnego serca. Lekko zapiekło, kiedy wsunął w nią drugi palec i rozsunął sprężyste ciało, robiąc dostęp dla swoich ust. Jego język poruszał się z początku wolno, potem coraz szybciej, palce wykonywały rytmiczne pchnięcia. Evie wiła się pod nim i jęczała, aż w końcu cudowne nowe doznanie zawładnęło nią bez reszty i nie była już zdolna wykonać żadnego ruchu. Wyprężona jak struna, z uniesionymi biodrami, jakby wychodziła mu naprzeciw, krzyknęła raz i drugi, a potem zaczęła gwałtownie drżeć.

Ogarnęło ją wielkie zmęczenie, a wraz z nim euforia podobna do stanu upojenia. Straciła panowanie nad własnym ciałem, nie próbowała się opierać, kiedy odwrócił ją na brzuch i znów wsunął w nią palce. Zawstydziła się, czując wilgoć między nogami, ale St. Vincenta wypływające z niej soki najwyraźniej podniecały, bo dyszał głośno z ustami na jej karku.

Evie czuła na udzie jego męskość… twardą, ogromną i gorącą. Nie była zaskoczona zmianą, jaka w nim zaszła, Annabelle powiedziała jej, co się dzieje z ciałem mężczyzny podczas aktu miłosnego. Jednak nie wspominała o pozostałych rzeczach, które wykraczały poza czysto fizyczną sferę przeżycia.

St. Vincent nie przestawał jej pieścić, dopóki bezwiednie nie uniosła bioder.

– Chcę znaleźć się w tobie – wyszeptał, całując jej szyję. – Chcę wejść głęboko w twoje ciało… Będę delikatny, kochanie… Odwrócę cię i… Boże, jaka jesteś piękna… – Ułożył ją znowu na plecach i zajął miejsce między jej rozłożonymi nogami. Głos mu się rwał, oddychał coraz szybciej. – Dotknij mnie, skarbie… połóż rękę o tutaj… – Głośno wciągnął powietrze, kiedy ostrożnie objęła członek. Zaczęła wolno poruszać dłonią; pieszczota musiała mu sprawiać przyjemność, bo zamknął oczy i oddychał chrapliwie przez rozchylone usta.

Trochę niezdarnie nakierowała członek między swoje nogi; kiedy trafił do gorącego, wilgotnego przedsionka, St. Vincent wydał z siebie gardłowy pomruk,

a następnie wykonał zdecydowane pchnięcie. Zapiekło znacznie mocniej, niż kiedy wsuwał do środka palce, Evie odruchowo napięła mięśnie z bólu. Tuląc ją do siebie, St. Vincent kolejnym pchnięciem wszedł głębiej, a jeszcze następnym całkowicie ją sobą wypełnił.

Evie starała się leżeć nieruchomo w jego ramionach, otwarta i bezbronna. Zaciskała palce na jego obojczykach tak mocno, że paznokcie niemal wbijały się w skórę, a on starał się ją ukoić pieszczotami ust i rąk. Kiedy z na wpół opuszczonymi powiekami nachylił się do pocałunku, skwapliwie rozchyliła usta, wciągnęła do środka jego język i zaczęła ssać. Pierś St. Vincenta zawibrowała od wzbierającego jęku rozkoszy. Oddychając ze świstem przez zaciśnięte zęby, wypełnił ją gorącym nasieniem.

Evie przesunęła dłonie na szeroką płaszczyznę jego torsu z gęstwiną szorstkich jasnych włosów. Nadal połączony z nią cieleśnie, St. Vincent znieruchomiał pod jej palcami. Dotykała jego smukłych boków, żeber okrytych twardymi mięśniami, atłasowo gładkich pleców. Popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami, a potem opadł głową na poduszkę, a jego ciałem wstrząsnęła nowa fala dreszczy.

Powrócił do jej ust żarliwym pocałunkiem. Evie rozsunęła szerzej nogi i mimo bólu spróbowała wciągnąć go w siebie głębiej. St. Vincent wsparł się na łokciach, żeby nie zgnieść jej swoim ciężarem, i opuścił głowę na jej piersi. Jego gorący oddech owiewał jej nabrzmiałe brodawki; świeży zarost leciutko drapał wrażliwą skórę, ale wrażenie nie było przykre, przeciwnie – jeszcze bardziej rozpalało jej zmysły. Nadal w niej tkwił, choć już nie tak twardy.

Objęła go za głowę, bawiła się jego pięknymi włosami. Po chwili poruszył się, ponownie odnalazł ustami brodawkę jej piersi i otoczył ją wilgotnym żarem. Obwodził językiem pociemniałą aureolę, rytmicznie, niestrudzenie, aż Evie zaczęła się pod nim wić. Pieszczota na nowo ożywiła pożądanie w jej piersiach i brzuchu, tłumiąc ból. St. Vincent przeniósł usta na drugą pierś i powtarzał to, co robił wcześniej z pierwszą – lizał, ssał, kąsał, jakby się żywił jej przyjemnością. Uniósł się na tyle, by wsunąć rękę między ich wciąż połączone ciała, i po kilku ruchach jego zręcznych palców poczuła, że po raz kolejny unosi ją fala rozkoszy. Resztką świadomości zacisnęła się wokół niego, jakby chciała zatrzymać go w sobie na zawsze.

St. Vincent, dysząc ciężko, patrzył na nią z taką miną, jakby była gatunkiem stworzenia, jakiego nigdy wcześniej nie widział.

– Dobry Boże… – szepnął do siebie z nutą niepokoju w głosie.

ROZDZIAŁ 5

Sebastian wstał z łóżka i na chwiejnych nogach podszedł do umywalki. Czuł się oszołomiony, niepewny, jakby to on, a nie Evangeline, dopiero co stracił dziewictwo. Od dawna sądził, że nie doświadczy już niczego nowego, niczego, czego by nie znał. Mylił się. Współżycie było dla niego dobrze wyćwiczonym połączeniem techniki i choreografii, tymczasem nagle zawładnęła nim namiętność, wobec której okazał się całkowicie bezradny. Przeżył szok. Zamierzał się wycofać w ostatniej chwili, ale pożądanie do tego stopnia zmąciło jego zmysły, że nie panował nad własnym ciałem. Do licha! Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło.

Wziął czysty ręcznik i starannie, bez pośpiechu zmoczył go zimną wodą. Oddychał już normalnie, lecz bynajmniej nie odzyskał spokoju. Po tym, co się zdarzyło, powinien się czuć zaspokojony na wiele godzin. A tymczasem miał ochotę na więcej. Przeżył najdłuższe, najmocniejsze, najbardziej wstrząsające szczytowanie w życiu… a pragnienie, by znów ją posiąść, zatopić się w niej, nie minęło. To, co czuł, graniczyło z szaleństwem. Ale dlaczego? Dlaczego akurat z nią?

Miała typ figury, który zawsze mu się podobał – bardzo kobiecy, zmysłowy, mocny, z pulchnymi udami. Skórę gładką jak aksamit, poznaczoną złotymi piegami, podobnymi do wesołych iskierek wypuszczanych przez fajerwerki. Włosy tak samo ogniste i kręcone tam, na dole, jak na głowie… Tak, im też nie dało się oprzeć. Jednak wszystkie fizyczne przymioty Evangeline Jenner nie mogły tłumaczyć niesłychanego wrażenia, jakie na nim robiła.

Choć wydawało się to niemożliwe, znów poczuł przypływ żądzy. Wytarł się zimnym, mokrym ręcznikiem i sięgnął po świeży. Zaniósł go Evangeline, która leżała skulona na boku. Ku jego uldze nie zanosiło się na dziewicze łzy i narzekania. Sprawiała wrażenie raczej zamyślonej niż smutnej. Przyglądała mu się uważnie, jakby próbowała rozwiązać jakąś zagadkę. Mrucząc uspokajająco, nakłonił ją, by się położyła na plecach, po czym wytarł jej krew i śluz spomiędzy nóg.

Niełatwo jej było leżeć przed nim nago, bez ruchu. Sebastian natychmiast dostrzegł lekki rumieniec oblewający całe jej ciało. Znał niewiele kobiet, które wstydziły się nagości. Zawsze wybierał doświadczone partnerki, jako że nie

gustował w niewinnych dziewczętach. Bynajmniej nie ze względów moralnych, ma się rozumieć – po prostu dziewice z reguły były nudne w łóżku.

Odłożył na bok ręcznik i wsparł się na rękach po obu stronach Evangeline, wgniatając swym ciężarem materac. Przyglądali się sobie nawzajem z zaciekawieniem. Zauważył, że nie przeszkadza jej milczenie, w przeciwieństwie do większości kobiet nie próbowała za wszelką cenę go przerwać. Podobała mu się ta cecha. Nachylił się, wciąż wpatrzony w jej oczy. Kiedy przybliżył usta do jej twarzy, usłyszał głośne burczenie. Zaczerwieniła się jeszcze mocniej i przycisnęła ręce do brzucha, jakby chciała uciszyć bunt pustego żołądka.

Sebastian uśmiechnął się szeroko i szybko cmoknął ją poniżej żeber.

– Każę przynieść śniadanie, skarbie.

– Evie – powiedziała cicho, naciągając na siebie kołdrę. – Tak mnie nazywają ojciec i przyjaciółki.

– Zatem jesteśmy w końcu gotowi mówić sobie po imieniu? – Uniósł kąciki ust. – Sebastian – przedstawił się miękkim tonem.

Evie wyciągnęła rękę, powoli, jakby był dzikim zwierzęciem, które spłoszone, może umknąć, i odgarnęła z jego czoła kosmyk włosów.

– Teraz naprawdę jesteśmy małżeństwem – powiedziała cicho.

– Owszem. Niech Bóg ci dopomoże. – Pochylił głowę; dotyk jej palców sprawiał mu przyjemność. – Wyjeżdżamy do Londynu jeszcze dzisiaj?

Evie potwierdziła skinieniem.

– Chcę zobaczyć ojca.

– Powinnaś starannie dobierać słowa, kiedy będziesz mu wyjaśniać, że jestem jego zięciem – poradził. – W innym razie ta nowina może go wykończyć.

Cofnęła rękę.

– Zależy mi na pośpiechu. Jeśli pogoda się poprawi, może uda się nam jechać szybciej. Chcę się skierować prosto do klubu ojca i…

– Wkrótce tam dotrzemy – przerwał jej spokojnie. – Ale nie będziemy podróżować w takim dzikim tempie jak przez całą drogę do Szkocji. Spędzimy przynajmniej jedną noc w jakiejś gospodzie. – Kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować, dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu: – Twojemu ojcu wcale nie posłuży, jeśli zjawisz się w jego klubie półżywa z wyczerpania. – No i zaczęło się egzekwowanie mężowskiej władzy i posłuszeństwa żony, która powinna go słuchać. Nie ulegało wątpliwości, że Evie uważała inaczej, ale zamiast się z nim kłócić, tylko wpatrywała się w niego spod ściągniętych brwi. – Przed tobą trudny czas, Evie – odezwał się łagodniejszym głosem. – Już posiadanie mnie za męża stanowi spore wyzwanie. Ale opieka nad suchotnikiem w ostatnim stadium choroby… Będziesz potrzebowała wszystkich swoich sił. Nie ma sensu ich tracić, jeszcze zanim tam dojedziesz.

Evie wciąż nie odrywała od niego wzroku, tym razem z miną, która sprawiła, że poczuł się nieswojo. Ależ ona miała oczy, jakby ktoś nazbierał niebieskich szkiełek i przepuścił przez nie najjaśniejszy promień słońca.

– Troszczysz się o moje dobro? – spytała znienacka.

Przybrał kpiący ton, któremu towarzyszyło chłodne spojrzenie.

– Oczywiście, kotku. Mam interes w tym, żebyś była cała i zdrowa do czasu,

aż odbiorę twój posag.

Evie wkrótce odkryła, że Sebastian czuje się równie swobodnie nagi co w pełni ubrany. Próbowała nonszalancko udawać, że widok mężczyzny krążącego po pokoju w stroju Adama nie robi na niej żadnego wrażenia, jednak ilekroć to było możliwe, zerkała ukradkiem, dopóki nie wyjął z kufra świeżego ubrania. Był wysoki i smukły, wyraźnie zarysowane mięśnie dowodziły, że musi uprawiać typową dla dżentelmena aktywność w rodzaju jazdy konnej, boksowania czy szermierki. Muskuły na jego plecach i ramionach drgały pod napiętą skórą przy każdym ruchu. Evie bardziej fascynował jednak widok z przodu, obejmujący klatkę piersiową, która wcale nie była naga jak u posągów z marmuru czy brązu, tylko pokryta krótkim włosem. Włosy na piersi i w innych miejscach zaskoczyły ją jako jedna z wielu tajemnic płci przeciwnej, które teraz – w sensie dosłownym – były przed nią odkrywane.

Sama nie potrafiła się zmusić do przejścia przez pokój bez ubrania, więc sięgnęła po prześcieradło i owinięta nim, przemknęła do swojej walizki. Wyjęła czystą suknię uszytą z grubej brązowej popeliny, świeży komplet bielizny i – co najważniejsze – parę czystych butów. Te, w których podróżowała dotychczas, były tak namoknięte i brudne, że aż zadrżała na samą myśl o ich włożeniu. Podczas ubierania poczuła na sobie wzrok Sebastiana. Szybko obciągnęła brzeg koszuli, żeby się osłonić.

– Jesteś piękna, Evie – pochwalił.

Wychowana przez krewnych, którzy wiecznie lamentowali nad ognistym kolorem jej włosów i zatrzęsieniem piegów, spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Ciotka Florence zawsze daje mi specjalną maść na piegi. Ale nie sposób się ich pozbyć.

Sebastian podszedł do niej z leniwym uśmiechem, chwycił ją za ramiona i przyjrzał jej się uważnie.

– Nie usuwaj ani jednego, skarbie. Znajdowałem je w najbardziej uroczych miejscach. Mam już nawet swoje ulubione. Powiedzieć ci gdzie? – Rozbrojona, Evie tylko pokręciła głową; próbowała się wyswobodzić, ale jej na to nie pozwolił. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w szyję pod uchem. – Skromnisia – mruknął z rozbawieniem. – Ale i tak ci powiem. – Chwycił fałd koszuli i zaczął wolno podciągać do góry. Evie wstrzymała oddech, czując dotyk jego palców między gołymi nogami. – Odkryłem, że na prawym udzie masz ślad prowadzący do… – szeptał z ustami tuż przy jej skórze.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Sebastian oderwał się od Evie z gniewnym sapnięciem.

– Śniadanie – mruknął. – Nie chciałbym cię zmuszać do wybierania pomiędzy moimi pieszczotami a gorącym posiłkiem, bo odpowiedź prawdopodobnie by mi nie pochlebiła. Włóż suknię, a ja pójdę otworzyć.

Kiedy już pośpiesznie się ubrała, wpuścił do środka dwie pokojówki z tacami, na których stały przykryte talerze. Przystojny gość o twarzy serafina i pszenicznej

czuprynie zrobił na dziewczynach tak wielkie wrażenie, że zaczęły nerwowo chichotać. W dodatku obiekt ich zachwytu był tylko częściowo odziany, bose stopy wystawały mu z nogawek spodni, a krawat zwisał luźno po obu stronach rozchełstanego kołnierzyka białej koszuli. Dwukrotnie omal nie zrzuciły zawartości tacy na ziemię, zanim w końcu udało im się nakryć do stołu. Na widok skotłowanego łóżka nie mogły powstrzymać pisków podniecenia – z pewnością wyobrażały sobie, co musiało się tu dziać w nocy. Zirytowana Evie wyprosiła je z pokoju i stanowczo zamknęła za nimi drzwi.

Zerknęła na Sebastiana, ciekawa, jak przyjął oczywiste uwielbienie pokojówek, ale wyglądał, jakby było mu całkowicie obojętne. Najwidoczniej widywał takie zachowanie na tyle często, że nie zwracał na nie szczególnej uwagi. Mężczyzna z jego urodą i pozycją musiał wzbudzać zainteresowanie kobiet. Evie wierzyła, że dla kochającej żony byłoby to bardzo przykre. Nie miała jednak zamiaru pozwalać sobie na zazdrość czy lęk, że ją zdradzi.

Sebastian pomógł Evie zasiąść do stołu i zachęcił, by poczęstowała się jako pierwsza. Dostali owsiankę z solą i masłem, jako że słodzenie jej melasą Szkoci uznawali za świętokradztwo. Były też drożdżowe bułeczki, plastry zimnego gotowanego bekonu, wędzona ryba, wielka miska wędzonych ostryg oraz duże kromki opiekanego chleba z marmoladą. Evie łapczywie połykała jedzenie, popijając je mocną herbatą. Posiłek nie mógł się równać z wykwintnymi angielskimi śniadaniami w posiadłości lorda Westcliffa w Hampshire, ale był gorący i obfity, a Evie zbyt głodna, by mu cokolwiek zarzucać.

Dojadała śniadanie, podczas gdy Sebastian golił się i kończył ubierać. Wrzuciwszy zawinięte w rulon przybory toaletowe do kufra, zamknął wieko i odezwał się lekkim tonem:

– Pakuj swoje rzeczy, kotku. Zejdę na dół sprawdzić, czy przygotowano powóz.

– Zaświadczenie o ślubie od pana MacPhee…

– Tym też się zajmę. Zamknij za mną drzwi na klucz.

Po mniej więcej godzinie wrócił po Evie. Barczysty chłopak zniósł kufer i walizkę do czekającego pojazdu. Sebastian uśmiechnął się pod nosem, widząc, że Evie wykorzystała jeden z jego krawatów, żeby związać włosy na karku. W czasie podróży z Anglii pogubiła większość spinek, a brakło jej przezorności, by zapakować do walizki dodatkowy komplet.

– W takiej fryzurze wyglądasz za młodo jak na mężatkę – mruknął. – Co dodaje całej sytuacji nuty pikanterii i bardzo mi się podoba.

Evie zdążyła już przywyknąć do jego nieprzyzwoitych uwag, więc tylko rzuciła mu pobłażliwie karcące spojrzenie.

Zeszli na parter i pożegnali się z właścicielem zajazdu, panem Findleyem. Na widok Evie towarzyszącej Sebastianowi Findley zawołał radośnie:

– Życzę pani bezpiecznej podróży, lady St. Vincent!

Zaskoczona odkryciem, że właśnie zyskała tytuł wicehrabiny, Evie wymamrotała słowa podziękowania.

Sebastian pomógł jej wsiąść do powozu; konie przebierały już nogami i wydychały z rozdętych chrap obłoczki pary.

– W istocie – rzucił z ironią St. Vincent. – Tytuł, choć skalany, teraz ci się należy. – Podtrzymał Evie przy wejściu na ruchomy stopień. – Co więcej – dodał, sadowiąc się w kabinie obok niej – kiedyś zajdziemy jeszcze wyżej, ponieważ jestem pierwszy w kolejce do tytułu księcia. Chociaż na twoim miejscu raczej nie wyczekiwałbym tego momentu. Niestety, mężczyźni w mojej rodzinie są długowieczni, co oznacza, że prawdopodobnie odziedziczymy tytuł, kiedy oboje będziemy zbyt sędziwi, żeby się nim cieszyć.

– Jeśli ty… – zaczęła Evie, po czym gwałtownie zamilkła na widok obłego przedmiotu leżącego na podłodze. Był to rodzaj kociołka z zamykanym otworem po jednej stronie. Płaska podstawa zapewniała stabilność. Evie spojrzała pytająco na Sebastiana, po czym niepewnie dotknęła urządzenia podeszwą buta… i natychmiast poczuła falę ciepła wdzierającą się pod spódnicę. — Ogrzewacz do stóp! – wykrzyknęła. Wrzątek z zamkniętej części kociołka musiał dawać więcej ciepła niż cegła, której używali poprzednio. – Gdzie ci się udało znaleźć coś takiego?

– Zobaczyłem to w chacie kowala i odkupiłem od niego – wyjaśnił Sebastian, rozbawiony jej entuzjazmem. – Rzecz jasna nie posiadał się z radości, że może mi policzyć za coś jeszcze.

Evie bez namysłu uniosła się na siedzeniu i pocałowała go w gładko wygolony policzek.

– Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony.

Objął ją szybko w talii, nie pozwalając z powrotem usiąść. Potem posadził ją sobie na kolanach i przyciągnął do siebie tak, że niemal stykali się nosami.

– Chyba zasługuję na lepsze podziękowanie – wymruczał, owiewając ją oddechem.

– To tylko ogrzewacz do stóp – obruszyła się łagodnie.

Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby.

– Pragnę ci zwrócić uwagę, moja kochana, że to coś w końcu wystygnie… i wtedy znowu będę dla ciebie jedynym źródłem ciepła. A nie ze wszystkimi się nim dzielę.

– Jeśli wierzyć plotkom, to owszem. – Evie odkrywała niedostępną jej dotąd przyjemność rozmowy. Nigdy wcześniej nie przerzucała się tak zdaniami z żadnym mężczyzną, nie pozwalała sobie na żartobliwe słowne zaczepki. Po błysku w oczach Sebastiana poznała, że i on dobrze się bawi. Wyglądał, jakby miał ochotę się na nią rzucić.

– Poczekam cierpliwie – obiecał. – Ta przeklęta woda nie może w nieskończoność utrzymywać temperatury.

Pozwolił, by zsunęła się z jego kolan, i patrzył, jak mości się na kanapie, układając fałdy spódnicy na ogrzewaczu. Gdy powóz ruszył, z zadowoleniem odchyliła się na oparcie; czuła gęsią skórkę na udach muskanych strumieniami ciepłego powietrza.

– Milordzie… to znaczy… Sebastianie…

Oczy miał jasne i przejrzyste niczym lustro.

– Tak, kochanie?

– Skoro twój ojciec jest księciem, to dlaczego ty jesteś wicehrabią? Nie

powinieneś być markizem albo przynajmniej hrabią?

– Niekoniecznie. To dość świeża praktyka, żeby dodawać mniej znaczące tytuły, kiedy tworzy się nowy. Z zasady im starszy tytuł książęcy, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że najstarszy syn jest markizem. Mój ojciec bardzo się z tym obnosi. Nie poruszaj z nim tego tematu, zwłaszcza kiedy jest na rauszu, bo zanudzi cię wykładem o tym, że słowo „markiz" brzmi obco i niemęsko, a do tego określa dziwną pozycję — jakieś wstydliwe pół kroku poniżej księcia.

– Twój ojciec jest aroganckim człowiekiem?

Usta Sebastiana wykrzywiły się w uśmiechu zaprawionym goryczą.

– Kiedyś uważałem to za arogancję. Ale uświadomiłem sobie, że to raczej obojętność na świat inny niż ten, do którego należy. Z tego co wiem, nigdy sam nawet nie włożył sobie skarpetek ani nie nasypał proszku na szczoteczkę do zębów. Wątpię, by przeżył, gdyby go pozbawić wszystkich przywilejów. Więcej – przypuszczam, że umarłby z głodu w pomieszczeniu pełnym jedzenia, gdyby zabrakło służby, żeby mu je podać na stół. Nie waha się użyć bezcennego wazonu jako celu do ćwiczeń strzeleckich, potrafi zgasić ogień w kominku, rzucając nań futro z lisów. Każe nawet stale oświetlać las wokół swojej posiadłości, na wypadek gdyby przyszła mu fantazja udać się na nocny spacer.

– Nic dziwnego, że jesteś biedny – powiedziała Evie, oburzona tak niesłychanym marnotrawstwem. – Mam nadzieję, że nie jesteś równie rozrzutny jak on.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– O bezsensowne szastanie pieniędzmi jeszcze mnie nie oskarżano. Rzadko uprawiam hazard i nie mam utrzymanki. Mimo to wierzyciele depczą mi po piętach.

– Myślałeś kiedyś o zdobyciu zawodu?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Po co?

– Żeby zarabiać pieniądze.

– Mój Boże, nie. Praca miałaby niekorzystny wpływ na moje życie osobiste. Rzadko mam ochotę wstać przed południem.

– Mój ojciec cię nie polubi.

– Gdyby kierowała mną ambicja zyskiwania sympatii innych, bardzo by mnie to zmartwiło. Na szczęście tak nie jest.

Podróż upływała im na tego rodzaju swobodnych rozmowach. Evie uświadamiała sobie stopniowo, że ma wobec swego męża mieszane odczucia. Wprawdzie miał mnóstwo osobistego uroku, ale znajdowała w nim niewiele cech godnych szacunku. Bez wątpienia dysponował bystrym umysłem, jednak nie robił z niego godziwego użytku. Co więcej, świadomość, że porwał Lillian i zdradził przy tym swojego najlepszego przyjaciela, podpowiadała jej, że nie można mu ufać. Z drugiej strony… od czasu do czasu miewał rycerskie odruchy, które doceniała.

Na każdym postoju między kolejnymi odcinkami trasy Sebastian starał się zaspokoić potrzeby swojej żony; mimo gróźb, że pozwoli wodzie w ogrzewaczu wystygnąć, pilnował, by za każdym razem wymieniano ją na wrzątek. Kiedy Evie

ogarnęło zmęczenie, pozwolił jej drzemać na swojej piersi, przytrzymując ją, gdy pojazd skakał na nierównościach drogi. Spoczywając w jego ramionach, uzmysłowiła sobie, że zapewnił jej iluzję czegoś, czego nigdy wcześniej nie miała. Azyl. Usłyszała, jak gładząc ją delikatnie po włosach, mówi głosem upadłego anioła:

– Odpoczywaj, kochanie. Jesteś pod moją opieką.

ROZDZIAŁ 6

Sebastianowi wprawdzie pilno było do Londynu, żeby się odnaleźć w nowych okolicznościach, ale nie żałował decyzji, by drogę powrotną odbyć w wolniejszym tempie. Bliżej wieczoru Evie zrobiła się blada i mniej rozmowna, najwyraźniej dawał o sobie znać wysiłek kilku ostatnich dni. Potrzebowała odpoczynku.

Znalazł odpowiedni zajazd, w którym mogli się zatrzymać na noc, zapłacił za najlepszy dostępny pokój i kazał natychmiast przysłać tam jedzenie i wszystko, co niezbędne do gorącej kąpieli. Evie skorzystała z wanny, kiedy Sebastian organizował poranną zmianę koni i załatwiał nocleg dla woźnicy. Po powrocie do pokoju, małego, lecz schludnego, z trochę przetartymi niebieskimi zasłonami w oknach, odkrył, że jego żona jest już wykąpana i ubrana w nocną koszulę.

Podszedł do stołu, uniósł serwetkę ze swojego talerza i odkrył pod nią porcję pieczonego kurczaka, kilka zwiędłych warzyw oraz niewielką ilość puddingu. Widząc, że talerz Evie jest pusty, spojrzał na nią z kwaśnym uśmiechem.

– Jak smakowała kolacja?

– Lepiej niż brak kolacji.

– Przyznaję, że odtąd będę bardziej doceniał umiejętności mojego londyńskiego kucharza. — Zasiadł przy chwiejnym stole i nakrył kolana świeżą serwetką. – Myślę, że polubisz to, co zwykle tworzy.

– Nie sądzę, abym miała zjeść wiele posiłków w twoim domu – powiedziała ostrożnie Evie. Sebastian zastygł z widelcem uniesionym do ust. — Zamieszkam w klubie ojca – ciągnęła. — Tak jak ci mówiłam, zamierzam się nim opiekować.

– Podczas dnia, owszem. Ale przecież nie będziesz zostawać tam na noc. Wieczorami będziesz wracać do mojego… do naszego domu.

Wbiła w niego nieruchome spojrzenie.

– Choroba nie opuszcza go wieczorem i nie wraca rano. Będzie potrzebował stałej opieki.

Sebastian wetknął sobie kęs jedzenia do ust, a potem rzekł z irytacją:

– Od tego jest służba. Możesz nająć jakąś kobietę, żeby go pielęgnowała.

Evie pokręciła głową z uporem, który jeszcze bardziej go rozgniewał.

– To nie to samo co opieka kochającej, bliskiej osoby.

– Dlaczego miałabyś się przejmować rodzajem tej opieki? On sam niewiele

zrobił dla ciebie. Ledwie znasz tego drania.

– Nie podoba mi się to słowo.

– Szkoda. Bo to jedno z moich ulubionych i zamierzam nadal go używać.

– W takim razie dobrze, że rzadko będziemy się widywać, kiedy już wrócimy do Londynu.

Patrząc ze złością na żonę, która pod słodką twarzyczką ukrywała niespodziewanie zadziorny charakter, Sebastian przypomniał sobie, że jest zdolna do drastycznych posunięć, żeby postawić na swoim. Kto wie, co mogłaby zrobić, gdyby zbyt mocno na nią napierał. Ściskając w dłoniach nóż i widelec, skupił się na jedzeniu. Nie przeszkadzało mu, że kurczakowi brakuje smaku. Gdyby nawet pływał w najsmakowitszym francuskim sosie, Sebastian i tak by tego nie zauważył, ponieważ wszystkie moce swego umysłu skierował na obmyślanie strategii postępowania wobec żony. W końcu, z miną wyrażającą uprzejmą troskę, rzekł:

– Kochanie, nie mogę pozwolić, byś zamieszkała w miejscu pełnym złodziei, hazardzistów i pijaków. Chyba sama dostrzegasz zagrożenia wynikające z takiej sytuacji.

– Dopilnuję, żebyś otrzymał mój posag najszybciej, jak to możliwe. A potem nie będziesz już musiał się o mnie martwić.

Jego opanowanie, zawsze tak niezawodne, wyparowało niczym woda na rozgrzanej blasze pieca.

– Nie martwię się o ciebie, do licha! Tylko po prostu… Na litość boską, tak nie uchodzi, Evie. Wicehrabina St. Vincent nie może mieszkać w jaskini hazardu nawet przez kilka dni.

– Nie przypuszczałam, że tak bardzo dbasz o konwenanse. – Z jakiegoś powodu irytacja Sebastiana wzbudziła jej wesołość. Uniosła kąciki ust w uśmiechu, nieznacznie, ale i tak to zauważył. Zbity z tropu, uznał, że za żadną cenę nie może ulec dwudziestotrzyletniej dziewicy… prawie dziewicy… która w swej naiwności wierzyła, że może się z nim równać w potyczce na słowa.

Lodowate, drwiące spojrzenie powinno było ją zdeprymować.

– Co sobie roiłaś w swoich fantazjach, skarbie, kto miał cię tam chronić, kiedy będziesz odgrywać rolę siostry miłosierdzia? Nocując tam samotnie, prosiłabyś się o gwałt. A ja tam z tobą nie zostanę, mam ciekawsze zajęcia niż siedzenie w podrzędnym klubie i czekanie, aż stary Jenner wyciągnie kopyta.

– Nie prosiłam, żebyś mnie chronił – odparła spokojnie. – Doskonale sobie poradzę bez ciebie.

– Oczywiście – rzucił Sebastian z ironią. Nagle stracił zainteresowanie zimną kolacją. Cisnął serwetkę na talerz, wstał od stołu, po czym zdjął surdut i kamizelkę. Zamierzał skorzystać z wanny, żeby pozbyć się kurzu i zmęczenia po podróży; przy odrobinie szczęścia mógł liczyć na to, że woda będzie jeszcze ciepła.

Rozbierając się, myślał o licznych kobietach, które wcześniej chciały za niego wyjść – pięknych i dobrze wyposażonych, zarówno fizycznie, jak i finansowo. Gotowe były dokonać chyba wszystkiego poza morderstwem, żeby go zadowolić. Tymczasem on był zbyt zajęty swoimi rozpustnymi podbojami, żeby rozważać

oświadczenie się którejkolwiek z nich. A teraz, z powodu niefortunnego zbiegu okoliczności i złego momentu, wylądował w małżeństwie z dziwną osobą o kiepskim pochodzeniu i trudnym charakterze.

Widząc, że Evie omija wzrokiem jego nagie ciało, Sebastian wykrzywił usta w drwiącym uśmieszku. Podszedł do niewielkiej wanny i zanurzył się w letniej wodzie; z braku miejsca nogi musiał wystawić na zewnątrz po obu stronach. Mył się nieśpiesznie, spłukując mydło z piersi wodą nabieraną w złożone dłonie, i przez cały czas obserwował żonę spod na wpół opuszczonych powiek. Z zadowoleniem dostrzegł, że jego nagość odebrała jej nieco pewności siebie. Wyraźnie zarumieniona, z nienaturalnym zainteresowaniem oglądała wzór na kapie przykrywającej łóżko.

Kiedy przesunęła palcem po jednym ze szwów, uwagę Sebastiana przyciągnął błysk złotej obrączki na jej palcu. Ten widok wzbudził w nim nieoczekiwany odzew; miał ochotę podejść do Evie, pchnąć ją na posłanie i posiąść bez żadnych wstępnych pieszczot, zmusić ją, by uznała jego zwierzchnictwo w ich związku. Ten nagły przypływ surowej, pierwotnej żądzy musiał przestraszyć człowieka, który zawsze uważał się za istotę cywilizowaną. Zaniepokojony i jednocześnie rozpalony, dokończył kąpiel, a potem chwycił wilgotny ręcznik, którego ona wcześniej użyła, i dokładnie się nim wytarł. Evie zauważyła jego podniecenie — usłyszał, jak nagle wstrzymała oddech. Z ręcznikiem owiniętym wokół bioder podszedł do swojego kufra.

Znalazł grzebień, podszedł do umywalki i mocnymi szarpnięciami usiłował rozczesać mokre włosy. W górnym rogu lustra odbijało się łóżko, widział, że Evie go obserwuje.

– Zatem dzisiejszej nocy mam być psem rzeźnika? – mruknął, nawet się nie odwracając.

– Psem rzeźnika? – powtórzyła zaskoczona.

– Psem, który leży w kącie jatki, ale nie dostaje mięsa.

– To porównanie jest raczej mało p-pochlebne dla nas obojga.

Słysząc jąkanie, Sebastian na krótki, prawie niewyczuwalny moment zastygł w bezruchu. Pomyślał bezdusznie, że Evie tylko udaje spokój.

– Odpowiesz na moje pytanie?

– P-przepraszam, ale wolałabym nie wchodzić z tobą więcej w i-intymne relacje. — Zaskoczony i urażony, odłożył grzebień i odwrócił się do niej. Kobiety nigdy mu nie odmawiały. Nie mógł uwierzyć, że Evie to robi, w dodatku po ich porannych miłosnych uniesieniach. — Mówiłeś, że nie lubisz chodzić do łóżka więcej niż raz z tą samą kobietą – przypomniała mu tonem ni to przeprosin, ni wyjaśnienia. – Twierdziłeś, że to byłoby strasznie nudne.

– Czy wyglądam na znudzonego? – spytał, wiedząc, że ręcznik bynajmniej nie ukrywa jego potężnej erekcji.

– To chyba zależy od tego, na którą część ciebie się patrzy – wydukała Evie, wbijając wzrok w barwną kapę. – Nie muszę ci chyba przypominać, m-milordzie, że zawarliśmy pewną umowę.

– Zawsze możesz zmienić zdanie.

– Ale nie zmienię.

– Twoja odmowa zalatuje hipokryzją, kotku. Już raz cię posiadłem. Naprawdę twoja cnota poniesie uszczerbek, jeśli to powtórzymy?

– Nie odmawiam ci ze względu na cnotę. – Jąkanie ustąpiło, najwyraźniej odzyskała grunt pod nogami. – Mam zupełnie inny powód.

– Nie posiadam się z ciekawości, żeby go poznać.

– Własne bezpieczeństwo. – Evie z wyraźnym trudem podniosła wzrok. Wytrzymała jego spojrzenie. – Nie mam nic przeciwko temu, żebyś sobie znajdował kochanki. Po prostu nie chcę być jedną z nich. Cielesne zbliżenie nic dla ciebie nie znaczy, ale dla mnie owszem, nie chcę zostać przez ciebie zraniona, a myślę, że to by nieuchronnie nastąpiło, gdybym się zgodziła nadal z tobą sypiać.

Sebastian starał się zachować pozory opanowania, ale w środku aż kipiał od żądzy zaprawionej niechęcią.

– Nie będę przepraszał za swoją przeszłość. Od mężczyzny oczekuje się doświadczenia w tej kwestii.

– Wszystko wskazuje na to, że swoim mógłbyś obdzielić dziesięciu mężczyzn.

– Dlaczego miałoby ci to przeszkadzać?

– Ponieważ twoje… romantyczne podejście, nazywając rzecz oględnie, przywodzi mi na myśl psa, który zachodzi tylnymi drzwiami do każdego domu na ulicy i z każdego progu zbiera ochłapy. Nie chcę czekać za jednymi z tych drzwi. Dowiodłeś, że nie potrafisz być wierny jednej kobiecie.

– To, że nigdy nie próbowałem, nie znaczy, że nie potrafię, wyniosła suko! To znaczy jedynie, że nie chciałem.

Na słowo „suko” Evie zesztywniała.

– Wolałabym, żebyś się nie posługiwał tak plugawym językiem.

– Określenie wydało mi się stosowne, zważywszy na porównanie do psa – odburknął Sebastian. – Które nawiasem mówiąc, w moim przypadku jest nietrafione, ponieważ to kobiety mnie proszą, a nie odwrotnie.

– Zatem powinieneś się udać do jednej z nich.

– I owszem, pójdę – rzucił ze złością. – Po powrocie do Londynu zamierzam się oddawać orgiastycznym hulankom, dopóki kogoś nie aresztują. Tymczasem… naprawdę oczekujesz, że będziemy spać w jednym łóżku dziś w nocy… i jutro niewinnie jak dwie zakonnice na wakacjach?

– Mnie nie sprawi to żadnej trudności – oznajmiła Evie ostrożnie, świadoma, że pozwala sobie na najgorszą obelgę.

Aż dziw, że spojrzenie Sebastiana nie wypaliło dziury w pościeli. Wyrzucając z siebie wiązankę słów, które bez wątpienia mieściły się na liście plugawych, ściągnął z bioder ręcznik i poszedł do lampy, żeby ją zgasić. Widząc, że Evie stara się omijać wzrokiem jego wzwiedziony organ, zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem.

– Nie myśl o tym – powiedział, kładąc się do łóżka. – Od tej pory twoja obecność w pobliżu będzie oddziaływać na moją męskość tak jak długa kąpiel w syberyjskim jeziorze.

ROZDZIAŁ 7

Podczas drogi powrotnej do Londynu pogoda się poprawiła i deszcz w końcu przestał padać. Jednak wyższa temperatura na zewnątrz nie zdołała ocieplić lodowatej atmosfery panującej między świeżo poślubionymi małżonkami. Sebastian wprawdzie nadal dbał o napełnianie wrzątkiem ogrzewacza do stóp, ale nie zachęcał już Evie, by się zdrzemnęła na jego ramieniu czy piersi. Wiedziała, że tak jest dobrze. Im lepiej go poznawała, tym mocniej się utwierdzała w przekonaniu, że wszelka bliskość między nimi prowadziłaby do katastrofy. Był dla niej niebezpieczny ze względów, o których nawet nie miał pojęcia.

Czerpała otuchę ze świadomości, że gdy tylko dojadą do stolicy, nie będą musieli znosić nawzajem swojego towarzystwa. Ona zamieszka w klubie, a on wróci do swojego domu i będzie żył jak dawniej, dopóki nie otrzyma wiadomości o śmierci jej ojca. Wtedy prawdopodobnie zechce sprzedać klub i wykorzystać dochód wraz z resztą jej dziedzictwa do napełnienia pustego skarbca rodowego.

Myśl o pozbyciu się miejsca, które stanowiło sens życia jej ojca, wprawiła Evie w melancholię. Takie rozwiązanie wydawało się jednak najrozsądniejsze. Niewiele osób potrafiło z sukcesem prowadzić klub hazardowy. Właściciel takiego przybytku musiał mieć dar przyciągania ludzi oraz dość sprytu, żeby ich nakłonić do wydawania dużych pieniędzy. Nie wspominając już o umiejętności korzystnego inwestowania zysków.

Ivo Jenner w dwie pierwsze cechy był wyposażony w stopniu umiarkowanym, trzeciej nie miał w ogóle. W ostatnich latach przegrał fortunę w Newmarket, jako że na starość stał się podatny na wpływy rozmaitych łotrów zaludniających świat wyścigów konnych. Na szczęście klub generował tak potężne dochody, że udało się odrobić straty.

Złośliwa uwaga Sebastiana, jakoby klub Jennera był podrzędną jaskinią hazardu, tylko po części oddawała prawdę. Z dawnych rozmów z ojcem, który nigdy nie przebierał w słowach, Evie wiedziała, że choć odnosił niezaprzeczalne sukcesy, nigdy nie wzniósł się na wyżyny, do których aspirował. Chciał dorównać Cravenowi, którego klub spłonął przed laty. Jednak Ivo Jennerowi daleko było do przebiegłości Dereka Cravena, nie miał też jego smykałki do interesów. Mówiło się, że Craven zgarnął pieniądze całego pokolenia Anglików. A to, że jego

klub zniknął w momencie największego rozkwitu działalności, tylko ugruntowało jego legendę w zbiorowej pamięci brytyjskiej socjety.

Jenner nawet się nie zbliżył do chwały Cravena bynajmniej nie dlatego, że się nie starał. Przeniósł swój klub z Covent Garden na King Street, która kiedyś była jedynie przejściem do modnych sklepów i rezydencji przy St. James, a obecnie stała się znaną ulicą. Jenner kupił tam spory kawałek gruntu, wyburzył cztery budynki, wybudował wielki, elegancki klub i reklamował go jako mający największy bank w Londynie. Kiedy panowie chcieli grać ostro, szli do Jennera.

Evie pamiętała klub z dzieciństwa, z całodziennych wizyt u ojca. Wnętrze było urządzone bogato, choć może trochę zbyt wymyślnie; uwielbiała stać z ojcem na wewnętrznym balkonie na drugim piętrze i obserwować, co się dzieje na głównym poziomie. Uśmiechając się pobłażliwie, Jenner prowadził córkę na St. James Street, gdzie wstępowali do każdego sklepu, który życzyła sobie odwiedzić. Bywali w perfumerii, u kapelusznika, w księgarni i wreszcie w cukierni, gdzie Evie dostawała słodką bułeczkę, tak świeżą, że lukier jeszcze się lepił na ciepłej skórce.

Z biegiem lat wizyty Evie w klubie na King Street zostały ukrócone. Choć zawsze winiła Maybricków, teraz zdała sobie sprawę, że ojciec także ponosił za to odpowiedzialność. Jennerowi znacznie łatwiej przychodziło kochać dziecko, które mógł podrzucać w powietrze i łapać, popiskujące z zachwytu, w mocne ramiona. Mierzwił jej rude włosy, identyczne w odcieniu jak jego własne, i pocieszał przy rozstaniu, wciskając w rączkę cukierka albo szylinga. Jednak kiedy wyrosła na młodą kobietę i nie mógł już traktować jej jak małej dziewczynki, ich stosunki stały się mniej swobodne.

„Ten klub nie jest odpowiednim miejscem dla ciebie, złotko", oznajmił któregoś dnia z szorstką czułością. „Powinnaś się trzymać z daleka od takiego typa jak ja i znaleźć sobie jakiegoś bogatego frajera na męża". „P-papo, nie odsyłaj mnie", błagała, zacinając się rozpaczliwie. „P-proszę, proszę, p-pozwól mi z tobą zostać". Ale ojciec był nieprzejednany. „Twoje miejsce jest u Maybricków. I nie ma co stamtąd uciekać i wracać tutaj, bo i tak odeślę cię z powrotem". Jej łzy nie robiły na nim wrażenia.

W następnych latach wizyty Evie w klubie ojca zostały ograniczone do dwóch rocznie, a i to nie zawsze. Niezależnie od tego, czy tak było dla niej lepiej, poczucie odrzucenia odcisnęło na niej głębokie piętno. Stała się tak bardzo niepewna siebie w obecności mężczyzn, tak głęboko przekonana, że ich nudzi, że w końcu to przekonanie stało się samospełniającą się przepowiednią. Jąkanie się nasiliło, im bardziej się starała wydobyć z siebie słowa, tym gorzej brzmiała jej wypowiedź, aż w końcu uznała, że łatwiej jest milczeć i wtapiać się w otoczenie. Opanowała tę sztukę do perfekcji. Nigdy nie proszono jej do tańca, nie całowano, nie zagadywano ani nie zalecano się do niej. Jedyną propozycją matrymonialną, jaką otrzymała, były wymuszone oświadczyny kuzyna Eustace'a.

Rozmyślając o odmianie swego losu, Evie spojrzała na męża, który od dwóch godzin siedział zamyślony i w ogóle się nie odzywał. Z chłodem w oczach i cynicznym uśmieszkiem zupełnie nie przypominał uwodzicielskiego hultaja, z którym zaledwie przed dwoma dniami dzieliła łoże.

Skupiła uwagę na londyńskim krajobrazie za oknem powozu. Dzieliła ich niewielka odległość od klubu i wkrótce miała zobaczyć ojca. Nie widziała go od pół roku, była pewna, że bardzo się zmienił. Suchoty należały do powszechnych chorób i wszyscy wiedzieli, jak wielkie spustoszenie sieją w organizmie. Oznaczały powolne obumieranie tkanki płucnej, któremu towarzyszyły gorączka, kaszel, utrata wagi i obfite nocne pocenie. Śmierć zwykle stanowiła wybawienie dla samej ofiary i jej bliskich, jako że kładła kres okrutnym cierpieniom.

Evie nie umiała sobie wyobrazić swojego zażywnego ojca w takiej kondycji. Bardzo chciała się nim opiekować i jednocześnie bała się tego spotkania. Zachowywała jednak milczenie, podejrzewając, że Sebastian tylko by z niej drwił, gdyby mu się zwierzyła ze swych lęków.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy powóz skręcił z St. James w King Street. Jej oczom ukazała się długa ceglano-marmurowa fasada klubu Jennera; masywna sylwetka budynku odcinała się wyraźnie na tle żółto-czerwonego zachodu słońca przedzierającego się przez londyńską mgłę. Evie westchnęła ciężko, kiedy wjechali w jedną z wielu alejek prowadzących od głównego traktu do placów na tyłach zabudowań.

Powóz zatrzymał się przed tylnymi drzwiami. Damy raczej nie bywały w klubie. Gość mógł przyprowadzić kochankę czy nawet prostytutkę, która zdobyła jego przelotne zainteresowanie, ale nigdy by mu nie przyszło do głowy zabierać tam porządnej kobiety. Evie miała świadomość, że Sebastian przygląda się jej z chłodnym zaciekawieniem entomologa obserwującego odkryty właśnie gatunek żuka. Musiał zauważyć jej nagłą bladość i drżenie, ale nie próbował dodać jej otuchy słowem czy gestem.

Wysiadł jako pierwszy, po czym chwycił ją w talii i pomógł jej stanąć na ziemi. Uliczka miała dokładnie taki sam zapach, jaki Evie zapamiętała z dzieciństwa – końskiego nawozu, śmieci, mocnych trunków i węglowego dymu. Bez wątpienia była jedyną młodą kobietą w Londynie należącą do uprzywilejowanej warstwy społecznej, której ten zapach kojarzył się z domem. W każdym razie wydawał się jej przyjemniejszy od atmosfery w rezydencji Maybricków, cuchnącej sparciałymi dywanami i kiepską wodą kolońską.

Starając się przezwyciężyć ból mięśni zastałych od długiej podróży, Evie podeszła do drzwi. Wejścia do kuchni i innych pomieszczeń służbowych znajdowały się nieco dalej, a to otwierało się na klatkę schodową prowadzącą do mieszkania ojca. Woźnica wezwał pracowników klubu, uderzając kilka razy w drzwi pięścią, po czym odsunął się na bok.

Otworzył młody mężczyzna; Evie ucieszyła się na widok znajomej twarzy. Stał przed nią Joss Bullard, postać od dawna związana z klubem; zajmował się ściąganiem długów, był też kimś w rodzaju odźwiernego. Miał potężną sylwetkę, ciemne włosy i jajowatą głowę z mocno zarysowaną szczęką. Gburowaty z natury, okazywał Evie absolutne minimum uprzejmości podczas jej wizyt w klubie. Słyszała jednak, jak ojciec chwalił go za lojalność, i była mu za nią wdzięczna.

– Panie Bullard, p-przyjechałam odwiedzić ojca. P-proszę mnie wpuścić.

Młody osiłek nawet nie drgnął.

– Nie wzywał pani – rzucił burkliwie. Przyjrzał się Sebastianowi, otaksował wzrokiem jego drogie ubranie. – Proszę wejść od frontu, sir, jeśli jest pan członkiem klubu.

– Idiota – mruknął Sebastian. Zanim zdążył cokolwiek dodać, Evie odezwała się pośpiesznie:

– Czy pan Egan jest może o-obecny w tej chwili? – spytała o człowieka, który pracował dla Jennera od dziesięciu lat. Nie przepadała za Eganem, który lubił się przechwalać i dużo mówił, ale zakładała, że nie śmiałby jej odmówić dostępu do ojca.

– Nie.

– To może pan Rohan? Proszę mu przekazać, że przyszła p-panna Jenner.

– Już mówiłem…

– Sprowadź Rohana – warknął Sebastian i wetknął stopę w drzwi, żeby nie dało się ich zamknąć. – Zaczekamy w środku. Moja żona nie będzie wystawać na ulicy.

Wyraźnie zdeprymowany Bullard zamruczał coś pod nosem i szybko się oddalił.

Sebastian pomógł Evie przekroczyć próg. Potem spojrzał na schody.

– Powinniśmy wejść na górę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wolałabym najpierw porozmawiać z Rohanem. Z pewnością będzie mógł mi coś powiedzieć na temat k-kondycji ojca.

Słysząc jąkanie, Sebastian położył Evie rękę na karku, pod burzą zmierzwionych włosów, i delikatnie ją uścisnął. Wprawdzie jego twarz zachowała chłodny wyraz, ale dłoń promieniowała kojącym ciepłem. Evie poczuła się trochę lepiej.

– Kim jest Rohan?

– Jednym z krupierów. Pracuje tu od czasu, gdy był dzieckiem. Zaczynał jako goniec. Zapamiętałbyś Rohana, gdybyś go wcześniej widział. Raczej trudno go przeoczyć.

Sebastian przemyślał jej uwagę, po czym mruknął:

– To ten Cygan?

– Jest w połowie Cyganem, chyba po matce.

– A druga połowa?

– Tego nikt nie wie. – Popatrzyła na Sebastiana z ukosa, po czym dodała cicho: — Zawsze się zastanawiałam, czy może być moim przyrodnim bratem.

W bladych oczach Sebastiana pokazał się błysk zainteresowania.

– Pytałaś o to ojca?

– Owszem. Zaprzeczył. – Evie jednak nigdy do końca nie dała się przekonać. Ivo Jenner zawsze traktował Cama trochę po ojcowsku. A Evie nie była aż tak naiwna, by wierzyć, że nie zdarzyło mu się spłodzić jakichś nieślubnych dzieci. Słynął z dużego apetytu na cielesne uciechy, a poza tym nie miał zwyczaju przejmować się konsekwencjami swoich czynów. Ciekawa, czy to samo można by powiedzieć o jej mężu, spytała niepewnie: — Sebastianie, czy kiedyś…

– Nic mi o tym nie wiadomo – zapewnił, natychmiast odgadując, o co jej

chodzi. – Zawsze starałem się używać zabezpieczenia. Nie tylko po to, by zapobiec poczęciu, ale też by uniknąć egzotycznych chorób, które się przytrafiają nieostrożnym.

– Zabezpieczenia – powtórzyła cicho Evie, trochę skołowana. – Jakiego? I jakie choroby masz na myśli? Chcesz powiedzieć, że robiąc… to… można zachorować? Ale jak…

– Dobry Boże – westchnął Sebastian i dotknął jej ust, żeby powstrzymać dalsze pytania. – Wyjaśnię ci to później. O takich rzeczach nie rozmawia się na progu.

W tym momencie pojawił się przed nimi Cam Rohan. Na widok Evie słaby uśmiech uniósł mu kąciki ust. Skłonił się uprzejmie. Nawet kiedy zachowywał powściągliwość, emanował jakimś nieuchwytnym urokiem, fizyczną charyzmą. Z całą pewnością był najlepszym krupierem Jennera, choć jego niepozorna postura wcale tego nie zapowiadała. Miał około dwudziestu pięciu lat i cechowała go młodzieńcza zwinność. Pochodzenie zdradzały oliwkowy odcień skóry i kruczoczarne włosy, nie mówiąc już o imieniu, bardzo popularnym wśród Romów. Evie zawsze lubiła tego małomównego młodego człowieka, który przez lata wiele razy dowodził swej wyjątkowej lojalności wobec jej ojca.

Cam miał na sobie eleganckie ciemne ubranie i wyglansowane buty, ale jego włosy jak zwykle wymagały przycięcia, gęste czarne loki opadały na śnieżnobiały wykrochmalony kołnierzyk koszuli. Długie, smukłe palce zdobiło kilka złotych pierścionków. Kiedy uniósł głowę, Evie dostrzegła błysk brylantowego kolczyka w jednym uchu, element egzotyki, który do niego pasował. Cam patrzył na nią swymi niezwykłymi piwnymi oczami, które często działały na ludzi hipnotyzująco i zapominali, że kryje się za nimi giętki umysł. Czasami miał spojrzenie tak przenikliwe, jakby przeszywał nim człowieka na wskroś i oglądał coś za jego plecami.

– *Gadji* – odezwał się, używając przyjaznego romskiego określenia na kobietę niebędącą Cyganką. Mówił z dziwnym akcentem, ślad pewnej ogłady z domieszką londyńskiej gwary i intonacją jakby zapożyczoną z obcego języka dawał niezwykły efekt. – Witamy – powiedział z krótkim, lecz olśniewającym uśmiechem. – Twój ojciec się ucieszy.

– Dziękuję, Cam. B-bałam się, że…

– Nie – odparł już z poważną miną. – Nadal żyje. – Po momencie wahania dodał: — Przez większość czasu śpi. Nie chce jeść. Nie sądzę, żeby to długo potrwało. Pytał o ciebie. Próbowałem cię sprowadzić, ale…

– Maybrickowie by na to nie pozwolili – przerwała mu Evie prawie szeptem. Wezbrała w niej złość, nawet nie wspomnieli, że ojciec chce ją widzieć. A Joss Bullard przed chwilą ją okłamał. – Uwolniłam się od nich na d-dobre, Cam. Wyszłam za mąż. I zostanę tu, dopóki mój ojciec… będzie mnie p-potrzebował.

Cam przeniósł wzrok na Sebastiana.

– Lord St. Vincent – mruknął, rozpoznawszy go bez trudu. Jeśli miał zdanie na temat związku Evie z tego rodzaju człowiekiem, zachował je dla siebie.

Evie dotknęła jego rękawa.

– Czy ojciec teraz śpi? – spytała z niepokojem. – Mogę go zobaczyć?

– Oczywiście. – Cygan ujął obie jej dłonie i lekko uścisnął. Złote pierścionki na

jego palcach były ciepłe. – Dopilnuję, żeby nikt wam nie przeszkadzał.

– Dziękuję.

Sebastian wszedł między nich, chwycił jedną rękę Evie i ułożył sobie na ramieniu. Zachowywał się, jakby nie zaszło nic szczególnego, ale Evie czuła, że trzyma ją mocno, by nie próbowała się wyrywać.

Zaskoczona tym pokazem zaborczości, ściągnęła brwi.

– Znam Cama od dziecka – wyjaśniła z naciskiem. – Zawsze był dla mnie dobry.

– Każdy mąż lubi słyszeć o dobroci wyświadczanej jego żonie – oznajmił chłodno Sebastian. – W pewnych granicach, ma się rozumieć.

– Ma się rozumieć – powtórzył cicho Cam i ponownie skupił uwagę na Evie. – Mam cię zaprowadzić na górę, milady?

Pokręciła głową.

– Nie. Znam drogę. P-proszę, wracaj do swoich zajęć.

Cam znów się skłonił i wymienił z Evie szybkie spojrzenie, którym obiecali sobie nawzajem, że później znajdą okazję, by porozmawiać.

– Nie lubisz go, bo jest Romem? – Evie zwróciła się do męża, kiedy już wchodzili na schody.

– Rzadko nie lubię ludzi za coś, czego nie mogą zmienić – odparł ironicznym tonem Sebastian. – Zwykle dają mi ku temu dość innych powodów.

Puściła jego ramię, żeby unieść brzeg sukni.

– Zastanawiam się, gdzie jest zaufany człowiek Jennera. – Sebastian przyłożył dłoń do pleców Evie. – Już prawie wieczór. Sala gier i jadalnia są otwarte… powinien być zajęty.

– Pije – odpowiedziała Evie.

– To tłumaczy sposób zarządzania tym interesem.

Wrażliwa na każdą krytyczną uwagę dotyczącą klubu ojca, a do tego czując lekki nacisk ręki na plecach, Evie musiała ugryźć się w język, żeby powstrzymać ciętą ripostę. Jakże łatwo przychodziło arystokratycznemu próżniakowi krytykowanie działań ludzi, którzy musieli na siebie zarabiać. Gdyby sam musiał kierować tego rodzaju miejscem, Boże uchowaj, pewnie miałby więcej szacunku do osiągnięć jej ojca.

Weszli na drugie piętro i ruszyli galerią biegnącą w koło. Wystarczyło wyjrzeć przez balustradę, by widzieć wszystko, co się dzieje na dole. Główne pomieszczenie na pierwszym piętrze, największe w klubie, było w całości przeznaczone na gry hazardowe. Trzy owalne stoły pokryte zielonym suknem, z żółtymi znaczeniami, otaczał tłum mężczyzn. Evie pamiętała z dzieciństwa odgłosy, które docierały na górę: bezustanne grzechotanie kości, ciche, lecz wyraźne głosy krupierów, szuranie małych drewnianych grabek przeciągających po blacie pieniądze. Spojrzała na wspaniałe rzeźbione biurko w rogu pomieszczenia, gdzie zwykle siedział jej ojciec, zatwierdzał pożyczki, przyznawał czasowe członkostwo, czuwał nad stanem banku, kiedy stawki szły zbyt wysoko. W tym momencie miejsce przy biurku zajmował człowiek o podejrzanej aparycji, zupełnie jej nieznany. Spojrzała w przeciwny róg, gdzie inny obcy mężczyzna pełnił funkcję szefa sali, regulował płatności i kontrolował tempo gry.

Sebastian stanął przy balustradzie i z dziwnie napiętą miną spoglądał na salę gier. Evie niecierpliwie pociągnęła go za rękaw, chciała jak najszybciej zobaczyć ojca. Sebastian jednak nawet nie drgnął — więcej, jakby jej nie zauważał, tak dalece skupiony na tym, co się dzieje na dole.

– O co chodzi? – spytała Evie. – Widzisz coś niezwykłego? Coś jest nie tak?

Sebastian wolno pokręcił głową, a potem rozejrzał się wokół, po wyblakłej malowanej boazerii, wyszczerbionych gzymsach, przetartych chodnikach. Klub Jennera kiedyś szczycił się bogatym wystrojem, lecz z biegiem lat stracił wiele ze swego splendoru.

– Ilu klub ma członków? – spytał. – Nie licząc tymczasowych.

– Kiedyś było ich około dwóch tysięcy – odparła Evie. – Obecnej liczby nie znam. – Jeszcze raz pociągnęła go za rękaw. – Chcę zobaczyć ojca. Jeśli mam iść sama…

– Nigdzie nie będziesz chodzić sama – oznajmił Sebastian, nagle okazując jej zainteresowanie, które mocno ją zdumiało. Patrzył na nią oczami, które przypominały wypolerowane kamienie księżycowe. – Jakiś pijak czy choćby któryś z pracowników mógłby cię wciągnąć do pustego pokoju i zgwałcić, nim ktokolwiek by zauważył, że zniknęłaś.

– Jestem tu całkowicie bezpieczna – odpowiedziała ze złością. – Wielu pracowników znam osobiście, a w układzie klubowych pomieszczeń orientuję się lepiej od ciebie.

– Na razie – mruknął Sebastian, powracając wzrokiem do głównej sali. – Mam zamiar obejrzeć to miejsce bardzo dokładnie. I poznać wszystkie jego tajemnice.

Zaskoczona tą deklaracją, Evie przyjrzała mu się ze zdumieniem. Uświadomiła sobie, że od momentu wejścia do klubu w zachowaniu jej męża zaszła dziwna zmiana, ale nie potrafiła odgadnąć, co ją spowodowało. Typowy dla Sebastiana nonszalancki sposób bycia zastąpiło nagłe ożywienie, jakby chłonął niespokojną atmosferę tego miejsca.

– Gapisz się, jakbyś nigdy wcześniej tego nie widział – mruknęła z irytacją.

Przejechał ręką po balustradzie, po czym starł smugę kurzu, która została mu na dłoni.

– Teraz, kiedy należy do mnie, wygląda inaczej – stwierdził tonem bardziej refleksyjnym niż krytycznym.

– Jeszcze do ciebie nie należy – przypomniała mu szorstko Evie; podejrzewała, że jej mąż szacuje wartość obiektu przed zamierzoną sprzedażą. Z typową dla siebie bezdusznością myślał o pieniądzach, podczas gdy jej ojciec spoczywał na łożu śmierci. – Zdarza ci się w ogóle myśleć o kimś poza samym sobą?

Pytanie wyrwało go z zadumy, ale zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Rzadko, kochanie.

Patrzyli sobie w oczy — Evie oskarżycielsko, Sebastian z trudnym do rozszyfrowania wyrazem. Zrozumiała, że oczekując od niego jakiejkolwiek przyzwoitości, naraża się na przeżywanie wciąż od nowa gorzkiego rozczarowania, że nie zdoła naprawić jego zrujnowanej duszy swoją dobrocią i wyrozumiałością. I że Sebastian nigdy nie będzie nawróconym rozpustnikiem, jacy występowali w romantycznych powieściach czytanych przez Daisy Bowman.

– Spodziewam się, że już wkrótce dostaniesz wszystko, czego chcesz – oznajmiła chłodno. – Na razie idę do pokoju ojca. – Ruszyła przed siebie, ale Sebastian dogonił ją w kilku długich krokach.

Zanim dotarli do prywatnych pomieszczeń zajmowanych przez Ivo Jennera, Evie słyszała w uszach przyśpieszone pulsowanie krwi. Ze strachu i tęsknoty pociły jej się dłonie, a żołądek kurczył w twardą kulę. Sięgnęła do klamki, lecz jej wilgotne palce ześliznęły się z gładkiego metalu.

– Pozwól… – Sebastian odsunął jej rękę, sam otworzył drzwi i przytrzymał, a następnie wszedł za nią do ciemnego salonu.

Jedyne światło dochodziło z otwartej sypialni, gdzie niewielka lampa mżyła mdłą poświatą. Evie przestąpiła kolejny próg i zamrugała, próbując oswoić wzrok z półmrokiem. Ledwie pamiętając o obecności męża, podeszła do łóżka.

Ojciec spał. Usta miał lekko rozchylone, skórę bladą i nienaturalnie przejrzystą, jakby był woskową figurą. Głębokie zmarszczki żłobiły jego twarz, pocięte nimi policzki przypominały okiennice. Evie miała wrażenie, że jest o połowę mniejszy niż kiedyś, z zadziwiająco cienkimi ramionami i zapadłą piersią. Próbowała ujrzeć w obcej, niepozornej postaci na łóżku potężnego mężczyznę, którego znała jako swego ojca. Żal ścisnął jej serce na widok jego rudych włosów, obecnie gęsto poprzetykanych siwizną; miejscami sterczały niczym pióra nastroszonego pisklęcia.

W pokoju unosił się zapach wypalonych świec, leków i niemytej skóry. Zapach choroby i nadchodzącej śmierci. W kącie dostrzegła stertę używanej pościeli i zmięte chusteczki poplamione krwią. Na stoliku przy łóżku między szklanymi buteleczkami leków walały się brudne łyżeczki. Evie schyliła się, żeby pozbierać rzeczy z podłogi, ale Sebastian przytrzymał ją za rękę.

– Nie musisz tego robić – mruknął. – Któraś ze służących może się tym zająć.

– Owszem – szepnęła Evie z goryczą. – Właśnie widzę, jak bardzo się starają. – Szarpnięciem wyswobodziła ramię z uścisku, pozbierała zakrwawione chusteczki i rzuciła je na stos brudnej bielizny.

Sebastian zbliżył się do łóżka i popatrzył na wymizerowaną postać Jennera. Następnie, obejrzawszy dokładnie jedną z buteleczek, stwierdził:

– Morfina.

Z jakiegoś powodu to, że stoi nad jej bezradnym ojcem i sprawdza jego leki, wyprowadziło Evie z równowagi.

– Panuję nad sytuacją – odezwała się cicho. – Wolałabym, żebyś sobie poszedł.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zamierzam posprzątać ten pokój i zmienić pościel. A potem zamierzam siedzieć przy moim ojcu.

Sebastian zmrużył oczy.

– Daj biedakowi spać. Powinnaś coś zjeść i przebrać się po podróży. Jak sądzisz, co mu przyjdzie z tego, że będziesz siedzieć tu po ciemku i… – urwał i zaklął pod nosem na widok jej miny, wyrażającej nieprzejednany upór. – Świetnie. Dam ci godzinę, a potem razem coś zjemy.

– Mam zamiar zostać przy ojcu — powtórzyła.

– Evie… – zaczął głosem, który brzmiał łagodnie, ale zawierał w sobie

stanowcze ostrzeżenie. Podszedł do niej, obrócił ją twarzą do siebie i potrząsnął, zmuszając, by na niego spojrzała. – Kiedy po ciebie poślę, przyjdziesz. Zrozumiano?

Evie aż zatrzęsła się ze złości. Wydawał jej polecenia, jakby była jego własnością. Dobry Boże, przez całe dotychczasowe życie musiała słuchać rozkazów swoich ciotek i wujów, a teraz miała się podporządkować mężowi?

Jednak musiała przyznać, że Sebastian raczej nie przypominał Maybricków i Stubbinsów, którzy uprzykrzali jej życie. Poza tym w żądaniu, by zjadła z nim posiłek, trudno było się doszukać złośliwości czy okrucieństwa. Przełykając gniew, skinęła głową. Sebastian patrzył na jej ściągnięte rysy z dziwnym wyrazem oczu, Evie dostrzegła w nich błyski podobne do iskier, jakie kowalski młot wydobywa z rozgrzanego do czerwoności metalu.

– Grzeczna dziewczynka – mruknął z kpiącym uśmieszkiem i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ 8

Sebastian przez chwilę walczył z chęcią zostawienia Evie w klubie i udania się do własnego domu, położonego w odległości krótkiego spaceru od St. James. Spokojne domowe pielesze z nowoczesną kanalizacją i dobrze zaopatrzoną spiżarnią stanowiły pokusę, której doprawdy trudno było się oprzeć. Chciał jeść przy własnym stole, odpoczywać przy kominku w jednym ze swoich podbitych aksamitem jedwabnych szlafroków wyjętych z szafy w sypialni. Do diabła z upartą żoną, mogła sama podejmować decyzje i uczyć się ponosić ich konsekwencje.

Jednak kiedy dyskretnie obszedł galerię na piętrze, uważając, żeby go nie dostrzeżono z dołu, ogarnęła go ciekawość, której nie potrafił w sobie stłumić. Z rękami w kieszeniach surduta oparł się o kolumnę. Obserwował krupierów przy pracy, widział też wysiłek szefa sali, który nadzorował grę i pilnował, by toczyła się w zadowalającym tempie. Atmosfera przy wszystkich trzech stołach wydała mu się trochę niemrawa. Uważał, że ktoś powinien ją ożywić, zachęcając gości do śmielszych stawek.

Niechlujne dziewczyny zatrudniane przez klub snuły się leniwie po sali, zagadując mężczyzn. Ich towarzystwo było dla członków klubu darmowe, podobnie jak posiłki serwowane w bufecie w jadalni i kawa w osobnym pokoju. Niezależnie od tego, czy chodziło o pocieszanie czy o świętowanie, panowie zabierali je do pokoi na górze, przeznaczonych specjalnie do tego celu.

Schodząc na sam dół, gdzie znajdowały się pokoje karciane i kawowy, Sebastian rozglądał się uważnie. Dostrzegał drobne, lecz liczne znaki świadczące o tym, że interes podupada. Domyślił się, że kiedy Jenner zachorował, nie zdążył ustanowić na swoje miejsce godnego zastępcy. Jego totumfacki Clive Egan był albo nieudolny, albo nieuczciwy… albo jedno i drugie. Sebastian chciał obejrzeć księgi rachunkowe, rejestr wydatków i przychodów, zapisy finansowe dotyczące członków klubu, rachunki za czynsz, hipoteki, długi, pożyczki – wszystko, co składało się na obraz kondycji klubu.

Wchodząc z powrotem na schody, zobaczył Rohana – przybrawszy swobodną pozę, czekał w słabo oświetlonym kącie. Sebastian celowo zachował milczenie, zmuszając Cygana, żeby odezwał się pierwszy.

– Mogę w czymś pomóc, milordzie? – spytał Rohan z uprzedzającą

grzecznością, wytrzymując jego spojrzenie.

– Możemy zacząć od tego, że powiesz mi, gdzie jest Egan.

– W swoim pokoju, milordzie.

– W jakim stanie?

– Niedysponowany.

– Aha. Często bywa niedysponowany? — Rohan nie odpowiedział. Sebastian poznał po jego oczach, że próbuje ocenić sytuację. — Potrzebuję klucza do jego biura – dodał. – Chcę rzucić okiem na księgi rachunkowe.

– Jest tylko jeden klucz, milordzie – odparł Cygan. – I pan Egan zawsze trzyma go przy sobie.

– Zatem proszę mi go przynieść.

Rohan uniósł ciężkie czarne brwi.

– Mam obrabować człowieka, kiedy jest pijany?

– To o wiele łatwiejsze niż czekanie, aż wytrzeźwieje – odparł z ironią Sebastian. – I nie ma mowy o rabunku, skoro klucz, praktycznie rzecz biorąc, należy do mnie.

Twarz Rohana przybrała wyraz hardości.

– Jestem lojalny wobec pana Jennera. I wobec jego córki.

– Ja również – skłamał Sebastian. W istocie był lojalny głównie wobec siebie. Evie i jej ojciec zajmowali odpowiednio drugie i trzecie miejsce na liście. – Proszę przynieść mi klucz albo przygotować się na pójście w ślady Egana, kiedy rano będzie się stąd wynosił.

Powietrze niemal iskrzyło, naładowane męską wrogością. Po chwili Rohan spojrzał na Sebastiana z zaciekawieniem. Kiedy odchodził długimi, miękkimi krokami, kierowały nim nie posłuszeństwo czy bojaźń, tylko chęć przekonania się, co tak naprawdę zamierza zrobić St. Vincent.

Nim Sebastian wysłał Cama Rohana na górę, żeby przyprowadził Evie, zdążyła posprzątać pokój ojca i zapewnić sobie niechętną pomoc służącej przy ścieleniu łóżka. Pościel była wilgotna od potu. Chociaż ojciec poruszył się i coś mamrotał, kiedy ostrożnie przetaczały go na jeden bok, a potem na drugi, nie ocknął się z morfinowego letargu. Kościste ciało, ginące w fałdach nocnej koszuli, zaskoczyło Evie swą lekkością. Przepełniona litością i chęcią pomocy, naciągnęła świeżo obleczone przykrycie aż pod szyję chorego. Następnie zmoczyła ścierkę w chłodnej wodzie i położyła mu na czole. Westchnął i w końcu otworzył oczy; w pomarszczonej twarzy ukazały się błyszczące szparki. Przez dłuższą chwilę patrzył na córkę, jakby jej nie poznawał, a potem spękane wargi rozciągnęły się, ukazując zęby pożółkłe od nikotyny.

– Evie – zachrypiał.

Pochyliła się nad nim z uśmiechem, choć oczy ją piekły od wstrzymywanych łez.

– Jestem, papo – wyszeptała słowa, o których marzyła przez całe życie. – Jestem i nigdy więcej cię nie opuszczę.

Wydał z siebie pomruk zadowolenia i znów opuścił powieki. Kiedy Evie już

myślała, że zasnął, odezwał się z wysiłkiem:

– Gdzie pójdziemy najpierw, złotko? Może do cukierni…

Wyobrażał sobie, że przyszła do niego z jedną z wizyt z dzieciństwa.

– O, tak – odpowiedziała cicho. Szybko wytarła zwilgotniałe oczy. – Chcę bułeczkę z lukrem… i rożek z kruszonymi herbatnikami… A potem chcę tu wrócić i grać z tobą w kości.

Z obolałego gardła wydobył się najpierw chrapliwy śmiech, a potem kaszel.

– Pozwól tacie trochę się zdrzemnąć, zanim wyjdziemy… Dobra z ciebie dziewczyna…

– Tak, śpij. – Odwróciła kompres na jego czole na drugą stronę. – Mogę zaczekać, papo.

Patrząc, jak ponownie zapada w narkotyczne odrętwienie, przełknęła ostry ból dławiący ją w gardle i usiadła na krześle przy łóżku. Nie chciałaby teraz być w żadnym innym miejscu na świecie. Ramiona jej opadły, jakby była marionetką, której poluzowano sznurki. Po raz pierwszy czuła się potrzebna, jej obecność miała dla kogoś znaczenie. I choć martwił ją stan ojca, była wdzięczna, że może z nim być w ostatnich godzinach jego życia. Nie zostało im dość czasu, żeby się poznać, na zawsze mieli pozostać sobie obcy, ale to i tak było więcej, niż miała nadzieję otrzymać.

Z rozmyślań wyrwało ją pukanie we framugę. Podniosła wzrok i ujrzała Cama stojącego w progu. Ręce miał luźno splecione na piersi, postawa wyrażała udawaną swobodę. Evie uśmiechnęła się do niego z wysiłkiem.

– P-przypuszczam, że wysłał cię, żebyś mnie przyprowadził?

Rzecz jasna nie musiała precyzować, kogo ma na myśli.

– Chce, żebyś zjadła z nim w jednej z prywatnych jadalni.

Evie pokręciła głową, jej uśmiech stał się cierpki.

– Oczywiście. Już idę – mruknęła, parodiując posłuszną żonę. Wstając, poprawiła kołdrę na ramionach śpiącego ojca.

Cam nie odsunął się od drzwi, kiedy podeszła. Był wyższy od przeciętnego mężczyzny, ale nie aż tak wysoki, jak Sebastian.

– Jak to się stało, że wyszłaś za lorda St. Vincenta? – spytał. – Wiem o jego problemach finansowych. Ostatnim razem, kiedy tu był, niemal odmówiliśmy mu kredytu. Zwrócił się do ciebie z propozycją małżeńskiego układu?

– Skąd wiesz, że to nie małżeństwo z miłości? – odparowała Evie.

Poparzył na nią z kwaśną miną.

– St. Vincent kocha z wzajemnością tylko siebie samego.

Tym razem Evie z trudem powstrzymała prawdziwy uśmiech.

– Prawdę mówiąc, to ja p-poszłam do niego. Tylko w taki sposób mogłam na dobre uciec od Maybricków. – Spoważniała na wspomnienie swoich krewnych. – Byli tu po moim zniknięciu, Cam?

Skinął głową.

– Obaj wujowie. Musieliśmy im pozwolić na przeszukanie klubu, zanim uwierzyli, że się tu nie ukrywasz.

Evie wymruczała pod nosem przekleństwo zapożyczone od Daisy Bowman.

– Potem zapewne udali się do Huntów i Bowmanów. Wiadomość, że

zniknęłam, musiała zmartwić moje p-przyjaciółki. – W istocie gdyby się dowiedziały, co zrobiła, byłyby znacznie bardziej zmartwione. Odruchowo przygładziła włosy i skrzyżowała ramiona przed sobą. Postanowiła wysłać Annabelle i Daisy wiadomość, że jest cała i zdrowa. Lillian podróżowała po Europie, więc pewnie o niczym nie wiedziała. Zrobię to jutro, obiecała sobie w duchu. Następnego dnia miała się zmierzyć z reperkusjami swojej ucieczki, która wkrótce musiała wywołać skandal. Zastanawiała się, czy wystarczy jej odwagi, by wysłać kogoś do Maybricków po resztę jej rzeczy… i czy istnieje szansa, że pozwolą je zabrać. Prawdopodobnie znikoma. Należało dopisać kolejny punkt do ciągle wydłużanej listy spraw do załatwienia: potrzebowała sukni oraz butów i niezwłocznie musiała je obstalować. — Kiedy m-moi krewni odkryją, że tu jestem, przyjdą, żeby mnie zabrać z powrotem. Mogą próbować unieważnić małżeństwo. – Zrobiła pauzę, żeby uspokoić drżenie głosu. – Bardzo się boję, co ze mną będzie, jeśli mnie zmuszą, bym z nimi poszła.

– St. Vincent ich nie powstrzyma? — spytał Cam, kładąc dłoń na jej ramieniu. Gest był całkowicie niewinny, dodawał otuchy.

– Jeśli akurat będzie tu w tym czasie. Jeśli będzie trzeźwy. Jeśli zdoła. – Uśmiechnęła się smutno. – Dużo tych „jeśli".

– Ja tu będę – mruknął Cam. — Będę trzeźwy i zdołam. Dlaczego według ciebie St. Vincent miałby sobie nie poradzić?

– Zawarliśmy małżeństwo z rozsądku. Nie spodziewam się go często widywać, kiedy już otrzyma mój posag. Powiedział mi, że ma ciekawsze rzeczy do roboty, niż siedzieć w jakimś drugorzędnym klubie hazardowym i czekać na… na… – Z wahaniem obejrzała się na łóżko ojca.

– Może zmienić zdanie w tej kwestii – stwierdził z ironią Cam. – Kiedy dałem mu klucz do biura, powyciągał wszystkie księgi rachunkowe i zaczął je przeglądać strona po stronie. Zanim skończy, zdąży dokładnie przeczesać całą klubową księgowość.

Evie otworzyła szeroko oczy, zaskoczona wiadomością.

– Czego może szukać? – zadała pytanie bardziej sobie niż Camowi. Sebastian zachowywał się dziwnie. Nie miał powodu zagłębiać się tak pilnie w finansowe sprawozdania tuż po odbyciu długiej, męczącej podróży. Przecież z dnia na dzień nic nie mogło się zmienić. Pomyślała o jego nienaturalnym ożywieniu, kiedy obserwował z góry salę gier. Powiedział wówczas, że ma zamiar obejrzeć to miejsce bardzo dokładnie. I poznać wszystkie jego tajemnice. Jakby chodziło o coś więcej niż zwykły budynek z wyblakłymi dywanami i stołami do hazardu.

Nie wiedząc, co myśleć o postępowaniu Sebastiana, poszła z Camem ciągiem bocznych korytarzy, które stanowiły najkrótszą drogę do jadalni na parterze. Jak większość przybytków hazardu, klub Jennera także miał sekretne miejsca do ukrywania, obserwowania oraz szmuglowania ludzi i przedmiotów. Cam wprowadził ją do niewielkiego prywatnego pokoju. Przytrzymał drzwi i skinął głową, kiedy się odwróciła, żeby mu podziękować. Robiąc krok do środka, usłyszała cichy trzask zamykanych drzwi za plecami.

Sebastian siedział w głębokim fotelu, rozparty z miną Lucyfera zasiadającego na tronie, i pisał ołówkiem jakieś notatki na marginesie księgi rachunkowej. Stół

znajdujący się tuż obok nakryto talerzami przyniesionymi z bufetu w głównej jadalni.

Natychmiast oderwał wzrok od księgi, odłożył ją na bok, po czym wstał i odsunął krzesło dla Evie.

– Jak twój ojciec?

– Ocknął się tylko na moment – odpowiedziała, ważąc słowa. – Wydawało mu się, że znów jestem małą dziewczynką. – Widząc półmisek z kawałkami pieczonego drobiu i drugi ze szklarniowymi brzoskwiniami i winogronami, zaczęła się częstować. Ręce drżały jej z głodu i zmęczenia. Sebastian bez słowa pomógł jej przenieść kawałki mięsa na talerz, a następnie dołożył do nich jeszcze gotowane przepiórcze jajka, łyżkę purée z kabaczka, plaster sera, zimnego mięsa i ryby oraz kromkę białego chleba.

– Dziękuję. – Evie była tak wyczerpana, że prawie nie czuła smaku potraw. Podnosiła widelec do ust i przełykała jedzenie z zamkniętymi oczami. Gdy w końcu uniosła powieki, odkryła, że Sebastian ją obserwuje.

Wyglądał na równie zmęczonego jak ona, miał podkrążone oczy, a skóra na jego policzkach wydawała się dziwnie napięta i blada mimo lekkiej opalenizny. Szybko rosnący zarost od poprzedniego dnia zdążył przybrać formę złocistej szczeciny. Ta niechlujność w pewien sposób dodawała mu uroku, łagodziła wrażenie sterylnej perfekcji marmurowego dzieła sztuki.

– Nadal się upierasz, żeby tu zostać? – Zręcznie rozciął brzoskwinię i usunął pestkę, po czym podał Evie gotową do zjedzenia połówkę owocu.

– Owszem. – Odgryzła kawałek brzoskwini, cierpki sok spłynął jej po języku.

– Obawiałem się takiej odpowiedzi – przyznał. – Wiesz, że to błąd. Nie masz pojęcia, na co będziesz narażona. Sprośności i wulgarne komentarze, lubieżne spojrzenia, obmacywanie i podszczypywanie…

Evie nie wiedziała, jak ma przyjąć jego słowa – karcąco się skrzywić czy raczej uśmiechnąć.

– Poradzę sobie – stwierdziła krótko.

– Tego jestem pewien, kotku.

Przyjrzała mu się sponad uniesionego do ust kieliszka.

– Co jest w tej księdze?

– Lekcja kreatywnej księgowości. Chyba cię nie zdziwi wiadomość, że Egan podskubywał klubowe konta. Tu urwał trochę, tam trochę, niewielkie sumy, żeby kradzież przeszła niezauważona. Ale z czasem urosło całkiem sporo. Bóg jeden wie, od ilu lat to robił. Wszystkie księgi, które do tej pory przejrzałem, zawierają tego rodzaju nieścisłości.

– Skąd możesz wiedzieć, że te nieścisłości wprowadzono umyślnie?

– Pojawiają się według pewnego schematu. – Przerzucił kilka stron i podsunął jej otwartą księgę. – W zeszły wtorek klub uzyskał dochód około dwudziestu tysięcy funtów. Jeśli zestawisz liczby z wykazem pożyczek, depozytów i wydatków, zauważysz rozbieżności. – Evie powiodła wzrokiem za jego palcem wzdłuż zapisków na marginesie. – Widzisz? – mruknął. – Takie powinny być prawidłowe sumy. A on znacznie zaokrąglił wydatki. Weźmy na przykład cenę kości do gry. Nawet zakładając, że są używane tylko przez jeden wieczór i nigdy

potem, ich roczny koszt według Rohana nie powinien przekraczać dwóch tysięcy funtów. – Używanie co wieczór nowego zestawu pozwalało uniknąć ewentualnych podejrzeń, że mogą być specjalnie obciążone.

– Ale tu jest napisane, że na kości wydano prawie trzy tysiące – przeczytała Evie.

– No właśnie – rzucił triumfalnie Sebastian, odchylając się na oparcie fotela. – Dokładnie tak samo oszukiwałem ojca za młodu, kiedy potrzebowałem więcej gotówki, niż był skłonny mi dać w ramach kieszonkowego.

– Na co była ci potrzebna? – Evie nie potrafiła sobie odmówić tego pytania.

– Obawiam się, że wyjaśnienie tej kwestii musiałoby zawierać określenia, które zdecydowanie nie przypadłyby ci do gustu – odparł z cynicznym uśmieszkiem.

Nabiła na widelec przepiórcze jajo.

– Co należy zrobić z panem Eganem? – spytała po przełknięciu smakowitego kęsa.

Sebastian wzruszył ramionami.

– Jak tylko wytrzeźwieje na tyle, by się poruszać o własnych siłach, zostanie zwolniony.

Evie odgarnęła z policzka niesforny rudy kosmyk.

– Nie ma kto go zastąpić.

– Przeciwnie. Do czasu znalezienia odpowiedniego menedżera ja poprowadzę klub.

Miała wrażenie, że przepiórcze jajo stanęło jej w gardle. Zakaszlała i szybko sięgnęła po kieliszek z winem. Skąd Sebastianowi przyszło do głowy coś tak niedorzecznego?

– To niemożliwe – odezwała się, patrząc na niego ze zdumieniem.

– Gorszy od Egana raczej nie będę. Od miesięcy nie zrobił nic sensownego. Wkrótce cały ten klub popadłby w ruinę na twoich oczach.

– Mówiłeś, że nienawidzisz pracy!

– Owszem. Czuję jednak, że powinienem spróbować przynajmniej raz, choćby po to, żeby się upewnić.

– P-przez parę dni będzie cię to bawić, a p-potem zacznie męczyć. – Niepokój spowodował nawrót jąkania.

– Nie mogę sobie pozwolić na zmęczenie, skarbie. Klub wprawdzie nadal przynosi dochody, ale jego wartość maleje. Twój ojciec udzielił sporo znacznych pożyczek, które muszą zostać uregulowane. Jeśli wierzyciele nie znajdą gotówki, będziemy brać nieruchomości, biżuterię, dzieła sztuki… cokolwiek zaproponują w zamian. Mam dobre rozeznanie w tym, ile co jest warte, więc mogę negocjować formę spłat. Są też inne problemy, o których jeszcze nie wspomniałem. Jenner ma kilka kiepskich koni wyścigowych, przez które stracił fortunę na torze w Newmarket. Dokonał też paru nierozsądnych inwestycji, na przykład włożył dziesięć tysięcy funtów w rzekomą kopalnię złota we Flintshire, a nawet dziecko przejrzałoby ten szwindel.

– O Boże… – westchnęła Evie, trąc czoło. – Był chory i ludzie to wykorzystywali…

– Owszem. A teraz nawet gdybyśmy chcieli sprzedać klub, nie możemy tego zrobić, dopóki wszystkiego nie uporządkujemy. Gdyby istniało jakieś rozwiązanie alternatywne, możesz mi wierzyć, że bym je wykorzystał. Ale to miejsce jest jak sito, w którym nikt nie umie albo nie chce zatkać dziur. Poza mną.

– Nie masz pojęcia o zatykaniu dziur! – zawołała, oburzona jego arogancją. Sebastian odpowiedział jej chytrym uśmieszkiem i lekkim uniesieniem brwi. Zanim zdążył otworzyć usta, zatkała sobie uszy i zawołała: — O nie, nie mów tego! – Widząc, że usłuchał, choć diabelski uśmieszek nadal igrał na jego wargach, ostrożnie opuściła ręce. – Jeśli poprowadzisz klub, gdzie będziesz sypiał?

– Tutaj oczywiście – padła rzeczowa odpowiedź.

– Zajęłam jedyny dostępny pokój gościnny – przypomniała mu. – Wszystkie pozostałe są zamieszkane. A nie będę dzielić z tobą łóżka.

– Od jutra będzie mnóstwo wolnych pokoi. Zamierzam się pozbyć prostytutek.

Sytuacja zmieniała się zbyt dynamicznie, by strudzony mózg Evie zdołał za wszystkim nadążyć. Sebastian za szybko chciał przejąć władzę nad interesem ojca i wszystkimi jego pracownikami. Evie odnosiła niepokojące wrażenie, że wprowadziła do klubu oswojonego kota, który na jej oczach przeobrażał się w dzikiego tygrysa. I mogła na to jedynie bezradnie patrzeć. Próbowała w duchu się pocieszać, że jeśli pozwoli mu działać przez kilka dni, może znudzi się nową zabawką. A ona w tym czasie spróbuje minimalizować straty.

– Zamierzasz wyrzucić te dzi-dziewczyny tak po prostu na ulicę? – spytała, zmuszając się do spokojnego tonu.

– Zostaną zwolnione z przyzwoitymi odprawami jako nagrodą za pracę na rzecz klubu.

– Masz zamiar zatrudnić nowe?

Sebastian zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie mam moralnych zastrzeżeń do prostytucji. Przeciwnie, jestem jej entuzjastą. Ale nie zamierzam być alfonsem.

– Kim?

– Alfonsem. Stręczycielem. Męską burdelmamą. Na litość boską, czyżbyś przez całe dzieciństwo miała uszy zatkane watą? Nigdy nic nie słyszałaś ani nie dziwiło cię, że niestosownie ubrane kobiety cały czas paradują tam i z powrotem po schodach?

– Zawsze bywałam tu w ciągu dnia – wyjaśniła urażona Evie. – Rzadko widywałam je przy pracy. A później, kiedy już dorosłam na tyle, by rozumieć, co robią, ojciec zaczął ograniczać moje wizyty.

– To prawdopodobnie jedna z niewielu dobrych rzeczy, jakie dla ciebie zrobił. – Sebastian, nie kryjąc zniecierpliwienia, wrócił do przerwanego tematu. – Po pierwsze, nie chcę tu trzymać podrzędnego sortu ladacznic, ale też nie mamy gdzie ich kwaterować. Podczas nocy, gdy wszystkie łóżka są zajęte, członkowie klubu są zmuszeni oddawać się cielesnym uciechom w stajniach.

– Naprawdę? I rzeczywiście to robią?

– A strasznie tam niewygodnie i do tego wieje. Możesz mi wierzyć.

– To znaczy…

– Tak czy inaczej, dwie ulice stąd jest doskonały burdel. Przypuszczam, że możemy wejść w układ z jego właścicielką, madame Bradshaw. Jeśli któryś z członków naszego klubu zapragnie damskiego towarzystwa, będzie mógł pójść do przybytku pani Bradshaw, skorzystać z usługi za preferencyjną cenę i wrócić do nas odświeżony. – Uniósł brwi, jakby oczekiwał, że zostanie pochwalony za swój pomysł. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że w takiej sytuacji nadal byłbyś stręczycielem, tyle że nieoficjalnym – powiedziała bez namysłu Evie.

– Moralność jest wyłącznie dla ludzi z klasy średniej, skarbie. Niższej na nią nie stać, a wyższa ma za dużo wolnego czasu na zabawę. — Evie wpatrywała się w męża bez słowa. Nawet nie drgnęła, kiedy pochylił się, żeby wetknąć winogrono w jej otwarte ze zdziwienia usta. — Nie ma potrzeby nic mówić – mruknął z uśmiechem. – Widzę, że zaniemówiłaś z wdzięczności, że zostanę tu, by mieć na ciebie oko. – Parsknąwszy śmiechem, dodał: — Jeśli się obawiasz, że ogarnięty męskim zapałem, posiądę cię w chwili słabości, to przyznaję, że istnieje taka możliwość. Jeśli ładnie poprosisz. — Evie zacisnęła zęby na soczystym gronie, po czym wypchnęła z niego językiem pestki. Patrząc na jej usta, Sebastian przestał się uśmiechać. — Na razie jesteś nowicjuszką niewartą zachodu. Może uwiodę cię w przyszłości. Po tym jak inni mężczyźni zadbają o twoją edukację.

– Wątpię – odparowała chłodno. – Nigdy nie będę aż taką mieszczką, żeby sypiać z własnym mężem.

Zaśmiał się głośno.

– No proszę, musiałaś od dawna czekać na okazję, by to powiedzieć. Gratuluję, dziecino. Jesteśmy małżeństwem od niespełna tygodnia, a ty już się uczysz, jak ze mną walczyć.

ROZDZIAŁ 9

Evie nigdy się nie dowiedziała, gdzie jej mąż spędził tę pierwszą noc, ale podejrzewała, że w jakimś niewygodnym miejscu. Sama również nie wyspała się najlepiej, bo niepokój budził ją co chwilę w regularnych odstępach czasu. Kilka razy poszła sprawdzić, co z ojcem; dała mu się napić parę łyków wody, poprawiła kołdrę, jeśli kaszel się nasilił, zwiększyła dawkę leku. Za każdym razem, budząc się, Jenner spoglądał na córkę z zaskoczeniem.

– Czy to sen, złotko? – spytał, na co zamruczała uspokajająco i pogładziła go po włosach.

Przy pierwszych oznakach świtu umyła się i ubrała, po czym splotła wilgotne włosy w warkocz i upięła z tyłu głowy. Zadzwoniła po pokojówkę, zamówiła jajka, bulion, herbatę i wszystkie potrawy odpowiednie dla chorego, jakie tylko przyszły jej na myśl, żeby pobudzić marny apetyt ojca. Rano w klubie panował spokój, większość pracowników odsypiała nocną pracę. Zawsze jednak część personelu pozostawała w gotowości do wykonywania lżejszych zadań. W kuchni po wyjściu szefa podkuchenna przygotowywała w razie potrzeby proste dania.

W pewnym momencie z pokoju Jennera dobiegł głośny charkot. Evie natychmiast podbiegła do łóżka, na którym jej ojciec zanosił się kaszlem z przytkniętą do ust chusteczką. Serce jej się ścisnęło, gdy usłyszała rzężenie dobiegające z jego płuc. Szybko przejrzała etykiety na buteleczkach z lekami, znalazła morfinę w syropie i nalała ją na łyżkę. Podsunęła ramię pod mokry od potu kark ojca i uniosła go do pozycji półsiedzącej, po raz kolejny dziwiąc się, że jest taki lekki. Poczuła, że jego ciało tężeje, gdy próbował powstrzymać następny atak kaszlu. Zadrżał tak gwałtownie, że łyżka wypadła jej z ręki i lekarstwo rozlało się na pościel.

– Przepraszam. – Szybko wytarła lepką plamę i ponownie napełniła łyżkę. – Spróbujmy jeszcze raz, papo. – Udało się. Żyły na jego szyi nabrzmiały przy przełykaniu. Zakasłał jeszcze parę razy, już słabiej, i czekał, aż Evie poprawi poduszki.

Pomogła mu się ułożyć i wcisnęła mu do ręki poskładaną chusteczkę. Patrzyła na wychudłą twarz ze szpakowatym zarostem i szukała śladów swego ojca w tym trudnym do rozpoznania, obcym człowieku. Zawsze miał pełną twarz, był rosły i krzepki. W rozmowie żywo gestykulował, zaciskając palce w sposób typowy dla

byłych bokserów. Teraz stanowił blady cień tamtego mężczyzny — skórę na twarzy miał szarą i pomarszczoną od nagłej utraty wagi. Jedynie niebieskie oczy wyglądały tak jak kiedyś, okrągłe i ciemne, w odcieniu irlandzkiego morza. Odnajdując w nich wspomnienie dawnego ojca, uśmiechnęła się do siebie.

– Zamówiłam śniadanie – powiedziała. – Powinni niedługo przynieść. — Jenner lekko pokręcił głową, dając znak, że nie chce jeść. — Ależ tak. — Evie przysiadła na krawędzi łóżka. — Będziesz musiał coś zjeść, papo. – Otarła chusteczką kroplę krwi w kąciku jego ust.

Krzaczaste siwe brwi zsunęły się z wysiłkiem.

– Maybrickowie – wychrypiał. – Przyjdą po ciebie, Evie?

Uśmiechnęła się z ponurą satysfakcją.

– Opuściłam ich na dobre. Kilka dni temu uciekłam do Gretna Green i wyszłam za mąż. Nie mają już nade mną władzy.

Jenner wytrzeszczył oczy.

– Za kogo? – spytał krótko.

– Za lorda St. Vincenta.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do środka weszła pokojówka z tacą zastawioną talerzami. Evie wstała, żeby jej pomóc; uprzątnęła kilka rzeczy ze stolika przy łóżku. Widziała, jak ojciec wzdryga się na zapach jedzenia.

– Przykro mi, papo – odezwała się ze współczuciem. – Musisz przynajmniej wypić trochę bulionu. – Okryła mu pierś serwetką i przytknęła do ust kubek z ciepłym wywarem. Wypił parę łyków. Potem, odchyliwszy głowę, przyjrzał się córce. Evie wiedziała, że oczekuje, by wyjaśniła mu sytuację. Uśmiechnęła się z żalem. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że nie ma co wymyślać na jego użytek romansu. Ojciec zawsze był praktyczny i prawdopodobnie nawet nie przyszło mu do głowy oczekiwać, że jego córka wyjdzie za mąż z miłości. W jego pojęciu człowiek brał to, co mu przynosiło życie, i robił wszystko, co mógł, żeby przetrwać. Jeśli po drodze trafiało się trochę radości, należało z niej korzystać i nie narzekać przy płaceniu. — Prawie nikt jeszcze nie wie o tym małżeństwie – uprzedziła. – Ale to nie jest zły związek. Dość dobrze się rozumiemy i nie mam co do niego żadnych złudzeń.

Wsunęła kęs gotowanego jajka w otwarte usta ojca. Potrzebował chwili, by przemyśleć wiadomość, po czym rzekł z wysiłkiem:

– Jego ojciec, książę, to głąb. Nie wie, gdzie ma głowę, a gdzie zadek.

– Ale lord St. Vincent jest całkiem inteligentny.

– Typ zimnego drania – stwierdził Jenner.

– Owszem. Ale nie zawsze. To znaczy… – urwała, rumieniąc się na wspomnienie Sebastiana nachylonego nad nią w łóżku, jego mocnego, ciepłego ciała, mięśni pleców grających pod jej palcami.

– Kobieciarz – ocenił Jenner rzeczowym tonem.

– To dla mnie bez znaczenia – odparła Evie równie bezpośrednio. – Nigdy bym go nie prosiła o wierność. Dostałam to, o co mi chodziło. On natomiast chce…

– Jasne, dostanie swój haracz – wszedł jej w słowo ojciec. – Gdzie on teraz jest?

Podała mu kolejny kęs jajka.

– Bez wątpienia jeszcze w łóżku.

Pokojówka opuszczająca pokój zatrzymała się w progu i wtrąciła:

– Przepraszam, ale on już nie śpi, panienko… to jest milady. Lord St. Vincent obudził pana Rohana o świcie. Ciąga go tu i tam, męczy pytaniami i daje mu listy rzeczy do zrobienia. Pan Rohan jest od tego w okropnym humorze.

– Lord St. Vincent już tak działa na ludzi – stwierdziła kwaśno Evie.

– Listy jakich rzeczy? – zainteresował się Jenner.

Evie nie śmiała przyznać, że Sebastian postanowił ingerować w prowadzenie klubu. Wiedziała, że to by zdenerwowało ojca. Wiadomość o wykalkulowanym małżeństwie córki mógł przyjąć bez mrugnięcia okiem, ale wszystko, co dotyczyło jego interesów, traktował z wielką uwagą.

– Och… Pewnie zobaczył, że jakiś chodnik jest wytarty i należy go wymienić – rzuciła wymijająco. — Myślał też o ulepszeniu menu w bufecie. Tego rodzaju rzeczy.

– Hm. – Jenner ze zmarszczonym czołem pozwolił sobie wmusić jeszcze jeden łyk bulionu. – Powiedz mu, że nie może niczego tykać bez pozwolenia Egana.

– Dobrze, papo.

Evie wymieniła ukradkiem spojrzenie z pokojówką; zmrużeniem oczu ostrzegła dziewczynę przed ujawnianiem jakichkolwiek dalszych informacji. Pokojówka pokiwała głową.

– Nie zacinasz się już tak jak kiedyś – zauważył Jenner. – Skąd ta zmiana, marcheweczko?

Evie zamyśliła się nad jego pytaniem; rzeczywiście w ciągu ostatniego tygodnia nastąpiła znaczna poprawa.

– Nie jestem pewna. Prawdopodobnie z dala od Maybricków poczułam się… spokojniejsza. Zauważyłam różnicę wkrótce po wyjeździe z Londynu. – Przedstawiła mu ocenzurowaną relację z podróży do Gretna Green i z powrotem. Jenner zachichotał nawet parę razy, co doprowadziło go do ataku kaszlu i plucia w chusteczkę. Podczas rozmowy twarz mu się rozpogodziła na skutek przeciwbólowego działania morfiny. Evie zjadła kawałek jego nietkniętej grzanki, wypiła filiżankę herbaty i odstawiła tacę pod drzwi. — Papo, zanim zaśniesz, pomogę ci się umyć i ogolić.

– Nie ma potrzeby – odpowiedział, patrząc na nią szklistymi od narkotyku oczami.

– Pozwól mi się sobą opiekować – poprosiła, zmierzając ku umywalce, gdzie służba zostawiła dzbanek gorącej wody. – Będzie ci się lepiej spało.

Sprawiał wrażenie zbyt zmęczonego, żeby się sprzeciwiać, wzdychał tylko i kaszlał, patrząc, jak Evie niesie do łóżka porcelanową miednicę i jego przybory do golenia. Nakryła ręcznikiem jego pierś i zatknęła jego brzeg za kołnierz koszuli pod szyją. Nigdy wcześniej nie goliła żadnego mężczyzny, więc trochę niepewnie sięgnęła po pędzel, zamoczyła go w wodzie i ostrożnie nabrała na koniec odrobinę mydła.

– Najpierw gorący ręcznik, złotko – wymamrotał Jenner. – Zmiękczy zarost.

Podążając za jego wskazówkami, Evie namoczyła drugi ręcznik i nakryła nim

szczękę i szyję ojca. Po mniej więcej minucie uniosła kompres i pędzlem rozprowadziła mydło po jednej stronie twarzy. Następnie rozłożyła brzytwę, obejrzała ją podejrzliwie i niepewnie pochyliła się nad chorym. Nim ostrze dotknęło skóry, od drzwi dobiegł ironiczny głos:

– Dobry Boże. – Obejrzawszy się przez ramię, Evie dostrzegła Sebastiana. Zwracał się nie do niej, tylko do jej ojca. – Nie wiem, czy chwalić pańską odwagę, czy domniemywać utratę zmysłów, skoro pozwolił pan zbliżyć się jej do siebie z tą brzytwą. — Podszedł do łóżka kilkoma leniwymi krokami, spojrzał na Evie i wyciągnął rękę. – Daj mi to, kochanie. Kiedy twój ojciec zakaszle, odetniesz mu nos.

Bez protestów oddała mu ostre narzędzie. Mimo niedostatku snu Sebastian wyglądał znacznie lepiej niż poprzedniego dnia — nienagannie ogolony, z umytymi i starannie uczesanymi włosami. Miał na sobie doskonale uszyty surdut w kolorze antracytu, który korzystnie podkreślał jego złotawą karnację. Ponadto, co zauważyła już poprzedniego wieczoru, biła z niego jakaś szczególna energia, jakby samo przebywanie w klubie wprawiało go w stan ożywienia. Kontrast pomiędzy obecnymi w pokoju mężczyznami — jednym starym i chorym, drugim rosłym i tryskającym zdrowiem — wręcz porażał. Kiedy Sebastian zbliżył się do jej ojca, Evie miała ochotę stanąć pomiędzy nimi, ponieważ jej mąż przypominał drapieżnika gotowego wykończyć bezbronną ofiarę.

– Przynieś rzemień, kotku – polecił Sebastian z lekkim uśmiechem.

Kiedy wróciła od umywalki, wziął od niej skórzany pasek i zajął jej miejsce przy łóżku.

– Zawsze należy ostrzyć brzytwę przed goleniem i po – powiedział, przesuwając ostrzem rytmicznie raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Wygląda na wystarczająco ostrą – bąknęła niepewnie Evie.

– Nigdy nie jest dość ostra, skarbie. Na początek namydl mu całą twarz. Mydło zmiękczy brodę. – Odsunął się na bok, żeby jej to umożliwić, po czym przysiadł na brzegu materaca. Z brzytwą w dłoni zwrócił się do Jennera:

– Mogę?

Ku zdziwieniu Evie ojciec pokiwał głową, jakby nie miał nic przeciwko temu, by to Sebastian go ogolił. Evie przeszła na drugą stronę łóżka, żeby mieć lepszy widok.

– Pozwól brzytwie wykonać całą robotę, zamiast wywierać nacisk ręką – instruował ją Sebastian. – Należy golić z włosem, o tak. I uważać, żeby nie przeciągać ostrza równolegle. Zaczynamy z boku twarzy, potem policzki, następnie boki szyi, o tak… – mówiąc, przesuwał ostrzem po brodzie Jennera, usuwając zarost szybko i schludnie. – I często spłukujemy ostrze. — Długimi palcami delikatnie dotykał twarzy chorego, zmieniał kąt, miejscami naciągał skórę. Jego ruchy były lekkie i przemyślane, jakby długo się uczył wykonywanej teraz zręcznie czynności. Evie bezwiednie pokręciła głową, nie mogła wprost uwierzyć, że patrzy na Sebastiana, lorda St. Vincenta, który goli jej ojca z wprawą doświadczonego kamerdynera. Kończąc męski rytuał, Sebastian wytarł resztki mydła z wygolonej na gładko twarzy Jennera. Na krawędzi szczęki widać

było tylko jedno minimalne zacięcie. Sebastian przycisnął do niego ręcznik. — W mydle powinno być więcej gliceryny – mruknął. — Mój kamerdyner robi znacznie lepsze mydło do golenia. Każę mu później trochę przynieść.

– Dziękuję ci – odezwała się Evie, czując w środku łaskoczące ciepło.

Sebastian spojrzał jej w oczy. To, co w nich zobaczył, wyraźnie go zafascynowało.

– Trzeba zmienić pościel – stwierdził. — Pomogę.

Evie pokręciła głową. Nie podobała się jej myśl, że miałby zobaczyć wyniszczone ciało ojca. Wiedziała, że ojciec czułby się później niekomfortowo w jego obecności.

– Dziękuję, ale nie – powiedziała stanowczo. – Zadzwonię po pokojówkę.

– Dobrze. – Spojrzał na Jennera. – Jeśli pan pozwoli, sir, przyjdę później, kiedy pan odpocznie.

– Tak – odpowiedział Jenner z nieprzytomnym wzrokiem. Zamknął oczy z westchnieniem i natychmiast zapadł w drzemkę.

Podczas gdy Evie porządkowała pokój, Sebastian wytarł brzytwę, naostrzył ją na pasku, a potem zamknął w skórzanym etui. Po wszystkim odprowadziła go do drzwi i stanęła w progu, oparta plecami o futrynę.

– Zwolniłeś już Egana? – spytała, patrząc z niepokojem w twarz męża.

Sebastian potwierdził skinieniem. Oparł jedną rękę obok głowy Evie i nachylił się nad nią. Mimo że przyjął swobodną pozę, czuła się przez niego subtelnie zdominowana. I ku jej zdumieniu nie było to przykre uczucie.

– Z początku okazywał wrogość – powiedział — dopóki mu nie powiedziałem, że obejrzałem parę rachunków. Wtedy zrobił się potulny jak baranek. Wiedział, jakie ma cholerne szczęście, że oficjalnie go nie oskarżymy. Rohan pomaga mu się pakować, dopilnuje, żeby się wyniósł od razu.

– Dlaczego nie chcesz pozwać Egana do sądu?

– To by zaszkodziło opinii klubu. Każda wzmianka o kłopotach finansowych budzi niepokój co do stabilności interesu. Lepiej się pogodzić ze stratami i zacząć rozliczenia od nowa. – Przyjrzał się jej z uwagą, a następnie poprosił cicho: – Odwróć się.

Zrobiła wielkie oczy.

– P-po co?

– Odwróć się – powtórzył cierpliwie i zaczekał, aż go usłucha. Serce jej waliło, kiedy chwycił ją za nadgarstki i oparł jej ręce o framugę. – Trzymaj się, skarbie.

Oszołomiona, zastanawiała się, co Sebastian zamierza zrobić. Wyprężona jak struna, z zamkniętymi oczami, poczuła jego dłonie na ramionach. Przesuwał palcami po łopatkach, jakby próbował coś wymacać… a potem zaczął ugniatać jej plecy delikatnymi, pewnymi ruchami, masując zmaltretowane mięśnie. Zręcznie odnajdywał punkty największego napięcia i bólu, kiedy na nie trafiał, gwałtownie wstrzymywała oddech. Nacisk stał się bardziej intensywny, rozpostarte dłonie uciskały środek pleców, kciuki gładziły wgłębienia po obu stronach kręgosłupa. Evie wygięła się jak kot; uświadomiła to sobie z pewnym skrępowaniem. Sebastian skupił się na zesztywniałych mięśniach u nasady jej szyi, masował je tak długo i starannie, aż w stanie błogiego rozluźnienia poczuła,

jak wzbiera w niej westchnienie.

Kobieta mogła doprawdy stać się niewolnicą tych doświadczonych dłoni. Dotykał jej z wielkim wyczuciem, obracając ból i zmęczenie w przyjemność. Oparta o framugę całym ciężarem, oddychała powoli i głęboko. Wcześniejsze napięcie ustąpiło bez śladu, czuła się cudownie i z lękiem myślała o chwili, kiedy masaż dobiegnie końca.

Gdy w końcu Sebastian opuścił ręce, była niemal zdziwiona, że całkiem się przed nim nie rozpłynęła. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz, oczekując kpiącego uśmieszku albo ironicznej uwagi, tymczasem on odezwał się do niej spokojnym, rzeczowym tonem:

– Mam ci coś do powiedzenia. Na osobności. – Wziął ją za ramię i pociągnął do najbliższego pustego pokoju, w którym spędziła ostatnią noc. Zamknął drzwi i pochylił się nad Evie z poważną miną. – Rohan miał rację – oznajmił bez wstępów. – Twój ojciec nie ma przed sobą wiele czasu. Będzie cudem, jeśli przeżyje kolejny dzień.

– Tak, t-to chyba jasne dla wszystkich.

– Dziś rano długo rozmawiałem z Rohanem o kondycji twojego ojca, pokazał mi broszurę, którą lekarz zostawił po postawieniu diagnozy. – Sięgnął do kieszeni surduta i podał jej poskładany, drobno zadrukowany kawałek papieru.

Evie przeczytała słowa na górze strony: „Nowa teoria suchot". Jedyne światło padało z niewielkiego okna, a oczy piekły ją ze zmęczenia, więc kręcąc głową, spytała:

– Czy mogę przeczytać później?

– Tak, ale przedstawię ci główne założenia tej teorii: suchoty są powodowane przez żywe organizmy, tak małe, że nie widać ich gołym okiem. Rezydują w zarażonych płucach. Choroba przenosi się, kiedy zdrowa osoba wdycha część powietrza wypuszczanego z płuc przez osobę chorą.

– Małe organizmy w płucach? – powtórzyła drętwo Evie. – To jakiś absurd. Suchoty biorą się z wrodzonej skłonności do tego schorzenia… albo są skutkiem zbyt długiego przebywania na zimnie i wilgoci.

– Żadne z nas nie jest lekarzem ani naukowcem, więc debata na ten temat jest raczej pozbawiona sensu. Jednak dla bezpieczeństwa… Obawiam się, że muszę ograniczyć ilość czasu, który spędzasz z ojcem.

Broszura wypadła jej z ręki. Zaskoczona i oburzona tym, co usłyszała, cała się trzęsła. Po wszystkim, co przeszła, żeby być z ojcem, Sebastian próbował jej zabrać tych ostatnich kilka dni, a wszystko z powodu jakiejś niepotwierdzonej teorii medycznej?

– Nie! – wyrzuciła z siebie przez ściśnięte złością gardło. – A-a-absolutnie się nie zgadzam. Spędzę z nim tyle czasu, ile zechcę. P-przecież w ogóle cię nie obchodzę, podobnie jak on… chcesz tylko w ten okrutny sposób pokazać mi s-swoją władzę…

– Widziałem pościel – nie dał jej dokończyć. – Twój ojciec kaszle krwią, śluzem i diabli wiedzą czym jeszcze. Im więcej czasu z nim spędzisz, tym większe prawdopodobieństwo, że będziesz wdychać to, co go zabija.

– Nie wierzę w twoją głupią teorię. Mogłabym znaleźć dzi-dziesięciu lekarzy,

którzy by ją wyśmiali…

– Nie mogę pozwolić, żebyś ryzykowała. Do licha, chcesz za pół roku znaleźć się w tym samym łóżku z gnijącymi płucami?

– Nawet j-jeśli tak się stanie, to nie twoje zmartwienie.

Stali naprzeciw siebie we wrogim milczeniu; Evie miała wrażenie, że jej gorzkie słowa ugodziły go głębiej, niż mogłaby się spodziewać.

– Masz rację – rzucił gniewnie. – Jeśli chcesz zachorować na suchoty, proszę bardzo. Ale nie dziw się, że nie będę siedział przy tobie. Nie kiwnę palcem, żeby ci pomóc. A kiedy będziesz wypluwać z siebie płuca, z radością przypomnę ci, że sama jesteś sobie winna, bo byłaś upartą idiotką! – Zakończył swą przemowę pełnym irytacji machnięciem ręką.

Niestety, Evie miała zbyt wiele do czynienia z wujem Peregrine'em, by umieć odróżnić gest złości od fizycznego ataku. Skuliła się odruchowo i uniosła ręce, żeby osłonić głowę. Spodziewany cios nie padł, więc odetchnęła i niepewnie opuściła ramiona. Sebastian wpatrywał się w nią z osłupieniem.

A potem twarz mu pociemniała.

– Evie – odezwał się tonem, który ją przeraził – naprawdę myślałaś, że ja cię… Chryste… Ktoś cię uderzył. Ktoś cię bił w przeszłości… Kto, u diabła? – Wyciągnął do niej ręce, zbyt nagle, aż się cofnęła i uderzyła plecami o ścianę. – Niech to wszyscy diabli – wyszeptał. Przyglądał się jej z taką miną, jakby walczył z jakimiś potężnymi emocjami. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się łagodnie: – Nigdy nie uderzyłbym kobiety. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Chyba to wiesz? — Skamieniała pod spojrzeniem jego jasnych, błyszczących oczu, nie była w stanie się poruszyć ani wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Zaczął się do niej wolno zbliżać. — Już dobrze – wymruczał. – Pozwól mi do siebie podejść. Już dobrze. Spokojnie. – Objął ją jedną ręką, drugą zaczął głaskać po włosach. Kiedy w końcu odetchnęła z ulgą, przyciągnął ją do siebie mocniej i dotknął ustami jej skroni. – Kto to był? – spytał.

– M-mój wuj – wydukała. Ręka Sebastiana na jej plecach zastygła w bezruchu, gdy usłyszał jąkanie.

– Maybrick? – dociekał cierpliwie.

– Nie, t-ten drugi.

– Stubbins.

– Tak. – Evie zamknęła oczy, kiedy otoczył ją drugim ramieniem. Oparta o twardą pierś Sebastiana, z policzkiem przytulonym do jego ramienia, wdychała zapach czystej męskiej skóry z subtelną nutą drzewa sandałowego.

– Jak często? – padło zdecydowane pytanie. – Więcej niż raz?

– Ja… T-to już nieważne.

– Jak często, Evie?

Zrozumiała, że nie da za wygraną, dopóki nie usłyszy odpowiedzi.

– Nie b-bardzo często, ale… czasami, kiedy zdenerwowałam jego a-albo ciotkę Florence, wpadał w gniew. O-ostatnim razem, kiedy p-próbowałam uciec, podbił mi oko i rozciął wargę.

– Naprawdę? – Sebastian milczał przez dłuższą chwilę, a potem oświadczył tonem przyprawiającym o ciarki na plecach: – Rozerwę go na strzępy.

– Nie chcę, żebyś to robił – powiedziała Evie z przekonaniem. – Chcę t-tylko być bezpieczna z dala od niego. Od nich wszystkich.

Odchylił głowę, żeby spojrzeć w jej zarumienioną twarz.

– Jesteś bezpieczna – powiedział dziwnie niskim głosem. Dotknął jej policzka, przesunął koniuszkami palców po grzebiecie nosa cętkowanego złotymi piegami. Kiedy opuściła powieki, pogładził kolejno obie brwi, a potem ujął ją dłonią pod brodę. – Evie – powiedział cicho. – Przysięgam ci na swoje życie, że nigdy nie zaznasz bólu z mojej ręki. Mogę się okazać piekielnym mężem pod każdym innym względem, ale w ten sposób nigdy bym cię nie skrzywdził. Musisz w to wierzyć. Wierzysz?

Łapczywie chłonęła zmysłowe wrażenia, jego dotyk, delikatny powiew oddechu. Bała się otworzyć oczy, zrobić cokolwiek, co mogłoby przerwać tę magiczną chwilę.

– Tak – wydusiła z siebie w końcu prawie szeptem. – Tak…

Poczuła lekki jak muśnięcie pocałunek… jeszcze jeden… Z westchnieniem rozchyliła usta. Wargi miał jedwabiście miękkie i gorące, napierał na nią delikatnie, przytrzymując jej twarz pod odpowiednim kątem.

Kiedy się zachwiała, tracąc równowagę, ujął jej rękę i zarzucił sobie na szyję. Natychmiast uniosła drugą i chwyciła go za kark. Oddychał szybko, jego falująca pierś pocierała zmysłowo jej sutki. Nagle pocałunki stały się głębsze, bardziej namiętne; przywarła do niego mocniej, bezwiednie szukając więcej bliskości z jego ciałem.

Nagle Sebastian oderwał się od niej z gardłowym jękiem.

– Nie, zaczekaj… kochanie… Nie chciałem tego zaczynać. Ja tylko… do licha… — Evie zacisnęła palce na kołnierzu surduta i ukryła twarz w szarej miękkości jedwabnego krawata. Sebastian podtrzymał ją, kładąc jej dłoń z tyłu głowy. — Nie zmieniłem zdania – powiedział z ustami tuż przy jej włosach. – Jeśli chcesz się opiekować ojcem, będziesz musiała przestrzegać ustanowionych przeze mnie zasad. Należy wietrzyć pokój, chcę, by drzwi i okno były przez cały czas otwarte. I nie siedź zbyt blisko niego. Co więcej, ilekroć jesteś przy nim, masz sobie zawiązywać maseczkę z chustki na ustach i nosie.

– Co? – Evie wyswobodziła się z jego objęć i spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Żeby te niewidoczne stworzenia nie wleciały mi do płuc? – spytała z przekąsem.

Zmrużył oczy.

– Nie prowokuj mnie, Evie. Jestem bliski całkowitego zabronienia ci odwiedzin u ojca.

– Będę się czuła groteskowo z chusteczką na twarzy – usiłowała protestować. – Poza tym urażę uczucia ojca.

– Nie dbam o to. Pamiętaj, że jeśli mnie nie usłuchasz, to go nie zobaczysz.

Evie cofnęła się, ogarnięta nową falą gniewu.

– Nie jesteś wcale lepszy od Maybricków – wyrzuciła z siebie z goryczą. – Wyszłam za ciebie, żeby zyskać wolność. A okazuje się, że jedynie zamieniłam jedno więzienie na drugie.

– Nikt z nas nie ma całkowitej wolności, dziecino. Nawet ja.

Patrzyła na niego, zaciskając dłonie w pięści z bezsilnej złości.

– Ty masz przynajmniej prawo dokonywania wyboru.

– Również za ciebie – zakpił wyraźnie rozbawiony jej irytacją, którą sam sprowokował. – Dobry Boże, cóż za przedstawienie. I co za temperament… aż mam ochotę pójść z tobą do łóżka.

– Nie dotykaj mnie więcej – warknęła. – Nigdy!

Zmierzając ku drzwiom, zaczął się śmiać, czym doprowadził ją niemal do furii.

ROZDZIAŁ 10

Evie wróciła do pokoju ojca wieczorem i od razu się zorientowała, że jego czas nadszedł. Cerę miał woskową i bladą, usta zsiniałe, a jego zmordowane płuca nie były już w stanie wciągać wystarczającej ilości tlenu. Żałowała, że nie może oddychać za niego. Ujęła chłodną rękę chorego, rozcierała mu palce, jakby dało się je rozgrzać, i z wymuszonym uśmiechem patrzyła mu w twarz.

– Papo – odezwała się, gładząc posiwiałe włosy ojca. – Powiedz mi, co mam robić. Powiedz, czego byś chciał.

Ojciec spojrzał na nią z czułością, ściągnięte usta drgnęły, jakby próbował odpowiedzieć uśmiechem.

– Cam – wyszeptał z trudem.

– Tak, poślę po niego. – Nie przestawała go głaskać. – Papo, czy Cam jest moim przyrodnim bratem? – spytała cicho.

Westchnął, wokół jego oczu pogłębiła się siateczka zmarszczek.

– Nie, złotko. A szkoda. To dobry chłopak…

Evie pochyliła się, ucałowała wychudzoną dłoń i odeszła od łóżka. Pociągnęła sznurem dzwonka kilka razy i prawie natychmiast w progu stanęła pokojówka.

– Tak, milady?

– Sprowadź pana Rohana – poleciła jej Evie lekko drżącym głosem. Przez moment zastanawiała się, czy wezwać również Sebastiana, ale ojciec o niego nie prosił. Poza tym na myśl o jego chłodnej, wyniosłej obecności, tak bardzo niepasującej do targających nią uczuć… Nie. Owszem, pod pewnymi względami stanowił dla niej oparcie, ale nie w tej sytuacji. – Szybko – napomniała pokojówkę i wróciła do ojca.

Choć starała się zachować pogodny wyraz twarzy, najwidoczniej nie do końca zdołała ukryć lęk, bo ojciec chwycił ją za rękę i pociągnął, żeby przy nim usiadła.

– Evie – zaczął ledwie słyszalnym szeptem – zmierzam do twojej matki. Kazała im zostawić uchylone tylne drzwi… żebym mógł się zakraść do nieba.

Zaśmiała się, mimo że po policzkach spłynęło jej kilka gorących łez.

Po chwili do pokoju wszedł Cam. Zmierzwiona krucza czupryna i niechlujnie narzucone ubranie zdradzały, że ubierał się w pośpiechu. Był spokojny i opanowany, ale jego oczy błyszczały szkliście, kiedy spojrzał na Evie, która wstała i odsunęła się na bok, robiąc mu miejsce przy łóżku. Musiała kilka razy

przełknąć ślinę, nim wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos:

– Musisz się nachylić, żeby go słyszeć.

Cam zrobił to, co mu radziła, i podobnie jak wcześniej Evie wziął Jennera za ręce.

– Ojcze mojego serca – odezwał się młody Cygan — pogódź się z każdą duszą, którą zostawiasz za sobą. I wiedz, że Bóg poprowadzi cię w nowe życie. – Pochylony nisko, przez chwilę słuchał wysilonego szeptu chorego. – Tak – powiedział na koniec, choć Evie wyczuła z jego napiętej postawy, że prośba umierającego nie przypadła mu do gustu. – Dopilnuję, by to zostało załatwione – obiecał.

Po rozmowie z Camem Jenner wyraźnie się odprężył i zamknął oczy. Cam odsunął się od łóżka, ustępując miejsca Evie.

– Już dobrze – powiedział, widząc jej drżenie. – Dziadek zawsze mi mówił: „Nie próbuj zawracać z nowej drogi, bo nie wiesz, jakie przygody cię na niej czekają".

Evie próbowała czerpać otuchę z tych słów, ale oczy ją piekły, w gardle dławiło. Usiadła przy ojcu, jedną ręką objęła go za głowę, drugą położyła mu delikatnie na piersi. Rzężenie trochę przycichło, chory wydał z siebie odgłos, jakby jej dotyk sprawił mu ulgę. Czuła, jak z ojca stopniowo uchodzi życie.

W pokoju panowała bolesna cisza, w której Evie niemal słyszała bicie własnego serca. Nigdy wcześniej nie zetknęła się tak blisko ze śmiercią, a teraz traciła jedyną osobę, od której zaznała miłości. Wypełniały ją rozpacz i strach. Spojrzała przez łzy w kierunku drzwi i zobaczyła w progu wysoką postać Sebastiana. Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy, ale uświadomiła sobie nagle, że jednak potrzebuje jego obecności.

Z ust Ivo Jennera wydobył się ledwie słyszalny świst. A po nim była już tylko cisza.

Świadoma, że nastąpił koniec, Evie przywarła policzkiem do głowy ojca i zamknęła oczy.

– Żegnaj – wyszeptała, mocząc łzami resztki jego niegdyś ogniście rudych włosów. Zaraz potem Cam objął ją i odsunął od łóżka.

– Evie – odezwał się, nie patrząc na nią. – Muszę… muszę się zająć ciałem. Idź do męża.

Kiwnęła głową, ale nie mogła się ruszyć, jakby miała nogi przyrośnięte do ziemi. Czuła, jak Cam gładzi ją po włosach, a potem dotyka jej czoła niewinnym braterskim pocałunkiem. Odwróciła się i chwiejnie, po omacku skierowała ku mężowi. Sebastian podszedł do niej szybko i wcisnął jej do ręki chusteczkę. Przyjęła ją z wdzięcznością, otarła oczy i wydmuchała nos. Zbyt poruszona, by zwracać uwagę na to, dokąd idzie, dała się wyprowadzić na korytarz.

– Bardzo cierpiał – odezwał się Sebastian rzeczowym tonem; cały czas otaczał plecy żony ramieniem. – Tak jest lepiej.

– Tak – zdołała wymamrotać zdrętwiałymi wargami. – Tak, oczywiście.

– Powiedział ci coś?

– Wspomniał… o mojej matce. – Świeże łzy napłynęły jej do oczu, ale zdobyła się na słaby uśmiech. – Powiedział, że pomoże mu się zakraść tylnym wejściem

do nieba.

Sebastian zaprowadził ją do jej pokoju. Evie przycisnęła chusteczkę do nosa, opadła na łóżko i skuliła się na boku. Nigdy wcześniej nie płakała w taki sposób, bez szlochu; żal dławił ją w gardle, zgniatał pierś nieznośnym ciężarem. Jak przez mgłę słyszała, że Sebastian każe pokojówce przynieść wino i dzbanek zimnej wody.

Został z nią w pokoju, ale nie próbował się zbliżać, przez parę minut chodził tam i z powrotem, a potem usiadł na krześle przy łóżku. Było jasne, że nie chce trzymać jej płaczącej w ramionach, że odczuwa niechęć do tego rodzaju emocjonalnej bliskości. Mogła się przed nim otwierać w namiętności, ale nie w żałobie. Mimo to najwyraźniej nie zamierzał jej opuszczać.

Kiedy pokojówka przyniosła wino, Sebastian usadził Evie na posłaniu, oparł na ułożonych pod plecami poduszkach i podał jej obficie napełniony kieliszek. Następnie namoczył ręcznik w zimnej wodzie i przytknął do jej opuchniętych oczu. Zrobił to delikatnie, wręcz ostrożnie, jakby była małym dzieckiem.

– Pracownicy – wydukała po wypiciu kilku łyków wina. – Klub. Pogrzeb…

– Zajmę się wszystkim – oznajmił spokojnie. – Zamkniemy klub. Zorganizuję pogrzeb. Czy mam posłać po którąś z twoich przyjaciółek?

Evie zaprzeczyła ruchem głowy.

– To by je postawiło w trudnej sytuacji. Poza tym nie mam ochoty z nikim rozmawiać.

– Rozumiem.

Został z nią, dolał jej wina i przypilnował, by je wypiła. Czując, że czeka na jakiś znak z jej strony, Evie odstawiła pusty kieliszek na blat stolika przy łóżku.

– Chyba powinnam trochę odpocząć — powiedziała wciąż zdrętwiałymi ustami. – Nie ma potrzeby, żebyś przy mnie czuwał, skoro jest tyle do zrobienia.

Popatrzył na nią z uwagą i podniósł się z krzesła.

– Poślij po mnie, kiedy się obudzisz – powiedział i wyszedł.

Leżąc samotnie w półmroku, oszołomiona winem i przeżyciami, zastanawiała się, dlaczego ludzie twierdzą, że śmierć bliskiej osoby jest łatwiejsza, kiedy można się na nią przygotować. Ci sami ludzie mogliby dodać, że jej żal powinien być złagodzony przez to, że w sumie nie znała swojego ojca. Ale tak naprawdę przez to było jej jeszcze trudniej. Miała tak niewiele wspomnień, z których mogłaby czerpać pociechę, spędzili razem tak mało czasu. Smutkowi towarzyszyło poczucie niedosytu, gdzieś w głębi podszyte złością.

Czyżby nie zasługiwała na miłość i dlatego tak mało jej w życiu zaznała? Brakowało jej jakiejś ważnej cechy, którą przyciągałaby do siebie innych?

Czując, że zaczyna niebezpiecznie zmierzać ku użalaniu się nad sobą, z westchnieniem zamknęła oczy.

Zaraz po tym, jak Cam opuścił mieszkanie Ivo Jennera, St. Vincent zaczepił go w holu. Miał srogą minę, a jego głos mroziła arogancja.

– Jeśli moja żona znajduje pocieszenie w rytualnych cygańskich przemowach, to nie mam nic przeciwko temu, żebyś je wygłaszał. Jeśli jednak znowu ją

pocałujesz, niezależnie od tego, jak bardzo platonicznie, zrobię z ciebie eunucha.

Niektórych pewnie rozwścieczyłby sam fakt, że St. Vincent z zazdrości czepia się błahostek, podczas gdy ciało Ivo Jennera jeszcze nawet nie wystygło na łożu śmierci, tymczasem Cam tylko przyjrzał się wyniosłemu arystokracie z zaciekawieniem.

Specjalnie dobierając słowa tak, by sprawdzić przeciwnika, odpowiedział cicho:

– Gdybym jej pragnął, już bym ją miał. – Tak jak się spodziewał, lodowato niebieskie oczy St. Vincenta błysnęły ostrzegawczo, ukazując głębię uczuć, do których nigdy by się nie przyznał. Cam jeszcze nie widział tyle niewypowiedzianej tęsknoty. Cóż, każdy musiał zauważyć, że ilekroć Evie wchodziła do pokoju, St. Vincent zaczynał wibrować jak kamerton. – Można żywić ciepłe uczucia do kobiety i wcale nie chcieć z nią sypiać – oznajmił Cam. – Ale wygląda na to, że pan uważa inaczej. A może ma pan na jej punkcie obsesję i nie wyobraża sobie, że reszta ludzi może czuć inaczej?

– Nie mam obsesji na jej punkcie – warknął St. Vincent.

Cam oparł się ramieniem o ścianę i przez chwilę patrzył mu w oczy, wykrzesując z siebie resztki cierpliwości.

– Oczywiście, że pan ma. Wszyscy to widzą.

St. Vincent przeszył go wrogim spojrzeniem.

– Jeszcze jedno słowo i pójdziesz w ślady Egana.

Rohan uniósł ręce w udawanym geście poddania.

– Ostrzeżenie przyjęte. A tak na marginesie, ostatnie słowa Jennera dotyczyły Bullarda. W testamencie jest zapis na jego rzecz… Jenner życzył sobie, by został wypełniony.

St. Vincent zmrużył oczy.

– Dlaczego miałby zostawiać pieniądze Bullardowi?

Cam wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Ale na pana miejscu nie kwestionowałbym ostatniej woli Jennera.

– Jeśli to zrobię, on i tak niewiele już na to poradzi.

– Podejmie pan ryzyko, że jego duch będzie nawiedzał klub z powodu niezałatwionego interesu.

– Duch? – St. Vincent spojrzał na Cama z niedowierzaniem. – Człowieku, chyba nie mówisz poważnie?

– Jestem Cyganem – przypomniał mu Rohan. – To jasne, że wierzę w duchy.

– Tylko w połowie Cyganem. Co pozwala mi zakładać, że reszta jest choć trochę bardziej racjonalna.

– Druga połowa jest irlandzka – oświadczył Cam takim tonem, jakby go przepraszał.

– Chryste… – westchnął St. Vincent i odszedł, kręcąc głową.

Mając na głowie organizację pogrzebu, działalność klubu zakłóconą z powodu szczególnej sytuacji oraz pilną potrzebę odnowienia samego budynku, Sebastian mógł być zbyt zajęty, żeby zwracać uwagę na Evie i jej kondycję. Jednak jak

wkrótce się przekonała, często wypytywał pokojówki o to, jak długo spała, czy coś jadła i jak się miewa. Dowiedziawszy się, że wyszła bez śniadania czy lunchu, kazał posłać na górę tacę z posiłkiem, dołączając do niej bilecik z wiadomością.

Milady,

za godzinę ta taca zostanie przeze mnie skontrolowana. Jeśli wszystko, co się na niej znajduje, nie zostanie zjedzone, osobiście nakarmię cię siłą.

Bon appétit,

S.

Ku zadowoleniu Sebastiana Evie spełniła polecenie. Zastanawiała się ze złością, czy jego zachowanie wynika z troski czy stanowi próbę wymuszenia posłuszeństwa. Niedługo potem Sebastian wykazał się dużą zapobiegliwością: zapłacił szwaczce podwójną sumę, żeby jak najszybciej uszyła dla Evie trzy żałobne suknie. Niestety, dobór materiałów okazał się całkowicie chybiony.

Kobiety w pierwszym roku żałoby były zobowiązane nosić jedynie krepę, sztywną, drapiącą tkaninę wyrabianą z gumowanych nici. Nikt jej nie lubił, bo w dodatku niebezpiecznie łatwo chwytała ogień, a na deszczu marszczyła się i niemal rozpadała na strzępy. Sebastian kazał uszyć jedną suknię z grubego czarnego aksamitu, jedną – z miękkiego batystu i jedną – z kaszmiru.

– Nie mogę tego nosić – oznajmiła Evie, dotykając ostrożnie sukni rozłożonych na łóżku. Sebastian osobiście przyniósł je na górę, gdy tylko dostarczono paczkę do klubu. Stał oparty nonszalancko o ciężki, rzeźbiony słupek wezgłowia. Poza śnieżnobiałą koszulą ubrany był od stóp do głów w głęboką czerń. I jak można się było spodziewać, wyglądał w tym stroju zdumiewająco przystojnie; ciemny kolor egzotycznie kontrastował z jego jasną karnacją i włosami. Nie po raz pierwszy Evie trochę zgryźliwie zadała sobie pytanie, czy mężczyzna o tak wyjątkowej urodzie może mieć przyzwoity charakter, bo przecież bez wątpienia musiał być psuty od najwcześniejszego dzieciństwa.

– Co masz przeciwko tym strojom? – zdziwił się Sebastian. – Przecież są czarne.

– Owszem, ale nie są uszyte z krepy.

– Naprawdę chcesz nosić krepę?

– Oczywiście, że nie… Nikt nie chce. Ale jak ludzie zobaczą mnie w czymkolwiek innym, zaczną okropnie plotkować.

Sebastian uniósł jedną brew.

– Evie, uciekłaś z domu wbrew rodzinie, wyszłaś za hulakę o fatalnej reputacji i mieszkasz w klubie hazardowym. Jak sądzisz, jakie jeszcze plotki możesz wzbudzić?

Popatrzyła niepewnie na spódnicę sukni, którą miała na sobie, jednej z trzech zabranych tamtego wieczoru, gdy uciekała od Maybricków. Choć z pomocą pokojówek starała się ją doprowadzić do możliwie najlepszego porządku, brązowa wełna nadal miała plamy po podróży, a miejscami sfilcowała się od

wilgoci i błota. I powodowała swędzenie skóry. Evie miała wielką ochotę włożyć coś świeżego, miękkiego i czystego. Przejechała dłonią po fałdach czarnego aksamitu, palce zostawiły na materiale delikatny ślad.

– Musisz się nauczyć ignorować to, co mówią ludzie – doradził jej Sebastian, podchodząc bliżej. Stanął za jej plecami i oparł lekko dłonie na jej ramionach. – Będziesz wtedy znacznie szczęśliwsza. – Nagle w jego głosie pojawiły się nuty rozbawienia. – Przekonałem się, że plotki o innych są często prawdziwe, ale o nas samych – nigdy.

Evie zesztywniała, czując jego dłonie na zapięciu z tyłu sukni.

– Co robisz?

– Pomagam ci się przebrać.

– Nie chcę się przebierać. Nie teraz. Ja… och, proszę cię, przestań! — Nie ustąpił, przytrzymał ją jedną ręką, podczas gdy druga rozpinała kolejne guziki. Evie postanowiła nie wdawać się w nieprzystojną szamotaninę; z palącym rumieńcem na twarzy stała nieruchomo, czując, jak odkrywane ciało natychmiast pokrywa się gęsią skórką. — W-wolałabym, żebyś nie był wobec mnie taki rycerski.

– Określenie „rycerski" sugeruje obojętność – odparł, zsuwając suknię z jej bioder. Brązowa tkanina opadła na podłogę, układając się szorstkim pasem wokół jej stóp. – A w moim stosunku do ciebie z pewnością nie ma obojętności, kochanie.

– Nie zaszkodziłaby odrobina szacunku – wykrzyknęła, drżąc przed nim w samej bieliźnie. – Zwłaszcza po… po…

– Nie potrzebujesz szacunku. Potrzebujesz pociechy, przytulenia i pewnie solidnego dopieszczenia przeze mnie w łóżku. Ale ponieważ na to nie pozwalasz, dostaniesz masaż i kilka dobrych rad. – Położył ciepłe dłonie na jej ramionach, nagich, jeśli nie liczyć wąskich ramiączek koszuli. Zaczął rozcierać zesztywniałe mięśnie, wprawne palce sięgały łukiem górnej części pleców. Evie wydała cichy odgłos protestu i próbowała się odsunąć, ale uciszył ją syknięciem, nie przerywając masażu. — Nie jesteś już taka jak jeszcze parę dni temu – stwierdził. — Nie jesteś już niepozorną panną ani dziewicą, ani bezbronnym dzieckiem, które musi znosić życie u Maybricków. Jesteś wicehrabiną z pokaźnym majątkiem i mężem hultajem. Czyimi zasadami będziesz się obecnie kierować? — W odpowiedzi Evie tylko pokręciła głową. Odkryła, że masaż wykonywany przez Sebastiana wraz z bolesnym napięciem odbiera jej również zdolność panowania nad własnymi emocjami. Bała się, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, wybuchnie płaczem. Zachowała więc milczenie, zacisnęła powieki i starała się utrzymać równy oddech. — Do tej pory cały czas starałaś się zadowolić innych – mówił dalej Sebastian. – Z dość marnym skutkiem. Czemu dla odmiany nie spróbujesz zadowolić siebie? Dlaczego nie miałabyś żyć według własnych reguł? Co ci przyszło z przestrzegania konwenansów?

Evie zastanawiała się nad jego słowami. Wciągnęła głośno powietrze, gdy trafił na szczególnie obolałe miejsce.

– Podobają mi się konwenanse – oznajmiła po chwili. – Chyba nie ma nic złego w byciu przeciętną osobą.

– Nie ma. Ale ty nie jesteś przeciętną osobą… bo nie przyszłabyś do mnie, zamiast poślubić kuzyna Eustace'a.

– Byłam zdesperowana.

– To nie był jedyny powód. – Jego niski głos brzmiał jak kocie mruczenie. – Miałaś ochotę na takiego diabła jak ja.

– Nieprawda, wcale nie miałam! Nie mam!

– Podobało ci się przypieranie do muru mnie, niesławnego rozpustnika, w moim własnym domu propozycją, której nie mogłem odrzucić. Nie próbuj zaprzeczać. Znam cię już wystarczająco dobrze.

O dziwo, mimo żałoby i zmęczenia Evie poczuła, jak uśmiech sam wpełza jej na usta.

– Może i mi się podobało przez chwilę – przyznała. – A już na pewno cieszyła mnie świadomość, że moja rodzina wpadnie w furię, jak się o tym dowie. – Uśmiech zgasł. – Jakże nienawidziłam mieszkania z nimi pod jednym dachem! Że też ojciec mnie przy sobie nie zatrzymał… Mógł opłacić kogoś, kto by się mną opiekował…

– Dobry Boże – westchnął Sebastian bez cienia współczucia. – Dlaczego miałby chcieć mieć koło siebie małe dziecko?

– Bo byłam jego rodziną. Bo miał tylko mnie!

Sebastian pokręcił głową.

– Mężczyźni nie myślą w taki sposób, skarbie. Twój ojciec zakładał, całkiem słusznie, że będzie ci lepiej z dala od niego. Wiedział, że nie wyjdziesz dobrze za mąż, jeśli nie zostaniesz wychowana w godnych warunkach.

– Ale gdyby wiedział, jak Maybrickowie mnie traktowali… Jaką robili mi krzywdę…

– Skąd przekonanie, że twój ojciec nie postępowałby tak samo? — spytał Sebastian, wprawiając ją w osłupienie. – Był bokserem, na litość boską. Znanym z porywczości. Mogłabyś nieraz poczuć jego ciężką rękę, gdybyś go częściej widywała.

– Nie wierzę! – gorączkowała się Evie.

– Nie ma co się unosić – mruknął Sebastian, sięgając po aksamitną suknię. – Jak już mówiłem, sam nigdy nie uderzyłbym kobiety, z żadnego powodu. Ale świat jest pełen mężczyzn, którzy nie mają tego rodzaju skrupułów, i twój ojciec prawdopodobnie do nich należał. Możesz zaprzeczać, jeśli chcesz, ale nie bądź aż tak naiwna, by stawiać Jennera na piedestale, kochanie. Na tle swojego środowiska — melin, jaskiń hazardu, rozmaitych obwiesi, kryminalistów i naciągaczy – był dość przyzwoitym człowiekiem. Jestem pewien, że przyjąłby tę pochwałę z zadowoleniem. Podnieś ramiona. – Zręcznie nałożył jej suknię przez głowę, obciągnął mięsiste fałdy spódnicy na biodrach i pomógł jej wsunąć ręce do rękawów. – Takie życie nie jest dla ciebie – rzekł z przekonaniem. – Pasujesz do jakiejś wiejskiej posiadłości, siedzenia na kocu rozłożonym na trawie, jedzenia truskawek ze śmietaną. Przejażdżek bryczką. Odwiedzania przyjaciół. Kiedyś prawdopodobnie pozwolisz, żebym ci spłodził dziecko. Będziesz miała zajęcie. I wspólne tematy z przyjaciółkami, które bez wątpienia zaczęły już rozród.

Zaskoczona bardziej tonem niż treścią tego, co usłyszała, Evie wpatrywała się

w urodziwą twarz Sebastiana. Jakby proponował, że kupi jej szczeniaka. Naprawdę był aż tak bezduszny czy tylko takie sprawiał pozory?

– Czy dziecko w ogóle by cię interesowało? – odważyła się zapytać.

– Nie, kotku. Nie nadaję się na oddanego męża i ojca, podobnie jak twój ojciec. Ale dopilnuję, żeby niczego ci nie brakowało. – W jego oczach pojawił się przewrotny błysk. – Z entuzjazmem wezmę za to udział w powoływaniu dzieci na świat. — Stanął za nią, żeby zapiąć suknię. — Zastanów się, czego chcesz – poradził. – Bo możesz mieć prawie wszystko. O ile odważysz się po to sięgnąć.

ROZDZIAŁ 11

Wszelkie przyjazne uczucia, jakie Evie żywiła do męża, wyparowały już następnego ranka, kiedy Sebastian opuścił klub i udał się do madame Bradshaw. Zakończył przygotowania do pogrzebu, który miał się odbyć nazajutrz, i skupił całą uwagę na interesach. Klub Jennera zamknął swe podwoje dla gości na dwa tygodnie, by specjalnie zatrudnione ekipy stolarzy, murarzy i malarzy mogły w tym czasie gruntownie odnowić budynek.

Sebastian zaczął również wprowadzać istotne zmiany w organizacji klubowej działalności, awansując Cama na swojego zastępcę. W świetle pochodzenia Rohana decyzja wydawała się kontrowersyjna. Cyganie powszechnie uchodzili za ludzi o lepkich rękach i pokrętnej naturze. Ustanowienie Cama odpowiedzialnym za przyjmowanie i wypłacanie dużych sum pieniędzy oraz rozstrzyganie, czy wynik gry nie budzi zastrzeżeń, mogło być przez niektórych postrzegane jak wyznaczenie kota do pilnowania gniazda z pisklakami. Władza związana z nowym stanowiskiem sięgała tak daleko, że nawet sam Sebastian nie mógł kwestionować jego decyzji. Niemniej Cam był dobrze znaną i ogólnie lubianą postacią, więc Sebastian miał pewność, że członkowie klubu zaakceptują go w nowej roli. Poza tym żaden z pozostałych trzydziestu pracowników nie miał kwalifikacji do zarządzania salą gier.

Dziewczyny mieszkające na stałe w klubie zostały odprawione, należało więc przedsięwziąć jakieś kroki, by po ponownym otwarciu klubu goście mieli dostęp do damskiego towarzystwa. Ku niezadowoleniu Evie Cam zgodził się z Sebastianem, że umowa z madame Bradshaw będzie doskonałym rozwiązaniem problemu. Naturalnie Sebastian postanowił osobiście przedstawić jej tę propozycję. Znając seksualny apetyt męża, Evie nie miała wątpliwości, że jego wizyta u madame Bradshaw nie ograniczy się do biznesowych negocjacji. Sebastian nie spał z nikim od czasu ich wyprawy do Gretna Green, mogła więc zakładać, że jest wyposzczony i chętnie wykorzysta okazję.

Evie powtarzała sobie w kółko, że przecież nic jej to nie obchodzi. Mógł sobie spać i z dziesięcioma kobietami… z setką… tysiącem… a jej nic by to nie obeszło. Przecież nie była idiotką. Równie dobrze można by wymagać wierności od kocura, który włóczy się bocznymi uliczkami i zaczepia każdą napotkaną kocicę.

Mocno wzburzona pod stoicką fasadą, Evie wyszczotkowała włosy i upięła je w fantazyjną koronę. Następnie odwróciła się od niewielkiego lusterka stojącego na komodzie i odłożyła szczotkę. Błysk ślubnej obrączki przyciągnął jej wzrok. Wygrawerowane na niej celtyckie słowa brzmiały jak drwina.

– „W tobie pokładam swoją miłość" – przeczytała szeptem pełnym goryczy i ściągnęła z palca złoty krążek. Nie widziała powodu, by go nosić, skoro jej małżeństwo było jednym wielkim oszustwem.

Zamierzała odłożyć obrączkę na komodę, lecz po sekundzie namysłu wrzuciła ją do kieszeni; postanowiła poprosić Cama, żeby schował klejnot do klubowego sejfu. Kiedy już miała wychodzić z pokoju, usłyszała pukanie do drzwi. Nie mógł to być Sebastian, bo on nigdy nie pukał.

Evie otworzyła i ujrzała w progu masywną postać Jossa Bullarda.

Bullard nie budził wprawdzie jawnej niechęci reszty pracowników, ale Cam cieszył się wśród nich zdecydowanie większą popularnością. A ponieważ byli mniej więcej w jednym wieku, często ich ze sobą porównywano i Bullard wypadał tym bardziej niekorzystnie. Mało który mężczyzna dorównywał Camowi, który oprócz nieco mrocznej urody miał wyjątkowy urok osobisty i cierpkie poczucie humoru, przysparzające mu sympatii ze strony zarówno kolegów, jak i członków klubu. Bullard natomiast stronił od żartów, nie był zadowolony ze swego życia i zazdrościł wszystkim, których – jego zdaniem – los potraktował łaskawiej. Evie wyczuwała, że trudno mu zachować wobec niej choćby pozory życzliwości, i traktowała go uprzejmie, lecz z pewną nieufnością.

Teraz patrzył na nią nieruchomym, twardym wzrokiem.

– Jakaś osoba przy tylnym wejściu pyta o panią, milady.

– Osoba? – Evie przestraszyła się, że wujowie w końcu odkryli, gdzie mieszka. Wiadomość o śmierci Jennera, czasowym zamknięciu klubu i jej obecności w tym miejscu musiała szybko się rozznieść po Londynie. – Kto? J-jakie podała nazwisko?

– Kazano mi powiedzieć, że chodzi o panią Hunt, milady.

Annabelle. Nazwisko przyjaciółki przyniosło Evie natychmiastową ulgę. Ucieszyła się, choć trudno jej było uwierzyć, że Annabelle odważyła się przyjechać do klubu hazardowego.

– To dobra wiadomość! – wykrzyknęła. – Proszę ją przyprowadzić na górę, do salonu mojego ojca.

– Kazano mi powiedzieć, że to pani musi przyjść do tylnego wyjścia, milady.

– Aha. – Annabelle, dziewczyna wychowana pod kloszem, nie mogła czekać w takim miejscu!

Evie, pełna troski, bez zwłoki ruszyła przed siebie, żeby jak najszybciej dotrzeć do przyjaciółki. Wyprzedziła Bullarda i niemal zbiegła po schodach, po drodze tylko parę razy chwytając się poręczy. Zanim znalazła się na dole, serce waliło jej głośno. Z pewnym wysiłkiem zdołała otworzyć ciężkie drzwi… i cofnęła się zdumiona, gdy zobaczyła nie smukłą postać Annabelle Hunt, lecz zwalistą sylwetkę wuja Peregrine'a.

Wszystkie myśli nagle uleciały jej z głowy. Przez moment patrzyła na wuja zszokowana, a potem cofnęła się z przestrachem. Peregrine zawsze chętnie

używał pięści, wymuszając na niej posłuszeństwo. Nie miało dla niego znaczenia, że obecnie była wicehrabiną St. Vincent i nie miał prawa decydować o jej życiu. Mogła się spodziewać, że wykorzysta każdą sposobność do zemsty i zacznie od brutalnego pobicia.

Odwróciła się, gotowa uciekać jak najdalej, ale ku jej zaskoczeniu Bullard przesunął się, zastępując jej drogę.

– Obiecał mi suwerena, żebym panią sprowadził – rzucił tonem wyjaśnienia. – Zwykle tyle wyciągam na miesiąc.

– Nie! – krzyknęła, próbując go odepchnąć. – Nie… dam ci, ile zechcesz… tylko proszę, nie pozwól, żeby mnie zabrał!

– Jenner kazał pani z nimi mieszkać przez te wszystkie lata – powiedział drwiąco Bullard. – Nie chciał pani tutaj. Nikt nie chce. — Kiedy zaczęła głośno protestować, bezlitośnie pchnął ją w stronę wuja, który zmarszczył nalaną twarz w wyrazie triumfu. — Proszę, zrobiłem, co pan kazał – Bullard zwrócił się do człowieka stojącego tuż za Peregrine'em. Evie rozpoznała swojego drugiego krewnego, wuja Brooka. – Należy się zapłata.

Brook, wyraźnie skrępowany i jakby trochę zawstydzony transakcją, wręczył mu suwerena.

Peregrine chwycił Evie tak mocno, że poczuła się bezbronna niczym królik chwycony za skórę na karku. Duże, płaskie oblicze wykrzywiał gniew.

– Ty głupia, nic niewarta dziewucho! – wrzasnął, potrząsając nią gwałtownie. – Gdybyś nie była nam jeszcze trochę potrzebna, pozbyłbym się ciebie jak śmiecia. Co ty sobie wyobrażałaś, że jak długo będziesz się przed nami ukrywać? Sowicie nam za to zapłacisz, obiecuję!

– Bullard, niech go pan powstrzyma, proszę! – krzyczała Evie rozpaczliwie, próbując się wyrwać Peregrine'owi, który ciągnął ją w stronę czekającego powozu. – Nie!

Jednak Bullard nie wykonał żadnego gestu, by udzielić jej pomocy. Stojąc w progu, patrzył na nią nienawistnym wzrokiem. Nie rozumiała, co sprawiło, że tak nią pogardzał. Dlaczego nie było tam nikogo, kto by jej pomógł? Dlaczego nikt nie odpowiadał na jej wołanie? Szarpała się i wyrywała; gruba suknia utrudniała jej ruchy, wynik walki był z góry przesądzony – nie miała żadnych szans. Rozwścieczony stawianym przez nią oporem, Peregrine warknął:

– Uspokój się, cholerna diablico!

Nagle Evie kątem oka dostrzegła chłopca wychodzącego ze stajni. Na widok szamotaniny zatrzymał się niepewnie.

– Sprowadź Cama… – zawołała do niego resztką sił. Peregrine zatkał jej usta, żeby stłumić krzyk. Bez namysłu wbiła zęby w mięsistą dłoń. Wuj zawył wściekle i cofnął rękę, co natychmiast wykorzystała, by jeszcze raz zawołać: — Cam! – Zaraz potem otrzymała cios w ucho.

Peregrine pchnął ją do Brooka. Jego pociągła twarz rozmazywała się jej przed oczami.

– Wsadź ją do powozu – rozkazał Peregrine, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę, żeby obwiązać krwawiącą dłoń.

Brutalnie popychana, Evie zdołała się odwrócić i na oślep uderzyć Brooka

w szyję tuż pod brodą. Zaskoczony, wypuścił ją i zaczął głośno chwytać powietrze.

Peregrine natychmiast znów ją złapał i rzucił na boczną ścianę powozu. Uderzyła głową w twarde drewno, poczuła przeszywający ból w czaszce, jasne punkty zamigotały jej w oczach. Niemal oślepiona, bezradnie machała rękami, wpychana do kabiny pojazdu.

Ku jej zaskoczeniu w środku czekał kuzyn Eustace, blady i tłusty, jak mały wieloryb usadzony na kanapie. Unieruchomił ją, przyciskając do swego masywnego, cuchnącego potem ciała; pulchne przedramię naciskające na jej gardło wykazywało zaskakująco dużą siłę.

– Mam cię – powiedział, dysząc z wysiłku. – Nieznośna suko, złamałaś obietnicę, że za mnie wyjdziesz. Ale rodzice mówią, że to mnie się należy twoja fortuna, i zdobędą ją dla mnie, nieważne jakim kosztem.

– Jestem już zamężna – wychrypiała Evie. Miała wrażenie, że się dusi, przygniatana zwałami ludzkiego ciała, jakby została w całości pożarta przez jakieś egzotyczne podwodne stworzenie.

– Nic ci to nie da. Unieważnimy tamto małżeństwo. Chciałaś mnie zrujnować, ale ci się nie udało. – Eustace mówił tonem nadąsanego chłopca. – Lepiej mnie nie denerwuj, kuzynko. Ojciec powiedział, że mogę z tobą robić, co tylko zechcę, kiedy już się pobierzemy. Jak by ci się podobało siedzenie przez tydzień w szafie zamkniętej na klucz?

Evie nie mogła wciągnąć dość powietrza, żeby mu odpowiedzieć. Grube ramiona wciskały ją w miękki jak ciasto brzuch. Łzy bólu i rozpaczy zbierały się w kącikach jej oczu.

Nagle poprzez szum w uszach usłyszała nowy dźwięk dobiegający z zewnątrz – okrzyki i przekleństwa. Potem drzwi powozu otworzyły się gwałtownie i ktoś wskoczył do środka. Evie wykręciła głowę, żeby zobaczyć kto to. Na widok znajomej złotej czupryny z jej gardła wydarło się westchnienie podobne do szlochu.

Nigdy wcześniej nie widziała Sebastiana w takim stanie — wyniosłość i opanowanie zniknęły bez śladu, miotała nim dzika furia. Przeszył morderczym spojrzeniem Eustace'a, któremu zaczął się trząść tłusty podbródek.

– Daj mi ją! — rzucił Sebastian z wściekłością. – Natychmiast, ty kupo gówna, bo urwę ci łeb! — Najwyraźniej przekonany, że Sebastian może spełnić groźbę, Eustace zwolnił uścisk. Evie rzuciła się w stronę swego wybawcy, wciągając powietrze z głośnym świstem. — Spokojnie, kochanie – wymruczał i przygarnął ją do siebie delikatnie. – Jesteś już bezpieczna. – Mówił spokojnie, ale Evie czuła, że cały dygocze ze złości. — Następnym razem, jak cię zobaczę, nieważne w jakich okolicznościach, zabiję cię – zwrócił się do Eustace'a, który próbował wcisnąć swoje galaretowate ciało w najdalszy kąt kanapy. – Żadne prawo, żadna broń, nawet sam Bóg temu nie zapobiegnie. Dlatego jeśli życie ci miłe, nigdy więcej nie wchodź mi w drogę. – Po tych słowach zagarnął Evie w ramiona i wyniósł z powozu, zostawiając w nim oniemiałego ze strachu Eustace'a.

Evie powoli odzyskiwała naturalny rytm oddechu; przywierając kurczowo do męża, rozejrzała się z lękiem. Wyglądało na to, że Cam, powiadomiony

o awanturze, przybył z odsieczą i obezwładnił jej wujów. Brook leżał na ziemi, a Peregrine cofał się chwiejnie, purpurowy na twarzy z zaskoczenia i złości.

Zatoczyła się, kiedy Sebastian postawił ją na ziemi, i natychmiast podtrzymana, przytuliła policzek do jego ramienia. Sebastian wyglądał, jakby wrzał w nim gniew – zimne powietrze zamieniało jego oddech w obłoczki pary. Obejrzał Evie szybko, ale dokładnie, i zapytał zaskakująco miękkim głosem:

– Nic ci się nie stało, Evie? Spójrz na mnie, kochanie. Tak. Skarbie… Czy oni ci coś zrobili?

– N-nie. – Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Mój wuj Peregrine… jest bardzo silny… – wyszeptała.

– Poradzę sobie z nim – zapewnił ją, a następnie zawołał do Cama: — Rohan! Chodź tu i ją zabierz.

Młody człowiek usłuchał od razu; znalazł się przy Evie w kilku długich, płynnych krokach. Powiedział do niej parę obco brzmiących słów, które podziałały kojąco na jej nadwerężone nerwy.

Niepewna, czy powinna z nim odejść, obejrzała się na Sebastiana.

– W porządku – rzucił, nie patrząc na nią, skupiony na osobie Peregrine'a. – Idź.

Evie wzięła Cama pod ramię i pozwoliła się odprowadzić na bok.

– Jak to miło, że złożył nam wuj wizytę – usłyszała ociekający ironią głos Sebastiana. – Zapewne po to, żeby nam powinszować na nowej drodze życia, prawda?

– Przyjechałem zabrać swoją siostrzenicę – warknął w odpowiedzi Peregrine. – Obiecano jej rękę mojemu synowi. Wasze nielegalne małżeństwo straci ważność!

– Ona należy do mnie – wycedził mu w twarz Sebastian. – Chyba nie jesteś aż tak głupi, by sądzić, że pozwolę jej tak po prostu odejść.

– Doprowadzę do anulowania waszego małżeństwa – oznajmił Peregrine.

– To byłoby możliwe tylko w przypadku, gdyby małżeństwo nie zostało skonsumowane. A zapewniam cię, że zostało.

– Mamy lekarza, który obiecał zeznać, że jej dziewictwo jest nienaruszone.

– Akurat – rzucił Sebastian tonem mrożącym krew w żyłach. – Zdajesz sobie sprawę, w jakim świetle by mnie to postawiło? Zbyt ciężko pracowałem na swoją reputację, nie pozwolę, by splamiła ją jakakolwiek sugestia o mojej rzekomej impotencji. – Zdjął z siebie surdut i rzucił do Cama, który złapał go jedną ręką. Przez całą rozmowę ani razu nie oderwał wzroku od twarzy Peregrine'a. – Nie przyszło ci do głowy, że może już być ze mną w ciąży?

– Jeśli nawet, temu też da się zaradzić.

Evie nie do końca rozumiała, co wuj ma na myśli, ale odruchowo skuliła się w opiekuńczym uścisku Cama. Poczuła, jak jego ramię tężeje, a w oczach skierowanych na Peregrine'a pojawia się błysk nienawiści.

– Nie martw się, kochana – powiedział szeptem.

Sebastian wyraźnie poczerwieniał po ostatnich słowach Peregrine'a, zmrużył oczy w grymasie wściekłości.

– Urocze – wysyczał. – Prędzej sam bym ją zabił, niż ci ją oddał.

Peregrine stracił resztki opanowania; rzucił się w jego stronę z dzikim rykiem.

– Rozgniotę cię, jeśli będzie trzeba, ty wymuskany skurwysynu!

Evie wstrzymała oddech, widząc, że Sebastian schodzi z drogi szarżującemu Peregrine'owi, a potem czeka, aż przeciwnik zawróci.

– Głupiec – mruknął pod nosem Cam. – Powinien był podstawić mu nogę – zamilkł gwałtownie, kiedy Sebastian, powstrzymawszy z pewnym trudem cios wymierzony potężną pięścią Peregrine'a, wymierzył mu szybki prawy sierpowy w szczękę. Uderzenie, choć silne, nie wywarło specjalnego wrażenia na masywnie zbudowanym wuju. Z przerażeniem patrzyła, jak mężczyźni okładają się nawzajem z zapamiętaniem. Jej mąż zdecydowanie górował nad rywalem zręcznością, jednak Peregrine zdołał go trafić kilka razy tak mocno, że Sebastian aż się zatoczył do tyłu.

Z klubu zaczęli wychodzić pracownicy i zagrzewać Sebastiana do walki głośnymi okrzykami, pojawiali się też uliczni gapie zwabieni hałasem. Wkrótce scenę potyczki otoczył krąg obserwatorów.

Evie z rozpaczą ścisnęła ramię Cama.

– Zrób coś – jęknęła błagalnie.

– Nie mogę.

– Przecież umiesz się bić. Ojciec zawsze mówił…

– Nie – przerwał jej zdecydowanie. – To jego walka. Gdybym teraz wkroczył między nich, wyszłoby na to, że sam sobie nie poradzi.

– Ale on sobie nie poradzi! – Wzdrygnęła się, gdy Sebastian znów poleciał do tyłu, ugodzony brutalnym ciosem Peregrine'a.

– Nie doceniasz go – powiedział Cam, obserwując z uwagą przebieg walki. Sebastian szybko odzyskał równowagę i ruszył do natarcia. – Niezły z niego gość. Ma świetny prawy sierpowy. Na nogach też dobrze się trzyma. Mężczyźni jego wzrostu zwykle nie są tacy szybcy. Gdyby tylko… cholera, stracił dobrą okazję… – zamilkł, a zaraz potem cmoknął z uznaniem, gdy Sebastian, zamachnąwszy się lewą ręką, powalił przeciwnika na ziemię. – Co za strzał! – krzyknął. – Uderza mocno i precyzyjnie. Potrzeba mu jedynie paru dobrych wskazówek.

Jęcząc z bólu, Peregrine leżał na ziemi; sprawiał wrażenie, jakby nie widział mężczyzny, który się nad nim pochyla.

Pracownicy klubu, uznawszy walkę za zakończoną, podchodzili do Sebastiana z gratulacjami; klepali go przyjaźnie po plecach i zapewniali, że wcale nie jest takim mięczakiem, za jakiego go uważali. Sebastian przyjął dwuznaczne pochwały z ironicznym wyrazem twarzy, po czym dopilnował, by obezwładnionego przeciwnika zapakowano do powozu.

Cam odwrócił Evie twarzą do siebie.

– Powiedz mi, jak to się zaczęło – poprosił. – Teraz, zanim twój mąż do nas podejdzie.

Evie szybko opowiedziała mu o tym, jak Bullard podstępnie zwabił ją na dół, a potem wydał w ręce krewnych w zamian za suwerena. Z nerwów jąkała się bardziej niż zwykle, ale Cam zdołał zrozumieć wszystko, co najważniejsze.

– W porządku – mruknął z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Zajmę się Bullardem. A ty idź się zaopiekować St. Vincentem. Będzie cię potrzebował.

Mężczyźni zawsze po walce są nabuzowani.

Evie bezradnie pokręciła głową.

– Nabuzowani? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Domyślisz się – odparł z błyskiem rozbawienia w oczach.

Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, dołączył do nich Sebastian. Wyraźnie nie był zachwycony serdecznością Cama wobec Evie. Twarz mu spochmurniała.

– Chcę wiedzieć, co to za cholerna historia – oznajmił ze złością, przyciągając Evie do siebie zaborczym gestem. – Wyjeżdżam na dwie godziny w spokojny niedzielny poranek, a po powrocie zastaję to miejsce przewrócone do góry nogami…

– Ona wszystko wyjaśni – przerwał mu Cam. Jego uwagę przykuła postać na placu przed stajnią. – Przepraszam, ale muszę czegoś dopilnować. – Lekko przeskoczył barierkę, przy której stali, i zniknął w tłumie gapiów.

ROZDZIAŁ 12

Cam znalazł Jossa Bullarda niedaleko stajni. Zbliżył się do niego ostrożnie. Bullard dyszał głośno, nozdrza mu chodziły, białka oczu błyskały groźnie. Nigdy nie żyli w przyjaźni. Ich stosunki przypominały raczej rywalizację rodzeństwa mieszkającego pod jednym dachem, a Jenner stanowił dla obu namiastkę ojca. Jako chłopcy bawili się razem i walczyli ze sobą. Jako dorośli pracowali ramię w ramię. Po wielu drobnych aktach dobroci, jakie Jenner wyświadczył Bullardowi, Cam nigdy by się nie spodziewał, że Joss może postąpić tak podle. Oszołomiony i wściekły, wolno pokręcił głową, nie odrywając od niego wzroku.

– Nie wiem, dlaczego im ją oddałeś – zaczął. — Ani co miałeś nadzieję przez to zyskać…

– Dostałem za to suwerena – odpalił Bullard. – I była okazja pozbyć się tej głupiej jąkały.

– Oszalałeś?! – wykrzyknął Cam ze złością. – Co z tobą? Rozmawiamy o córce Jennera. Nie powinieneś był tego robić, nawet gdyby oferowano ci pieprzoną fortunę!

– Nigdy nie zrobiła nic dla Jennera – przerwał mu Bullard. – Ani dla klubu. Przychodzi jako ostatnia, żeby patrzeć, jak wyciąga nogi, a potem zgarnia wszystko. Do diabła z tą jaśnie wielmożną suką i jej cholernym mężem!

Cam słuchał go uważnie, ale i tak nie odkrył powodu zazdrości Bullarda. Cygan rzadko rozumiał niechęć do cudzego bogactwa. Pieniądze służyły do tego, by je wydawać i dostarczać sobie przyjemności. W taborze, z którym Cam wędrował do dwunastego roku życia, nikomu nawet nie przyszło do głowy chcieć więcej, niż potrzebował. Człowiek mógł mieć na sobie tylko jedno ubranie i jechać na jednym koniu.

– Była jedynym dzieckiem Jennera – powiedział po chwili milczenia. – To, co jej dał, nie ma nic wspólnego z tobą czy ze mną. Nie ma nic gorszego, niż zawieść zaufanie osoby, która wierzy, że będziesz ją chronić. Żeby ją zdradzić… pomóc ludziom, którzy chcieli zabrać ją stąd wbrew jej woli…

– Zrobiłbym to jeszcze raz! – Bullard splunął na ziemię pomiędzy nimi.

Cam przyglądał się mu uważnie. Zauważył, że jest w kiepskiej kondycji. Cerę miał bladą i zniszczoną, oczy dziwnie zamglone.

– Jesteś chory? – spytał cicho. – Jeśli tak, to mi powiedz. Wstawię się za tobą

u St. Vincenta. Może uda mi się go…

– Niech cię szlag trafi! Nie chcę cię znać, półcygański pomiocie. Mam dość was wszystkich!

Gwałtowna nienawiść w głosie Bullarda nie pozostawiała wątpliwości. Nie było dla niego powrotu. Pozostawało jedynie pytanie, czy Cam powinien wziąć go za kołnierz i zawlec do klubu, czy pozwolić mu uciec. Przypomniał sobie złowieszczy błysk w oczach St. Vincenta i pomyślał, że wicehrabia mógłby naprawdę zabić Bullarda, gdyby nadarzyła się okazja, a to oznaczałoby wiele nieprzyjemności dla wszystkich, zwłaszcza dla Evie. Nie… lepiej było pozwolić, by Bullard zniknął.

Patrząc na młodego człowieka o topornych rysach, którego znał od tylu lat, wolno pokręcił głową. Ludzie z jego taboru nazywali to zagubieniem duszy. Człowiek wpadał w pułapkę jakichś mrocznych pozaziemskich mocy. Tylko jak to się przydarzyło Bullardowi? I kiedy?

– Lepiej, żebyś się trzymał z dala od klubu – ostrzegł półgłosem. – Jeśli St. Vincent cię złapie…

– Niech zgnije w piekle – warknął Bullard, zamierzając się na Rohana.

Zdziwiony, Cam zręcznie uniknął spotkania z jego pięścią i odsunął się na bok. Zmrużonymi oczami patrzył, jak przeciwnik odwraca się i ucieka.

Po chwili jego uwagę zwróciło nerwowe parsknięcie konia przywiązanego do stojącego nieopodal słupka. Ostrożnie wyciągnął rękę i pogłaskał atłasową szyję zwierzęcia. Złote pierścionki na smukłych palcach zalśniły w popołudniowym słońcu.

– Był głupcem – powiedział cicho, uspokajając konia głosem i dotykiem. Z westchnieniem pomyślał o innej sprawie. – Jenner zostawił mu zapis… a ja obiecałem dopilnować, że dostanie, co mu się należy. I co mam teraz zrobić?

Sebastian wciągnął Evie do klubu, gdzie po tumulcie ulicy ogarnęła ich wręcz nienaturalna cisza. Starała się nadążyć za jego długimi krokami, ale gdy w końcu dotarli do czytelni na głównym piętrze, głośno łapała oddech z wysiłku. Na mahoniowych półkach stały rzędy oprawnych w skórę tomów. Gazety i czasopisma w wielkim wyborze udostępniano na stojakach z rzędami sprytnie wymyślonych ruchomych kołków. Sebastian wepchnął Evie do środka, wszedł za nią i zdecydowanym ruchem zamknął za sobą drzwi.

– Czy coś ci zrobili? – spytał szorstko.

– Nie. – Evie próbowała się gryźć w język, żeby powstrzymać dalsze słowa, ale same wydarły się z jej ust. – Dlaczego tak długo tam zabawiłeś? Nie było cię tu akurat, kiedy byłeś mi potrzebny!

– Miałaś trzydziestu pracowników, którzy powinni byli cię chronić. A w ogóle po co schodziłaś na dół? Należało zostać na górze, dopóki się nie dowiedziałaś z całą pewnością, kto przyszedł.

– Bullard powiedział mi, że to Annabelle Hunt na mnie czeka przy wejściu. A później, kiedy zobaczyłam, kto naprawdę tam stoi, nie wpuścił mnie z powrotem do klubu. Wepchnął mnie prosto w ręce wuja.

– Dobry Boże… – Sebastian zrobił wielkie oczy. – Rozerwę na strzępy tego łotra…

– A kiedy to wszystko się działo – ciągnęła Evie ze złością – ty leżałeś w łóżku z prostytutką! – Dopiero słysząc samą siebie, zrozumiała, że właśnie to stanowiło dla niej największy problem, większy niż zdrada Bullarda czy napaść wujów. Aż się w niej gotowało ze złości, że Sebastian zdradził ją tak szybko.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Wcale nie.

– Nie kłam. – Powietrze między nimi niemal iskrzyło od wzajemnej złości. – Wiem, że tak było.

– A niby skąd ta cholerna pewność?

– Ponieważ spędziłeś u madame Bradshaw ponad dwie godziny!

– Rozmawiałem z nią o interesach. Rozmawiałem, Evie! Jeśli w to nie wierzysz, możesz iść do diabła. Gwarantuję ci, że gdybym z kimś spał, byłbym o wiele spokojniejszy, niż jestem.

Evie patrzyła w jego oczy, twarde i zimne niczym zamarznięty staw, i czuła, jak gniew zaczyna z niej uchodzić. Nie miała wyboru, musiała mu uwierzyć. Był autentycznie urażony jej podejrzeniem.

– Aha – bąknęła.

– Aha? Tylko tyle masz do powiedzenia?

– Chyba… nie powinnam była wyciągać pochopnych wniosków. Ale znając twoją przeszłość… zakładałam…

Niezdarna próba przeprosin skruszyła resztki cierpliwości Sebastiana.

– No cóż, twoje założenia były błędne! Jeśli jeszcze nie zauważyłaś, to jestem tak cholernie zajęty, że nie mam wolnej minuty w ciągu dnia. Nie mam czasu na takie rozrywki. A gdybym miał… – urwał gwałtownie. W niczym nie przypominał już eleganckiego wicehrabiego, którego Evie obserwowała kiedyś z daleka w salonie lorda Westcliffa. Stał przed nią w potarganym ubraniu, posiniaczony i wściekły. I do tego dziwnie ciężko oddychał. – A gdybym miał... – zaczął jeszcze raz i znów zamilkł, nagle poczerwieniały na twarzy.

Evie wychwyciła moment, gdy przestał nad sobą panować. Zdjęta niepokojem, rzuciła się ku zamkniętym drzwiom. W połowie pierwszego kroku została schwytana i przyciśnięta do ściany jego ciałem. Zapach mokrej od potu bielizny i męskiego podniecenia wypełnił jej nozdrza.

Sebastian przywarł rozchylonymi ustami do jej skroni i na chwilę zastygł w bezruchu, a potem językiem dotknął koniuszka jej brwi. Gorący oddech owiewał wilgotną plamkę na skórze, budził dreszcze rozchodzące się po całym ciele. Powoli przeniósł wargi na jej ucho, badał czubkiem języka każde zagłębienie małżowiny.

Evie miała wrażenie, że jego szept wychodzi z najciemniejszej głębi jej umysłu.

– Gdybym miał, Evie… to już dawno zdarłbym z ciebie ubranie. Już dawno rzuciłbym cię na dywan, dopadłbym twoich piersi, całowałbym je, lizał, aż brodawki zrobiłyby się twarde jak młode jagody… Wtedy chwyciłbym je delikatnie zębami… — Czuła, że to, co mówi, ma na nią hipnotyczny wpływ.

Zaczynało jej się kręcić w głowie. — Całowałbym cię całą, centymetr po centymetrze, przesuwając się w dół, do tych słodkich rudych kędziorów. Przedarłbym się przez nie i odnalazł twoją małą perełkę. Bawiłbym się nią… obwodził językiem i lizał… aż zaczęłabyś mnie błagać… Wtedy zacząłbym ssać. Niezbyt mocno. Na tyle delikatnie, byś zaczęła krzykiem dopominać się o więcej… Wsunąłbym w ciebie język i napawał się twoim smakiem. Nie przestawałbym, dopóki nie byłabyś cała wilgotna i drżąca. Dopiero po tych torturach wszedłbym w ciebie… posiadł cię… — urwał raptownie. Stali nieruchomo; ciszę rozpraszały jedynie ich nienaturalnie głośne, przyśpieszone oddechy. Dopiero po długiej chwili spytał ledwie słyszalnym szeptem: — Jesteś cała wilgotna, prawda? — Evie nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Dobrze rozumiała, o co ją pyta. Z twarzą rozpaloną rumieńcem wstydu skinęła głową. — Pragnę cię bardziej niż czegokolwiek na świecie. – Sebastian z trudem wciągnął powietrze. – Powiedz, co mam zrobić, żeby cię mieć. Jaki warunek muszę spełnić, żebyś wpuściła mnie do swojego łóżka.

Próbowała go od siebie odsunąć, uwolnić się od ciężaru jego ciała, który działał na nią podniecająco, całkowicie wbrew jej woli.

– N-nic nie możesz zrobić. Ponieważ chciałabym od ciebie tej jednej rzeczy, której nie możesz mi dać. Chciałabym twojej wierności, a przecież ty nie jesteś do niej zdolny.

– Jestem. – Zapewnienie padło zbyt szybko. Zalatywało nieszczerością.

– Nie sądzę – powiedziała cicho.

Ujął jej twarz w dłonie, przesunął kciukami w poprzek policzków.

– Evie… – szepnął z ustami tuż przy jej ustach – nie mogę dotrzymać naszej umowy. Nie jestem w stanie mieszkać z tobą, widywać cię codziennie i cię nie mieć. Nie mogę… – Czuł, jak cała drży. Pochylił się i pocałował ją w szyję tuż pod uchem. Wszystkie jej zmysły odpowiadały żywo na gorący dotyk jego ust, erotyczny i delikatny zarazem, na pieszczotę palców błądzących po wypukłościach piersi…

Słysząc tłumione westchnienie, przywarł do jej ust namiętnym pocałunkiem. Wargi łaskotały ją przyjemnie od zmysłowego nacisku, ale resztką woli odwróciła głowę.

– Nie, Sebastianie.

Potarł policzkiem o jej włosy. Coś w zaistniałej sytuacji musiało go rozbawić, bo parsknął ironicznym śmiechem.

– Będziesz musiała znaleźć jakieś rozwiązanie, Evie. Wymyśl coś szybko, bo w przeciwnym razie… – pieszczotliwie skubnął zębami płatek jej ucha — … w przeciwnym razie rzucę się na ciebie i będę cię chędożył do utraty tchu.

Żachnęła się.

– To słowo… — zaczęła tonem pełnym urazy, ale uciszył ją kolejnym pocałunkiem.

W końcu oderwał się od niej i wciąż lekko zaczerwieniony, przyjrzał się jej. W jego rozbawionych oczach grały iskierki.

– Nie odpowiada ci samo słowo czy to, co oznacza?

Zadowolona, że przynajmniej trochę ochłonął, Evie wyśliznęła się z pułapki

między jego ciałem a ścianą.

– Nie odpowiada mi, że pragniesz mnie tylko dlatego, że jestem dla ciebie niedostępna, a to dla ciebie nowość…

– Nie to jest powodem – przerwał jej szybko.

Evie przyjrzała się mu z niedowierzaniem.

– C-co więcej, nie zamierzam należeć do gromady kobiet, które zaszczycasz swą uwagą według własnego widzimisię.

Sebastian nagle spoważniał, odwrócił wzrok. Evie czekała z raniącą serce niecierpliwością, by przyznał, że jej domysły są słuszne. Oczekiwanie trwało dość długo, aż wreszcie spojrzał jej w twarz swoimi przejrzyście niebieskimi oczami.

– W porządku – odezwał się cicho. — Zgadzam się na twoje warunki. Będę… monogamistą. – Ostatnie słowo sprawiło mu pewną trudność, jakby próbował mówić w obcym języku.

– Nie wierzę ci.

– Dobry Boże, Evie! Wiesz, ile kobiet próbowało wymusić na mnie tę obietnicę? A teraz, kiedy po raz pierwszy w życiu jestem skłonny do powściągliwości, ty podajesz w wątpliwość moje dobre zamiary? Przyznaję, jeśli chodzi o kobiety, dotąd prowadziłem dość bujne życie…

– Rozwiązłe – sprostowała Evie.

Prychnął zniecierpliwiony.

– Rozwiązłe, rozpustne, nazywaj je, jak chcesz. Doskonale się bawiłem i niech mnie diabli, jeśli powiem, że żałuję. Nigdy nie zaciągnąłem do łóżka kobiety, która by nie miała na to ochoty. Z tego co wiem, żadnej też nie pozostawiłem niezaspokojonej.

– Nie o to chodzi. – Zmarszczyła czoło. – Nie mam ci za złe twojej przeszłości… w każdym razie nie próbuję cię za nią karać. – Ignorując jego ironiczne parsknięcie, mówiła dalej: — Ale z taką historią twoja obietnica wierności nie brzmi zbyt przekonująco, prawda?

– Czego ode mnie chcesz? – rzucił zgryźliwym tonem. — Przeprosin za to, że jestem mężczyzną? Przysięgi, że dochowam celibatu, dopóki nie zasłużę na twoje względy?

Patrzyła na niego zaskoczona.

Przychylność kobiet zawsze przychodziła mu zbyt łatwo. Czy jeśli każe mu czekać, Sebastian straci nią zainteresowanie? Czy w ogóle istniała możliwość, że poznają się nawzajem, nauczą rozumieć i postrzegać w nowy sposób? Bardzo chciała sprawdzić, czy będzie umiał ją doceniać nie tylko za czysto fizyczne walory. Pragnęła wykorzystać szansę, by stać się dla niego kimś więcej niż tylko partnerką do łóżka.

– Sebastianie… czy poświęciłeś się kiedyś dla jakiejś kobiety? – spytała niepewnie.

Stał oparty szerokimi ramionami o ścianę, z jednym kolanem lekko zgiętym; wyglądał jak nadąsany anioł.

– Jakie poświęcenie masz na myśli?

Popatrzyła na niego kpiąco.

– Jakiekolwiek.

– Nie.

– Ile trwał najdłuższy okres, kiedy nie… nie… – gorączkowo szukała odpowiednich słów — …nie uprawiałeś fizycznej miłości?

– Nigdy nie używam tego określenia – stwierdził. – Miłość nie ma z tym nic wspólnego.

– Ile? – powtórzyła nieustępliwie.

– Może miesiąc.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Zatem jeśli wstrzymasz się od stosunków z innymi kobietami przez sześć miesięcy… potem będę z tobą sypiać.

– Sześć miesięcy? – Popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami, a potem rzekł kpiąco: — Skarbie, co każe ci sądzić, że jesteś warta półrocznego celibatu?

– Może i nie jestem – odpowiedziała Evie. – Tylko ty jeden możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Bez wątpienia Sebastian z największą chęcią oświadczyłby jej, że nie jest warta tak długiego oczekiwania. Jednak kiedy jej się przyglądał, widziała w jego oczach błysk, który nie mógł mylić – z całą pewnością jej pożądał, i to bardzo mocno.

– Niemożliwe – rzucił krótko.

– Dlaczego?

– Ponieważ jestem Sebastianem, lordem St. Vincent. Nie mogę żyć w celibacie. Wszyscy to wiedzą.

W jego tonie i postawie było tyle arogancji i urażonej dumy, że Evie musiała zagryźć wargę, by nie wybuchnąć śmiechem. W końcu, nie bez trudu, opanowała wesołość i powiedziała spokojnie:

– Przecież nie zaszkodzi ci spróbować.

– Owszem, zaszkodzi! – Napięte mięśnie w szczękach lekko mu drżały, kiedy tłumaczył jej z powagą: — Jesteś zbyt niedoświadczona, by to rozumieć, ale… niektórzy mężczyźni mają znacznie większe potrzeby cielesne od reszty. Akurat ja do nich należę. Nie mogę przez dłuższy czas wytrzymać bez… – urwał zniecierpliwiony na widok jej miny. – Do licha, Evie, to szkodzi zdrowiu mężczyzny, jeśli nie może regularnie upuszczać nasienia.

– Trzy miesiące – oznajmiła. – To moja ostateczna propozycja.

– Nie!

– No to znajdź sobie inną kobietę. – Nie zamierzała ustąpić.

– Chcę ciebie. Tylko ciebie. Diabli wiedzą dlaczego. – Wpatrywał się w nią zmrużonymi oczami. – Powinienem wziąć cię siłą. Nie masz prawa odmawiać mi dostępu do swojego łóżka.

Evie struchlała. Jednak coś w środku kazało jej stawić Sebastianowi czoła, pokazać mu, że nie jest w stanie jej przestraszyć.

– No, proszę – rzuciła wyzywająco. – Zmuś mnie. – Dostrzegła w jego oczach błysk zaskoczenia. Przełknął ślinę, ale się nie odezwał. I nagle ją olśniło. – Nie możesz – wyraziła zdumienie. – Nigdy byś nie zgwałcił Lillian. Tylko blefowałeś. Nie mógłbyś wziąć kobiety siłą. – Uśmiechnęła się lekko. – Nic jej nie groziło nawet przez moment, prawda? Wcale nie jesteś takim łajdakiem, na jakiego

pozujesz.

– Owszem, jestem! – Chwycił ją i pocałował ze złością, wpychając jej język do ust. Evie nie stawiała oporu. Zamknęła oczy i niemal natychmiast pocałunek stał się czuły i namiętny. Gdy w końcu oderwał od niej usta, oboje drżeli z podniecenia.

– Evie… – odezwał się dziwnie schrypniętym głosem. – Nie proś mnie o to.

– Trzy miesiące celibatu – powtórzyła nieubłaganie. – Jeśli ci się uda, b-będę z tobą sypiać z własnej woli tak często, jak zechcesz.

– Jak długo?

– Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Ale jeśli ci się nie uda… – zawiesiła głos, próbując wymyślić jak najsurowsze konsekwencje, coś, co wstrząsnęłoby nim do głębi. – Jeśli ci się nie uda, będziesz musiał się udać do swojego dawnego przyjaciela, lorda Westcliffa, i przeprosić za porwanie Lillian Bowman.

– Niech to szlag!

– Taka jest moja cena.

– Twoja cena jest zbyt wysoka. Nigdy nie przepraszam.

– Zatem lepiej nie podejmuj wyzwania. Bo jeśli je przyjmiesz… lepiej, żeby ci się udało.

– Nie będziesz wiedziała, czy nie oszukuję.

– Będę wiedziała.

Zapadło długie milczenie.

– Gdzie twoja obrączka? – zainteresował się znienacka Sebastian.

Evie krępowała się przyznać, że zdjęła ją z palca i schowała w przypływie złości.

– Zdjęłam ją.

– I co z nią zrobiłaś?

Z pewnym ociąganiem sięgnęła do kieszeni sukni.

– J-jest tutaj. Mogę ją z powrotem założyć, jeśli sobie życzysz…

– Daj mi ją.

Spodziewając się, że Sebastian ma zamiar odebrać jej obrączkę, zacisnęła na niej palce. Nagle sobie uświadomiła, że zdążyła się przywiązać do tego nieszczęsnego złotego krążka. Duma nie pozwoliła jej prosić o prawo zatrzymania klejnotu, więc wyjęła go z kieszeni, ostatni raz gładząc palcem wygrawerowany napis „W tobie pokładam…".

Sebastian wziął od niej obrączkę i założył ją sobie na najmniejszy palec.

– Przyjmuję zakład – oświadczył, ujmując Evie za podbródek i patrząc jej w oczy. – I zamierzam go wygrać. Za trzy miesiące przełożę tę obrączkę z powrotem na twój palec, a potem wezmę cię do łóżka i będę robił z tobą rzeczy zakazane prawem w cywilizowanym świecie.

Stanowczość Evie nie uchroniła jej przed lękiem, jaki każda rozsądna kobieta musiałaby poczuć, słysząc tak straszliwą groźbę. Nie zapobiegła też dziwnej miękkości w kolanach, którą poczuła, gdy Sebastian przyciągnął ją gwałtownie do siebie i zgniótł jej usta pocałunkiem. Jej ręce same sięgnęły do jego włosów, chłodnych i szorstkich na wierzchu, głębiej miękkich i wilgotnych, zbyt pociągających, by im się oprzeć. Wsuwając palce między lśniące złote loki,

bezwiednie przyciągała go do siebie jeszcze mocniej, skwapliwie ustępując pod naporem jego gorących warg.

Odwzajemniając pieszczoty ruchliwego języka, czuła, jak żar wypełnia jej brzuch, budzi doznanie podobne do tęsknoty w miejscu, gdzie kiedyś czuła w sobie jego obecność. Wstrząsnęło nią odkrycie, jak bardzo znów pragnie go tam poczuć.

Pisnęła z żalem, gdy w końcu od niej odstąpił.

– Nie mówiłaś, że nie mogę cię całować – powiedział Sebastian z diabelskim błyskiem w oku. – Będę cię całował tak długo i tak często, jak mi się spodoba, a tobie nie wolno protestować nawet jednym słowem. Takiego ustępstwa żądam w zamian za mój celibat. — Nie dając jej czasu na wyrażenie zgody lub sprzeciwu, puścił ją i skierował się do drzwi. — A teraz muszę cię przeprosić. Idę zabić Jossa Bullarda.

ROZDZIAŁ 13

Sebastian spotkał Cama w korytarzu przed czytelnią.

– Gdzie on jest? – zaatakował go bez wstępów.

Rohan stanął przed nim z kamienną twarzą.

– Nie ma go – odrzekł krótko.

– Dlaczego za nim nie poszedłeś? – W oczach Sebastiana rozbłysła furia. Ta wiadomość po niedawno złożonej przysiędze zachowania celibatu przepełniła czarę goryczy.

Cam, przez lata znoszący wulkaniczny charakter Ivo Jennera, pozostał niewzruszony.

– Według mnie to nie było konieczne – powiedział. – On nie wróci.

– Nie płacę ci za to, żebyś działał według własnego uznania. Płacę ci za wykonywanie moich poleceń! Powinieneś był go tu przywlec za gardło i pozwolić mi zdecydować o losie tego drania.

Cam milczał. Rzucił tylko ukradkiem spojrzenie na Evie, która w duchu cieszyła się z takiego obrotu sytuacji. Oboje wiedzieli, że gdyby Cam przyprowadził Bullarda z powrotem do klubu, istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że Sebastian naprawdę by go zabił… i został oskarżony o morderstwo.

– Chcę, żeby go odnaleziono – oznajmił Sebastian z naciskiem, chodząc tam i z powrotem po czytelni. – Chcę nająć co najmniej dwóch ludzi, żeby go szukali dzień i noc, dopóki mi go nie przyprowadzą. Przysięgam, że posłuży za przykład wszystkim, którym by przyszło do głowy tknąć moją żonę. — Wyciągniętym ramieniem wskazał na drzwi. – Za godzinę masz mi przynieść listę nazwisk najlepszych detektywów. Prywatnych. Nie chcę żadnego idioty z policji, która spieprzy tę sprawę tak jak wszystkie inne, którymi się zajmuje. Idź.

Cam z pewnością miał kilka uwag, ale zachował je dla siebie.

– Tak, milordzie. – Opuścił czytelnię, odprowadzany pałającym wzrokiem Sebastiana.

– Nie ma potrzeby, żebyś wyładowywał złość na Camie. On… – wtrąciła się Evie, chcąc uspokoić wzburzonego męża.

– Nie próbuj go tłumaczyć – ostrzegł ją ponuro Sebastian. – Oboje wiemy, że mógłby złapać tego szczura, gdyby tylko chciał. I niech mnie diabli porwą, jeśli

pozwolę, żebyś mówiła mu po imieniu. Nie jest twoim bratem ani przyjacielem. Jest pracownikiem klubu i od tej pory będziesz go nazywała panem Rohanem.

– Cam jest moim przyjacielem – odpowiedziała ze złością Evie. – Od lat!

– Zamężne kobiety nie przyjaźnią się z młodymi kawalerami.

– Ś-śmiesz mnie obrażać, insynuując, że-że… – Złość dławiła ją w gardle, utrudniając wydobywanie słów. – W żaden sposób nie zasłużyłam na taki brak zaufania.

– Ufam ci. Podejrzewam wszystkich innych.

Przekonana, że sobie z niej kpi, Evie zmierzyła go karcącym spojrzeniem.

– Mówisz, jakby biegały za mną hordy mężczyzn, podczas gdy wcale tak nie jest. W Stony Creek Park mężczyźni nadkładali drogi, żeby uniknąć mojego towarzystwa… Sam byłeś jednym z nich!

Zarzut, choć prawdziwy, wyraźnie zaskoczył Sebastiana. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu ze ściągniętą twarzą.

– Raczej nie zachęcałaś, żeby się do ciebie zbliżyć – odezwał się w końcu. – Męska próżność jest bardziej krucha, niżby ci się mogło wydawać. Łatwo nam pomylić nieśmiałość z chłodem, milczenie – z obojętnością. Sama wiesz, że mogłaś trochę bardziej się wysilić. Jedno krótkie spotkanie we dwoje… jeden twój uśmiech… całkiem by mi wystarczyły za zachętę, żeby na ciebie wskoczyć jak cietrzew na drzewo laurowe.

Evie patrzyła na niego oczami okrągłymi ze zdziwienia. Nigdy wcześniej nie postrzegała swej sytuacji w taki sposób. Czy możliwe, że była częściowo odpowiedzialna za swój brak powodzenia?

– Chyba… Chyba mogłam się bardziej starać przezwyciężyć swoją nieśmiałość – przyznała z namysłem.

– Rób, jak uważasz. Ale przy Rohanie czy jakimkolwiek innym mężczyźnie lepiej, byś pamiętała, że należysz wyłącznie do mnie.

Evie patrzyła na męża ze zdumieniem i próbowała właściwie zinterpretować jego uwagę.

– Czy ty… czy to możliwe… że jesteś o mnie zazdrosny?

Trochę się zmieszał.

– Owszem – przytaknął niechętnie. – Na to wygląda. – Spojrzał na Evie z nagłą irytacją i wyszedł.

Pogrzeb odbył się następnego dnia rano. Sebastian świetnie się spisał, organizując całą uroczystość; udało mu się osiągnąć idealną równowagę pomiędzy dostojeństwem poważnej ceremonii a nieco teatralną pompą. Żałobny orszak utworzył procesję, która bardzo by się spodobała Ivo Jennerowi — tak wielką, że zajmowała całą szerokość St. James.

Cztery konie ciągnęły pozłacany czarny karawan, dwa żałobne powozy – jeden przed nim, drugi za nim – również zaprzęgnięto w poczwórne zaprzęgi; wszystkie uprzęże zdobiły farbowane na czarno strusie pióra. Piękna dębowa trumna z mosiężnymi okuciami i błyszczącą tablicą została zaspawana w celu zabezpieczenia przed rabusiami grasującymi na londyńskich cmentarzach. Zanim opuszczono wieko, Evie dostrzegła na palcu ojca jeden z pierścionków Cama — ten pożegnalny prezent ujął ją za serce. Jeszcze bardziej się wzruszyła, widząc,

jak Sebastian, przekonany, że nikt nie patrzy, przyczesuje grzebieniem spłowiałe rude włosy jej zmarłego ojca.

Na zewnątrz panował dokuczliwy ziąb. Wiatr wciskał się pod wełnianą pelerynę Evie, która siedziała na koniu prowadzonym przez idącego obok Sebastiana. Za pojazdami szło około dwudziestu mężczyzn najmowanych do pełnienia rozmaitych funkcji przy samym akcie pochówku; ich oddechy tworzyły białe obłoczki w mroźnym powietrzu. Za nimi podążał wielki tłum żałobników, ciekawie wymieszane towarzystwo zamożnych ludzi, kupców, arystokratów, zwykłych kryminalistów. Przyjaciele i wrogowie razem. Nie liczyło się zajęcie czy usposobienie, należało dochować żałobnej tradycji.

Spodziewano się, że Evie nie weźmie udziału w pogrzebie, jako że naturę kobiecą uważano za zbyt delikatną na tego rodzaju okoliczności. Jednak Evie się uparła, czerpała otuchę ze smutnego rytuału, jakby pomagał jej ostatecznie się pożegnać z ojcem. Sebastian zamierzał ją przekonać, by zrezygnowała, ale Cam niespodziewanie przyszedł jej z odsieczą.

– Jenner musi zostać uwolniony z pęt żalu swojej córki – powiedział do Sebastiana, kiedy rozmowa zaczęła się zmieniać w kłótnię. – Rom wierzy, że jeśli ktoś za bardzo żałuje swego zmarłego bliskiego, ten zmarły jest zmuszony wrócić, by pocieszyć cierpiącego stratę. Jeśli udział w pogrzebie pomoże jej się z nim rozstać… — urwał i wzruszył ramionami.

Sebastian wzniósł oczy ku niebu.

– Znowu te duchy – rzekł kwaśno. Odstąpił jednak od przekonywania Evie do swoich racji i pozwolił, by wzięła udział w ceremonii.

Wypłakawszy wcześniej wszystkie łzy, Evie zdołała zachować stoicki spokój podczas całego pogrzebu, nawet kiedy sypano ziemię na opuszczoną do grobu trumnę. Jednak kilka słonych kropli spłynęło jej po policzkach, gdy trumna zniknęła pod ziemią, a Cam podszedł z niewielką srebrną piersiówką i zgodnie z romską tradycją wylał na grób solidną porcję brandy.

Sędziwego kapłana gest Cama wyprowadził z równowagi.

– Dość tego! – krzyknął groźnie. – Nie życzę sobie tych pogańskich praktyk! Żeby profanować święte miejsce jakimś nędznym trunkiem…

– Sir… – Sebastian podszedł do duchownego i położył mu dłoń na ramieniu. – Nie sądzę, żeby nasz przyjaciel Jenner miał coś przeciwko temu – rzekł z przekonaniem. Następnie dodał z konspiracyjnym uśmieszkiem: — To francuska brandy, doskonały rocznik. Pozwoli dobrodziej, że wyślę mu parę butelek na plebanię, żeby sam mógł ocenić w wolnej chwili.

Udobruchany niezaprzeczalnym urokiem wicehrabiego, staruszek odwzajemnił uśmiech.

– Bardzo miło z pańskiej strony, milordzie. Dziękuję.

Kiedy większość żałobników się rozeszła, Evie rozejrzała się po fasadach sklepów i domów, po zabudowaniach fabryki szuwaksu otaczających cmentarny plac. Nagle jej uwagę przyciągnęła twarz mężczyzny, który stał przy latarni po drugiej stronie, ubrany w czarny płaszcz i brudną szarą czapkę. Rozpoznała go, dopiero kiedy powoli rozciągnął wargi w uśmiechu.

Joss Bullard. Wyglądało na to, że chce oddać hołd zmarłemu, zachowując

przy tym bezpieczny dystans. Nie sprawiał jednak wrażenia człowieka pogrążonego w żałobie. Wyglądał jak wcielenie zła, wyraz jego złośliwie wykrzywionej twarzy przyprawiał o zimny dreszcz. Nie spuszczając wzroku z Evie, przesunął palcem po gardle; na widok tego jednoznacznego gestu cofnęła się z przestrachem.

Sebastian wyczuł jej poruszenie, odwrócił się i chwycił ją za ramiona.

– Evie, dobrze się czujesz? – spytał z troską, patrząc na jej pobladłą twarz.

Pokiwała głową i odważyła się ponownie spojrzeć w stronę latarni. Bullarda już tam nie było.

– T-trochę mi zimno – odpowiedziała, szczękając zębami. W tym momencie ostry podmuch wiatru zerwał jej z głowy kaptur peleryny.

Sebastian natychmiast naciągnął go z powrotem i poprawił zapięcie przy szyi.

– Zabiorę cię do klubu – powiedział. – Muszę jeszcze tylko zapłacić służbom pogrzebowym. – Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął niewielką skórzaną sakiewkę i podszedł do grupy mężczyzn czekających przy grobie w pełnych uszanowania pozach.

Widząc zalęknione spojrzenie Evie, Cam zbliżył się do niej szybko; na smagłym policzku miał ślad po obeschłych łzach. Evie uczepiła się kurczowo jego rękawa.

– Przed chwilą widziałam Bullarda. Tam, koło lampy – powiedziała półgłosem.

W odpowiedzi tylko pokiwał głową.

Nie mieli okazji powiedzieć nic więcej, bo Sebastian wrócił i otoczył Evie ramieniem.

– Powóz już czeka – oznajmił.

– Nie było potrzeby wzywania powozu – żachnęła się. – Z powodzeniem mogłam pójść pieszo.

– Kazałem napełnić ogrzewacz do stóp. – Uśmiechnął się półgębkiem, widząc błysk zaskoczenia w oczach żony. Następnie zwrócił się do Cama: – Możesz pojechać z nami.

– Dzięki – rzekł ostrożnie Rohan. – Wolę się przejść.

– W takim razie do zobaczenia w klubie.

– Tak, milordzie.

Idąc z Sebastianem do powozu, Evie walczyła ze sobą, żeby nie odwrócić głowy i nie spojrzeć na Cama. Zastanawiała się, czy zdoła odszukać Bullarda i co się stanie, jeśli go znajdzie. Weszła do pojazdu po specjalnie podstawionym stopniu. Szybko usadowiła się nad ogrzewaczem i wkrótce poczuła, jak miłe ciepło owiewa jej kolana pod warstwą spódnic. Sebastian usiadł obok niej.

Wspominając ich szaloną podróż do Gretna Green, która odbyła się nie tak znowu dawno, Evie miała wrażenie, że od tamtego czasu minęła cała wieczność. Przytuliła się do męża, zadowolona, że nie próbuje jej od siebie odsunąć.

– Całkiem dobrze się trzymałaś, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności – odezwał się, kiedy powóz ruszył.

– To był najwspanialszy kondukt pogrzebowy, jaki w życiu widziałam – odpowiedziała z pochwałą. – Ojciec byłby zachwycony.

Sebastian parsknął z rozbawieniem.

– Przy wszelkich wątpliwościach wybierałem raczej nadmiar niż niedobór, mając nadzieję, że by mu się podobało. – Zawahał się, zanim podjął: — Jutro każę całkowicie opróżnić pomieszczenia zajmowane przez twojego ojca, a potem zedrzeć w nich tapety i boazerię. Inaczej nigdy byśmy się nie wyzbyli zapachu choroby.

– Uważam, że to doskonały pomysł.

– Klub zostanie ponownie otwarty za dwa tygodnie. Do tego dnia pozwolę ci tu mieszkać, żebyś miała trochę czasu na oswojenie się ze śmiercią ojca. Ale kiedy klub Jennera wznowi działalność, chcę cię widzieć w moim londyńskim domu.

– Co takiego? – Evie aż się odchyliła ze zdziwienia. – Tym w Mayfair?

– Jest dobrze wyposażony i w pełni urządzony. Jeśli nie będzie ci odpowiadać, znajdziemy coś innego. Na razie jednak będziesz musiała tam zamieszkać.

– Czy planujesz… mieszkać tam ze mną?

– Nie. Ja zostanę w klubie. Stąd o wiele łatwiej mi będzie wszystkim zarządzać.

Evie usiłowała jakoś sobie poradzić z jego obojętnością. Dlaczego nagle stał się taki chłodny? Przecież nie sprawiała mu kłopotów… i niewiele od niego wymagała, nawet w żałobie. Rozczarowana i zła, gapiła się na swoje dłonie, bezmyślnie gniotąc rękawiczkę.

– Chcę zostać – powiedziała cicho.

Sebastian pokręcił głową.

– Nie ma powodu, żebyś tu zostawała. Nie jesteś do niczego potrzebna. Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli zamieszkasz w odpowiednim domu, gdzie będziesz mogła przyjmować przyjaciółki i w środku nocy nie będą cię budzić odgłosy dochodzące z dołu.

– Sypiam jak zabita. Hałas mi nie przeszkadza. A przyjaciółki mogę przyjmować również w klubie…

– Nieoficjalnie. — Nie miało znaczenia, że Sebastian ma rację. Evie milczała. Zdanie „Nie jesteś do niczego potrzebna” odbijało się w jej głowie brzydkim echem. — Chcę, żebyś mieszkała w bezpiecznym i godnym szacunku otoczeniu – tłumaczył. – Klub nie jest odpowiednim miejscem do życia dla damy.

– Nie jestem damą – przypomniała mu Evie z ironią. – Jestem córką hazardzisty i żoną hulaki.

– To dodatkowy powód, żeby cię chronić przed moim wpływem.

– Mimo to raczej się stąd nie ruszę. Może wiosną powrócimy do tego tematu, ale na razie…

– Evie – przerwał jej spokojnym tonem. – Ja ci nie daję wyboru.

Zesztywniała i odsunęła się od niego. Cała sterta ogrzewaczy do stóp nie rozwiałaby chłodu, który ją ogarnął. Gorączkowo szukała w myślach argumentów, żeby go przekonać. Ale miał rację, nie miała po co zostawać w klubie.

Ze ściśniętym gardłem myślała, że przecież powinna była już się

przyzwyczaić, że jest niechciana, sama… Tylko dlaczego, na litość boską, wciąż ją to bolało? Bardzo żałowała, że nie umie być taka jak Sebastian — z lodową barykadą wokół serca.

– A co z naszą umową? – spytała niepewnie. – Masz zamiar ją ignorować czy…

– Ależ nie. Zamierzam żyć w czystości jak mnich, dopóki nie nadejdzie czas odebrania nagrody. Łatwiej mi jednak przyjdzie opieranie się pokusom, kiedy będziesz pozostawać poza moim zasięgiem.

– A może to ja nie będę się opierać pokusom – powiedziała Evie. – Może znajdę jakiegoś spolegliwego dżentelmena, żeby dotrzymywał mi towarzystwa. Nie miałbyś nic przeciwko temu, prawda? — Nigdy by nie uwierzyła, że jest zdolna powiedzieć coś podobnego, dopóki to nie nastąpiło. Jednak potrzeba, by go poruszyć, rozgniewać, przedrzeć się do jego uczuć, była od niej silniejsza. Nie udało się, nie osiągnęła celu. Po krótkim milczeniu odpowiedział gładko:

– Absolutnie nic, kotku. Byłbym samolubny, odmawiając ci tego rodzaju przyjemności w wolnym czasie. Rób, co chcesz, pod warunkiem że będziesz dostępna, kiedy będę cię potrzebował.

Na tyłach ulic i placów bogatych dzielnic Londynu rozpościerał się ukryty świat ciemnych alejek i obskurnych nor, gdzie ludzie żyli w niewyobrażalnej nędzy. W tych miejscach pozwalały przetrwać jedynie rozbój i prostytucja. Domy stały tak blisko siebie, że w niektórych miejscach mógł się między nimi przecisnąć tylko jeden człowiek, i to bokiem. W powietrzu wisiał smród ścieków płynących rynsztokami.

Zachowując najwyższą ostrożność, Cam wszedł w labirynt ciasnych uliczek, świadomy pułapek i zagrożeń czyhających na nieprzygotowanego gościa. Przez łukowatą bramę dostał się na podwórko długie na jakieś czterdzieści metrów i szerokie na dziesięć. Po obu stronach stały wysokie drewniane konstrukcje, ich poziome podesty zasłaniały zimowe niebo. W okolicznych budynkach mieściły się meliny lub noclegownie, gdzie bezdomni leżeli jeden na drugim, niczym ciała w zbiorowych mogiłach. Z podestów zwisały jakieś cuchnące strzępy, niektóre prawie metrowej długości. Szczury przemykały pod murami i znikały w szczelinach fundamentów. Jedynymi istotami ludzkimi znajdującymi się na podwórku były dwie dziewczyny siedzące na progu domu i kilkoro wątłych dzieci grzebiących w śmieciach. Zerkając na Cama podejrzliwie, dzieci oddaliły się na drugi koniec podwórza.

Jedna z młodych prostytutek uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając kilka pieńków po wybitych zębach.

– Po co taki duży, ładny chłopak przyszedł na Angman's Court? – zagadnęła.

– Szukam pewnego mężczyzny, mniej więcej tego wzrostu. – Cam gestem pokazał odpowiednią wysokość. – Z czarnymi włosami. Czy przechodził przez to podwórko w ciągu ostatniej minuty?

— Proszę, jaki gładki w mowie – cmoknęła jedna z nich, nie kryjąc zachwytu.

– Cudny – podchwyciła druga. – Chodź, złociutki, po co ci mężczyzna, skoro

możesz się położyć na słodkiej Lou. – Obciągnęła bluzkę, żeby zaprezentować chudą klatkę piersiową z mizernym, obwisłym biustem. – Zabaw się ze mną. Założę się, że jesteś w tym dobry.

Cam wyciągnął z kieszeni srebrną monetę. Dziewczyna natychmiast chciwie wbiła w nią wzrok.

– Powiedz mi, dokąd poszedł.

– Powiem ci za sześć pensów i ruchanko – próbowała się targować. – Masz ładne oczy. Jeszcze nigdy nie przeleciał mnie chłopak z takimi pięknymi…

Niski, chrapliwy śmiech odbił się echem o mury, a zaraz potem dobiegł ich kpiący głos Jossa Bullarda:

– Nie znajdziesz mnie, parszywy mieszańcu!

Cam odwrócił się gwałtownie, omiatając wzrokiem budynki; w oknach i drzwiach tkwiły brudne twarze, kilka wystawało nawet z pozbawionego dachówek dachu. Żadnej nie rozpoznał.

– Bullard – zaczął ostrożnie, starając się ogarnąć wzrokiem najbliższe otoczenie. – Czego chcesz od córki Jennera?

Znów rozległ się brzydki śmiech, tym razem dochodził jakby z innej strony. Cam zrobił krok w głąb podwórza, wciąż nie był w stanie zlokalizować Bullarda.

– Chcę ją wykończyć!

– Dlaczego?

– Bo ta cholerna pijawka zabrała mi wszystko. Chcę, żeby umarła. Chcę ją rzucić szczurom na pożarcie, żeby zostały z niej same kości.

– Dlaczego? – powtórzył Cam z niedowierzaniem. – Prosiła mnie, żebym ci pomógł, Joss, nawet po tym, jak ją zdradziłeś. Chce spełnić życzenie ojca, wypłacić ci dość…

– Do diabła z tą parszywą suką!

Cam pokręcił głową. Nie mógł zrozumieć, skąd się wzięła taka wrogość, dlaczego Bullard tak zawzięcie nienawidził Evie.

Słysząc za sobą jakiś szmer, przykucnął i jednocześnie się odwrócił tuż przed tym, jak kawałek deski ze świstem przeciął powietrze w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się jego głowa. Atakującym nie był Bullard, tylko przypadkowy menel, który postanowił wykorzystać okazję do rabunku. Miał wygląd osoby bez wieku, charakterystyczny dla ludzi od urodzenia mieszkających na ulicy. Cam poradził sobie z nim paroma skutecznymi ruchami. Na drugim końcu podwórza zebrało się kilku podobnych łazęgów, najwidoczniej doszli do wniosku, że lepiej zaatakować gromadą. Widząc, że robi się niebezpiecznie, Cam wycofał się do bramy, gdzie dogonił go głos Bullarda:

– Dostanę ją, zobaczysz!

– Nigdy! – odpowiedział Cam, ostatni raz spoglądając za siebie z bezsilną złością. – Wyślę cię do piekła, zanim tkniesz ją choćby jednym palcem!

– W takim razie zabiorę cię tam ze sobą – obiecał Bullard.

Odchodząc, Cam słyszał jego drwiący śmiech.

Kiedy Sebastian pilnował grupy stolarzy naprawiających parkiet w głównej

jadalni, Cam odszukał Evie. W pustej sali gier segregowała żetony wyciągane z koszyków i układała je w schludne stosy. Zbliżył się do niej bezszelestnie.

Wzdrygnęła się lekko, kiedy dotknął jej ramienia, ale widząc, że to on, zaraz uśmiechnęła się z ulgą. Cam rzadko wyglądał na zmartwionego czy nawet przejętego. Młody człowiek o tak prostolinijnej naturze nie był podatny na duchowe rozterki. Ze spokojem przyjmował wszelkie zrządzenia losu i starał się żyć teraźniejszością na tyle, na ile było to możliwe. Jednak wydarzenia tego dnia odcisnęły na nim swoje piętno — jakby nagle się postarzał.

– Nie zdołałem go dopaść – powiedział cicho. – Ukrył się w dzielnicy melin i mówił do mnie z cienia, tak że go nie widziałem. Gadał bez sensu. Żywi do ciebie wrogie uczucia, *gadji,* nie rozumiem dlaczego. Nigdy nie uchodził za specjalnie serdecznego, ale teraz jest znacznie gorzej. Jakby oszalał. Muszę o tym powiedzieć St. Vincentowi.

– Nie, nie rób tego – poprosiła Evie. – To go tylko zmartwi i rozzłości. W tej chwili ma dość innych spraw na głowie.

– Ale jeśli Bullard będzie próbował cię skrzywdzić…

– Przecież jestem tu bezpieczna, prawda? Nie ośmieli się przyjść do klubu, odkąd mój mąż wyznaczył cenę za jego głowę.

– Budynek ma ukryte wejścia.

– Czy możesz je zlikwidować? Zamknąć na klucz?

Cam ze zmarszczonym czołem zastanawiał się nad jej prośbą.

– Większość tak. Ale nie chodzi o to, żeby biegać tam i z powrotem z pękiem kluczy…

– Rozumiem. Zrób, co możesz. – Wzięła stos zużytych żetonów i dodała ponuro: — To zresztą nie ma znaczenia, bo niedługo już mnie tu nie będzie. St. Vincent chce, żebym za dwa tygodnie się wyprowadziła. Uważa, że nie powinnam mieszkać w klubie teraz, kiedy ojciec…

– Może ma rację – przyznał Cam bez cienia współczucia w głosie. – To nie jest dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce.

– Nie robi tego ze względu na bezpieczeństwo. – Zacisnęła w palcach czarny żeton, a potem zakręciła nim na blacie stołu do gry. – Robi to, żeby utrzymać między nami dystans. – Zagadkowy uśmiech, który pojawił się na ustach Cama, rozczarował ją i jednocześnie podniósł na duchu.

– Cierpliwości – poradził jej łagodnym tonem i wyszedł, zostawiając ją wpatrzoną w wirujący czarny krążek.

ROZDZIAŁ 14

Przez następne dwa tygodnie w klubie bezustannie coś się działo; Evie przyjmowała taki stan rzeczy z zadowoleniem, jako że pomagał jej chwilami zapominać o żałobie. Kiedy wyznała Sebastianowi, że chciałaby być użyteczna, szybko wysłał ją do biura, gdzie w bezładnych stosach piętrzyły się księgi rachunkowe i korespondencja. Wzywano ją też, by udzielała wskazówek malarzom, dekoratorom, stolarzom i murarzom wykonującym w budynku różnorakie prace. Kiedyś takie zadanie by ją przeraziło. Teraz również odzywanie się do tak dużej liczby osób kosztowało ją wiele nerwów i przez kilka pierwszych dni niełatwo jej było opanować jąkanie, jednak im częściej musiała się mobilizować, tym łatwiej jej szło. Zwłaszcza że wszyscy robotnicy słuchali jej cierpliwie i z szacunkiem, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała.

Pierwszym przedsięwzięciem Sebastiana po pogrzebie Ivo Jennera było zorganizowanie spotkania z komisarzem policji w sprawie nowych, zaostrzonych przepisów dotyczących hazardu. Sebastian wykorzystał swój urok osobisty i dar przekonywania, by zwrócić uwagę, że przybytek Jennera jest bardziej klubem towarzyskim niż typowo hazardowym i dlatego nie powinien być narażony na policyjne naloty, ponieważ jego członkowie są, jak podkreślił, „ludźmi o nieposzlakowanej uczciwości". Zagadany przez Sebastiana, komisarz w końcu obiecał, że klub Jennera nie będzie nękany nalotami, pod warunkiem że zachowa pozory przyzwoitości.

Dowiedziawszy się o zakończonych sukcesem negocjacjach z komisarzem, Cam Rohan stwierdził z podziwem:

– To było doprawdy mistrzowskie posunięcie, milordzie. Zaczynam wierzyć, że potrafi pan przekonać każdego niemal do wszystkiego.

Sebastian przyjął pochwałę z uśmiechem, po czym zerkając na siedzącą nieopodal Evie, rzekł:

– Sądzę, że lady St. Vincent jest tego dowodem.

Wyglądało na to, że Sebastian z Camem postanowili zawrzeć coś w rodzaju ostrożnego sojuszu w celu postawienia klubu na nogi. Ich stosunki nie stały się do końca przyjacielskie, ale nie było już między nimi wrogości. Cam z pewnością dostrzegł przywódcze zdolności Sebastiana, niezwykle potrzebne, by kontynuować dzieło zmarłego Ivo Jennera. Sebastian natomiast wyzbył się

dotychczasowego lenistwa, typowego dla ludzi z jego sfery, i przejął prowadzenie klubu, wykazując się stanowczością i autorytetem.

Jak można się było spodziewać, Sebastian należał do ludzi, wobec których pracownicy klubu żywili pogardę, uważając ich za frajerów do oskubania – zepsutych przywilejami arystokratów, którzy nie mają pojęcia, czym jest praca. Prawdopodobnie wszyscy zakładali, podobnie jak Evie, że Sebastian szybko się znudzi nowymi obowiązkami. Nikt jednak nie śmiał mu się postawić, ponieważ było wiadomo, że jest gotów zwolnić każdego, kto odmówi wykonania jego polecenia. Pokazał jasno zakres swojej władzy i sposób jej sprawowania, pozbywając się Clive'a Egana.

Co więcej, nie dało się nie dostrzec szczerej pasji, z jaką Sebastian podchodził do spraw klubu. Okazywał żywe zainteresowanie każdą sferą jego działalności, od menu serwowanego przez kuchnię po szczegółowe koszty prowadzenia sali gier. Świadomy, że znacząco brakuje mu wiedzy w kwestii samych gier, postanowił zgłębić teorię hazardu od strony matematycznej. Któregoś wieczoru Evie weszła do głównej sali i zastała tam swojego męża z Camem — stali przy centralnym stole i Cam wyjaśniał Sebastianowi zasady, opierając się na rachunku prawdopodobieństwa.

– …Jest tylko trzydzieści sześć możliwych kombinacji przy dwóch kościach, a każda kość, rzecz jasna, ma sześć boków. Jeśli rzucić równocześnie dwiema kośćmi, dowolna kombinacja, jaka wypadnie, nazywa się szansą i prawdopodobieństwo jej wyrzucenia wynosi trzydzieści pięć do jednego. – Cam urwał, spoglądając na Sebastiana pytająco.

St. Vincent pokiwał głową.

– Mów dalej.

– Jak każdemu hazardziście wiadomo, suma oczek z obu boków zwróconych ku górze daje punktację. Dwa pojedyncze oczka dają dwa punkty. Dwie szóstki dają dwanaście punktów. Jednak szanse wyrzucenia konkretnej liczby są różne, ponieważ dwa punkty można uzyskać tylko w jeden sposób, a siedem punktów już na sześć sposobów.

– Siedem od razu wygrywa – mruknął Sebastian, marszcząc czoło w skupieniu. – A skoro największa liczba kombinacji daje wygraną, prawdopodobieństwo wyrzucenia siedmiu w jednym rzucie wynosi…

– Szesnaście procent – podpowiedział mu Cam, biorąc kości do ręki. Złote pierścionki na jego śniadych palcach zamigotały w świetle, kiedy rzucił kośćmi, tak że odbiły się od drugiego końca stołu i znieruchomiały na zielonym suknie. Na obu zwróconych w górę bokach było po sześć oczek. – Wyrzucenie dwunastu wynosi jedynie dwa i siedem dziesiątych procent. Rzecz jasna przy większej liczbie rzutów prawdopodobieństwo rośnie. Przy stu sześćdziesięciu sześciu rzutach wyniesie już dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Oczywiście przy innych sumach prawdopodobieństwo będzie inne. Mogę panu to pokazać na papierze, łatwiej wtedy zrozumieć. Będzie pan miał wielkie przody, jeśli nauczy się obliczać szanse. Niewielu graczy to robi, a właśnie to różni cwaniaków od frajerów. Hazard wymaga przewidywania, nawet jeśli gra się uczciwie, a bankier zwykle stoi na uprzywilejowanej pozycji… – Cam przerwał, widząc, że Evie

zbliża się do stołu. — Dobry wieczór, milady – powitał ją z uśmiechem w ciemnych oczach.

Sebastian ściągnął brwi, lekko zirytowany ich zażyłością, wyczuwalną w swobodnym tonie.

– Dobry wieczór – odpowiedziała Evie, stając obok męża. – Dobrze sobie radzisz z liczbami, milordzie? – zwróciła się do niego przyjaźnie.

– Zawsze tak sądziłem – mruknął Sebastian — aż do teraz. Rohan, czy inni krupierzy potrafią dobrze oceniać prawdopodobieństwo wyników?

– Wystarczająco dobrze, milordzie. Są świetnie wyszkoleni. Wszyscy wiedzą, jak nakłonić gracza do obstawienia zakładu na korzyść banku, jak odróżnić dobrego gracza od złego…

– Wyszkoleni przez kogo? – zainteresowała się Evie.

Zęby Cama błysnęły śnieżną bielą na tle smagłej twarzy.

– Przeze mnie, ma się rozumieć. Nikt nie rozumie istoty hazardu tak dobrze, jak ja.

Evie z uśmiechem spojrzała na męża.

– Brakuje mu tylko pewności siebie – stwierdziła.

Sebastian nie podchwycił żartu. Zwrócił się do Cama całkiem poważnie:

– Chcę mieć listę, w porządku chronologicznym, wszystkich większych pożyczek wraz z datami płatności. Księga rachunkowa leży w biurze na górnej półce. Może od razu się tym zajmiesz?

– Tak, milordzie. – Skłoniwszy się Evie, Cam oddalił się jak zwykle pełnym wdzięku kocim krokiem.

Stojąc obok męża w przepastnej, nieco mrocznej sali gier, Evie poczuła nerwowe łaskotanie w brzuchu. Przez ostatnie kilka dni ich kontakty były wprawdzie częste, ale bezosobowe, rzadko też przebywali ze sobą sam na sam. Pochyliła się nad stołem, sięgając po leżące tam kości, po czym włożyła je do specjalnego skórzanego etui. Kiedy się prostowała, poczuła, że Sebastian dotyka lekko jej ściśniętych gorsetem pleców, i natychmiast gorący dreszcz przebiegł jej po karku.

– Późno już – odezwał się tonem znacznie łagodniejszym niż ten, którego używał wobec Cama. – Powinnaś się położyć. Musisz być zmęczona po tym wszystkim, co dziś zrobiłaś.

– Nie zrobiłam tak znowu dużo. – Wzruszyła ramionami. Sebastian przesunął dłonią od jej łopatki do talii.

– Ależ tak, zrobiłaś. Za bardzo się forsujesz, kotku. Musisz odpocząć.

W odpowiedzi tylko pokręciła głową; trudno jej było skupić myśli, kiedy jej dotykał.

– Cieszę się, że mam okazję trochę popracować – wydukała. – Dzięki temu nie rozmyślam o… o…

– Tak, wiem. Dlatego na to pozwalam. – Długimi palcami muskał jej szyję. Bezwiednie wstrzymała oddech, czując, jak ciepło jego dłoni ogrzewa jej skórę. – Powinnaś iść do łóżka – powtórzył, przyciągając ją do siebie. Wolno przeniósł wzrok z jej twarzy na piersi i parsknął śmiechem całkowicie pozbawionym wesołości. – A ja powinienem pójść z tobą, do licha. Ale nie mogę, więc… Chodź

tutaj.

– Po co? – spytała niepewnie, kiedy przyparł ją do krawędzi stołu i wcisnął się pomiędzy jej nogi spowite fałdami spódnicy.

– Chcę cię trochę pomęczyć.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Miała wrażenie, że krew w jej żyłach zaraz zacznie wrzeć.

– Kiedy... – musiała odchrząknąć i zacząć jeszcze raz: – Zapewne używasz słowa „pomęczyć" w sensie metaforycznym.

Wolno pokręcił głową.

– Obawiam się, że w dosłownym.

– Co takiego?

– Kochanie, chyba nie sądziłaś, że przez następne trzy miesiące tylko ja będę cierpiał? Połóż na mnie ręce.

– G-gdzie?

– Gdziekolwiek. – Poczekał, aż z wahaniem chwyci go za ramiona przez miękką wełnę surduta. Potem, patrząc jej prosto w oczy, rzekł: — Ogień płonie we mnie wysoki, Evie, i tak samo wysoki rozniecę w tobie.

– Sebastianie… – żachnęła się, na co przycisnął ją do stołu jeszcze mocniej.

– Mam prawo cię całować – przypomniał jej. – Kiedy tylko zechcę i jak długo zechcę. Taką zawarliśmy umowę.

Rozejrzała się spłoszona po pustej sali. Sebastian bez trudu odgadł jej myśli.

– Nie dbam o to, czy ktoś nas zobaczy. Jesteś moją żoną. – Uśmiechnął się chytrze. – Moją bez wątpienia lepszą połówką. – Pochylił się i zanurzył twarz w drobnych loczkach nad jej czołem. Kiedy mówił, czuła gorący powiew jego oddechu. – Moją nagrodą… moją przyjemnością i bólem… moim nieustannym pragnieniem. Nigdy nie znałem nikogo takiego jak ty, Evie. – Przesunął wargami od nasady jej nosa po czubek. – Stawiasz mi żądania, o jakich żadna inna kobieta nie śmiałaby nawet pomyśleć. Na razie ja płacę wyznaczoną przez ciebie cenę, kochanie. Ale później ty będziesz płacić moją… Raz za razem… – Przywarł do jej drżących ust, podtrzymując ją od tyłu za głowę.

Uwielbiał pocałunki niemal tak samo jak pełne cielesne zjednoczenie. Ten zaczął się delikatnym zetknięciem suchych, zamkniętych ust; potem napięcie rosło, aż poczuła, jak jego język, coraz śmielszy, coraz bardziej natarczywy, wsuwa się między jej rozchylone wargi. Bezwolnie odchyliła głowę, poddając się doznaniom. Serce waliło jej jak oszalałe, kolana zrobiły się dziwnie miękkie.

Opuścił jedną rękę niżej, na jej piersi, bezskutecznie próbował wyczuć przez grubą warstwę materiału wypukłość brodawki. Spragniony dotyku nagiej skóry, przeniósł dłoń z powrotem na szyję i delikatnie przyłożył palec do miejsca pulsującego przyśpieszonym rytmem. Następnie oderwał się od jej ust i podążył wargami do tego szczególnego punktu. Evie musiała mocno się chwycić jego ramion, by zachować równowagę. Czując, że się zachwiała, Sebastian z cichym pomrukiem przycisnął ją do siebie i znów przywarł pocałunkiem do jej ust. Nie potrafiła dłużej zachowywać resztek powściągliwości, wydała z siebie przeciągły jęk, jakby bez słów błagała go o więcej.

Niespodziewany odgłos chrząknięcia przerwał im moment roznamiętnienia.

Evie wstrzymała oddech, a Sebastian przyciągnął jej głowę do swej piersi; nie przestawał gładzić palcem rozgrzanego rumieńcem policzka. Evie wyczuwała mocne bicie jego serca, kiedy chłodno zwracał się do intruza:

– O co chodzi, Gully?

Jim Gully, jeden z pracowników klubu obsługujących salę gier, z trudem łapał oddech.

– Przepraszam, milordzie, ale mamy kłopoty na dole. Stolarze wytrzasnęli skądś butelkę rumu i wszyscy trzej się upili. Zaczęli się kłócić w jadalni. Dwaj już się tłuką, a trzeci rozbija talerze z kredensu.

Sebastian zmarszczył czoło.

– Powiedz Rohanowi, żeby się tym zajął.

– Pan Rohan twierdzi, że jest zajęty.

– Na dole trwa pijacka burda, a on jest zbyt zajęty, żeby interweniować? – spytał Sebastian z niedowierzaniem.

– Tak, milordzie.

– W takim razie sam coś zrób.

– Nie mogę, milordzie. – Uniósł w górę zabandażowany palec. – Uszkodziłem sobie rękę podczas bójki w ciemnej uliczce wczoraj wieczorem.

– Gdzie jest Hayes?

– Nie wiem, milordzie.

– Chcesz powiedzieć – Sebastian mówił złowieszczo ściszonym głosem — że z trzydziestu zatrudnionych tu ludzi żaden nie może powstrzymać trzech pijanych durniów przed rozwalaniem jadalni, którą mieli odnawiać?

– Właśnie, milordzie.

W głuchej ciszy, która zapadła, rozległ się brzęk tłuczonej porcelany, a potem łomot przewracanych mebli, od którego żyrandol nad ich głowami delikatnie zadzwonił kryształkami. Dochodzącym z parteru odgłosom walki towarzyszyły coraz głośniejsze pijackie ryki.

– Niech to szlag – wycedził Sebastian przez zęby. – Co oni tam, u diabła, wyprawiają?

Oszołomiona Evie bezradnie kręciła głową, patrząc to na wykrzywioną gniewem twarz męża, to na nienaturalnie spokojne oblicze Gully'ego.

– Nie rozumiem…

– Nazwij to rytuałem przejścia – warknął Sebastian, po czym odszedł szybkim krokiem, który tuż za progiem przeszedł w bieg.

Evie podciągnęła spódnicę i ruszyła za nim. Rytuał przejścia? O co mu chodziło? I dlaczego Cam nie chciał osobiście zaprowadzić porządku? Nie była w stanie nadążyć za mężem. Schodziła po schodach, uważając, żeby się nie zaplątać w gęstych fałdach spódnicy. Coraz większy hałas dobiegał od strony jadalni, przed którą zgromadziła się spora grupa pracowników klubu. Evie widziała, jak Sebastian ściąga surdut i rzuca go komuś do potrzymania, a potem łokciami toruje sobie drogę przez tłum. Na środku, w niewielkim pustym kręgu, trzej mężczyźni niezdarnie wymachiwali pięściami, próbując uderzyć lub chociaż pchnąć któregoś z przeciwników. Podnieceni gapie podgrzewali atmosferę okrzykami zachęty.

Sebastian strategicznie zaatakował człowieka, który według niego najsłabiej trzymał się na nogach; odwrócił go twarzą do siebie i wymierzył mu parę celnych ciosów, po których ogłuszony stolarz zrobił z rozpędu kilka kroków przed siebie i padł na wyłożoną dywanem podłogę. Pozostała dwójka zjednoczyła siły i zgodnym tandemem ruszyła na Sebastiana. Jeden z przeciwników próbował unieruchomić mu ręce, drugi puścił w ruch pięści.

Evie krzyknęła z przerażeniem, jej głos jakimś cudem przedarł się do uszu Sebastiana poprzez wrzawę czynioną przez tłum. Odszukał ją wzrokiem, na moment tracąc koncentrację, co wystarczyło, by natychmiast znalazł się w morderczym klinczu, a jego głowy dosięgnęło kilka mocnych uderzeń.

– Nie! – Evie rzuciła się naprzód, ale natychmiast została przytrzymana przez silne męskie ramię.

– Zaczekaj – powiedział znajomy głos tuż przy jej uchu. – Daj mu szansę.

– Cam! – Odwróciła się gwałtownie i wbiła pełne lęku spojrzenie w egzotyczną twarz o wystających kościach policzkowych i złotych oczach okolonych gęstymi rzęsami. – Oni mu zrobią krzywdę! – wykrzyknęła, łapiąc Rohana za klapy surduta. – Pomóż mu… Cam, musisz…

– Już się wyswobodził – stwierdził beznamiętnie Cam, wskazując na pole walki. – Spójrz, całkiem nieźle sobie radzi.

W tym momencie jeden z przeciwników Sebastiana wykonał potężny zamach; Sebastian pochylił się w błyskawicznym uniku i odpowiedział celnym ciosem.

– Cam, do diabła, dlaczego nawet nie kiwniesz palcem, żeby mu pomóc?

– Nie mogę.

– Ależ owszem, możesz! Masz wprawę w takich starciach, znacznie większą niż on!

– Musi dać sobie radę sam – odrzekł spokojnie Cam. – W przeciwnym razie nie będzie miał autorytetu. Ludzie tu zatrudnieni uważają, że kierowanie klubem wymaga nie tylko słów, ale i czynów. St. Vincent nie może ich prosić o zrobienie czegoś, czego sam nie chciałby zrobić. I dobrze o tym wie. Inaczej teraz by nie walczył.

Evie zakryła oczy, by nie patrzeć, jak jeden ze stolarzy rzuca się na jej męża od tyłu, podczas gdy drugi zmusza go do obrony przed gradem uderzeń.

– Zdobędzie ich lojalność, tylko używając pięści w bezsensownym pokazie brutalnej siły?

– Z grubsza można to tak ująć. Chcą wiedzieć, na co go stać. – Cam pociągnął ją za rękaw. – Patrz – zachęcił głosem drżącym od tłumionego śmiechu. – Nic mu nie będzie.

Nie umiała się przemóc, odwrócona tyłem do walczących, wzdrygała się przy każdym odgłosie pięści trafiającej w ciało, przy każdym stęknięciu z bólu.

– To jest n-nie do zniesienia – jęknęła. – Cam, proszę…

– Nikt mu nie kazał zwalniać Egana i brać się samemu za prowadzenie klubu – przypomniał jej Cam rzeczowym tonem. – A to, co widać, stanowi część obowiązków związanych z tym stanowiskiem, moja droga.

To akurat rozumiała. Wiedziała doskonale, że jej ojciec rozdzielał walczących albo sam brał udział w bójkach, i to przez większą część swego życia. Jednak

Sebastian nie był stworzony do takich zachowań. Brakowało mu brutalności, upodobania do przemocy, które cechowały Ivo Jennera.

Tymczasem drugi ze stolarzy wylądował na ziemi. Sebastian z uwagą okrążał ostatniego przeciwnika. Nie ulegało wątpliwości, że nawet jeśli postępował nie do końca zgodnie ze swą naturą, zamierzał zrobić, co trzeba, by dowieść siły charakteru. Pijany mężczyzna ruszył do natarcia, ale Sebastian powstrzymał go kombinacją ciosów — dwóch lewą i jednego prawą ręką, po których napastnik z jękiem runął na podłogę. Tłum obserwujących walkę pracowników przyjął zwycięstwo Sebastiana pełnymi uznania okrzykami i brawami. St. Vincent podziękował im szybkim skinieniem głowy, po czym spojrzał w stronę Evie. Twarz mu pociemniała, gdy zobaczył, że Cam otacza jego żonę ramieniem w opiekuńczym geście.

Rozradowani pracownicy klubu wyprowadzili na zewnątrz pokonanych stolarzy, a potem chwycili za szczotki i wiadra, by uprzątnąć powstały w jadalni bałagan. Niektórzy z nich spoglądali na swego nowego, samozwańczego szefa znacznie przyjaźniej niż przed walką. Sebastian otarł rękawem koszuli plamkę krwi w kąciku ust, a potem schylił się, podniósł przewrócone krzesło i odstawił je na miejsce w kącie.

Cam puścił Evie i przez opustoszałą jadalnię podszedł do Sebastiana.

– Walczy pan jak dżentelmen, milordzie – powiedział.

Sebastian odpowiedział mu ironicznym spojrzeniem.

– Dlaczego to nie brzmi jak komplement?

Rohan włożył ręce do kieszeni i stwierdził spokojnie:

– Daje pan sobie nieźle radę z dwoma pijanymi durniami…

– Na początku było ich trzech – sprostował cierpko Sebastian.

– Zatem z trzema pijanymi durniami. Ale następnym razem może pan nie mieć tyle szczęścia.

– Następnym razem? Jeśli sądzisz, że regularnie będę się bił…

– Jenner się bił – przerwał mu Cam. – Egan też. Prawie co wieczór jest jakaś burda, a to na ulicy przed klubem, a to przed stajnią czy w sali karcianej, kiedy goście mają za sobą długie godziny podniecenia grą, trunkami i towarzystwem kobiet. Zajmujemy się tym na zmianę. I jeśli nie chce pan regularnie, co tydzień, dostawać batów, musi pan się nauczyć paru sztuczek, które pomagają szybko zakończyć walkę. Dzięki nim mniej ucierpi zarówno pan, jak i awanturniczy klient, a i policja nie będzie się wtrącać.

– Jeśli masz na myśli taktyki stosowane przez hołotę podczas bójek w ciemnych zaułkach…

– To nie przyjdzie pan na półgodzinne lekkie ćwiczenia do klubu bokserskiego – dopowiedział złośliwym tonem Cam.

Sebastian już otworzył usta, by mu się sprzeciwić, lecz na widok zbliżającej się Evie zamilkł z nagle zmienioną twarzą. Nowa mina stanowiła odpowiedź na niepokój Evie, którego nie potrafiła ukryć. Z jakiegoś powodu jej troska pozbawiła Sebastiana wcześniejszej wrogości. Cam obserwował małżonków z żywym zainteresowaniem.

– Czy jesteś ranny? – odezwała się Evie, lustrując męża wzrokiem. Ku swej

uldze nie dostrzegła żadnych śladów poważniejszych obrażeń.

Zaprzeczył ruchem głowy. Nawet nie drgnął, gdy wyciągnęła rękę i odgarnęła mu z czoła zlepiony potem jasny kosmyk.

– Nic mi nie jest – mruknął. – W porównaniu z cięgami, jakie zebrałem od Westcliffa, to była drobnostka.

– Jeszcze nieraz zbierze pan cięgi, milordzie, jeśli nie przyjmie pan kilku wskazówek dotyczących walki – oznajmił Cam, po czym, nie czekając na zgodę Sebastiana, podszedł do drzwi i zawołał: – Dawson! Wróć tu na chwilę. Nie, nie do pracy. Potrzebujemy cię, żebyś pokazał parę ciosów lordowi St. Vincentowi. – Oglądając się na Sebastiana, dorzucił niewinnym tonem: – Spodobało mu się. Już tu pędzi.

Evie, powstrzymując uśmiech, odeszła w kąt pokoju; rozumiała, że Cam zamierzał pomóc jej mężowi. Gdyby Sebastian chciał uparcie przestrzegać zasad stosowanych w sparingach dżentelmenów, nie dałby sobie rady podczas brutalnych ataków, na jakie mógł być narażony.

Dawson, postawny, młody pracownik klubu, pojawił się w progu.

– Bije się najlepiej z nas wszystkich – zarekomendował go Cam. – Pokaże panu kilka podstawowych manewrów, które pozwalają szybko powalić przeciwnika. Dawson, zastosuj na lordzie St. Vincencie rzut przez biodro. Ale ostrożnie, nie musisz mu łamać kręgosłupa.

Dawson nie krył, że bardzo chętnie zademonstruje swoje możliwości na Sebastianie. Podszedł do niego w paru długich krokach, chwycił go mięsistym ramieniem i rzucił na ziemię. Sebastian z głuchym jękiem wylądował na plecach. Dawson zamierzał mu wskoczyć na brzuch, ale Cam błyskawicznie przytrzymał nadgorliwego młodzieńca.

– Dobrze, Dawson – pochwalił. – Bardzo dobrze. Na razie wystarczy. Cofnij się, proszę.

Evie obserwowała scenę, przyciskając do ust zaciśniętą pięść.

Cam wyciągnął do Sebastiana rękę, żeby pomóc mu się podnieść, ale on zignorował jego gest, przetoczył się na brzuch i wstał o własnych siłach. Popatrzył na Cama z miną, która większość ludzi zniechęciłaby na dobre do dalszego kontaktu. Tymczasem Cam mówił dalej swobodnym tonem:

– To naprawdę prosty ruch. Kiedy zetkniecie się bokami, należy objąć przeciwnika za szyję, drugą ręką złapać go za ramię i przechylić ciało w odpowiedni sposób. W zależności od siły uderzenia o ziemię nie będzie się mógł ruszyć przez kilka sekund. No dalej, proszę wypróbować na mnie.

Należało przyznać, że ćwicząc chwyt na Camie, Sebastian starał się pohamować emocje. Uczył się szybko, rzucał Cygana na ziemię sprawnie, lecz jednocześnie jakby z pewnym oporem.

– Nie mogę walczyć w taki sposób – mruknął w końcu.

Cam puścił uwagę mimo uszu.

– Jeśli zostanie pan złapany od tyłu, zwykle udaje się wyswobodzić uderzeniem głową. Proszę zacząć z opuszczonym czołem, podbródek ma dotykać piersi. Zaciskamy zęby, usta pozostają zamknięte i gwałtownie odchylamy głowę, uderzając w twarz przeciwnika. Nie ma potrzeby celować. A co do uderzenia

głową w przód… Czy robił pan to już kiedyś? Nie? Dowcip polega na tym, żeby cały czas patrzeć na przeciwnika. Celujemy w miękką część twarzy, nigdy w czaszkę. Używamy ciężaru ciała, starając się uderzać środkiem czoła.

Sebastian z wyraźną niechęcią przyjmował lekcję, podczas której dwaj młodsi mężczyźni demonstrowali mu uderzenia w szyję, nadepnięcia i inne techniki atakowania delikatnych, łatwych do uszkodzenia części ciała. Poproszony, włączał się do ćwiczeń, prezentując zwinność, która budziła nieskrywane uznanie Cama. Kiedy jednak przyszło do omawiania kopnięć w krocze, cierpliwość Sebastiana się wyczerpała.

– Wystarczy, Rohan – warknął.

– Ale jest jeszcze parę rzeczy…

– Nic mnie one nie obchodzą.

Cam wymienił spojrzenie z Evie, która tylko wzruszyła ramionami i lekko potrząsnęła głową; żadne z nich nie rozumiało, skąd się wzięło nagłe rozdrażnienie Sebastiana. Po chwili Cam odprawił Dawsona, rzucając mu na odchodne kilka słów pochwały. Po jego wyjściu zwrócił się spokojnie do Sebastiana, który ze złością wciągał na siebie surdut:

– Na czym polega problem, milordzie?

St. Vincent prychnął drwiąco.

– Nigdy nie udawałem, że jestem wzorem moralności. W przeszłości dopuszczałem się rzeczy, na które nawet diabeł by się zżymał. Ale są rzeczy, do których nawet ja nie mogę się zniżyć. Ludzie o mojej pozycji nie depczą innym po stopach, nie kopią ich w krocze ani nie walą głową na oślep podczas walki. Nie stosują też ciosów w szyję, podkładania nogi czy, Boże uchowaj, ciągnięcia za włosy.

Evie dotąd nie wyobrażała sobie, że mogłaby zobaczyć chłód w złocistych oczach Cama, tymczasem nagle jakby się zmieniły w bryłki zamarzniętego bursztynu.

– A jaka właściwie jest pańska pozycja, jeśli wolno spytać? – odezwał się lodowatym tonem. – Jest pan szlachcicem? Nie stosuje się pan do zasady, że szlachectwo zobowiązuje. Sypia pan w klubie hazardowym, w pokoju dopiero co zwolnionym przez dwie prostytutki. Nie musi pan zarabiać na życie? Właśnie zakończył pan wieczór, rozstrzygając bójkę gromady pijanych idiotów. Trochę późno, żeby się czepiać detali, nie sądzi pan?

– Masz mi za złe, że przestrzegam pewnych standardów? – odparował Sebastian.

– Bynajmniej. Mam panu za złe, że uznaje pan podwójne standardy. Romowie mają powiedzenie: „Jednym tyłkiem nie można siedzieć na dwóch koniach”. Jeśli chce pan tu przetrwać, będzie pan musiał się zmienić. Nie może pan pozować na arystokratę próżniaka, który jest ponad takie rzeczy. Do licha, próbuje pan wykonywać pracę, której nawet ja nie mogłem podołać. Będzie pan musiał sobie radzić z hazardzistami, pijakami, złodziejami, kłamcami, oszustami różnej maści, prawnikami, policją i ponad trzydziestoma pracownikami, którzy zgodnie wierzą, że do miesiąca zwinie pan interes i stąd zniknie. Teraz, kiedy Jenner nie żyje, przejął pan jego klub, który stanowi jedno z najbardziej znanych miejsc

w Londynie. Każdy będzie chciał prosić pana o przysługę albo wykorzystać, albo udowodnić swoją wyższość. I nikt nigdy nie powie panu całej prawdy. O niczym. Musi pan wyostrzyć swój instynkt. Ludzie muszą zacząć się bać wchodzić panu w drogę. W przeciwnym razie szanse na odniesienie sukcesu ma pan marne jak… — urwał w pół zdania. Widać było, że chciałby powiedzieć coś jeszcze, ale jedno spojrzenie na twarz Sebastiana wystarczyło, by uznał, że dalsze słowa będą bezużyteczne. Przeczesując smukłymi palcami kruczoczarne włosy, skierował się do wyjścia.

Minęła dłuższa chwila, zanim Evie odważyła się podejść do męża, który pogrążony w zadumie, wpatrywał się w ścianę przed sobą. Zauważyła, że większość ludzi wygląda starzej niż w rzeczywistości, kiedy są zmęczeni lub gdy trapi ich jakaś zgryzota, tymczasem Sebastian sprawiał wrażenie młodszego, niż był w istocie.

– Dlaczego to robisz? – spytała cicho, patrząc mu w twarz. – Bo nie tylko dla pieniędzy. Co masz nadzieję znaleźć w tym miejscu?

Nieoczekiwanie swoim pytaniem wzbudziła w jego oczach błysk zaprawionej ironią wesołości.

– Jak tylko się dowiem, dam ci znać.

ROZDZIAŁ 15

Następnego dnia po południu Sebastian zastał Evie w biurze zajętą sumowaniem paragonów i wpisywaniem liczb do księgi rachunkowej.

– Masz gościa – oznajmił bez wstępów. Napotkawszy jej wzrok ponad stosem papierów, dodał: — Pani Hunt.

Evie przez chwilę wpatrywała się w męża z niedowierzaniem. Serce podskoczyło jej z radości. Od jakiegoś czasu zastanawiała się, czy powinna napisać do Annabelle. Tęskniła za przyjaciółką, lecz jednocześnie nie wiedziała, jak jej ewentualna próba kontaktu zostanie przyjęta. Powoli podniosła się z krzesła.

– Jesteś pewien, że to nie kolejne oszustwo?

– Jestem całkowicie pewien – odparł Sebastian z przekąsem. — W uszach wciąż jeszcze mi dzwoni od oskarżeń i inwektyw. Ani pani Hunt, ani panna Bowman nie chcą uwierzyć, że nie zostałaś porwana, zgwałcona i nie wyszłaś za mnie pod przymusem.

– Panna Bowman? – powtórzyła osłupiała Evie, zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że nie może chodzić o Lillian. Lillian nie była już przecież panną Bowman; właśnie spędzała miesiąc miodowy z lordem Westcliffem. – Czy Daisy też tu jest?

– Owszem. Wściekła jak szerszeń – potwierdził. – Mogłabyś je zapewnić, że działałaś zgodnie z własną wolą? Bo wydaje mi się, że są gotowe posłać po najbliższego konstabla, żeby mnie aresztował.

Evie, ożywiona, zacisnęła palce na ramieniu męża.

– Nie mogę uwierzyć, że obie miały odwagę tu przyjechać. Pan Hunt na pewno nie ma pojęcia, co robi Annabelle.

– W tej kwestii się zgadzamy – rzekł Sebastian. – Hunt nie pozwoliłby żonie zbliżyć się do mnie na mniej niż piętnaście kilometrów. A i Bowmanom z pewnością by się nie podobało, że ich najmłodsza córka przekroczyła próg klubu hazardowego. Jednak znając twoje przyjaciółki, nie wątpię, że uknuły jakiś przemyślny spisek, by ukryć swoje działania.

– Gdzie one są? Nie mów, że kazałeś im czekać przy tylnym wejściu?

– Wprowadzono je do czytelni.

Evie tak bardzo chciała jak najszybciej zobaczyć przyjaciółki, że nie dbając o pozory, puściła się biegiem natychmiast po opuszczeniu biura. Szybko dotarła

do czytelni — Sebastian tuż za nią — i niepewnie zatrzymała się w progu.

Zobaczyła Annabelle, z miodowymi lokami i cerą świeżą jak u wyidealizowanych mleczarek malowanych na puszkach ze słodyczami. Przy pierwszym spotkaniu nieskazitelna angielska uroda Annabelle tak onieśmielała Evie, że bała się ją zagadnąć, pewna, iż spotka się z miażdżącym lekceważeniem ze strony tak niezwykłej istoty. Tymczasem odkryła, że Annabelle jest miła i pełna ciepła, a do tego ma samokrytyczne poczucie humoru.

Daisy Bowman, młodsza siostra Lillian, miała natomiast wyjątkowo bujną osobowość, zupełnie niepasującą do jej drobnej, szczupłej sylwetki. Idealistka ze zdecydowaną skłonnością do dziwnych pomysłów, dosłownie pożerała romanse, w których roiło się od postaci rozmaitych hultai i nikczemników. Jednakże pod romantyczną powierzchownością Daisy kryła się niepospolita inteligencja, niezauważana przez większość ludzi. Dziewczyna miała jasną cerę, ciemne włosy i oczy o barwie korzennego piernika, figlarne, okolone długimi rzęsami.

Widząc Evie, przyjaciółki rzuciły się w jej stronę z mało wytwornymi piskami radości. Evie także zaniosła się głośnym śmiechem, kiedy przypadły do siebie wszystkie trzy pośród serdecznych uścisków i całusów. Wesołym okrzykom i chichotom nie było końca, dopóki ktoś gwałtownie nie wtargnął do czytelni.

To był Cam. Dyszał jak po długim biegu. Szybko, z niepokojem rozejrzał się po pokoju i odetchnął z ulgą.

– Do licha – mruknął pod nosem. – Myślałem, że coś się stało.

– Wszystko w porządku, Cam – zapewniła go Evie z uśmiechem, nadal tuląc w uścisku Annabelle. – Po prostu przyjechały moje przyjaciółki.

Spoglądając na Sebastiana, Cam stwierdził zgryźliwie:

– Mniej pisków słychać przy zarzynaniu wieprzy.

Twarz Sebastiana nienaturalnie stężała, jakby rozpaczliwie usiłował powściągnąć śmiech.

– Pani Hunt, panno Bowman, to jest pan Rohan – odezwał się. — Muszą mu panie wybaczyć brak taktu, ale jest…

– Łobuzem? – podsunęła niewinnym tonem Daisy.

Tym razem Sebastian nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Zamierzałem powiedzieć, że jest nieprzyzwyczajony do obecności dam w klubie.

– To są damy? – spytał Cam, spoglądając na gości z powątpiewaniem; drobna twarz Daisy przykuła jego uwagę na nieco dłuższą chwilę.

Ostentacyjnie omijając wzrokiem Cama, Daisy odezwała się do Annabelle:

– Słyszałam, że Cyganie są znani z uroku osobistego, tymczasem wygląda, że to mit nieznajdujący potwierdzenia w rzeczywistości.

Złote oczy Cama zmieniły się w tygrysie szparki.

– Jesteśmy również znani z uprowadzania *gadji* dziewcząt.

Evie pośpiesznie włączyła się do rozmowy przybierającej niebezpieczny obrót:

– Milordzie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym porozmawiać z przyjaciółkami na osobności.

– Oczywiście – odparł St. Vincent z nienaganną uprzejmością. — Mam kazać, by przysłano wam herbatę, moja droga?

– Tak, dziękuję.

Kiedy mężczyźni wyszli, zamykając za sobą drzwi, Daisy wybuchnęła:

– Jak możesz rozmawiać z St. Vincentem tak serdecznie po tym, co zrobił?

– Daisy – zaczęła Evie przepraszającym tonem – bardzo mi przykro z p-powodu tego, co spotkało Lillian i…

– Nie chodzi tylko o to – przerwała jej nerwowo Daisy. – Mam na myśli raczej to, co zrobił tobie! Wykorzystał cię, zmusił do małżeństwa, a potem…

– Nie zmuszał mnie. – Evie popatrzyła najpierw na Daisy, potem na Annabelle. – Naprawdę! To ja zwróciłam się do niego. Usiądźmy, t-to wszystko wam opowiem. Ale najpierw wy mi powiedzcie, jak wam się udało przyjechać do klubu.

– Pan Hunt wyjechał w interesach – powiedziała Annabelle z chytrym uśmieszkiem. – A Bowmanom powiedziałam, że zabieram Daisy na zakupy na St. James Street. Wiesz, jestem jej przyzwoitką.

– I naprawdę pojechałyśmy na zakupy – wtrąciła Daisy. – Tyle że potem trochę nadłożyłyśmy drogi…

Przez następne kilka minut siedziały pochylone ku sobie, Annabelle i Evie na kanapie, Daisy na przysuniętym do niej fotelu. Jąkając się lekko, Evie opowiedziała im wszystko, co się wydarzyło po opuszczeniu przez nią domu Maybricków. Ku jej uldze przyjaciółki nie potępiały jej za to, co zrobiła. Przeciwnie, okazywały troskę i współczucie, choć było jasne, że nie pochwalają dokonanych przez nią wyborów.

– Przepraszam – westchnęła w pewnym momencie Evie, widząc cień na aksamitnie gładkiej twarzy Annabelle. – Wiem, że nie podoba ci się moje małżeństwo z lordem St. Vincentem.

– Nie ma znaczenia, czy mi się podoba – odpowiedziała łagodnie Annabelle. – Pozostanę twoją przyjaciółką niezależnie od tego, co zrobisz. Nie czyniłabym ci wyrzutów, nawet gdybyś poślubiła samego diabła.

– Który z pewnością jest blisko spokrewniony z St. Vincentem – stwierdziła ponuro Daisy.

– Rzecz w tym – ciągnęła Annabelle, rzuciwszy Daisy ostrzegawcze spojrzenie – że skoro już się to stało, chcemy wiedzieć, jak mogłybyśmy ci pomóc.

Evie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Potrzebuję jedynie waszej przyjaźni. Tak strasznie się bałam, że możecie z niej zrezygnować.

– Nigdy. – Annabelle pogłaskała Evie po rudych lokach. – Moja droga, mam nadzieję, że nie wyda ci się to bezczelnością… ale skoro opuszczałaś swój dom w pośpiechu, to pewnie nie zabrałaś ze sobą wielu strojów. Dlatego przywiozłam ci trochę rzeczy do noszenia. Wiem, że jesteś w trakcie żałoby, więc zabrałam tylko brązowe, czarne i szare, do tego oczywiście kilka nocnych koszul, rękawiczki i inne rzeczy… Każę je tu przynieść z powozu, jeśli się zgodzisz. Jesteśmy prawie tego samego wzrostu, więc sądzę, że po paru poprawkach…

– Och, Annabelle! – wykrzyknęła Evie, obejmując przyjaciółkę serdecznie. – Jak miło z twojej strony! Nie chcę jednak, żebyś p-poświęcała choćby małą część swej wyprawy dla mnie…

– To żadne poświęcenie – przerwała jej Annabelle z uśmiechem. – Niedługo i tak nie będę mogła nosić tych ubrań.

Evie natychmiast sobie przypomniała, że przed miesiącem Annabelle zwierzyła się jej, że może być w ciąży.

– Oczywiście… Och, Annabelle, byłam tak bardzo zajęta własnymi problemami, że nawet nie pomyślałam, by cię spytać, jak się czujesz! Zatem to prawda? Lekarz potwierdził ciążę?

– Owszem. – Daisy wstała i zawirowała z radości, jakby nie mogła usiedzieć w miejscu ani chwili dłużej. – Będziemy ciotkami!

Evie również się poderwała, by dołączyć do Daisy w dziecinnych podskokach, natomiast Annabelle, rozbawiona, obserwowała je na siedząco.

– Wielkie nieba, co wy wyprawiacie? – zawołała. – Szkoda, że Lillian tu nie ma. Na pewno celnie podsumowałaby te wasze dzikie harce.

Wzmianka o Lillian natychmiast zwarzyła humor Evie. Opadła z powrotem na kanapę i spojrzała na Annabelle z niepokojem.

– Czy ona kiedykolwiek mi wybaczy, że w-wyszłam za St. Vincenta po tym, co jej zrobił?

– Oczywiście – odparła łagodnie Annabelle. – Wiesz, jaka jest lojalna. Wybaczyłaby ci wszystko poza morderstwem. A może nawet i to. Obawiam się jednak, że wybaczenie St. Vincentowi to zupełnie inna sprawa.

Daisy z surową miną wygładzała na sobie spódnicę.

– Bez wątpienia St. Vincent zyskał wroga w osobie hrabiego Westcliffa, co utrudnia sprawę reszcie z nas.

Rozmowę przerwała pokojówka, która wniosła tacę z herbatą. Evie nalała bursztynowego naparu sobie i Annabelle. Daisy odmówiła herbaty, wolała spacerować po czytelni i oglądać książki na półkach. Przyglądała się z bliska tytułom wytłoczonym na kolorowych grzbietach.

– Większość tych książek jest pokryta kurzem – stwierdziła w pewnym momencie. — Można by pomyśleć, że od wieków nikt ich nie czytał!

Annabelle podniosła wzrok znad filiżanki i uśmiechnęła się zagadkowo.

– Założę się, że niewiele, jeśli w ogóle którakolwiek z nich była czytana, moja droga. Mało prawdopodobne, by dżentelmeni odwiedzający ten klub wybierali lekturę, podczas gdy mają tyle innych, ciekawszych możliwości.

– Po co komu czytelnia, jeśli nikt w niej nie czyta? – rzuciła z irytacją Daisy. – Nie wyobrażam sobie zajęcia ciekawszego niż czytanie. Czasami podczas czytania szczególnie ciekawej historii czuję, jak serce mi wali!

– Jest taka jedna rzecz… – mruknęła Annabelle ze swawolnym uśmieszkiem, zupełnie nieprzystającym damie. Jej słowa umknęły jednak uwagi Daisy, która podążyła dalej wzdłuż rzędów półek. Patrząc Evie w twarz, Annabelle szepnęła: — A skoro już jesteśmy przy tym temacie, Evie… Martwi mnie, że nie miałaś z kim porozmawiać przed swoją nocą poślubną. Czy St. Vincent obszedł się z tobą delikatnie?

Evie, czując, jak policzki jej płoną, potwierdziła szybkim skinieniem.

– Jak można było oczekiwać, wykazał się wielką biegłością.

– Ale czy był uważny?

– Tak… tak sądzę.

– Niezręczny temat, prawda? – Annabelle uśmiechnęła się. – Jednak gdybyś miała jakieś pytania, mam nadzieję, że zwrócisz się z nimi do mnie. Wiesz, że czuję się jak twoja starsza siostra.

– Ja też tak czuję – zapewniła Evie, ściskając dłoń przyjaciółki. — Chyba rzeczywiście mam parę takich pytań, ale są okropnie…

– Na Boga! — Z drugiego końca pokoju dobiegł ich okrzyk Daisy. Obejrzały się równocześnie i zobaczyły, jak dziewczyna mocuje się z jedną z mahoniowych półek. – Kiedy się o nią oparłam, usłyszałam skrzypnięcie, a potem zaczęła się przesuwać.

– To sekretne przejście – wyjaśniła Evie. – W klubie jest kilka takich drzwi i parę korytarzy, żeby ukryć różne rzeczy w razie nalotu policji albo jeśli ktoś musi wyjść w pośpiechu…

– A to dokąd prowadzi?

W obawie, że dalsze wyjaśnienia zachęcą żądną przygód Daisy do kolejnych odkryć, Evie odparła wymijająco:

– Och, do żadnego miejsca, w którym chciałabyś się znaleźć. Pewnie do spiżarni. Lepiej zamknij te drzwi, moja droga.

– Hm.

Daisy poszła oglądać pozostałe półki, a Evie i Annabelle podjęły przerwaną rozmowę.

– Prawdę mówiąc, l-lord St. Vincent zgodził się przez pewien czas zachować celibat ze względu na mnie – mówiła szeptem Evie. – Jeśli mu się uda, wtedy wznowimy nasze pożycie małżeńskie.

– Co takiego? – Annabelle otworzyła szeroko swoje piękne niebieskie oczy. – Dobry Boże! Nie wierzę, by nazwisko St. Vincent i słowo „celibat” wystąpiły kiedykolwiek wcześniej w jednym zdaniu. Jakim cudem zdołałaś go namówić na coś takiego?

– Powiedział… dał mi do zrozumienia… że pożąda mnie na tyle mocno, by spróbować.

Annabelle pokręciła głową z dziwnym uśmiechem.

– To do niego niepodobne. W ogóle. Będzie oszukiwał rzecz jasna.

– Owszem. Wierzę jednak, że ma szczere intencje.

– St. Vincent nigdy nie bywa szczery – stwierdziła sucho Annabelle.

Evie nie mogła zapomnieć sceny, która rozegrała się niedawno w tym samym pokoju, w którym obecnie się znajdowały. Nie mogła zapomnieć urywanego oddechu Sebastiana, kiedy ją obejmował, miękkiego dotyku jego ust. I namiętności w jego głosie, kiedy mówił: „Pragnę cię bardziej niż czegokolwiek na świecie”.

Jak miała to wyjaśnić Annabelle? Jakimi słowami ją przekonać, że może warto mu zaufać? Bo przecież nie sposób wierzyć, że szara myszka Evie Jenner nagle stała się obiektem pożądania mężczyzny takiego jak Sebastian St. Vincent, mężczyzny, który mógł wybierać spośród najpiękniejszych i najbardziej utalentowanych kobiet w Anglii. A jednak Sebastian nie był już tym samym człowiekiem, który przechadzał się z arogancką miną po rezydencji lorda

Westcliffa w Hampshire. Coś w nim się zmieniło i ten proces nadal trwał. Czy zmianę zapoczątkowała nieudana próba porwania Lillian? Czy może zaczęła się później, podczas żałosnej podróży do Gretna Green? A może klub miał z tym coś wspólnego? Sebastian zachowywał się dziwnie od czasu, gdy do niego wkroczyli. Dążył do czegoś, czego sam nie potrafił nawet nazwać.

– O nie… – westchnęła z żalem Annabelle, spoglądając ponad ramieniem Evie.

– O co chodzi? – Evie odwróciła się, podążając za jej wzrokiem.

Annabelle nie musiała odpowiadać. Zostały w czytelni we dwie. A jedna z półek wyraźnie odstawała od reszty. Daisy, jak można było się spodziewać, kierowana swoją niepohamowaną ciekawością, przeszła przez sekretne drzwi.

– Dokąd one prowadzą? – spytała Annabelle, niechętnie odstawiając filiżankę z niedopitą herbatą.

– Zależy, w którą stronę poszła – odpowiedziała Evie, marszcząc czoło. – Układ korytarzy jest podobny do labiryntu, jedno przejście rozdziela się na dwie strony, są też sekretne schody prowadzące na drugie piętro. Na szczęście klub nie jest otwarty dla gości, co nieco ogranicza zakres kłopotów, w jakie może się wpakować.

– Pamiętaj, że chodzi o Daisy Bowman – powiedziała cierpko Annabelle. – Jeśli istnieje choćby najmniejsza możliwość popadnięcia w kłopoty, ona z niej skorzysta.

Skradając się ciemnym korytarzem, Daisy doświadczała tych samych emocji, jakie zawsze odczuwała jako dziecko, kiedy bawiły się z Lillian w piratów w ich rezydencji przy Piątej Alei. Po zakończeniu codziennych lekcji biegały po ogrodzie – dwa małe urwisy z długimi warkoczami, w podartych sukienkach – toczyły obręcze i kopały dziury w kwiatowych rabatach. Pewnego dnia postanowiły stworzyć ukrytą piracką jaskinię, a następnie poświęciły całe lato na robienie tunelu w żywopłocie otaczającym rezydencję z przodu i po bokach. Starannie wycinały i obłamywały gałązki, aż powstało długie zagłębienie, którym przemykały tam i z powrotem jak para myszek. Odbywały potajemne spotkania w swojej „pirackiej jaskini", a w dziurze wykopanej za domem trzymały drewnianą kasetkę pełną skarbów. Gdy w końcu ich sprawki wyszły na jaw za sprawą rozgniewanego ogrodnika, którego przeraził wygląd żywopłotu, Daisy i Lillian tygodniami musiały znosić wyznaczoną karę.

Uśmiechnęła się tęsknie na wspomnienie ukochanej starszej siostry i nagle poczuła się bardzo samotna. Zawsze były z Lillian razem, kłóciły się ze sobą, śmiały, pakowały się nawzajem w tarapaty i ratowały jedna drugą, kiedy tylko to było możliwe. Naturalnie cieszyła się, że Lillian spotkała swego idealnego wybranka w osobie lorda Westcliffa, ale to nie zmieniało faktu, że Daisy strasznie brakowało obecności siostry. W dodatku teraz dwie pozostałe przyjaciółki znalazły mężów i stały się częścią tajemniczego świata żon, do którego ona wciąż nie miała wstępu. Zamierzała temu zaradzić, jak najszybciej wychodząc za mąż za jakiegoś miłego, szczerego dżentelmena, który podzielałby jej miłość do książek. Powinien też nosić okulary oraz lubić psy i dzieci.

Idąc po omacku, omal nie spadła z niewielkich schodów, które pojawiły się przed nią zupełnie niespodziewanie. Słaba poświata dobiegająca z dołu zachęciła ją do dalszej wędrówki. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że światło sączy się spod drzwi. Przystanęła, zastanawiając się, co też może za nimi być, i nagle usłyszała równomierne stukanie. Potem nastąpiła pauza i stukanie się powtórzyło.

Ciekawość wzięła górę. Daisy położyła ręce na drzwiach i mocno je pchnęła. Ustąpiły od razu, odsłaniając jej widok na pomieszczenie z kilkoma pustymi stołami i krzesłami oraz potężnym kredensem, na którym stały dwa wielkie srebrne termosy. Daisy wyjrzała zza drzwi i odkryła źródło słyszanego chwilę wcześniej dźwięku. Jakiś człowiek reperował uszkodzoną listwę podłogową; kucając, pewnymi uderzeniami młotka wbijał gwoździe w wąski pasek drewna. Widząc, że drzwi się otwierają, wyprostował się swobodnym ruchem i zacisnął dłoń na trzonku, jakby miał użyć młotka w charakterze broni.

To był ten Cygan, chłopak z oczami głodnej pantery. Bez surduta i kamizelki, bez krawata, górną część ciała miał okrytą jedynie cienką białą koszulą, zatkniętą luźno za pasek obcisłych spodni. Na jego widok Daisy poczuła to samo co wcześniej na górze – jakby ukłucie w piersi, po którym jej serce gwałtownie przyśpieszyło. Sparaliżowana świadomością, że przebywa z nim sam na sam w tym ukrytym pomieszczeniu, patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak Cygan powoli zbliża się do niej.

Jeszcze nigdy nie widziała żywej istoty o tak egzotycznej, mrocznej urodzie. Miał skórę o barwie miodu, jasnobrązowe oczy okolone długimi, gęstymi rzęsami, bujne kruczoczarne włosy opadały na jego czoło.

– Co pani tu robi? – Rohan podszedł tak blisko, że odruchowo zrobiła krok do tyłu i natrafiła łopatkami na ścianę. Żaden mężczyzna – choć dotąd Daisy miała z nimi niewiele do czynienia – nie potraktował jej tak bezceremonialnie. Najwidoczniej nie miał pojęcia o salonowych manierach.

– Zwiedzam – wydukała.

– Ktoś pani pokazał to przejście?

Daisy patrzyła, jak Rohan opiera się o ścianę, kładąc ręce po obu stronach jej głowy. Był nieco wyższy niż przeciętny mężczyzna, ale nie przytłaczał jej wzrostem, miała na wysokości oczu jego opaloną szyję. Zaczerpnęła tchu, starając się nie okazywać zdenerwowania.

– Nie, sama je znalazłam. Ma pan dziwny akcent.

– Pani też. Amerykanka?

Potwierdziła skinieniem, ponieważ nagle zaniemówiła na widok małego brylantu w jego uchu. Poczuła dziwny ucisk w żołądku, podobny do odrazy, lecz jednocześnie zrobiło się jej bardzo ciepło i ze zgrozą uświadomiła sobie, że oblewa ją ognisty rumieniec. Stał tak blisko, że wyczuwała woń mydła zmieszaną z zapachem koni i skórzanej uprzęży. Przyjemny, bardzo męski, zupełnie inny od zapachu jej ojca, który zawsze pachniał wodą kolońską, pastą do butów i świeżo wydrukowanymi banknotami.

Spojrzała na ramię wystające z podwiniętego rękawa i dostrzegła niezwykły rysunek na skórze, przedstawiający małego czarnego konia ze skrzydłami.

Przyłapawszy jej zdumiony wzrok, Cam opuścił rękę, żeby mogła lepiej zobaczyć tatuaż.

– To irlandzki symbol – powiedział Cygan. – Koń z koszmarów sennych, niesforny duch.

Słysząc wyjaśnienie, uśmiechnęła się lekko.

– Czy to się zmywa? – zapytała z wahaniem. Zaprzeczył ruchem głowy; długie rzęsy skrywały wyraz jego niezwykłych oczu. – Ten niesforny duch to coś jak Pegaz z greckiej mitologii? – spytała Daisy, mocniej dociskając plecy do ściany.

Rohan zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, jakby oceniał jej walory, na co nie pozwolił sobie wobec niej żaden inny mężczyzna.

– Nie. Jest znacznie bardziej niebezpieczny. Ma oczy z żółtego ognia, kopytami trąca wierzchołki gór i mówi ludzkim głosem, głębokim jak jaskinia. O północy może stanąć przed twoim domem i wywołać twoje imię, jeśli zechce cię zabrać na przejażdżkę. Jeśli dasz mu się zabrać, powiezie cię przez ziemię i oceany, a jeśli kiedyś wrócisz, twoje życie nie będzie już takie samo.

Daisy poczuła, jak całe jej ciało pokrywa gęsia skórka. Wszystkie zmysły zgodnie ją ostrzegały, że powinna zakończyć tę dziwną rozmowę i jak najprędzej od niego uciec.

– Bardzo ciekawe – mruknęła i po omacku wykonała obrót z zamiarem wymknięcia się na zewnątrz. Ku jej przerażeniu okazało się, że Cygan zamknął drzwi. Trudno je było wypatrzyć na tle boazerii. Bliska paniki, naciskała różne miejsca na ścianie, próbując odkryć mechanizm, który by je otworzył.

Jej wilgotne dłonie ślizgały się po gładkim drewnie, gdy poczuła, że Rohan zbliża się do niej od tyłu. Zaraz potem tuż przy uchu usłyszała jego głos:

– Nie znajdzie ich pani. Tylko naciskając w jednym specjalnym miejscu, można zwolnić zamek.

Gorący oddech owiewał jej szyję, lekki nacisk jego ciała rozgrzewał ją w miejscach, w których się stykali.

– Więc dlaczego pan mi go nie pokaże? – spytała, starając się jak najdokładniej naśladować przeciągły, ironiczny ton Lillian. Niestety, usłyszała we własnym głosie jedynie oszołomienie i niepewność.

– A co mi pani da w zamian?

Daisy próbowała udać oburzenie, choć serce jej się tłukło o żebra niczym dziki ptak miotający się w klatce. Odwróciła się do niego twarzą, rzucając słowa, które miały go ostudzić:

– Panie Rohan, jeśli insynuuje pan, że powinnam… to jest pan najgorzej wychowanym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam.

Nie cofnął się nawet o centymetr. Za to pokazał w uśmiechu zwierzęco białe zęby.

– Ale wiem, gdzie są drzwi – przypomniał jej.

– Czy chce pan pieniędzy? – rzuciła drwiąco.

– Nie.

Przełknęła ślinę.

– Zatem świadczenia w naturze? – Widząc, że nie zrozumiał, co miała na myśli, wyjaśniła, oblewając się rumieńcem: – To oznacza… uścisk albo

pocałunek…

W złocistych oczach Rohana pojawił się niebezpieczny błysk.

– Tak – wymruczał. – Takie rozwiązanie mi odpowiada.

Daisy nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Jej pierwszy pocałunek. Zawsze wyobrażała go sobie jako niezwykle romantyczny moment w jakimś angielskim ogrodzie… Oczywiście przy świetle księżyca. Jasnowłosy dżentelmen o chłopięcej twarzy miał zacytować śliczny fragment poezji, a potem dotknąć ustami jej ust. Z całą pewnością nie miało się to odbyć w piwnicznym pomieszczeniu klubu hazardowego z cygańskim krupierem. Z drugiej strony miała dwadzieścia lat i może powinna zacząć nabywać doświadczenia w tych sprawach.

Przełknęła jeszcze raz, próbując uspokoić oddech, i utkwiła wzrok w jego szyi, tuż nad rozchełstanym kołnierzykiem koszuli. Miał skórę lśniącą jak dobrze naciągnięty bursztynowy atłas. Wolno podniósł rękę do twarzy Daisy, po drodze przypadkowo ocierając kostkami o szczyt jej piersi. To musiało być przypadkowe, pomyślała półprzytomnie, oszołomiona jego wyraziście męskim zapachem. Dlaczego więc brodawka natychmiast nabrzmiała, jakby chciała się wydostać z aksamitnego stanika?

Przesunął długimi palcami wzdłuż jej policzka i delikatnym naciskiem od spodu zmusił ją do uniesienia podbródka. Następnie, patrząc w rozszerzone źrenice Daisy, dotknął opuszkami jej ust; gładził je delikatnie, dopóki nie rozchyliły się z drżeniem. Drugą rękę położył jej na karku, najpierw gładził skórę u nasady włosów, a potem przytrzymał ją za głowę — na szczęście, bo miała wrażenie, że kręgosłup jej zmiękł niczym pozostawiony na ogniu cukier. Kiedy przywarł do jej ust, delikatnie i zarazem władczo, przyjemny żar rozlał się po całym jej ciele. Nie myśląc o tym, co robi, uniosła się na palce, zacisnęła dłonie na jego ramionach i przylgnęła do niego całą sobą.

Gdy w końcu przerwał pocałunek, Daisy ze wstydem odkryła, że trzyma się go kurczowo, jak niedoszła ofiara utonięcia trzyma się swego wybawcy. Szybko opuściła ręce i cofnęła się na tyle, na ile to było możliwe. Spojrzała niepewnie w jego niezwykłe pogańskie oczy.

– Nic nie czułam – oznajmiła chłodno. – Choć trzeba przyznać, że pan się starał. A teraz proszę mi pokazać gdzie…

Urwała z piskiem zaskoczenia, bo znów po nią sięgnął; za późno sobie uświadomiła, że potraktował jej wyniosłą uwagę jak wyzwanie. Ten pocałunek był bardziej łapczywy; w pewnym momencie Daisy ze zdumieniem odkryła, że ma w ustach jego język. Poruszał nim wolno, jakby chciał się nasycić jej smakiem; zadrżała, przeniknięta słodkim dreszczem.

Na koniec otarł się pieszczotliwie wargami o jej usta, a potem uniósł głowę i bez słowa spojrzał jej w oczy.

Zdołała wydobyć z siebie resztki dumy.

– Nadal nic – powiedziała słabym głosem.

Tym razem przygarnął ją mocno do siebie. Daisy nigdy by nie przypuszczała, że pocałunek może być aż tak głęboki. Czuła, jak Rohan wsuwa kolano między jej nogi, napiera na jej drobne piersi; poddana bezwolnie pieszczotom jego ust

i języka, zaczęła drżeć w jego uścisku jak dzikie zwierzątko schwytane w pułapkę. Zanim się od niej oderwał, przestała panować nad swymi zmysłami, skupiona bez reszty na doznaniu, które jak przeczuwała, prowadziło do jakiegoś nieznanego jej finału.

Z trudem otworzyła oczy i popatrzyła na niego półprzytomnie.

– Teraz… było znacznie lepiej – oceniła łaskawie. — Cieszę się, że mogłam pana czegoś nauczyć.

Odwróciła się, lecz zdążyła jeszcze zobaczyć jego szeroki uśmiech. Bez słowa wyciągnął rękę, dotknął ukrytego przycisku na ścianie i otworzył drzwi.

Ku zakłopotaniu Daisy Cam wszedł z nią do ciemnego korytarza i towarzyszył jej na wąskich schodach; prowadził ją, jakby miał kocią zdolność widzenia w mroku. Na szczycie schodów, gdzie widać było światło sączące się z czytelni, zatrzymali się równocześnie.

Czując, że powinna coś powiedzieć, Daisy wymamrotała pod nosem:

– Do widzenia, panie Rohan. Prawdopodobnie już nigdy się nie spotkamy. – Taką przynajmniej miała nadzieję, bo była pewna, że nie będzie umiała ponownie spojrzeć mu w oczy.

Pochylił się nad jej ramieniem, jego oddech łaskotał ją w ucho.

– Może kiedyś o północy zjawię się pod pani oknem – szepnął. – I namówię panią na przejażdżkę przez ziemię i oceany. — Po tych słowach otworzył drzwi, delikatnie wepchnął ją do środka i zamknął je.

Daisy, mrugając szybko, popatrzyła na swoje przyjaciółki.

– Powinnam była wiedzieć, że nie oprzesz się takiej atrakcji jak sekretne drzwi – powitała ją cierpko Annabelle. — Dokąd poszłaś?

– Evie miała rację – odpowiedziała Daisy, pokrywając się jaskrawym rumieńcem. – Te drzwi nie prowadzą do żadnego miejsca, w którym chciałabym się znaleźć.

ROZDZIAŁ 16

Wprawdzie ubrania przywiezione przez Annabelle Hunt nie spełniały wymogów pełnej żałoby, ale Evie postanowiła je nosić. I tak już złamała zasady poprawności, wybierając materiały inne niż krepa. A poza tym nikt w klubie nie ośmieliłby się jej krytykować, więc równie dobrze jak czerń mogła wkładać brąz i szarość. Była całkowicie pewna, że ojciec nie miałby jej tego za złe.

Wzięła do ręki liścik dołączony przez Annabelle do strojów i jeszcze raz przeczytała go z uśmiechem:

Uszyłam je na miarę w Paryżu, nie biorąc pod uwagę konsekwencji witalności pana Hunta. Nim znów będę mogła je włożyć, całkiem wyjdą z mody. Przyjmij je więc w prezencie, najdroższa Przyjaciółko.

Evie przymierzyła suknię z miękkiej szarej wełny, podbitą jedwabiem, i odkryła, że całkiem dobrze na niej leży. Radość z nowego stroju przygasiła fala melancholii, która ogarnęła ją na wspomnienie ojca. Szukając pocieszenia, zeszła do głównej sali gier, gdzie zobaczyła Sebastiana rozmawiającego z dwójką zakurzonych murarzy. Znacznie przewyższał wzrostem ich obu, więc słuchając ich odpowiedzi, pochylał głowę. W pewnej chwili musiał zażartować, bo wybuchnęli śmiechem.

Oczy wciąż jeszcze błyszczały mu humorem, gdy przypadkiem zerknął w stronę Evie. Na jej widok spojrzenie natychmiast mu złagodniało, zostawił murarzy i zbliżył się do niej spokojnym krokiem.

Starała się ukryć ożywienie, żeby nie wyglądać na głupio zauroczoną jego osobą, jednak niezależnie od tego, jak mocno tłumiła w sobie uczucia, one i tak wychodziły na wierzch, widoczne jak diamentowy pył w mroźnym powietrzu. O dziwo, Sebastian także sprawiał wrażenie, jakby się cieszył z jej obecności; odrzucił pozę zblazowanego hulaki i powitał ją szczerym, ciepłym uśmiechem.

– Evie… – Pochylił ku niej złotą głowę. – Dobrze się czujesz?

– Tak… a właściwie nie. — Potarła skronie. – Jestem zmęczona. I znudzona. I głodna.

Zachichotał, czym nieco poprawił jej nastrój.

– Czy mogę coś na to poradzić?

– Nie chcę ci przeszkadzać w pracy… — zaczęła nieśmiało.

– Rohan przez chwilę wszystkim się zajmie. Chodź, zobaczymy, czy pokój bilardowy jest wolny.

– Pokój bilardowy? – zdziwiła się Evie. – Po co mielibyśmy tam iść?

Posłał jej wyzywające spojrzenie.

– Żeby się rozerwać, oczywiście.

– Ale przecież kobiety nie grają w bilard.

– We Francji grają.

– Z tego co mówi Annabelle, kobiety we Francji robią wiele rzeczy, które tu byłyby nie do pomyślenia.

– Owszem. Francuzi to bardzo postępowa nacja. Natomiast my, Anglicy, mamy skłonność do traktowania podejrzliwie wszystkiego, co sprawia przyjemność.

Pokój bilardowy w istocie okazał się wolny. Sebastian kazał przysłać z kuchni tacę z lunchem, po czym zasiadł wraz z Evie przy małym stoliku w kącie i zabawiał ją rozmową podczas jedzenia. Nie bardzo rozumiała, dlaczego poświęca jej czas, skoro tak wiele spraw wymagało jego uwagi. Poza tym lata patrzenia na znudzenie malujące się na twarzach mężczyzn, z którymi rozmawiała, znacząco nadwerężyły jej pewność siebie i postrzeganie własnej atrakcyjności. Tymczasem Sebastian słuchał uważnie wszystkiego, co mówiła, jakby był tym szczerze zainteresowany. Zachęcał ją do śmiałego wyrażania własnych sądów i wyraźnie się cieszył, gdy próbowała mu sprostać w słownych potyczkach.

Kiedy już opróżniła swój talerz, pociągnął ją do stołu bilardowego i wręczył kij ze skórzaną końcówką. Następnie, nie zważając na jej protesty, przedstawił główne zasady gry.

– Nie próbuj mi wmawiać, że boisz się skandalu – rzekł z udawaną powagą. – Po tym jak uciekłaś ze mną do Gretna Green, nic ci nie zaszkodzi. A już na pewno nie jedna rozgrywka bilardowa. Pochyl się nad stołem. — Evie spełniła polecenie, trochę sztywno ze skrępowania. Spłonęła rumieńcem, kiedy nachylił się nad nią od tyłu i ułożył jej dłonie na kiju. — Teraz zegnij palec wskazujący i dotknij czubka – instruował ją spokojnie. – Dobrze. Nie ściskaj tak mocno, kochanie, rozluźnij rękę. Doskonale. – Niemal stykali się głowami, wyczuwała jego wodę kolońską o zapachu drzewa sandałowego. – Spróbuj sobie wyobrazić ścieżkę pomiędzy bilą rozpoczynającą, to ta biała, a kolorową. Będziesz chciała uderzyć właśnie w to miejsce… – wskazał punkt tuż powyżej środka białej kuli — …żeby wbić pierwszą bilę do łuzy. To proste uderzenie, widzisz? Opuść głowę trochę niżej. Cofnij kij i postaraj się uderzyć płynnym ruchem.

Evie spróbowała postąpić według jego wskazówek, ale koniec kija dotknął białej kuli w niewłaściwy sposób, posyłając ją ku krawędzi stołu.

– Kik – stwierdził Sebastian. Zręcznie złapał bilę i ustawił ją ponownie w tym samym miejscu. – W takim wypadku sięgaj po kredę i nacieraj nią koniec kija, koniecznie z zamyśloną miną. Zawsze dawaj do zrozumienia, że zawiódł sprzęt,

a nie twoje umiejętności.

Evie, prawie uśmiechnięta, jeszcze raz pochyliła się nad stołem. Pomyślała, że może zachowuje się niewłaściwie, bo przecież dopiero co zmarł jej ojciec, ale po raz pierwszy od bardzo dawna naprawdę dobrze się bawiła.

Sebastian znów podszedł do niej od tyłu i położył ręce na jej dłoniach.

– Pozwól, że pokażę ci prawidłowe ułożenie kija. Trzymamy poziomo… O tak. — W skupieniu razem wykonali powolny, precyzyjny ruch, przesuwając kij przez formujące kółeczko palce Evie. Nie zdołała się opędzić przed natrętnym seksualnym skojarzeniem i natychmiast poczuła, jak rumieniec oblewa nie tylko jej policzki, ale i szyję. — Wstydź się — mruknął. – Żadna przyzwoita młoda kobieta nie miałaby takich myśli. — Nie zdołała powstrzymać chichotu. Sebastian odsunął się na bok i obserwując ją z leniwym uśmiechem, zachęcił: — Spróbuj jeszcze raz.

Evie skupiła całą uwagę na białej kuli, odciągnęła kij do tyłu i uderzyła zdecydowanym ruchem. Tym razem kolorowa bila wtoczyła się prosto do łuzy.

– Udało mi się! – wykrzyknęła radośnie.

Sebastian uśmiechnął się szeroko na widok jej triumfu, po czym objaśnił jej kilka innych uderzeń. Ustawiał ją, poprawiał jej dłonie na kiju, wykorzystywał każdą sposobność, żeby jej dotknąć. Evie, rozbawiona, udawała, że nie zauważa jego niby to przypadkowych muśnięć i całkiem śmiałych pieszczot. Jednak kiedy po raz czwarty spudłowała na skutek jego zachowania, zwróciła się doń oskarżycielskim tonem:

– Jak mogę celnie uderzyć, kiedy mnie trzymasz w taki sposób?

– Usiłowałem skorygować twoją postawę. – Kiedy kpiącym spojrzeniem skwitowała jego tłumaczenie, z uśmiechem przysiadł na krawędzi stołu. – To twoja wina, że muszę się tak zachowywać. Wierz mi, mnie też się nie podoba, że chcąc zaznać trochę przyjemności, muszę cię obskakiwać jak dorastający panicz pokojówkę.

– Obskakiwałeś pokojówki jako dorastający chłopiec?

– Dobry Boże, oczywiście, że nie! Jak możesz pytać o takie rzeczy? – obruszył się. Kiedy poczucie winy kazało jej przeprosić, dodał tonem przechwałki: — To one obskakiwały mnie. — Evie uniosła kij, jakby zamierzała zdzielić go nim po głowie. Bez trudu chwycił ją za przegub i wyjął kij z jej zaciśniętych palców. — Spokojnie, moja ognista małżonko. Wybijesz mi z czaszki tę nędzną resztkę rozumu, jaka mi została, i na co ci się wtedy przydam?

– Pełniłbyś funkcję czysto ozdobną – odpowiedziała Evie, chichocząc.

– No cóż, przypuszczam, że jest w tym jakaś wartość. Boże uchowaj, gdybym miał kiedyś stracić swoją męską urodę.

– Nie miałabym nic przeciwko temu.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Słucham?

– Gdybyś… – urwała nagle skrępowana. – Gdybyś stracił… Gdybyś się stał… mniej przystojny. Twój wygląd nie miałby dla mnie znaczenia. Nadal bym… – Po pauzie dokończyła z wahaniem: — …chciała cię za męża.

Uśmiech powoli znikał z jego twarzy. Patrzył na nią bez słowa, z dłonią cały

czas zaciśniętą na jej przegubie. Na jego twarzy pojawił się przelotnie jakiś dziwny wyraz, nieokreślona emocja łącząca podniecenie z bezbronnością.

– Bez dwóch zdań jesteś pierwszą kobietą, która powiedziała mi coś takiego. Mam nadzieję, że nie okażesz się taką gąską, żeby chcieć mnie wyposażać w zalety, których nie posiadam. – Starał się mówić nonszalanckim tonem, ale nie do końca mu się to udało.

– Nie, jesteś wystarczająco dobrze wyposażony – odpowiedziała Evie. Kiedy dotarła do niej dwuznaczność tego zdania, zarumieniła się gwałtownie. – T to znaczy… nie chciałam…

Sebastian zaśmiał się cicho i przyciągnął ją do siebie. Napięcie sprzed chwili jakby go opuściło. Kiedy przylgnęła do niego skwapliwie, wesołość natychmiast z niego uleciała. Pocałował ją, długo, głęboko, namiętnie.

– Evie – wyszeptał – jesteś taka ciepła, taka śliczna… Och, do diabła. Zostały dwa miesiące, trzynaście dni i sześć godzin, zanim będę mógł cię wziąć do łóżka. Mała diablico. Chyba umrę do tego czasu.

Zdjęta poczuciem winy i żalu, że zawarła z nim tak trudny do wypełnienia układ, Evie wtuliła się w niego i przywarła do jego ust. Sebastian wydał z siebie gardłowy jęk i nie przerywając pocałunku, wyciągnął rękę, by zamknąć drzwi. Po omacku przekręcił klucz w zamku i opadł przed Evie na kolana. Czując, że z podniecenia zaczyna jej wirować w głowie, oparła się łopatkami o ścianę. Sebastian uniósł brzeg sukni i zaczął gorączkowo przedzierać się przez warstwy halek.

– Sebastianie, nie… – wyszeptała drżąco, pamiętając, że znajdują się w jednym z ogólnodostępnych pomieszczeń. – Proszę cię, przecież nie możesz…

Zignorował jej protesty, zanurkował pod spódnicę i rozwiązał tasiemki bielizny.

– Oszaleję, jeśli nie dasz mi choć tyle z siebie.

– Nie… – próbowała jeszcze się sprzeciwiać, ale i tak jej nie słyszał.

Trzymając ją za kostkę, zaczął pieścić ustami jej kolano, całował je i lizał przez cienką błonę pończochy. Evie natychmiast poczuła, jak ogarnia ją fala pożądania, serce zaczyna trzepotać, a ciało napina się w oczekiwaniu. Podciągnął przód spódnicy do wysokości talii Evie, wcisnął jej do ręki mięsiste fałdy i rzucił krótko:

– Trzymaj.

Wiedziała, że nie powinna mu ulegać, ale ręce działały niezależnie od jej woli. Bielizna zjechała aż do kostek, a usta Sebastiana powędrowały w górę. Kiedy rozgarnął kędziory zakrywające to najbardziej intymne miejsce, Evie wydała z siebie stłumione westchnienie. Wsunął w nią dwa palce, a ona natychmiast zacisnęła wokół nich mięśnie, jakby chciała wciągnąć go głębiej w siebie. Zaróżowiona od wewnętrznego żaru, z półprzymkniętymi oczami, wyszeptała:

– Sebastianie…

– Ciii… – Jego usta podążyły śladem palców. Odnalazł nabrzmiałą łechtaczkę i zaczął ją lizać w rytmie odpowiadającym ruchom palców. Evie bezwiednie wygięła ciało w łuk, naciskając łopatkami na twarde deski drzwi; gardło ją bolało od hamowanego krzyku. Sebastian ani na moment nie przerwał, nie dał jej

szansy na zaczerpnięcie oddechu, tylko nieubłaganie torturował jej ciało pieszczotą, aż w końcu wydała z siebie dźwięk podobny do skowytu, wstrząśnięta gwałtownym dreszczem rozkoszy. Nie odrywał od niej ust, napawając się jej doznaniem, dopóki nie zastygła w bezruchu, zaspokojona i wyczerpana.

Dopiero po chwili wstał z kolan i przywarł do niej, opierając się czołem o drzwi. Evie objęła go w pasie i z zamkniętymi oczami przytuliła policzek do jego barku.

– Umowa… – przypomniała mu słabym głosem.

– Powiedziałaś, że mogę cię całować – wyszeptał prosto do jej ucha. – Ale, kochanie, nie sprecyzowałaś gdzie.

ROZDZIAŁ 17

Posyłałeś po mnie, milordzie? – Evie zjawiła się w niewielkim gabinecie, gdzie za biurkiem siedział Sebastian. Jeden ze służących na jego żądanie sprowadził ją na dół, a potem towarzyszył jej podczas przedzierania się przez bliski chaosu tłum klubowych gości.

W ten pierwszy wieczór po otwarciu na nowo klubu Jennera wszyscy członkowie oraz ci, którzy pragnęli uzyskać członkostwo, za wszelką cenę chcieli dostać się do środka. Na biurku przed Sebastianem leżał stos podań, a w holu co najmniej dziesięć osób czekało na pomyślną decyzję. Szmer rozmów mieszał się z brzękiem kieliszków i muzyką graną przez orkiestrę na balkonie drugiego piętra. Dla uczczenia pamięci Ivo Jennera serwowano nieskończone strumienie szampana, co podsycało atmosferę nieskrępowanej rozrywki. Klub znowu działał, więc londyńscy dżentelmeni mieli co świętować.

– Owszem, posyłałem – odpowiedział Sebastian. – Dlaczego, u licha, jeszcze tu jesteś? Powinnaś była się wyprowadzić jakieś osiem godzin temu.

Bez mrugnięcia patrzyła w jego pozbawioną wyrazu twarz.

– Jeszcze nie skończyłam się pakować.

– Pakujesz się od trzech dni. Masz zaledwie kilka sukien. Reszta twojego dobytku zmieściłaby się w niewielkiej walizce. Specjalnie zwlekasz, Evie.

– A jaką ci to robi różnicę? – odparowała. – Przez ostatnie dwa dni traktowałeś mnie, jakbym nie istniała. Trudno mi uwierzyć, że w ogóle zauważyłeś, że jeszcze tu jestem.

Przeszył ją ostrym jak sztylet spojrzeniem, próbując zapanować nad złością. Nie zauważał jej? Do diabła, oddałby fortunę, żeby to była prawda. Dostrzegał każdy jej gest i słyszał każde słowo, bezustannie pragnął choć przelotnie ją zobaczyć. Jej obecność była mu torturą; patrząc na nią w tym momencie, taką piękną w czarnej aksamitnej sukni opinającej wdzięcznie jej krągłości, był bliski szaleństwa. Ciemne kolory żałoby miały w założeniu ująć kobiecie atrakcyjności, tymczasem na tle czerni skóra Evie miała odcień świeżej śmietanki, a jej włosy płonęły czerwienią. Miał ochotę porwać ją w ramiona i kochać się z nią aż do całkowitego zatracenia. Czuł się zaatakowany przez jakąś dziwną przypadłość, rodzaj wewnętrznego niepokoju podobnego do choroby, który gnał go z miejsca w miejsce i mieszał mu w myślach. Nigdy wcześniej taki nie był — rozkojarzony,

niecierpliwy, umęczony niezaspokojoną tęsknotą.

Musiał się jej pozbyć. Należało chronić Evie przed zagrożeniami i zgorszeniem, na jakie była narażona w klubie… oraz przed nim samym. Jeśli mógł zapewnić jej bezpieczeństwo i widywać ją w jakimś ograniczonym zakresie, to było to jedyne rozwiązanie.

– Chcę, żebyś się przeniosła – powiedział. – W domu wszystko jest przygotowane na twoje przybycie. Będzie ci tam znacznie wygodniej. A ja nie będę musiał się martwić, że wpadniesz w jakieś kłopoty. – Wstał i podszedł do drzwi, pilnując, by zachować między nimi niezbędny fizyczny dystans. – Zamierzam posłać po powóz. Za kwadrans masz do niego wsiąść.

– Nie jadłam kolacji. To zbyt wiele prosić o pozwolenie na ostatni posiłek?

Sebastian nie patrzył na nią, ale słyszał w jej głosie nutę dziecięcej przekory i ścisnęło mu się serce. To samo serce, które zawsze uważał jedynie za wydolny mięsień, nic więcej.

Nie zapamiętał, czy miał zamiar pozwolić jej zostać na kolację czy nie, bo w tym momencie zobaczył zbliżającego się do nich Cama… któremu towarzyszył nie kto inny jak lord Westcliff we własnej osobie. Sebastian odwrócił się bokiem i nerwowo przeczesał włosy smukłymi palcami.

– Cholera jasna — mruknął pod nosem.

Evie natychmiast podeszła do niego zatroskana.

– O co chodzi?

Przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Lepiej, żebyś już poszła – rzekł ponuro. – Westcliff tu jest.

– Nigdzie nie idę – odparła stanowczo. – Westcliff jest dżentelmenem i nie wywoła bójki przy damie.

Sebastian zaśmiał się szyderczo.

– Nie muszę się chować za twoją spódnicą, kotku. I wątpię, żeby przyjechał się bić… Wszystko zostało między nami załatwione tamtej nocy, kiedy porwałem pannę Bowman.

– W takim razie o co może mu chodzić?

– Chce mnie ostrzec albo sprawdzić, czy nie trzeba cię ratować. Albo jedno i drugie.

Evie pozostała u jego boku, kiedy Westcliff wszedł do gabinetu.

Cam odezwał się pierwszy:

– Milordzie, kazałem lordowi Westcliffowi zaczekać, ale…

– Nikt nie może niczego kazać lordowi Westcliffowi – przerwał mu sucho Sebastian. – W porządku, Cam. Wracaj na salę gier, bo inaczej zapanuje tam chaos. I zabierz ze sobą lady St. Vincent.

– Nie – niemal w tym samym momencie powiedziała Evie, spoglądając raz na ironicznie wykrzywioną twarz Sebastiana, raz na kamienne oblicze Westcliffa. – Zostaję. – Odwróciła się do Westcliffa i podała mu rękę. – Milordzie, często myślę o Lillian. Mam nadzieję, że dobrze się miewa?

Westcliff pochylił się nad jej dłonią, a potem przemówił donośnym, chropowatym głosem:

– Bardzo dobrze. Życzy sobie, żeby pani z nami zamieszkała, jeśli tylko pani

zechce.

Choć zaledwie parę minut wcześniej Sebastian sam nakłaniał Evie do opuszczenia klubu, słowa Westcliffa wprawiły go w istną furię. Arogancki drań! Jeśli przyszedł po to, żeby mu sprzątnąć Evie sprzed nosa…

– Dziękuję, milordzie – odparła spokojnie Evie, patrząc Westcliffowi w twarz. Miał czarne włosy i oczy tak ciemne, że trudno było odróżnić źrenicę od tęczówki. – To bardzo miło z pańskiej strony. Bardzo bym chciała wkrótce was odwiedzić. Ale tym razem nie muszę korzystać z waszej gościnności.

– Doskonale. Propozycja pozostanie aktualna. Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu pani niedawnej straty.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do Westcliffa, co Sebastian zauważył z ukłuciem zazdrości.

Jako posiadacz jednego z najstarszych i najpotężniejszych tytułów i majątków w Anglii Marcus lord Westcliff przyjmował za oczywiste, że jego opinii się słucha i bierze się je pod uwagę. Nie odpowiadał kanonom klasycznej męskiej urody, ale miał żywy temperament, dzięki któremu pozostawał widoczny w każdym towarzystwie. Jako sportowiec i doskonały jeździec słynął z przekraczania granic własnej wytrzymałości fizycznej. W istocie Westcliff do wszystkiego w życiu podchodził w taki sam sposób – w każdej aktywności zadowalało go jedynie osiąganie najwyższego poziomu.

Westcliff i Sebastian przyjaźnili się od czasu, gdy mieli po dziesięć lat; większą część młodości, okresu kształtowania się charakteru, spędzili razem w szkole z internatem. Nawet jako chłopcy tworzyli dziwną parę przyjaciół, jako że Westcliff z natury wierzył w bezwarunkowe zasady moralne i nie miał trudności z odróżnianiem dobra od zła, Sebastian natomiast uwielbiał komplikować najprostsze sprawy – tylko po to, by ćwiczyć inteligencję. Westcliff zawsze wybierał najprostsze i najbardziej efektywne rozwiązania, podczas gdy Sebastian wolał pokrętne, źle oznaczone drogi, na których mógł napotkać wszelkiego rodzaju kłopoty, zanim ostatecznie dotarł do celu.

Pod jednym względem wszelako dobrze się rozumieli, ponieważ obaj dorastali pod wpływem manipulujących, nieczułych ojców – mieli jednakowy, pozbawiony romantyzmu pogląd na świat i uważali, że mogą ufać bardzo niewielu osobom. Sebastian zdawał sobie sprawę, że nadużył zaufania Westcliffa w stopniu uniemożliwiającym powrót do dawnych stosunków. I po raz pierwszy w życiu dokuczało mu nieznośne poczucie, które mogło być tylko żalem.

Dlaczego, u diabła, skupił swe zamiary akurat na Lillian Bowman? Kiedy już się zorientował, że dziewczyna podoba się Westcliffowi, dlaczego nie zadał sobie trudu, by znaleźć jakąś inną bogatą dziedziczkę? Był głupi, że nie dostrzegał Evie. Patrząc wstecz, widział jasno, że Lillian nie była warta zniszczenia przyjaźni. W głębi duszy Sebastian musiał przyznać, że brak Westcliffa w jego życiu był jak odcisk na stopie, który często urażany, nigdy całkiem się nie goi.

Odczekał, aż za Camem zamkną się drzwi. Dopiero wtedy zaborczym gestem objął drobne ramiona Evie i odezwał się do byłego przyjaciela ironicznym tonem:

– Jak się udał miesiąc miodowy?

Westcliff puścił pytanie mimo uszu i zwrócił się do Evie:

– W świetle zaistniałych okoliczności muszę spytać, czy zawarła pani ślub pod przymusem.

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. Przylgnęła do Sebastiana, jakby próbowała go osłonić. – Naprawdę, milordzie, to był mój pomysł. Pojechałam do domu lorda St. Vincenta, żeby prosić go o pomoc, i on mi jej udzielił.

Wyraźnie nieprzekonany, Westcliff stwierdził cierpko:

– Z pewnością mogła pani się udać pod inne adresy.

– Wówczas nie widziałam innych możliwości. – Sebastian aż wstrzymał oddech ze zdumienia, czując, jak drobne ramię Evie otacza go w pasie. – I nie żałuję swojej decyzji – usłyszał jej zdecydowany głos. – Zrobiłabym to ponownie bez wahania. Lord St. Vincent był i jest dla mnie bardzo dobry.

– Ona oczywiście kłamie – powiedział Sebastian i zaśmiał się drwiąco, podczas gdy jego puls osiągnął zawrotne tempo. Evie przytulała się do jego boku, czuł bijące od niej ciepło i zapach jej skóry. Nie mógł zrozumieć, dlaczego próbuje go bronić. – Zachowywałem się wobec niej jak drań. Na szczęście dla mnie lady St. Vincent była od tak dawna wykorzystywana przez swoją rodzinę, że nie ma pojęcia, co to znaczy być dobrze traktowaną.

– To nieprawda – zapewniła Westcliffa Evie. Żadne z nich nawet nie spojrzało na Sebastiana, co wprawiło go w irytujące poczucie, że jest wykluczony z rozmowy. – To był dla mnie trudny okres, jak może pan sobie wyobrazić. Bez wsparcia męża chybabym go nie przetrwała. Troszczył się o moje zdrowie i chronił mnie, jak tylko się dało. I ciężko pracował, żeby utrzymać interes mojego ojca. Bronił mnie też, kiedy wujowie próbowali mnie stąd zabrać wbrew mojej woli.

– Zagalopowałaś się, skarbie – stwierdził Sebastian ze złośliwą satysfakcją. – Westcliff zna mnie na tyle, by wiedzieć, że nigdy nie chwyciłbym się żadnej pracy. Ani nikogo nie broniłbym, skoro już o tym mowa. Zajmuję się wyłącznie swoimi sprawami. – Ku jego irytacji żadne z nich nadal nie zwracało uwagi na jego wyjaśnienia.

– Milordzie – Evie znów zwróciła się do Westcliffa – po tym, czego zdążyłam się dowiedzieć o moim mężu, nie wierzę, że postąpiłby tak, jak postąpił, gdyby rozumiał, że kocha pan Lillian. To nie usprawiedliwia jego zachowania, ale…

– On jej nie kocha – warknął Sebastian, odpychając Evie od siebie. Nagle odniósł wrażenie, że pokój się kurczy, ściany zbliżają się do niego, jakby zaraz miały go zgnieść niczym imadło. Że też przyszło jej do głowy za niego przepraszać! I do tego jeszcze jakieś wymysły o rzekomych uczuciach! – On nie wierzy w miłość tak samo jak ja. – Przeszył Westcliffa wściekłym spojrzeniem. – Ile razy mi mówiłeś, że miłość jest iluzją mężczyzn, którzy chcą sobie osłodzić konieczność ożenku?

– Myliłem się – odparł Westcliff. – Dlaczego aż tak się wściekasz?

– Wcale się nie… – Sebastian urwał raptownie. Patrząc na Evie, uświadomił sobie, że ich sytuacja się odwróciła. Ona, dawniej wystraszona, jąkająca się szara myszka, teraz zachowywała spokój i pewność swoich racji, a on, zawsze chłodny i opanowany, miotał się jak rozemocjonowany dureń. I wszystko to na oczach Westcliffa, który obserwował ich z żywym zainteresowaniem. – Co mam zrobić,

żeby się ciebie pozbyć? – zwrócił się ostro do żony. — Jedź z Westcliffem, jeśli nie chcesz zamieszkać w moim miejskim domu. Wszystko mi jedno, bylebyś zniknęła mi z oczu.

Oczy Evie się zaokrągliły. Wzdrygnęła się jak dźgnięta ościeniem. Zachowała jednak spokój, wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Patrząc na nią, Sebastian miał ochotę paść na kolana i prosić o przebaczenie. Zamiast tego, stojąc bez ruchu, odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

– Evie… — szepnął jeszcze, ale udała, że nie słyszy. Sztywno wyprostowana opuściła gabinet.

Sebastian zacisnął dłonie aż do bólu, dopiero po kilku sekundach zmusił się do spojrzenia na Westcliffa. Dawny przyjaciel przyglądał mu się bynajmniej nie z nienawiścią, jak mógłby oczekiwać, ale z miną wyrażającą coś na kształt współczucia.

– Nie to spodziewałem się zastać – oznajmił spokojnie. – Nie jesteś sobą, Sebastianie.

Minęły całe lata, odkąd ostatni raz Westcliff zwrócił się do niego po imieniu. Mężczyźni, nawet rodzeństwo czy najbliżsi przyjaciele, prawie zawsze mówili sobie po nazwisku albo używali tytułu.

– Idź do diabła – warknął Sebastian. – Bez wątpienia przyjechałeś tu specjalnie, żeby mi to powiedzieć. Jeśli tak, to spóźniłeś się o jakiś miesiąc.

– Rzeczywiście taki miałem zamiar – przyznał Westcliff. – Teraz jednak postanowiłem zostać i przy kieliszku brandy dowiedzieć się, co ty, na Boga, wyprawiasz. Na początek mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego postanowiłeś prowadzić klub hazardowy.

Moment był wyjątkowo nieodpowiedni na takie rozmowy, bo w klubie roiło się od gości, ale nagle Sebastian przestał się tym przejmować. Od bardzo dawna nie miał okazji rozmawiać z kimś, kto dobrze go znał. Nie żywił wprawdzie złudzeń, że uda się wskrzesić ich zrujnowaną przyjaźń, ale możliwość omówienia różnych spraw z Westcliffem, nawet niechętnie usposobionym, wydawała mu się niezwykle kusząca.

– Dobrze — mruknął. – Porozmawiamy. Nie wychodź. Wrócę za moment. Nie mogę pozwolić, żeby moja żona chodziła po klubie bez eskorty.

Szybko opuścił gabinet i udał się do głównego holu. Nie widząc nigdzie znajomej sylwetki w czarnej sukni, uznał, że musiała wybrać inną drogę, może przez środkowe pomieszczenie. Stanął w łukowatych drzwiach i omiótł wzrokiem morze głów. Ogniste włosy Evie pozwoliły łatwo ją wypatrzyć; zmierzała do rogu głównej sali, gdzie siedział Cam. Kiedy szła przez tłum, kilku członków klubu przesunęło się uprzejmie, ustępując jej miejsca.

Ruszył za nią — najpierw wolno, potem przyśpieszając kroku. Był w dziwnym stanie, rozpaczliwie próbował zrozumieć sam siebie. Zawsze tak dobrze umiał się obchodzić z kobietami. Dlaczego więc nie potrafił zachować dystansu, kiedy chodziło o Evie? Od tego, czego pragnął najbardziej, oddzielała go nie jakaś namacalna przeszkoda, tylko jego własna przeszłość, skażona rozwiązłością. Pozwolić sobie na uczuciową więź z Evie… Nie, to nie wchodziło w rachubę. Z czasem nasiąkłaby jego niegodziwością, jak czysty arkusz pergaminu nasiąka

czarnym atramentem. Stałaby się cyniczna, zgorzkniała. A kiedy już by go dobrze poznała, zaczęłaby nim pogardzać.

Cam, siedzący na wysokim stołku, z którego doglądał gry na stołach, zauważył zbliżającą się Evie. Odwrócił się w jej stronę i opuścił jedną nogę na ziemię. Następnie uniósł głowę i szybko rozejrzał się po sali, jak zawsze czujny na to, co się dzieje wokół niego. Widząc Sebastiana, lekko skinął głową, dając mu znak, że zatrzyma przy sobie Evie, dopóki St. Vincent do nich nie dołączy. Jeszcze raz omiótł wzrokiem najbliższe otoczenie i ściągnął czarne brwi w wyrazie zadumy. Naprężył barki, jakby chciał się wyzbyć napięcia w karku, po czym odwrócił głowę, żeby popatrzeć do tyłu. Upewniwszy się, że nikt za nim nie stoi, zaczął z powrotem sadowić się na stołku. Jednak jakieś przeczucie nie dawało mu spokoju. Znów zaczął wodzić wzrokiem po tłumie. Zawadził spojrzeniem o galerię na drugim piętrze. Sebastian dostrzegł, że nagle twarz Cygana się zmieniła, jego wzrok nabrał ostrości.

Rozpychając stojących obok ludzi, St. Vincent popatrzył w to samo miejsce. Ujrzał ciemnowłosego, postawnego mężczyznę na wschodnim balkonie, z którego rozpościerał się szeroki widok na główną salę. Mężczyzna był brudny i potargany, czarne włosy lepiły się do jego podłużnej czaszki. Joss Bullard. Ale jakim cudem dostał się do klubu niezauważony? Musiał skorzystać z tajnego wejścia. Klub miał więcej ukrytych drzwi i korytarzy niż królicza nora. A nikt nie znał ich lepiej od Bullarda i Cama, którzy mieszkali w klubie od dziecka.

Myśli Sebastiana eksplodowały, kiedy dostrzegł błysk światła odbitego w lufie pistoletu w dłoni Bullarda. Nawet z daleka było widać, gdzie mierzy. Jego celem była Evie, wciąż oddalona o jakieś pięć metrów od Cama.

Powodowany instynktem, St. Vincent rzucił się naprzód z prędkością błyskawicy. Palący strach nienaturalnie wyostrzył mu zmysły. Postać Evie stała się tak wyraźna, że dokładnie widział nawet zapięcie jej aksamitnej sukni. W panice napiął do granic wytrzymałości każdy nerw i mięsień, żeby jej dosięgnąć, każde uderzenie serca miało tylko jeden cel — odżywić krwią szybko poruszające się kończyny. Chwytając ją drżącymi z pośpiechu rękami, równocześnie obrócił się tak, by ją osłonić, i wykorzystując siłę rozpędu, pociągnął ją za sobą na ziemię.

Odgłos strzału wypełnił echem przestronne pomieszczenie. Sebastian poczuł uderzenie w bok, jakby ktoś zdzielił go pięścią, a potem po jego ciele rozlał się palący ból, gdy ołowiana kula rozrywała skórę i mięśnie, niszcząc po drodze naczynia krwionośne. Zetknięcie z twardą podłogą na moment go oszołomiło. Częściowo przykrywał Evie swoim ciałem, próbując osłaniać rękami jej głowę, podczas gdy ona starała się spod niego wydostać.

– Nie ruszaj się – wyrzucił z siebie i przycisnął ją do ziemi, przerażony, że Bullard może oddać kolejny strzał. – Zaczekaj, Evie.

Znieruchomiała posłusznie. Wokół nich powstał nieopisany zgiełk, rozległy się krzyki i nawoływania, głośny tupot kroków…

Podnosząc się na łokciu, Sebastian zaryzykował spojrzenie w stronę balkonu na drugim piętrze. Bullarda już tam nie było. Z jękiem bólu przetoczył się na bok i sprawdził, czy Evie nie doznała jakichś obrażeń. Bał się, że kula mogła

dosięgnąć również ją.

– Evie… kochanie… jesteś ranna?

– Dlaczego mnie popchnąłeś? – spytała zduszonym głosem. – Nie, nie jestem ranna. Co to był za hałas?

Drżącą dłonią odgarnął z jej czoła kosmyk włosów.

Evie w końcu wydostała się spod niego i usiadła. Sebastian nadal leżał na boku, z trudem łapał oddech, na piersi i w pasie czuł lepkie ciepło wypływającej krwi.

Ludzie tłoczyli się, żeby jak najszybciej opuścić budynek, niewiele brakowało, by stratowali parę na podłodze. Nagle jakiś człowiek przepchnął się przez uciekającą tłuszczę i przykucnął obok nich. Osłaniał ich własnym ciałem, zmuszając biegnących do ominięcia przeszkody. Mrugając z wysiłkiem, Sebastian w końcu rozpoznał Westcliffa. Chwycił go kurczowo za połę surduta.

– Celował do Evie… – wycharczał. Wargi mu zdrętwiały, przesunął po nich językiem, zanim dodał: — Zapewnij jej bezpieczeństwo… zapewnij…

Evie krzyknęła na widok rosnącej ciemnoczerwonej plamy na koszuli Sebastiana. Dopiero w tym momencie zorientowała się, że jest ranny. Rzuciła się rozpinać guziki jego surduta i kamizelki, niecierpliwie szarpała materiał. Westcliff bez słowa zdjął z siebie odzienie i zwinął w twardy kłąb. Evie rozchyliła przesiąkniętą krwią koszulę, odsłaniając broczącą ranę w boku Sebastiana. Pobladła, oczy jej się zaszkliły, zdołała jednak opanować strach; wzięła od Westcliffa zwinięte ubranie i przycisnęła mocno do rany, żeby zatamować krwawienie.

Nacisk spowodował tak wielki ból, że Sebastian nie był w stanie powstrzymać jęku. Trzymał rękę wyciągniętą do góry ze zgiętymi na wpół palcami. Powietrze wypełniał zapach świeżej krwi. Westcliff pochylił się nad nim i obejrzał ranę z bliska.

– Kula przeszła na wylot – powiedział do Evie. – Wygląda na to, że żadne główne naczynie nie zostało zniszczone.

Gdy przejął od Evie prowizoryczny opatrunek, ona przesunęła się i ułożyła głowę Sebastiana na swoich kolanach, podkładając pod nią miękkie aksamitne fałdy spódnicy. Wzięła go za rękę i mocno ścisnęła. Dotyk jej dłoni dał mu oparcie, stanowił przeciwwagę dla nieznośnego bólu w dolnej części tułowia. Sebastian wpatrywał się w pochyloną nad nim twarz, ale nie potrafił odczytać jej wyrazu. Widział dziwny, głęboki blask w oczach żony, który kojarzył mu się z czułością albo ze smutkiem… z czymś rzadkim i bezgranicznym. Nie umiał tego nazwać. Nikt dotąd tak na niego nie patrzył.

Próbował coś powiedzieć, żeby słowami przepędzić ten niepokojący wyraz z jej spojrzenia.

– Tak się dzieje, kiedy ktoś p… – musiał zrobić pauzę, bo dreszcz bólu zaparł mu dech w piersi — …próbuje wyjść na bohatera – dokończył. – Chyba jednak zostanę przy łajdactwie. Znacznie… bezpieczniej.

Czarne oczy Westcliffa błysnęły przelotnie.

– Strzał padł z galerii na górze – powiedział.

– Były pracownik… Bullard… Niedawno zwolniony.

– Jesteś pewien, że mierzył do lady St. Vincent?

– Tak.

– Może sądził, że zranienie jej będzie najlepszą zemstą na tobie.

Sebastianowi kręciło się w głowie, zebranie myśli sprawiało mu trudność.

– Nie… Miałoby to sens, tylko gdyby uważał, że mi na niej zależy… Ale przecież wszyscy wiedzą… że nie pobraliśmy się z miłości.

Westcliff spojrzał na niego z dziwną miną, ale powstrzymał się od komentarza. Sebastian nie mógł wiedzieć, jak wyglądają oboje z Evie w tym momencie – on ściskał ją za rękę, a ona tuliła go z wielką czułością, jak matka chore dziecko. Wiedział tylko, że rana w boku niemiłosiernie go boli. Przeszywały go dreszcze, prawie bezustanne, tak silne, że zaczął szczękać zębami. Prawie nie zauważył, że Westcliff opuścił ich na chwilę — z daleka było słychać, jak ostrym głosem wydaje rozkazy — po czym wrócił z naręczem płaszczy; nie do końca było jasne, czy właściciele oddali je z własnej woli. Sebastian został nimi okryty, a Westcliff powrócił do uciskania rany.

Sebastian na moment stracił przytomność, a kiedy znów się ocknął, poczuł ciepłą dłoń Evie na swojej zlanej zimnym potem twarzy.

– Lekarz już jedzie – powiedziała cicho. – Kiedy tylko krwawienie się zmniejszy, zabierzemy cię na górę.

Oddychał ze świstem przez zaciśnięte zęby.

– Gdzie jest Rohan? – zapytał.

– Widziałem, jak rzucił się w pogoń za tym Bullardem zaraz po strzale – odparł Westcliff. – Nawiasem mówiąc, Rohan wspiął się po kolumnie na drugie piętro.

– Jeśli nie złapie tego drania – wydusił z trudem Sebastian – to ja go dopadnę. A wtedy…

– Ciii… – Evie próbowała go uspokoić. Wsunęła wolną rękę pod stertę okryć i położyła na jego nagiej piersi. Wyczuwała słabsze niż zazwyczaj bicie serca. Wymacała też cienki złoty łańcuszek; przesunęła wzdłuż niego palcami i natrafiła na zwisającą z niego ślubną obrączkę ze szkockiego złota.

Sebastian nie chciał, by wiedziała, że nosi tę obrączkę pod ubraniem.

– To nic nie znaczy – wyszeptał poruszony. – Po prostu… nie chciałem, żeby zginęła…

– Rozumiem – mruknęła Evie, zatrzymując wyprostowaną dłoń na jego sercu. Poczuł na czole dotyk jej ust i delikatny powiew oddechu. — Zdajesz sobie chyba sprawę – powiedziała, uśmiechając się lekko – że dałeś mi świetny pretekst do pozostania w klubie. Mam zamiar opiekować się tobą, dopóki nie wydobrzejesz na tyle, by osobiście mnie stąd wyrzucić.

Sebastian nie był w stanie odwzajemnić uśmiechu. Ogarnął go lęk, bo uświadomił sobie, że Evie nie jest bezpieczna ani w klubie, ani nigdzie indziej, dopóki Bullard nie zostanie schwytany.

– Westcliff… – wychrypiał. – Ktoś musi… chronić moją żonę…

– Nic jej się nie stanie – zapewnił go Westcliff.

Sebastian patrzył na twarz dawnego przyjaciela, jedynego honorowego człowieka, jakiego znał, i widział, że ma nietęgą minę. Obaj rozumieli to, czego

Evie, jako osoba zbyt niedoświadczona, nie podejrzewała — że choć kula nie uszkodziła żadnego ważnego organu, rana prawdopodobnie będzie ropieć. Sebastian nie umrze z upływu krwi, ale może dostać fatalnej w skutkach gorączki. A gdyby tak się stało, Evie pozostałaby sama, całkowicie bezbronna w świecie pełnym drapieżników. Mężczyzn takich jak lord St. Vincent.

Trzęsąc się z zimna i bólu, Sebastian zmusił się do wypowiedzenia słów, które wiele go kosztowały. Musiał zaczerpnąć kilka wysilonych oddechów, zanim je z siebie wydobył.

– Westcliff… to, co zrobiłem wcześniej… przepraszam. Wybacz mi… wybacz… – Czuł, że ogarnia go obezwładniająca słabość, rozpaczliwie walczył o zachowanie świadomości. – Evie… zapewnij jej bezpieczeństwo. Proszę… – Zanurzył się w oceanie jasnych iskier, opadał coraz głębiej i głębiej, aż w końcu migoczące punkty zgasły i zapadła ciemność.

– Sebastianie… – szepnęła Evie, unosząc do policzka jego bezwładną rękę. Z twarzą zalaną łzami całowała jego palce.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszał ją Westcliff. – Po prostu zemdlał. Zaraz odzyska przytomność.

Chlipnęła żałośnie, starając się opanować.

– Specjalnie rzucił się przede mnie – powiedziała. – Przyjął kulę, która była przeznaczona dla mnie.

– Na to wygląda. – Westcliff przyglądał się jej z uwagą, myśląc między innymi o tym, że zarówno w Sebastianie, jak i w jego wybrance zaszły interesujące zmiany od czasu ich wspólnej ucieczki.

Kiedy Lillian dowiedziała się, że St. Vincent poślubił Evangeline Jenner, wpadła w furię, przerażona perspektywą krzywd, jakich może doznać jej przyjaciółka. „Ten potwór!", krzyczała, gdy wracali do Londynu z Włoch. „Żeby zrobić coś takiego akurat Evie… Och, nie masz pojęcia, jaka ona jest krucha. Na pewno jest dla niej okrutny. A ona nie umie się bronić, jest taka niewinna… Mój Boże, zabiję tego drania!". „Twoja siostra mówiła, że Evie nie sprawia wrażenia osoby źle traktowanej", zauważył trzeźwo Westcliff, choć i jego martwiła myśl o kimś tak bezradnym jak Evangeline Jenner zdanym na łaskę St. Vincenta. „Prawdopodobnie bała się do czegokolwiek przyznać", stwierdziła Lillian, przechadzając się nerwowo tam i z powrotem. „Zapewne ją zgwałcił. Groził jej. Może nawet ją bił…". Westcliff objął żonę, próbując ją uspokoić. „Nie, nie. Według Daisy i Annabelle Evie miałaby okazję się poskarżyć, gdyby spotykała ją jakaś krzywda. Nic takiego jednak nie powiedziała. Jeśli to ukoi twój niepokój, pojadę do tego klubu i zaproponuję jej pomoc. Może zamieszkać z nami w Hampshire, jeśli zechce". „Na jak długo?", spytała Lillian, moszcząc się w objęciach męża. „Na zawsze, ma się rozumieć". Jej oczy natychmiast zwilgotniały. „Och, Marcusie… Zrobiłbyś to dla mnie?". „Wszystko, kochanie. Zrobiłbym wszystko, żeby cię uszczęśliwić".

Przybył więc do klubu Jennera, by się upewnić, czy przypadkiem Evangeline nie jest tam przetrzymywana wbrew swojej woli. I niespodziewanie spotkał kobietę, która bardzo chciała tam zostać i wykazywała ewidentnie romantyczne przywiązanie do St. Vincenta.

A co do samego Sebastiana, zwykle tak wyniosłego i obojętnego na innych, trudno było uwierzyć, że mężczyzna, który wcześniej traktował kobiety z okrucieństwem ukrytym pod pozorami rycerskości, jest tym samym człowiekiem, który właśnie zaryzykował własne życie dla Evie. W dodatku zdobył się na przeprosiny — on, który nigdy niczego nie żałował — a następnie błagał o zapewnienie opieki żonie. Te fakty musiały prowadzić do jednego wniosku: St. Vincent, choć wydawało się to niewiarygodne, nauczył się dbać o dobro innej osoby bardziej niż o własne.

Sytuacja przedstawiała się doprawdy ciekawie. To, że kobieta o usposobieniu Evangeline Jenner spowodowała tego rodzaju zmianę u St. Vincenta, pozbawionego wszelkich skrupułów światowca, z trudem mieściło się w głowie. Jednakże Westcliff nauczył się już, że tajemnice uczuć nie zawsze można logicznie wyjaśnić. Czasami pęknięcia w dwóch oddzielnych duszach stają się zawiasami, które trzymają je razem.

– Milady…

– Evie – powiedziała, wciąż trzymając przy ustach rękę męża.

– Evie. Muszę o to spytać… Dlaczego zwróciłaś się z propozycją małżeństwa właśnie do St. Vincenta?

W końcu opuściła dłoń Sebastiana i uśmiechnęła się smutno.

– Musiałam jakoś uciec od mojej rodziny, legalnie i ostatecznie. Małżeństwo stanowiło jedyne rozwiązanie. A jak z pewnością zauważyłeś, w Hampshire kandydaci bynajmniej nie ustawiali się do mnie w kolejce. Kiedy się dowiedziałam, co St. Vincent zrobił Lillian, byłam oburzona… ale też uświadomiłam sobie, że jest jedyną znaną mi osobą zdesperowaną tak samo jak ja. Wystarczająco zdesperowaną, by zgodzić się na wszystko.

– Planowałaś również, że zajmie się prowadzeniem klubu twojego ojca?

– Nie. O tym zdecydował sam ku mojemu zaskoczeniu. Prawdę mówiąc, od czasu naszego ślubu ciągle mnie zaskakiwał.

– W jaki sposób?

– Robił wszystko, co możliwe, żeby mnie chronić. I przez cały czas deklarował swoją obojętność. – Popatrzyła na nieprzytomną twarz męża. – Wcale nie jest bez serca, choć stara się udawać, że jest inaczej.

– Nie – przyznał Westcliff. – Nie jest bez serca. Chociaż aż do dzisiejszego wieczoru miałem co do tego wątpliwości.

ROZDZIAŁ 18

Mimo że Cam i Westcliff zachowywali najwyższą ostrożność, przenoszenie Sebastiana na górę mocno nadszarpnęło jego siły. Evie podążała tuż za nimi, zdjęta panicznym lękiem na widok coraz bledszej twarzy męża. Cam był zrozpaczony, choć starał się trzymać emocje na wodzy, skupiony na niezbędnych czynnościach.

– Nie mam pojęcia, jak się dostał do środka – powiedział cicho. Evie zorientowała się, że chodzi mu o Bullarda. – Znam wszystkie drogi, którymi można wejść i wyjść z tego miejsca. Wydawało mi się, że zabezpieczyłem…

– To nie twoja wina, Cam – przerwała mu łagodnie.

– Ktoś musiał go wpuścić, mimo że uprzedziłem wszystkich pracowników…

– To nie twoja wina – powtórzyła i Cygan w końcu zamilkł, choć było jasne, że się z nią nie zgadza.

Westcliff się nie odzywał, nie licząc paru wypowiedzianych półgłosem wskazówek przy omijaniu narożnika. Niósł górną połowę ciała Sebastiana, podczas gdy Cam podtrzymywał nogi. Sebastian był rosłym mężczyzną, ale obaj – krzepcy i sprawni – mieli dość siły, by bez trudu przenieść go do głównej sypialni. Pokój dopiero co został wyremontowany, ściany pokrywała świeża warstwa kremowej farby. Stare łóżko zastąpiono nowym, większym, przywiezionym z londyńskiego domu Sebastiana. Nikt nie sądził, że to pomieszczenie znów będzie służyć choremu, tak krótko po śmierci poprzedniego gospodarza.

Dwie pokojówki kierowane przez Evie uwijały się jak w ukropie, nosiły wodę i ręczniki, a potem darły prześcieradła na szerokie pasy. Bezwładne ciało Sebastiana spoczęło na posłaniu; Evie ściągnęła mu buty, a Cam i Westcliff zajęli się usuwaniem zakrwawionego ubrania. Uzgodnili bez słów, że przez wzgląd na przyzwoitość zostawią na nim kalesony.

Evie moczyła czyste płótno w ciepłej wodzie i zmywała plamy krwi z ciała męża. Smugi na jego piersi, zaschnięte między jasnozłotymi włosami, zmieniały kolor na rdzawy. Wydawał się tak potężny i bezbronny zarazem, mięśnie ćwiczone codzienną aktywnością i kilkoma odbytymi bójkami wyraźnie rysowały się pod skórą.

Westcliff delikatnie otarł ranę, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

– Sądząc po wielkości wlotu kuli, zakładałbym, że Bullard użył pistoletu kaliber pięćdziesiąt.

– Mam tę broń – rzekł krótko Cam. – Bullard porzucił ją na galerii na drugim piętrze po oddaniu strzału.

Westcliff zmrużył oczy, wyraźnie zaintrygowany.

– Chciałbym ją zobaczyć. — Cygan wyciągnął pistolet z kieszeni surduta i podał mu, rękojeścią do przodu. Westcliff ocenił broń okiem doświadczonego strzelca. — Pistolet do pojedynków – stwierdził. – Z dziewięciocalową ośmiokątną lufą z celownikiem, platynowy spust, grawerowany zamek. Kosztowne cacko. Stanowi część kompletu. Wykonane przez firmę Manton i Syn z Dover Street. – Przyjrzał się uważniej. – Jest srebrna plakietka… z wygrawerowanym nazwiskiem właściciela, jak sądzę. Chociaż zbyt wytarta, by dało się odczytać litery. – Spojrzał na Cama, unosząc jedną brew, i schował pistolet do kieszeni. – Pozwoli pan, że go zatrzymam.

Świadomy, że jego zgoda tak naprawdę nie jest konieczna, Cam odpowiedział kwaśno:

– Ależ oczywiście, milordzie.

Dalszą rozmowę uniemożliwiło przybycie doktora Hammonda, miłego człowieka o nieposzlakowanej reputacji, który wcześniej doglądał w chorobie ojca Evie. Cam i Westcliff opuścili pokój, żeby nie przeszkadzać lekarzowi, który zbadał pacjenta, oczyścił ranę i zabezpieczył ją lekkim opatrunkiem.

– Wprawdzie żaden ważny organ nie został zniszczony – zwrócił się do Evie — ale i tak rana jest poważna. – Na jego brodatej twarzy malował się wyraz troski. – Proces powrotu do zdrowia będzie uzależniony od indywidualnej wytrzymałości pacjenta, jakości opieki… no i jak zwykle – od łaskawości niebios. Raczej na pewno wda się gorączka, która będzie musiała trochę potrwać. Najczęściej w takich przypadkach jestem zmuszony upuszczać pacjentowi krwi, żeby się pozbyć możliwie jak najwięcej tej skażonej. Będę przychodził codziennie, żeby ocenić, czy i kiedy będzie to konieczne. Tymczasem proszę utrzymywać ranę w czystości, zapewnić choremu odpoczynek, poić go wodą i wołowym bulionem, no i podawać lek na poprawę samopoczucia. — Wręczył Evie butelkę syropu uśmierzającego ból.

Po wyjściu doktora Hammonda Evie przykryła Sebastiana kołdrą, ponieważ na skutek szoku i utraty krwi wstrząsały nim bezustanne dreszcze.

Otworzył oczy i z trudem skupił na niej wzrok.

– Skoro potrzebuję łaskawości niebios – wyszeptał – to znaczy, że kiepsko ze mną… Chyba że znajdziemy jakiegoś skorumpowanego anioła, który da się przekupić.

Zaskoczona, parsknęła śmiechem.

– Nie bluźnij. – Otworzyła butelkę, nalała syropu na łyżkę i wsunęła Sebastianowi rękę pod głowę. – Wypij. — Przełknął lekarstwo, skrzywił się i zaklął. Nadal podtrzymując mu głowę, Evie wolną ręką sięgnęła po kubek z wodą i przytknęła mu go do ust. Zęby Sebastiana zadzwoniły o brzeg porcelanowego naczynia. — Pij – zachęciła łagodnie.

Spełnił polecenie, a potem wyczerpany opadł na poduszki.

– Bullard…

– Camowi nie udało się go złapać. – Evie wzięła do ręki maleńki słoiczek z maścią i posmarowała mu spierzchnięte usta. – On i Westcliff są na dole, rozmawiają z konstablem przydzielonym do zbadania tej sprawy.

– Czy jeszcze ktoś został ranny? — spytał Sebastian, próbując usiąść. Nagle pobladł z bólu i z ciężkim westchnieniem wrócił do poprzedniej pozycji.

– Nie ruszaj się — powiedziała ostrym tonem Evie – bo znów zaczniesz krwawić. – Położyła dłoń na jego piersi, dotykając błyszczącego łańcuszka, na którym wisiała ślubna obrączka. – Nikt więcej nie ucierpiał – odpowiedziała na jego pytanie. – A gdy tylko członkowie klubu zostali powiadomieni, że zamachowiec uciekł, wszyscy wrócili i sprawiali wrażenie, jakby całkiem dobrze się bawili.

Na ustach chorego pojawił się cień uśmiechu.

– Mieli trochę więcej rozrywki, niż… planowałem im dostarczyć.

– Według Cama to, co się stało, nie zaszkodzi interesom.

– Środki ostrożności — wyszeptał Sebastian, zmęczony mówieniem. – Powiedz Camowi…

– Tak, najmie więcej ludzi. Nie myśl teraz o takich rzeczach. Masz się całkowicie skupić na tym, żeby wyzdrowieć.

– Evie… – Drżącą ręką odszukał jej palce na swej nagiej piersi i ścisnął je niezdarnie. Pod ich złączonymi dłońmi na jego nierówno bijącym sercu spoczywała ślubna obrączka. – Jedź z Westcliffem – wymamrotał, zamykając oczy. – Potem.

Wpatrując się w jego poszarzałą twarz, Evie zrozumiała, że mówił o swojej śmierci. Czując, że jego doń ześlizguje się z jej dłoni, chwyciła ją mocniej. Jego ręce wyglądały inaczej niż kiedyś. Nie były już gładkie i wypielęgnowane, skóra stwardniała, pojawiły się odciski, paznokcie były jedynie krótko przycięte.

– Nie – odezwała się cicho, lecz z mocą. – Nie będzie żadnego „potem”. Zostanę przy tobie przez cały czas. Zatrzymam cię przy sobie. Nie pozwolę ci odejść. – Nagle poczuła, że trudno jej oddychać, że panika ściska ją za gardło. Pochylona nad Sebastianem, odwróciła rękę tak, że ich dłonie stykały się wewnętrzną stroną, puls bił tuż przy pulsie, jeden słabo, drugi mocno. – Jeśli moja miłość może cię zatrzymać, to zostaniesz ze mną.

Sebastian obudził się spięty bólem odczuwanym nie tylko w ranie, ale też w głowie, kościach i stawach. Męczyło go nieznośne pragnienie, a całe jego ciało płonęło jak przypalane żywym ogniem, przed którym bezskutecznie próbował uciekać, wykręcając obolałe członki. Nagle czyjeś delikatne ręce położyły na jego twarzy chłodny kompres. Syk ulgi wydarł mu się z ust, z całych sił zacisnął palce na wilgotnym płótnie.

– Nie, Sebastianie, nie… Leż spokojnie. Pozwól, że ci pomogę. – Głos Evie przedzierał się do jego umysłu przez mgłę szaleństwa. Dysząc ciężko, opadł na posłanie. Mokre płótno przesuwało się po jego ciele, przynosząc chwilowe uśmierzenie tortury. Każdy kolejny dotyk uspokajał go, aż wreszcie, leżąc bez

ruchu, poddawał się wykonywanym przez nią czynnościom.

– Evie… — wychrypiał w pewnym momencie.

Przerwała mycie, żeby wsunąć kilka kawałków kruszonego lodu między jego spękane wargi.

– Tak, kochanie, jestem tutaj. — Uniósł powieki. Zaskoczony czułym określeniem, popatrzył na jej pochyloną postać. Lód szybko się rozpuścił w rozpalonych ustach. Zanim zdążył poprosić o więcej, podała mu następny kawałek. Co chwilę moczyła i wykręcała ręcznik, którym wycierała mu pierś, boki i zagłębienia pod pachami. W sypialni panował półmrok, trochę światła wpadało jedynie przez na wpół zasłonięte okna. Od uchylonego lufcika dolatywał powiew świeżego powietrza. Widząc, że patrzy w tamtą stronę, Evie wyjaśniła cicho: — Lekarz powiedział, że okno powinno być zamknięte, ale wydaje mi się, że jest ci lepiej przy otwartym.

Przepełniony wdzięcznością, milczał, pozwalając jej kontynuować zabiegi higieniczne. W białym szlafroku, blada i delikatna, wyglądała jak jakiś niewinny, miłosierny duch odprawiający nad nim w ciemności tajemniczy obrzęd.

– Jak długo? – spytał szeptem.

– Trzeci dzień. Najdroższy, gdybyś mógł się obrócić na zdrowy bok… Podsunę ci poduszkę, o tak. — Evie szybko umyła mu obolałe ramiona; kiedy przesuwała ręcznikiem w dół wzdłuż kręgosłupa, usłyszała stłumiony jęk. Sebastian mgliście przypominał sobie, jak robiła to wcześniej, trochę inaczej, w innych okolicznościach… Pamiętał lekki dotyk jej dłoni, jej uroczą twarz w świetle lampy… Gdzieś pośród koszmaru oszołomienia i bólu kołatała się świadomość, że Evie pielęgnuje go w chorobie, że z oddaniem spełnia jego najintymniejsze potrzeby. Kiedy wstrząsnęła nim fala dreszczy, okryła go kocami i przytrzymała, tuląc do siebie ostrożnie. Była przy nim cały czas, nawet nie musiał jej wzywać. Zawczasu odgadywała jego potrzeby, jakby miała wgląd w jego splątane myśli. Zawsze go przerażało, że mógłby być od kogoś zależny w taki sposób. A z każdą godziną coraz bardziej tracił siły, bo w ranie rozwijał się stan zapalny i gorączka rosła. Czuł, że śmierć pochyla się nad nim jak niecierpliwa zjawa, gotowa zabrać go ze sobą, gdy tylko przestanie się bronić. Przy Evie zjawa się wycofywała, ale nadal czekała, choć mniej widoczna z oddali.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy z wewnętrznej siły swojej żony. Nawet widząc, jak czule opiekuje się ojcem, nie miał pojęcia, jak by to było polegać na niej i jej potrzebować. A nic jej nie odstręczało, przed żadną posługą się nie wzdragała. Była jego oparciem, jego tarczą… i jednocześnie zaskakiwała go czułością, za którą tęsknił, nawet kiedy się od niej odżegnywał.

Chwyciła go szczupłymi, silnymi rękami i wolno opuściła na posłanie.

– Wypij kilka łyków wody – zachęciła, podtrzymując mu głowę. Sebastian zaprotestował niechętnym mruknięciem, bo choć wargi miał spierzchnięte i lepiące, nawet parę kropli wody przyprawiało go o mdłości. – Zrób to dla mnie – poprosiła, przytykając mu kubek do ust. — Posłał jej nienawistne spojrzenie, ale usłuchał. I złościł się na siebie, kiedy ucieszyła go jej pochwała. — Jesteś aniołem – wymruczała z uśmiechem. – O tak, dobrze. Teraz odpoczywaj, a ja jeszcze trochę cię schłodzę. – Westchnął i rozluźnił mięśnie. Z ulgą przyjmował

chłodne muśnięcia mokrego ręcznika, którym przecierała mu twarz i szyję.

Zapadł w gęsty, duszący ocean ciemności, w sny niedające spokoju.

Obudził się z potwornym bólem po minutach, godzinach lub dniach i próbował zerwać opatrunek, bo rana paliła go, jakby tkwił w niej grot zatrutej strzały.

– Sebastianie, proszę… – usłyszał kojący głos Evie. – Połóż się. Jest tu doktor Hammond. Pozwól mu się zbadać.

Sebastian odkrył, że jest zbyt słaby, żeby się poruszyć. Miał wrażenie, że do rąk i nóg przywiązano mu ołowiane ciężarki.

– Pomóż… – wyszeptał chrapliwie, nie chcąc pozostawać w pozycji na wznak. Evie natychmiast zrozumiała, czego chce, uniosła mu głowę i podłożyła poduszkę pod plecy.

– Dzień dobry, milordzie – rozległ się znajomy baryton. W polu widzenia Sebastiana ukazała się korpulentna postać lekarza; wyraz rumianej twarzy ze szpakowatą brodą łagodził nieznaczny uśmiech. – Miałem nadzieję na pewną poprawę. – Doktor Hammond zwrócił się do Evie. – Czy gorączka spadła? — Evie zaprzeczyła ruchem głowy. — Jakieś oznaki apetytu lub pragnienia?

– Czasami wypija troszkę wody – odpowiedziała, biorąc Sebastiana za rękę. – Ale bulion od razu zwraca.

– Będę musiał obejrzeć ranę.

Sebastian czuł, jak zsuwa z niego kołdrę aż do bioder, a potem unosi opatrunek. Gdy próbował zaprotestować przeciw tak bezceremonialnemu obnażaniu go, Evie położyła mu rękę na piersi.

– Wszystko w porządku – szepnęła. – Próbuje ci pomóc.

Zbyt słaby, by unieść głowę, Sebastian wpatrywał się w twarze żony i lekarza oglądających ranę. Evie starała się zachować nieprzeniknioną minę, ale po dwukrotnym szybkim mrugnięciu zorientował się, że jego stan nie uległ poprawie.

– Tak jak się obawiałem – rzekł spokojnie doktor Hammond – rana ropieje. Widzi pani te czerwone pręgi idące w stronę serca? Będę musiał usunąć część chorej krwi z jego organizmu. Miejmy nadzieję, że to złagodzi stan zapalny.

– Ale on już stracił tyle krwi… – zauważyła nieśmiało Evie.

– Upuszczę nie więcej niż półtora litra – odparł Hammond uspokajającym, lecz zdecydowanym tonem. – To mu nie zaszkodzi, milady, raczej pomoże usunąć skurcz naczyń spowodowany akumulacją trujących substancji.

Sebastian zawsze powątpiewał w celowość upuszczania krwi, a jego nieufność wobec tej metody wzrosła, gdy usłyszał, że ma być zastosowana na nim. Puls, choć ledwie wyczuwalny, gwałtownie mu przyśpieszył.

– Nie… — szepnął, ciągnąc Evie za rękę. Oddychał szybko, w głowie mu się kręciło, przed oczami kłębiły się tysiące świetlistych punktów. Nie wiedział, że zemdlał, ale kiedy znów uniósł powieki, odkrył, że jego lewe ramię spoczywa na krześle stojącym przy łóżku, przywiązane do oparcia, a pod spodem stoi płytka miska. Nie było w niej krwi — jeszcze — ale Hammond właśnie zbliżał się do niego z urządzeniem przypominającym niewielkie pudełko.

– Co to jest? – zabrzmiał głos Evie. Sebastian zebrał w sobie wszystkie siły,

żeby odwrócić głowę w jej stronę.

– Skaryfikator – odpowiedział Hammond. – To zdecydowanie efektywniejsza metoda upuszczania krwi w porównaniu z użyciem starodawnego lancetu.

– Evie… – Chyba go nie słyszała. Spoglądała nieufnie na lekarza, który kontynuował wyjaśnienia.

– …pudełko zawiera dwanaście ostrzy przymocowanych do napędzanego sprężyną bolca. Jedno przyciśnięcie mechanizmu powoduje uruchomienie ostrzy, które wykonują serię płytkich nacięć i krew zaczyna płynąć.

– Evie…

Spojrzała na Sebastiana. Wyraz jego twarzy kazał jej okrążyć łóżko i podejść bliżej.

– Tak? – Pochyliła się nad nim z troską. – Najdroższy, to ci pomoże…

– Nie. – To by go zabiło. Już teraz ledwie dawał radę walczyć z gorączką i bólem. Gdyby został dodatkowo osłabiony upuszczeniem krwi, nastąpiłby koniec. Zaczął szarpać przywiązanym ramieniem, ale więzy trzymały mocno, krzesło nawet nie drgnęło. Cholera jasna! Popatrzył błagalnie na żonę, jednocześnie próbując stłumić falę nudności. – Nie – wycharczał. — Nie… pozwól mu…

– Kochanie. – Evie pochyliła się, żeby go pocałować w usta. Oczy jej zaszły łzami. – To może być twoja jedyna szansa…

– Ja umrę. Evie… – Ze strachu zrobiło mu się ciemno przed oczami. Twarz Evie rozmazała się, tracąc kontury. – Ja umrę…

– Lady St. Vincent – dobiegł go uprzejmy głos doktora Hammonda — niepokój pani męża jest całkowicie zrozumiały. Jednak jego stan utrudnia właściwą ocenę sytuacji. W tym momencie to pani musi podjąć za niego decyzję. Nie polecałbym tej metody, gdybym nie wierzył w jej skuteczność. Musi pani pozwolić mi działać. Nie sądzę, by lord St. Vincent w przyszłości pamiętał tę rozmowę.

Sebastian zamknął oczy i jękiem dał wyraz rozpaczy. Że też Hammond nie śmiał się maniacko, nie wyglądał na szaleńca, kogoś, kto wzbudziłby w Evie nieufność. Przeciwnie, był powszechnie szanowanym człowiekiem, szczerze i głęboko przekonanym, że postępuje tak, jak należy. Kat najwidoczniej mógł występować pod różnymi postaciami.

Evie była jego jedyną nadzieją, tylko ona mogła go obronić. Sebastian nigdy by nie uwierzył, że do tego dojdzie, że jego życie będzie zależeć od zahukanej młodej kobiety, która prawdopodobnie ustąpi przed autorytetem Hammonda. Ale nie było nikogo innego, do kogo mógłby się odwołać.

Poczuł jej palce na rozpalonym gorączką policzku, spojrzał na nią błagalnie, niezdolny wydobyć z siebie choćby kilku słów: „Boże, Evie, nie pozwól mu…”.

– Dobrze – powiedziała cicho, nie spuszczając z niego wzroku. Sebastian, przekonany, że Evie zwraca się do lekarza, że udziela mu zgody na zabieg, poczuł, że serce w nim zamiera. Tymczasem Evie podeszła do krzesła, szybko odwiązała rękę Sebastiana od oparcia i zaczęła masować zaczerwienioną skórę. — D-doktorze Hammond… lord St. Vincent nie chce tego z-zabiegu. Muszę uszanować jego wolę.

Z gardła Sebastiana wydarł się szloch ulgi, co mimo ciężkiego stanu wprawiło

go w zawstydzenie.

– Milady – Hammond sprawiał wrażenie mocno przestraszonego — błagam panią o ponowne przemyślenie tej decyzji. Spełnianie życzenia człowieka, który majaczy w gorączce, może się okazać dla niego śmiertelne. Niech mi pani pozwoli pomóc. Musi pani wierzyć w słuszność moich argumentów, ponieważ mam w takich sprawach nieporównywalnie większe doświadczenie.

Evie przysiadła ostrożnie na brzegu łóżka i położyła rękę Sebastiana na swoich kolanach.

– Naprawdę szanuję pańskie a-argumenty… – urwała i zniecierpliwiona swoim jąkaniem, pokręciła głową. – Ale mój mąż ma prawo osobiście podjąć tę decyzję.

Sebastian zacisnął palce na fałdach jej spódnicy. Jąkanie dowodziło, że Evie bardzo się boi, a mimo to nie uległa. Stanęła po jego stronie. Miał wrażenie, że jego udręczona dusza oddała się pod jej opiekę.

Hammond pokręcił głową z dezaprobatą i zaczął zbierać swoje instrumenty medyczne.

– Skoro pani nie pozwala, bym użył swoich umiejętności – rzekł z godnością — i odmawia słuchania moich opinii, to obawiam się, że nic tu po mnie. Mogę jedynie przewidywać niefortunny obrót tej sytuacji, jeśli nie zostanie wdrożone prawidłowe leczenie. Niech Bóg pomoże wam obojgu.

Lekarz opuścił ich w ciężkiej atmosferze potępienia.

Z poczuciem nieopisanej ulgi Sebastian położył dłoń na udzie Evie.

– Pozbyliśmy się go – zdołał wydukać, kiedy za Hammondem zamknęły się drzwi.

Evie spojrzała na niego, rozdarta między śmiechem a łzami.

– Ty uparty ośle – odezwała się. – Właśnie udało nam się obrazić jednego z najbardziej uznanych lekarzy w Londynie. Każdy inny, jakiego znajdziemy, też będzie chciał ci upuścić krwi. Po kogo powinnam teraz posłać? Po znachorkę? Szamana? Wróżkę z Covent Garden?

Wykorzystując ostatnie zasoby sił, Sebastian uniósł jej dłoń do swoich ust.

– Chcę ciebie – wyszeptał, przyciskając wargi do drobnych palców. – Tylko ciebie.

ROZDZIAŁ 19

Decyzja o rezygnacji z usług doktora Hammonda wzbudziła w Evie mnóstwo wątpliwości. Po wyjściu lekarza stan Sebastiana zaczął się stopniowo pogarszać, rana z każdą godziną była coraz bardziej spuchnięta i zaogniona, gorączka ciągle rosła. Przed północą zapadł w malignę. Oczy błyszczały mu dziko na tle zaczerwienionej twarzy; patrzył na Evie, ale jej nie poznawał, wyrzucał z siebie niezborne słowa, które nie zawsze rozumiała, mówił rzeczy, od których serce jej się ściskało z litości.

– Ciii… – uspokajała go szeptem. – Cicho. Sebastianie, nie jesteś… – On jednak uporczywie mówił dalej, jego zmęczony umysł nie dał się powstrzymać, aż w końcu przestała go uciszać, tylko trzymała jego rozpaczliwie zaciśnięte ręce i słuchała gorzkiej litanii. W chwilach przytomności nigdy przed nikim nie odsłoniłby swego wnętrza. Jednak Evie wiedziała, może lepiej niż ktokolwiek inny, jak to jest żyć w całkowitej samotności, tęsknić za więzią z innym człowiekiem, za poczuciem spełnienia w związku. Rozumiała też głębię otchłani, w którą spychała go ta samotność.

Po pewnym czasie, kiedy jego chrapliwy głos osłabł do urywanego szeptu, Evie delikatnie zmieniła zimny kompres na jego czole i posmarowała mu maścią spękane wargi. Przyłożyła dłoń do jego twarzy, szorstki jasny zarost łaskotał jej palce. Pogrążony w oparach delirium Sebastian przywarł policzkiem do miękkiego wnętrza jej dłoni, mrucząc coś bez słów. Piękna, grzeszna, udręczona istota. Niektórzy twierdziliby, że nie warto dbać o kogoś takiego. Jednak patrząc na bezradną postać chorego, wiedziała, że już nigdy żaden mężczyzna nie będzie dla niej znaczył tyle co on. Bo mimo wszystko był gotów oddać za nią życie.

Położyła się obok niego na łóżku, odnalazła łańcuszek na jego piersi, nakryła dłonią zawieszoną na nim obrączkę i pozwoliła sobie na kilka godzin snu.

Obudziwszy się o świcie, odkryła, że Sebastian leży całkiem nieruchomo i nie daje żadnych oznak życia.

– Sebastianie? – Dotknęła jego twarzy i szyi. Gorączka nie ustępowała. Wydawało się niemożliwe, by ludzka skóra mogła być aż tak rozpalona.

Wyskoczyła z łóżka, podeszła do dzwonka i mocno pociągnęła za sznur.

Cam i pokojówki natychmiast przyszli z pomocą. Wspólnymi siłami nakryli łóżko nieprzemakalnym materiałem, a następnie Evie obłożyła ciało Sebastiana

muślinowymi woreczkami napełnionymi kruszonym lodem. Przez cały czas trwania tych zabiegów Sebastian nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku. Chwilowy spadek gorączki obudził w Evie nadzieję, ale wkrótce temperatura znów zaczęła nieubłaganie rosnąć.

Cam, który oprócz swojej normalnej roli w klubie pełnił również obowiązki przejęte od Sebastiana, sprawiał wrażenie wyczerpanego tak samo jak Evie. Nadal w wieczorowym stroju, z rozwiązanym szarym krawatem zwisającym po obu stronach szyi, podszedł do Evie siedzącej obok łóżka.

Nigdy do tej pory nie doświadczyła prawdziwej rozpaczy. Nawet w najgorszych momentach u Maybricków nie traciła nadziei. Teraz wiedziała, że jeśli Sebastian nie przeżyje, już nic nigdy nie sprawi jej przyjemności.

Był pierwszym mężczyzną, który przedarł się przez więzienie jej nieśmiałości. I od samego początku opiekował się nią jak nikt nigdy wcześniej. Uśmiechnęła się blado na wspomnienie pierwszej gorącej cegły, którą podłożył jej pod stopy podczas ich piekielnej podróży do Szkocji.

– Nie wiem, co dla niego zrobić, Cam – szepnęła, nie odrywając wzroku od męża. – Każdy lekarz, po którego poślę, będzie chciał upuścić mu krwi, a obiecałam, że na to nie pozwolę.

Rohan wyciągnął szczupłą rękę i pogładził Evie po nieumytych włosach.

– Moja babka była uzdrowicielką – rzekł z zadumą. – Pamiętam, że przepłukiwała rany soloną wodą, a potem okładała suszonym bagiennym mchem. A kiedy miałem gorączkę, kazała mi żuć bulwę rośliny o nazwie dziwaczek jalapa.

– Dziwaczek jalapa – powtórzyła bezbarwnym głosem Evie. – Nigdy nie słyszałam o takiej roślinie.

Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów i zatknął za ucho.

– Rośnie na wrzosowiskach.

Evie uchyliła głowę przed jego ręką, czuła się nieświeżo, co ją krępowało; wiedziała, że wbrew powszechnej opinii Cyganie przywiązują wielką wagę do higieny osobistej. Istniało wiele romskich rytuałów związanych z myciem i czyszczeniem.

– Myślisz, że mógłbyś coś takiego znaleźć?

– Jalapę?

– I ten mech.

– Chyba mógłbym, mając odpowiednio dużo czasu.

– Nie sądzę, żeby jemu zostało dużo czasu… – Głos Evie się załamał. Przerażona, że może stracić panowanie nad emocjami, wyprostowała się sztywno na krześle i odsunęła rękę Cama, który serdecznym dotykiem chciał jej dodać otuchy. – Nie… Nic mi nie jest. Po prostu znajdź cokolwiek, co według ciebie może mu pomóc.

– Wrócę niedługo – obiecał i wyszedł.

Evie nadal siedziała przy łóżku, wyczerpana i niezdecydowana. Miała świadomość, że powinna zadbać również o własne potrzeby, przespać się, coś zjeść, trochę odświeżyć, ale bała się opuścić Sebastiana choćby na parę minut. Nie chciała po powrocie odkryć, że odszedł, kiedy jej przy nim nie było.

Starała się otrząsnąć ze zmęczenia i podjąć jakąś decyzję, ale jej mózg jakby się wyłączył. Skulona na krześle, patrzyła na umierającego męża. Jej duszę i ciało przygniatał tak wielki ciężar, że nie była w stanie działać ani nawet myśleć. Nie zauważała, czy ktoś wchodzi do pokoju ani czy cokolwiek wokół niej się dzieje, skupiona bez reszty na obserwowaniu minimalnego, prawie niezauważalnego ruchu klatki piersiowej Sebastiana, unoszącej się i opadającej w rytm niespokojnego oddechu. W końcu jednak wyczuła obecność człowieka stojącego obok niej przy łóżku; emanował żywotnością i siłą tak bardzo niepasującymi do letargicznej atmosfery pokoju, w którym się znajdowali. Evie półprzytomnie spojrzała w zatroskaną twarz lorda Westcliffa.

Bez słowa chwycił ją pod ramiona i postawił na nogi, podtrzymując troskliwie, kiedy się zachwiała.

– Kogoś ci przywiozłem – oznajmił.

Evie rozejrzała się i dopiero po chwili zdołała skupić wzrok na drugiej osobie obecnej w pokoju.

To była Lillian Bowman – obecnie lady Westcliff – olśniewająca i promienna w sukni koloru czerwonego wina. Jej mleczna cera zyskała nieco koloru od słońca południowych Włoch, a czarne włosy miała upięte w modny węzeł u nasady szyi i oplecione jedwabną siatką wyszywaną koralikami. Lillian była wysoka i smukła, łatwo było ją sobie wyobrazić dowodzącą pirackim okrętem. Dziewczyna stworzona do niebezpiecznych i niekonwencjonalnych wyczynów. Choć nie tak romantycznie piękna jak Annabelle Hunt — miała zwracające uwagę regularne rysy, które zdradzały jej amerykańskie pochodzenie, jeszcze zanim dało się je usłyszeć w wyraźnym nowojorskim akcencie.

Z ich kręgu przyjaciółek Evie była z nią najmniej zżyta. Lillian nie miała macierzyńskiej delikatności Annabelle ani żywiołowego optymizmu Daisy, zawsze onieśmielała Evie swoim ostrym językiem i niecierpliwością, jednak zawsze można było na nią liczyć w razie kłopotów.

Teraz, objąwszy jednym spojrzeniem godną pożałowania sylwetkę Evie, podeszła do niej bez wahania i objęła ją serdecznie.

– Evie – odezwała się ciepłym tonem – w coś ty się wpakowała? — Po pierwszym zaskoczeniu Evie z ulgą wtuliła się w ramiona przyjaciółki. Dotąd tłumiony ból nagle się wzmógł i nie była już w stanie dłużej powstrzymywać szlochu. Lillian uścisnęła ją mocno. — Szkoda, że nie widziałaś mojej miny, kiedy Annabelle i Daisy powiedziały mi, co zrobiłaś – powiedziała, klepiąc Evie po plecach. – Omal nie padłam na ziemię, a potem przeklinałam St. Vincenta na wszystkie możliwe sposoby za to, że cię wykorzystał. Miałam ochotę przyjechać tu i osobiście go zastrzelić. Wygląda jednak, że ktoś mnie wyręczył.

– Ja go kocham – wyznała Evie szeptem między żałosnymi chlipnięciami.

– To niemożliwe – stwierdziła Lillian z przekonaniem.

– Owszem, kocham go. Ale go stracę, tak jak straciłam ojca. Nie mogę tego znieść… Oszaleję.

Lillian westchnęła z rezygnacją.

– Tylko ty mogłaś się zakochać w takim podłym, samolubnym pawiu, Evie. Och, przyznaję, ma swoje atuty, ale lepiej byś zrobiła, lokując uczucia w kimś,

kto by je odwzajemnił.

– Lillian… – zaprotestowała słabo Evie.

– No dobrze. Nie przystoi urągać człowiekowi przykutemu do łóżka. Na razie powściągnę język. – Lillian odsunęła się na odległość ramienia i spojrzała w piegowatą twarz przyjaciółki. – Reszta też chciała przyjechać. Ale Daisy jest niezamężna, więc nie może nawet kichnąć bez przyzwoitki, a Annabelle łatwo się męczy z powodu swego stanu. Tak czy inaczej jesteśmy tu z Westcliffem i zamierzamy wszystko przywrócić do porządku.

– Nie możecie – chlipnęła Evie. – Jego rana… jest taki słaby… chyba z-zapadł w śpiączkę…

Cały czas obejmując Evie, Lillian zwróciła się do męża mocnym głosem, zupełnie nieodpowiednim do okoliczności:

– Czy on jest w śpiączce, Westcliff?

Hrabia, który pochylał się nad Sebastianem, posłał jej krzywe spojrzenie.

– Raczej nie da się być w śpiączce przy hałasie, jaki tu robicie. Nie, gdyby zapadł w śpiączkę, nie byłby pobudzony. A wyraźnie się poruszył, kiedy krzyknęłaś.

– Nie krzyczałam, tylko wołałam – sprostowała Lillian hardo. – A to co innego.

– Doprawdy? – zdumiał się Westcliff, zsuwając z Sebastiana kołdrę aż do bioder. – Tak często podnosisz głos, że już przestałem rozróżniać.

Lillian zachichotała gardłowo.

– Będąc twoją żoną, milordzie, każda kobieta by… Boże, to wygląda strasznie! – Ostatnia uwaga odnosiła się do rany, z której Westcliff właśnie ściągnął opatrunek.

– Owszem – przyznał zmartwiony, patrząc na ropiejącą tkankę i czerwone pręgi rozchodzące się od niej promieniście.

Evie od razu podeszła do łóżka, ocierając mokre policzki. Westcliff, jak zawsze opanowany i troskliwy, podał jej wyciągniętą z kieszeni surduta czystą chusteczkę. Podziękowawszy mu, osuszyła oczy i wydmuchała nos, a potem spojrzała na swojego męża.

– Od wczorajszego popołudnia jest nieprzytomny – zwróciła się niepewnie do Westcliffa. – Nie pozwoliłam, żeby doktor Hammond upuścił mu krwi… Sebastian tego nie chciał. Teraz żałuję, że nie wyraziłam zgody. Ten zabieg mógł mu pomóc. Tylko że… nie mogłam pozwolić, by robiono coś wbrew jego woli. Patrzył na mnie w taki sposób…

– Wątpię, żeby mu to pomogło – przerwał jej Westcliff. – Równie dobrze mogło go wykończyć.

Lillian podeszła bliżej, skrzywiła się na widok zakażonej rany i zaraz przeniosła wzrok na nienaturalnie bladą twarz chorego.

– W takim razie co można dla niego zrobić?

– Cam Rohan sugerował przepłukiwanie rany roztworem soli – powiedziała Evie. Delikatnie zakryła dziurę po kuli i naciągnęła kołdrę z powrotem na pierś chorego. – Zna też roślinę, która mogłaby pomóc w obniżeniu gorączki. W tej chwili próbuje ją zdobyć.

– Moglibyśmy przetrzeć ranę sokiem z surowego czosnku – podsunęła Lillian. – Moja niania traktowała tak zadrapania i rozcięcia, wtedy szybciej się goiły.

– Moja dawna gospodyni, pani Faircloth, używała octu – mruknął Westcliff. – Piekło jak diabli, ale działało. Myślę, że spróbujemy kombinacji tych trzech składników i dodamy jeszcze trochę spirytusu terpentynowego.

Lillian przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

– Żywica sosnowa?

– W formie destylowanej – odparł Westcliff. – Widziałem, jak leczono nią gangrenę. – Odwrócił Lillian twarzą do siebie i pocałował ją w czoło. – Zgromadzę niezbędne składniki i ustalę proporcje – obiecał. Minę miał poważną, ale oczy błyszczały mu ciepło, kiedy patrzył na żonę. – Tymczasem zostawię sprawy w twoich zręcznych rękach.

Lillian przesunęła palcem po krawędzi jego kołnierzyka, niby przypadkiem dotykając opalonej skóry na szyi męża.

– Lepiej się pośpiesz. Jeśli St. Vincent się ocknie i zobaczy, że jest zdany na moją łaskę, prawdopodobnie od razu wyzionie ducha.

Wymienili szybkie uśmiechy i Westcliff wyszedł z pokoju.

– Arogancki, władczy typ – mruknęła Lillian, odprowadzając męża wzrokiem. – Boże, jak ja go uwielbiam.

Evie zachwiała się na nogach.

– Jak ty…

– Mamy wiele do omówienia, moja droga – przerwała jej szybko Lillian. – Dlatego będziemy musiały odłożyć to na później. Jesteś półżywa ze zmęczenia. I szczerze mówiąc, powinnaś wziąć kąpiel. – Rozejrzała się za sznurem dzwonka, dostrzegła go w kącie i mocno pociągnęła. – Każemy napełnić wannę, będziesz mogła się umyć, a potem zjesz parę tostów i napijesz się herbaty. — Evie pokręciła głową i już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Lillian jej na to nie pozwoliła. — Ja się zaopiekuję St. Vincentem – oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Evie patrzyła na nią z niedowierzaniem; zastanawiała się, dlaczego jej przyjaciółka, która nie uchodziła za osobę skłonną do wybaczania, jest gotowa pielęgnować człowieka, który ją porwał. Choć Evie była pewna, że Lillian nigdy nie skrzywdziłaby bezradnej, cierpiącej osoby, miała pewne opory przed pozostawieniem Sebastiana na jej łasce.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz… po tym, co zrobił…

Lillian uśmiechnęła się cierpko.

– Nie robię tego dla niego. Robię to dla ciebie. I dla Westcliffa, który z jakiegoś powodu nie chce go uznać za stracony przypadek. – Zniecierpliwiona przedłużającym się wahaniem, Evie wywróciła oczami. – Na litość boską, idź się wykąpać. I zrób coś z włosami. Nie musisz się martwić o St. Vincenta. Będę dla niego tak samo dobra, jak byłabym dla własnego męża.

– Dziękuję ci – wyszeptała Evie. Oczy znów zapiekły ją od łez.

– Och, Evie… – Lillian złagodniała, jej twarz przybrała niespotykany wyraz współczucia. Wyciągnęła ramiona i jeszcze raz przytuliła Evie, szepcząc w jej potargane włosy: — On nie umrze. Tylko miłych, zacnych ludzi spotyka

przedwczesna śmierć. – Zaśmiała się cicho. – Samolubni dranie, tacy jak St. Vincent, żyją do setki, żeby męczyć innych.

Z pomocą pokojówki Evie wykąpała się i przebrała w luźną suknię, która nie wymagała wkładania gorsetu. Czyste, jeszcze wilgotne włosy splotła w długi warkocz, a na nogi włożyła dziergane na drutach pantofle. Po powrocie do pokoju Sebastiana odkryła, że Lillian posprzątała i rozsunęła zasłony w oknach. W talii miała zawiązaną płócienną ścierkę w charakterze fartucha; Evie zauważyła na niej liczne plamy, podobnie jak na staniku sukni Lillian.

– Wypił trochę rosołu – oznajmiła Lillian. – Nie było łatwo zmusić go, żeby przełykał, bo właściwie nie odzyskał przytomności, ale uparłam się i wlałam mu do gardła mniej więcej ćwierć kubka. Chyba się poddał w nadziei, że jestem zjawą ze złego snu i zniknę, jeśli mnie udobrucha.

Evie nie zdołała nakłonić Sebastiana do wypicia czegokolwiek od poprzedniego ranka.

– Jesteś najcudowniejszą…

– Tak, tak, wiem. – Lillian zbyła jej słowa niedbałym machnięciem, jak zawsze zakłopotana pochwałą. – Przyniesiono twoje jedzenie, taca leży na stole przy oknie. Jajka sadzone i tosty. Masz zjeść wszystko, moja droga. Nie chciałabym być zmuszona ciebie również karmić siłą.

Evie posłusznie usiadła przy stole i wbiła zęby w tost lekko posmarowany masłem. Lillian w tym czasie zmieniła okład na czole Sebastiana.

– Muszę przyznać – powiedziała z zadumą – że trudno nim pogardzać, kiedy upadł tak nisko. No i liczy mu się na plus, że to on tu leży ranny, a nie ty. – Zajęła krzesło przy łóżku i popatrzyła na Evie ze szczerym zaciekawieniem. – Zastanawiam się, dlaczego to zrobił. Jest przecież samolubny do szpiku kości. Zupełnie nie ten typ, który by się poświęcił dla kogoś innego.

– Nie jest tak do końca samolubny – zaprzeczyła słabo Evie, popijając tost łykiem gorącej herbaty.

– Westcliff uważa, że St. Vincent jest w tobie zakochany.

Evie omal się nie zakrztusiła; nie śmiała podnieść wzroku znad filiżanki.

– D-dlaczego tak uważa?

– Zna St. Vincenta od dzieciństwa i umie go przejrzeć. Poza tym widzi pewną logikę, dlaczego to właśnie ty miałabyś w końcu podbić jego serce. Mówi, że dziewczyna taka jak ty mogłaby… hm, jak on to określił… Nie pamiętam dokładnie słowa, ale chodziło o to, że mogłabyś sprostać najgłębiej skrywanym fantazjom St. Vincenta.

Policzki Evie spłonęły rumieńcem, w jej zmęczonej piersi ożyła bolesna nadzieja. Próbowała się zdobyć na ironiczną odpowiedź:

– Sądziłabym, że jego fantazje ograniczają się do uwiedzenia jak największej liczby kobiet.

Lillian uśmiechnęła się szeroko.

– Moja droga, dla St. Vincenta to nie są fantazje, tylko rzeczywistość. A ty prawdopodobnie jesteś pierwszą miłą, przyzwoitą dziewczyną, z jaką miał do

czynienia.

– Spędził sporo czasu z tobą i Daisy w Hampshire – przypomniała jej Evie.

To jakby jeszcze bardziej rozbawiło Lillian.

– Nie jestem aż taka miła, moja droga. Podobnie jak moja siostra. Nie mów, że cały czas tkwiłaś w błędnym przekonaniu na nasz temat.

Ledwie Evie opróżniła talerz z jajek i tostów, do pokoju weszli lord Westcliff i Cam, objuczeni garnkami, butelkami, słoikami i innymi dziwnymi przedmiotami. Towarzyszyły im dwie pokojówki z metalowymi dzbankami, z których buchała para, i stertą czystych ręczników. Evie chciała pomóc, ale kazano jej stać z daleka podczas rozkładania przyniesionych rzeczy przy łóżku. Następnie obłożono Sebastiana ręcznikami ze wszystkich stron, tak że odkryta pozostała tylko rana.

– Byłoby lepiej, gdyby wcześniej zażył trochę morfiny – stwierdził Westcliff, mocując nitką gazik na długim drewnianym kołku. – Ten zabieg będzie dla niego bardziej bolesny niż sam postrzał.

– Da się go zmusić do połknięcia leku – odezwała się zdecydowanie Lillian. – Evie, mam to zrobić?

– Nie, wolę sama. – Evie podeszła do łóżka i odmierzyła dawkę syropu z morfiną do kieliszka. Cam stanął obok i podał jej zawiniętą w papier paczkę czegoś, co wyglądało jak ciemnozielony popiół.

– Dziwaczek jalapa. Znalazłem go w pierwszej aptece, którą odwiedziłem. Z mchem bagiennym poszło trochę trudniej, ale też udało mi się go zdobyć.

Evie oparła się o niego ramieniem w geście niemego podziękowania.

– Ile tego proszku powinnam mu dać?

– Człowiekowi o posturze St. Vincenta dałbym co najmniej dwie łyżeczki.

Rozpuściła dwie łyżeczki proszku w kieliszku bursztynowego leku, który nagle zmienił kolor na czarny. Smakował prawdopodobnie jeszcze gorzej, niż wyglądał. Miała nadzieję, że jeśli Sebastian zgodzi się połknąć miksturę, zdoła ją również utrzymać w żołądku. Przysiadła obok niego na łóżku i pogłaskała go po zmatowiałych włosach, po napiętej, rozpalonej twarzy.

– Sebastianie – szepnęła – obudź się. Musisz zażyć lekarstwo. – Nie poruszył się, nawet kiedy wsunęła rękę pod jego kark i spróbowała unieść głowę.

– Nie, nie, nie – odezwała się Lillian za jej plecami. – Jesteś stanowczo zbyt delikatna, Evie. Ja musiałam nim mocno potrząsnąć, zanim się ocknął na tyle, by wypić trochę rosołu. Pozwól, że ci pokażę. – Wspięła się na łóżko obok Evie i szarpnęła kilka razy półprzytomnym Sebastianem, aż w końcu z jękiem otworzył oczy. Patrzył na nie, wyraźnie ich nie rozpoznając.

– Sebastianie – powtórzyła Evie z czułością. – Mam dla ciebie lekarstwo.

Próbował się odwrócić, ale wysiłek spowodował nacisk na ranę i wywołał gwałtowną reakcję – Evie i Lillian zostały zepchnięte z posłania machnięciem potężnego ramienia.

– Auu! — syknęła Lillian, zbierając się z podłogi, gdzie wylądowały jedna na drugiej. Evie z trudem uratowała zawartość kieliszka.

Sebastian dyszał i jęczał w delirium, jego masywnym ciałem wstrząsały serie dreszczy. Evie była przerażona jego oporem, ale cieszyła się z oznak

powracającej siły, wolała to od wcześniejszej śmiertelnej słabości.

Lillian nie podzielała jej sentymentów.

– Będziemy musieli go przywiązać – oznajmiła. – Nie ma mowy, żebyśmy go utrzymali nieruchomo przy oczyszczaniu rany.

– Nie chcę… – zaczęła Evie, ale Cam zaskoczył ją, przyznając Lillian rację.

Milcząc, pozbierała się z podłogi. Sebastian znów miał zamknięte oczy, cały drżał i do tego konwulsyjnie zaciskał palce, jakby chciał w nich utrzymać coś więcej niż powietrze. Trudno było uwierzyć, że pełen życia mężczyzna może się zmienić w bladą jak widmo postać ze spękanymi ustami i oczami podkrążonymi na sino.

Evie zrobiłaby wszystko, żeby mu pomóc. Wzięła kilka czystych kawałków płótna i podała je Camowi, sięgając nad ciałem Sebastiana.

Cygan z ponurą miną przywiązał obie ręce i jedną nogę do narożników metalowej ramy łóżka.

– Czy mam mu podać lekarstwo? – spytał, patrząc na Evie.

– Ja mogę to zrobić – odpowiedziała, ponownie sadowiąc się obok chorego.

Podsunęła mu poduszkę pod głowę, a potem zacisnęła palcami jego nos. Kiedy Sebastian otworzył usta, żeby zaczerpnąć oddechu, wlała mu do gardła gęstą zawiesinę. Zakrztusił się i zakaszlał, ale ku jej zadowoleniu w miarę gładko przełknął miksturę. Cam uniósł brwi w uznaniu dla jej skuteczności, podczas gdy Sebastian przeklinał i bezradnie szarpał przywiązanymi kończynami. Evie pochyliła się nad nim i próbowała go uspokoić głaskaniem i tkliwymi słowami; czuła na twarzy słaby powiew jego oddechu, przesycony zapachem środka przeciwbólowego.

Gdy w końcu znieruchomiał, spojrzała na Lillian i odkryła, że przyjaciółka dziwnie jej się przygląda. Mrużyła oczy i leciutko kręciła głową, jakby się dziwiła temu, co widzi. Evie przypuszczała, że znając Sebastiana jedynie jako rozwiązłego, aroganckiego eleganta, który przechadzał się po rezydencji Westcliffa, Lillian musiała przeżyć szok, znajdując go w tak dramatycznym położeniu.

Tymczasem Westcliff zdjął surdut i podwinął rękawy koszuli. Mieszał jakiś napar, którego paskudny odór rozchodził się po pokoju. Lillian, szczególnie wrażliwa na zapachy, skrzywiła się z obrzydzenia.

– To najohydniej śmierdząca mieszanina, z jaką miałam do czynienia – oświadczyła.

– Spirytus terpentynowy, czosnek, ocet i parę innych składników zaleconych przez aptekarza, łącznie z olejkiem różanym – wyjaśnił Cam. – Radził też zastosować po zabiegu okład z miodu, ponieważ zapobiega gniciu ran.

Evie wytrzeszczyła oczy, gdy Cam otworzył drewnianą kasetkę i wyjął z niej mosiężny lejek oraz przedmiot o cylindrycznym kształcie — z rączką po jednej stronie i czymś w rodzaju igły po drugiej.

– Co to jest? – wydukała.

– Też od aptekarza – odparł Cam, po czym uniósł urządzenie, żeby je dokładniej obejrzeć. – Strzykawka. Kiedy mu opisaliśmy, co planujemy, powiedział, że tak głęboką ranę można przepłukać, wyłącznie używając tego.

Ułożył starannie narzędzia, pojemniki z medykamentami i ręczniki.

Westcliff stanął przy łóżku i zwrócił się do obu kobiet:

– To będzie raczej nieprzyjemne. Dlatego jeśli ktoś ma słaby żołądek… – Znacząco zatrzymał wzrok na Lillian, która tylko się skrzywiła.

– Owszem, mam słaby żołądek – przyznała. – Ale w razie potrzeby umiem się przemóc.

Przez surową twarz lorda Westcliffa przebiegł niespodziewany uśmiech.

– Na razie cię oszczędzimy, kochanie. Czy chciałabyś przejść do innego pokoju?

– Usiądę przy oknie – odpowiedziała Lillian i szybko odsunęła się od łóżka chorego.

Westcliff spojrzał na Evie.

– Gdzie mam stanąć? – zapytała.

– Po mojej lewej stronie. Będziemy potrzebowali mnóstwa ręczników, więc gdybyś zechciała wymieniać zużyte na świeże…

– Oczywiście. – Zajęła wyznaczone miejsce obok Westcliffa. Cam stanął po jego prawej stronie. Zerkając na dumny, stanowczy profil Westcliffa, Evie nie mogła uwierzyć, że ten władczy człowiek, który zawsze tak ją onieśmielał, był gotów robić takie rzeczy, by pomóc przyjacielowi, który go zdradził. Ogarnęła ją fala wdzięczności. Nie mogąc się powstrzymać, pociągnęła go lekko za rękaw. — Milordzie, zanim zaczniemy, muszę powiedzieć…

Westcliff pochylił ku niej ciemną głowę.

– Tak?

Nie był aż tak wysoki jak Sebastian, więc wspiąwszy się na palce, bez trudu cmoknęła go w szczupły policzek.

– Dziękuję, że mu pomagasz – powiedziała, patrząc w zdziwione czarne oczy. – Jesteś najzacniejszym człowiekiem, jakiego znam. – Słowa Evie wywołały rumieniec na jego ogorzałej od słońca twarzy. Po raz pierwszy, odkąd się znali, nie wiedział, co odpowiedzieć.

Lillian z uśmiechem obserwowała ich z drugiego końca pokoju.

– Jego motywacja nie jest aż taka szlachetna – wtrąciła. – Założę się, że cieszy go perspektywa polewania solą, w sensie dosłownym, ran St. Vincenta. – Zaraz po tej żartobliwej uwadze Lillian pobladła i zacisnęła dłonie na oparciu krzesła, widząc, jak jej mąż bierze do ręki lancet i delikatnie rozcina ranę.

Mimo dużej dawki morfiny Sebastian wił się i prężył z bólu, jego twarz wykrzywiał przeraźliwy grymas, z gardła dobywały się ryki sprzeciwu. Cam pomógł go trzymać, żeby nie był był w stanie wykonać żadnego gwałtownego ruchu. Jednak naprawdę trudno się zrobiło, kiedy Westcliff zaczął przepłukiwać ranę osoloną wodą. Sebastian krzyczał chrapliwie, próbując walczyć, podczas gdy strzykawka raz po raz wpuszczała do rany roztwór, dopóki wydzielina wsiąkająca w ręczniki nie przybrała różowego koloru świeżej, czystej krwi. Westcliff działał zdecydowanie i precyzyjnie, wykonując kolejne czynności ze zręcznością doświadczonego chirurga. Evie zdołała ukryć lęk głęboko pod warstwami odrętwienia i pracowała przy chorym z takim samym chłodnym opanowaniem, jakie prezentowali mężczyźni. Metodycznie usuwała brudne

ręczniki i układała na ich miejsce świeże. Ku jej uldze Sebastian wkrótce zemdlał. Jego ciało zwiotczało. Przestał reagować na to, co z nim robiono.

Stwierdziwszy z zadowoleniem, że tkanka jest już czysta, Westcliff namoczył gazik w środku z terpentyną i dokładnie nasączył ranę. Następnie odsunął się na bok i patrzył, jak Cam zawija wiecheć bagiennego mchu w czysty kawałek muślinu, macza zawiniątko w miodzie i ostrożnie mocuje opatrunek.

– Gotowe – oznajmił w końcu. Zdjął więzy z rąk i stopy Sebastiana. – Proces leczenia zacznie się głęboko w środku. Będziemy zmieniać okład przez kilka dni, a potem pozbędziemy się mchu i pozwolimy, by skóra się zeszła.

Musieli się wszyscy przyłożyć, by owinąć Sebastiana w pasie lnianym bandażem i zmienić mokrą pościel na czystą. Już po wszystkim Evie poczuła, jak bezwzględna dyscyplina, którą sobie narzuciła, powoli się ulatnia, a jej ciało zaczyna drżeć z wyczerpania, od czubka głowy po stopy. Ze zdumieniem odkryła, że nawet Westcliff sprawia wrażenie zmęczonego; z głębokim westchnieniem sięgnął po czysty ręcznik i otarł sobie pot z czoła. Lillian natychmiast do niego podeszła, uścisnęła go i szepnęła do ucha jakieś czułe słówko.

– Myślę, że powinniśmy zmieniać okład mniej więcej dwa razy dziennie – powiedział Cam, nie zwracając się do nikogo osobiście. Umył ręce wodą z mydłem. – Jeśli do wieczora gorączka nie spadnie, podwoimy ilość jalapy w okładzie. – Gestem zachęcił Evie, żeby do niego podeszła, i jej też umył ręce. – Będzie dobrze, kochana – powiedział. – Kiedy lord Westcliff przepłukiwał ranę, nie wyglądała aż tak źle, jak się spodziewałem.

Evie tylko pokręciła głową. Stała biernie jak dziecko, kiedy osuszał jej ręce.

– Nie mogę sobie pozwalać na żadną nadzieję. Nie mogę wierzyć… – mówiła coraz ciszej. Miała wrażenie, że podłoga chwieje się jej pod nogami, wzdrygnęła się niezdarnie, próbując zachować równowagę. Cam chwycił ją szybko, podniósł i przycisnął do piersi. – Natychmiast do łóżka – zarządził i zaniósł ją do drzwi.

– Sebastian… – wymamrotała.

– Zaopiekujemy się nim, kiedy będziesz spać.

Nie miała wyboru, bo jej ciało, od dawna pracujące na najwyższych obrotach, po prostu przestało funkcjonować. Zapamiętała tylko tyle, że Cam położył ją do łóżka i troskliwie otulił kołdrą, jakby była małą dziewczynką. Ogrzawszy nieco własnym ciałem śliską, lodowato zimną pościel, zapadła w sen.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła po przebudzeniu, był miły blask małego płomyka. Na stoliku przy łóżku stała zapalona świeca. Ktoś siedział na brzegu posłania… Lillian — w pomiętej sukni, wyraźnie zmęczona, z włosami związanymi na karku.

Evie powoli usiadła i przetarła oczy.

– Jest wieczór? – wychrypiała. – Musiałam przespać całe popołudnie.

Lillian uśmiechnęła się cierpko.

– Przespałaś półtorej doby, moja droga. Westcliff i ja opiekowaliśmy się w tym czasie St. Vincentem, a pan Rohan doglądał klubu.

Evie przejechała językiem po wysuszonych ustach i wyprostowała się na

łóżku. Serce zaczęło jej walić ze strachu.

– Sebastian… czy on…

Lillian wzięła przyjaciółkę za rękę.

– Którą wiadomość chcesz usłyszeć najpierw: dobrą czy złą? — Evie pokręciła głową, nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Wpatrywała się w Lillian szeroko otwartymi oczami, bojąc się choćby mrugnąć. — Dobra wiadomość jest taka, że gorączka spadła i rana już nie ropieje – powiedziała Lillian, a następnie dodała z szerokim uśmiechem: — A zła jest taka, że prawdopodobnie będziesz musiała znosić go jako swojego męża przez resztę życia. — Evie zaniosła się płaczem. Wolną ręką osłaniała oczy, ramiona jej drżały wstrząsane szlochem. Czuła, jak przyjaciółka mocniej ściska jej palce. — No tak – mruknęła Lillian. – Ja też bym płakała, gdyby był moim mężem. Ale z zupełnie innego powodu.

Swoją kwaśną uwagą udało jej się wzbudzić w Evie chichot przerywany czkawką.

– Jest przytomny? Mówi coś? – dopytywała, nadal zakrywając mokre oczy.

– Owszem, ciągle o ciebie pytał i złościł się, kiedy nie chciałam cię wcześniej obudzić.

W końcu Evie opuściła rękę i popatrzyła na Lillian wzrokiem szklistym od łez.

– Jestem pewna, że nie chciał być n-niewdzięczny – powiedziała. – Po tym wszystkim, co zrobiliście…

– Nie ma co go usprawiedliwiać – przerwała jej z ironią przyjaciółka. – Dobrze go znam. I dlatego nie wierzę, że obchodzi go ktokolwiek poza nim samym. Ale skoro jesteś z nim szczęśliwa, to chyba musimy go tolerować. – Nagle zmarszczyła nos, wyglądała, jakby szukała źródła niemiłego zapachu… i znalazła je na rękawach sukni. – Fuj… jak to dobrze, że moja rodzina ma fabrykę mydła. Będę potrzebowała chyba z tysiąca kostek, żeby usunąć smród tego okropnego okładu.

– Nigdy nie zdołam wystarczająco podziękować ci za opiekę nad nim — powiedziała żarliwie Evie.

Lillian podniosła się z łóżka, przeciągnęła i wzruszyła ramionami.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedziała lekkim tonem. – Warto było, choćby po to, żeby St. Vincent czuł się wobec mnie zobowiązany. Już nigdy nie będzie w stanie spojrzeć na mnie bez upokarzającego wspomnienia, że widziałam go nagiego i nieprzytomnego w chorobie.

– Widziałaś go nagiego? – Evie uniosła brwi.

– Och… – rzuciła Lillian nonszalanckim tonem, kierując się ku drzwiom – zdarzyło mi się zobaczyć to i owo. Nie było innej możliwości, zważywszy na usytuowanie rany. – Przystając w progu, obejrzała się na Evie z chytrym uśmieszkiem. – Muszę przyznać, że plotki, które zdarzało się słyszeć na jego temat, nawet w części nie oddawały mu sprawiedliwości.

– Jakie plotki? – spytała zaskoczona Evie, ale Lillian, śmiejąc się pod nosem, zdążyła już opuścić pokój.

ROZDZIAŁ 20

Zanim minął tydzień, Sebastian stał się najgorszym pacjentem, jakiego można sobie wyobrazić. Rana goiła się wyjątkowo szybko, nie dość szybko jednak jak na jego oczekiwania, więc męczył siebie – i wszystkich wkoło – łamiąc narzucone przez stan zdrowia ograniczenia. Chciał nosić normalne ubrania, jeść to, co jadł dawniej, uparł się, żeby wstać z łóżka i kuśtykać po mieszkaniu i galerii — wbrew prośbom i protestom Evie. Mimo iż wiedział, że siły nie powrócą mu na życzenie, że potrzeba czasu i cierpliwości, nie umiał się powściągnąć.

Nigdy wcześniej nie musiał na nikim polegać, a teraz, kiedy zawdzięczał życie Westcliffowi, Lillian, Camowi i przede wszystkim Evie, nie potrafił spojrzeć w oczy żadnej z tych osób. Przytłaczały go nieznane mu uczucia wdzięczności i wstydu, a że nie umiał sobie z nimi radzić, próbował je zagłuszać gburowatą arogancją.

Najgorzej było, kiedy zostawał sam na sam z Evie. Za każdym razem gdy wchodziła do jego pokoju, ogarniało go dziwne wzruszenie. Bał się go i z nim walczył, ale ten wewnętrzny bój tylko pozostawiał w nim pustkę. Byłoby mu łatwiej, gdyby mógł sprowokować Evie do kłótni czy w jakiś inny sposób wytworzyć między nimi dystans. Okazywało się to jednak niemożliwe, ponieważ każde jego żądanie przyjmowała cierpliwie i z niezmierną troskliwością. Nie mógł jej zarzucić, że oczekuje wdzięczności, skoro ani razu nie dała do zrozumienia, że jakakolwiek jej się należy. Nie mógł jej oskarżać o narzucanie się, bo wykonywała wszystkie niezbędne czynności pielęgnacyjne zręcznie i delikatnie, po czym taktownie zostawiała go samego, dopóki znów jej nie wezwał.

On, który nigdy niczego się nie bał, był przerażony władzą, jaką miała nad nim Evie. Lękiem napawało go też pragnienie, by mieć ją stale przy sobie, patrzeć na nią, słyszeć jej głos. Tęsknił za jej dotykiem. Jego skóra chłonęła łapczywie każdą pieszczotę jej palców, jakby chciała to wrażenie zachować na zawsze, wplatając je w swą tkankę. I to nie było zwykłe cielesne pożądanie – ale jakieś niedorzeczne pełne uzależnienie, którego nie dało się uleczyć.

Poza tym Sebastianowi cały czas nie dawała spokoju świadomość, że Joss Bullard próbował zabić Evie. Dochodził w nim do głosu prymitywny instynkt, niepoddający się działaniu rozumu – pragnął krwi Bullarda. Chciał rozerwać tego

łotra na strzępy. I myśl, że leży ranny w łóżku i nie może nic zrobić, podczas gdy Bullard spaceruje sobie po Londynie, doprowadzała go do szaleństwa. Ani trochę nie uspokajały go zapewnienia inspektora przydzielonego do tej sprawy, że policja robi wszystko, co w jej mocy, by znaleźć Bullarda. Dlatego wezwał do siebie Cama i polecił mu wynająć więcej prywatnych detektywów, w tym jednego byłego agenta z Bow Street, do prowadzenia wytężonych poszukiwań. Na razie nic więcej nie mógł zrobić, więc tylko męczył się w swojej wymuszonej bezczynności.

Pięć dni po ustaniu gorączki Evie kazała wnieść do jego pokoju wannę. Zachwycony możliwością kąpieli, Sebastian moczył się w gorącej wodzie, podczas gdy Evie goliła go i pomagała mu umyć włosy. Czysty i wytarty do sucha, wrócił do świeżo pościelonego łóżka i pozwolił, by Evie zabandażowała mu ranę. Dziura po kuli zabliźniała się tak szybko, że przestali stosować okłady z mchu i tylko przykrywali ją lekką warstwą płótna, by uniknąć zabrudzenia. Nadal stanowiła źródło lekkiego bólu, jednak Sebastian wiedział, że za dzień lub dwa będzie w stanie podjąć większość swoich normalnych zajęć. Poza tym ulubionym, które z powodu piekielnego układu z Evie wciąż pozostawało dla niego niedostępne.

Evie zamoczyła sobie przy kąpieli cały przód sukni, więc poszła się przebrać. Z czystej przekory Sebastian zadzwonił srebrnym dzwonkiem przy łóżku mniej więcej dwie minuty po jej wyjściu.

Niemal natychmiast wróciła do jego pokoju, odziana w szlafrok.

– O co chodzi? – spytała, wyraźnie zaniepokojona. – Czy coś się stało?

– Nie.

– Chodzi o twoją ranę? Boli?

– Nie.

Na jej twarzy odmalowała się ulga. Podeszła do łóżka, ostrożnie wyjęła dzwonek z ręki Sebastiana i odłożyła na stolik.

– Wiesz – odezwała się lekkim tonem – trzpień tego dzwonka zostanie usunięty, jeśli nie nauczysz się go używać bardziej rozsądnie.

– Dzwoniłem, bo cię potrzebowałem – odparł Sebastian z urazą.

– Tak? – Wykazywała niespożytą cierpliwość.

– Zasłony. Chcę, żeby były szerzej rozsunięte.

– Nie mogłeś z tym poczekać?

– Tutaj jest za ciemno. Potrzebuję więcej światła.

Evie podeszła do okna, rozsunęła szeroko aksamitne story i przystanęła w smudze bladego, zimowego światła. Miała rozpuszczone włosy, miękkie czerwone fale sięgały jej niemal do pasa. Wyglądała jak postać z obrazu Tycjana.

– Coś jeszcze?

– W wodzie jest jakiś paproch.

Zbliżywszy się boso do łóżka, uniosła napełnioną do połowy szklankę z wodą i obejrzała ją uważnie.

– Nie widzę żadnego paprocha.

– Ale on tam jest – upierał się zrzędliwie Sebastian. – Musimy się spierać na ten temat czy przyniesiesz mi czystą wodę?

Evie zignorowała cierpką uwagę. Podeszła do umywalki, wylała zawartość szklanki do fajansowej miski i napełniła szkło świeżą wodą. Postawiła szklankę na stoliku i spojrzała na Sebastiana pytająco.

– To wszystko?

– Nie. Bandaż jest zawinięty zbyt ciasno. Luźny koniec mam na plecach, więc nie mogę do niego sięgnąć.

Odnosił wrażenie, że im bardziej jest wymagający, tym większą cierpliwość okazuje mu Evie. I bardzo go to irytowało. Pochylając się nad nim, poprosiła, żeby trochę się obrócił. Potem poczuł, jak delikatnie rozluźnia bandaż i ponownie mocuje końcówki. Dotyk jej palców, chłodnych i delikatnych, sprawiał, że jego krew krążyła szybciej. Jeden z jedwabistych rudych loków musnął przeciągle jego ramię.

Ułożony z powrotem na plecach, próbował tłumić w sobie radość z obecności Evie. Patrzył z bliska na jej twarz — pięknie wykrojone usta, atłasowo gładką, kremową cerę, urocze zatrzęsienie piegów. Położyła lekko dłoń na jego piersi, na głośno walącym sercu, i powoli obróciła w palcach ślubną obrączkę zawieszoną na łańcuszku.

– Zdejmij ją ze mnie – bardziej zażądał, niż poprosił. – Przeszkadza mi.

– W czym ci przeszkadza? – spytała szeptem, patrząc na jego profil.

Sebastian czuł zapach jej skóry, zapach ciepłej, czystej kobiety; nieznacznie zmienił pozycję na materacu, by ukryć nagłe ożywienie zmysłów.

– Po prostu ją zdejmij i połóż na komodzie – powiedział dziwnie zduszonym głosem.

Ignorując polecenie, Evie przysiadła na posłaniu i nachyliła się nad Sebastianem, końce jej włosów ułożyły się wachlarzem na jego piersi. Leżał nieruchomo, ale poczuła, że zadrżał w środku, kiedy przesunęła palcem po jego podbródku.

– Całkiem porządnie cię ogoliłam — stwierdziła zadowolona z siebie. – Może coś przeoczyłam, ale przynajmniej cię nie pozacinałam. Bardzo mi pomogło to, że leżałeś spokojnie.

– Byłem zbyt przerażony, żeby się poruszyć – odparł, co przyjęła z lekkim rozbawieniem.

Niezdolny dłużej uciekać wzrokiem, spojrzał w jej uśmiechnięte oczy, takie okrągłe, takie niesamowicie niebieskie.

– Dlaczego tak często używasz dzwonka? – spytała szeptem. — Czy czujesz się samotny? Jeśli tak, wystarczy powiedzieć.

– Nigdy nie czuję się samotny – odrzekł z przekonaniem. Ku jego przerażeniu nie odeszła, jej twarz przybrała pytający wyraz, ale uśmiech z niej nie zniknął.

– To znaczy, że mam sobie pójść? – spytała łagodnym tonem.

Poczuł, jak wzbiera w nim zdradzieckie ciepło i rozchodzi się po całym ciele.

– Tak, idź – potwierdził i zamknął oczy, jednocześnie napawając się jej zapachem, jej bliskością.

Evie jednak została. Panujące między nimi milczenie przeciągało się, Sebastian miał wrażenie, że słychać, jak wali mu serce.

– Chcesz wiedzieć, co myślę, Sebastianie? – spytała w końcu.

Wiele go kosztowało zapanowanie nad głosem.

– Niespecjalnie.

– Myślę, że jeśli teraz wyjdę, to znów sięgniesz po dzwonek. Ale niezależnie od tego, ile razy zadzwonisz i ile razy do ciebie przybiegnę, nie powiesz mi, czego naprawdę chcesz.

Sebastian nieznacznie uniósł powieki. To był błąd. Miał jej twarz bardzo blisko, miękkie usta zaledwie parę centymetrów od swoich.

– W tej chwili chcę jedynie odrobiny spokoju – mruknął gburowato. — Więc jeśli pozwolisz…

Dotknęła jego warg pocałunkiem, ciepłym i słodkim. Zaraz potem poczuł oszałamiającą pieszczotę języka. Pożądanie przerwało tamę, pławił się w przyjemności, jakiej jeszcze nie zaznał. Uniósł ręce, jakby chciał ją od siebie odepchnąć, jednak jego palce same się wsunęły w bujne, ogniste loki, przyciągnął Evie i odwzajemnił pocałunek z żarłoczną wręcz gorliwością.

Ze wstydem odkrył, że dyszy jak niedoświadczony chłopiec, kiedy Evie w końcu się od niego oderwała. Usta miała pąsowe i wilgotne, piegi lśniły jak złoty pył na tle zaróżowionych policzków.

– Myślę też, że przegrasz nasz zakład — wymruczała.

Przywołany do rzeczywistości porywem oburzenia, Sebastian ściągnął gniewnie brwi.

– Sądzisz, że w moim stanie mógłbym się uganiać za innymi kobietami? Jeśli nie przyprowadzisz mi jakiejś do łóżka, to raczej nie…

– Nie przegrasz zakładu, śpiąc z inną kobietą – powiedziała spokojnie Evie. Z przewrotnym błyskiem w oku zaczęła rozpinać guziki pod szyją. Ręce nieznacznie jej drżały. – Przegrasz go ze mną.

Sebastian patrzył z niedowierzaniem, jak wstaje i zrzuca z siebie szlafrok. Była naga, brodawki jej piersi uwypukliły się w chłodnym powietrzu. Zeszczuplała, ale piersi nadal miała krągłe i śliczne, biodra wciąż bujne pod głębokim wcięciem talii. Kiedy bezwiednie opuścił wzrok na trójkąt rudych włosów między udami, jego ciało natychmiast odpowiedziało niemal bolesnym napięciem.

– Nie możesz mnie zmusić do przegrania zakładu. To byłoby oszukiwanie.

– Nie obiecywałam, że nie będę oszukiwać – odpowiedziała radośnie Evie, wślizgując się obok niego pod kołdrę.

– Do licha, nie ustąpię ci. Ja... – urwał gwałtownie, kiedy przylgnęła do niego całą długością ciała i ocierając się sprężystym zarostem łonowym o jego biodro, wsunęła nogę między jego nogi. Kiedy próbowała go pocałować, szybkim ruchem odchylił głowę. – Nie mogę… Evie… – Gorączkowo szukał w myślach argumentów, które mogłyby ją powstrzymać. – Jestem za słaby.

Zdecydowanie chwyciła go za głowę i obróciła do siebie twarzą.

– Biedactwo – mruknęła z uśmiechem. — Nie martw się, będę delikatna.

– Evie – wychrypiał, zły i podniecony zarazem. – Muszę udowodnić, że potrafię wytrwać trzy miesiące bez… Nie, nie rób tego. Do licha, Evie…

Zniknęła pod kołdrą, znacząc pocałunkami drogę od jego piersi do brzucha, ostrożnie, żeby nie naruszyć bandaża. Sebastian spróbował usiąść, ale przeszyty ostrym ukłuciem bólu w ranie, z jękiem opadł z powrotem na posłanie. Zaraz

potem znów wydał z siebie jęk, jednak z zupełnie innego powodu – Evie dotarła do jego nabrzmiałej męskości i zaczęła się nią delikatnie bawić.

Było oczywiste, że nigdy wcześniej tego nie robiła. Nie miała pojęcia o technice, niewiele też wiedziała o męskiej anatomii. Nie powstrzymywało jej to jednak przed działaniem, niewinnym i jednocześnie śmiałym. Dotykała wrażliwej skóry seriami drobnych pocałunków i przedłużała je, kiedy słyszała odzew w postaci gardłowego jęku. Ciepłe dłonie nieporadnie uciskały jądra, podczas gdy usta i język odbywały drogę powrotną ku pulsującemu wierzchołkowi organu. W pewnym momencie usiłowała sprawdzić, jaka jego część zmieści się jej w ustach. Sebastian ściskał w dłoniach fałdy kołdry, naprężony i wygięty ku górze, jakby go rozciągnięto na stole tortur. Wrażenie zmysłowej przyjemności każdym nerwem biegło do mózgu, zakłócając mu zdolność myślenia.

Wszelkie wspomnienia o innych kobietach uleciały. Była tylko Evie, jej rude włosy spływały po jego brzuchu i udach, zwinne palce i swawolne usta dostarczały mu rozkoszy, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Kiedy nie był już w stanie powstrzymywać namiętnych pomruków, ostrożnie weszła na niego, usadowiła się okrakiem na jego biodrach i powoli rozciągała nad nim jak wygrzana słońcem lwica. Zdołał tylko raz zerknąć na jej zaróżowioną twarz, bo zaraz przypadła do jego ust wyzywającym, głębokim pocałunkiem. Twarde koniuszki jej sutków przedzierały się przez zarost na jego piersi, ocierała się o niego, mrucząc z zadowoleniem, świadoma swego oddziaływania na ożywające pod nią męskie ciało.

Oddech niemal uwiązł mu w gardle, gdy poczuł, że wsuwa rękę między ich biodra. Był tak podniecony, że musiała delikatnie odciągnąć członek od jego brzucha, żeby umieścić go między swoimi udami. Miękkie kędziory załaskotały przekrwioną skórę, kiedy kierowała go ku swej gorącej głębi.

– Nie… – wydyszał, przypominając sobie ich zakład. – Nie teraz, Evie, nie…

– Och, przestań się wzbraniać – odparła. – Ja nie robiłam takich ceregieli po naszym ślubie, a byłam dziewicą.

– Ale ja nie chcę… O Boże. Wielkie nieba… – Koniec członka znalazł się w środku, otoczony miękkością tak jedwabistą, że doznanie zaparło mu dech w piersi. Evie nieznacznie poruszyła biodrami, cały czas trzymała jego organ w dłoni i starała się wprowadzić go głębiej. Ta rozczulająca nieporadność podnieciła go jeszcze bardziej, czuł przyjemne mrowienie w całym ciele. A potem nastąpił cudownie płynny ruch i twardość stopiła się z miękkością.

Sebastian odrzucił głowę do tyłu i półprzytomnym wzrokiem patrzył na twarz żony, która zamruczała z satysfakcją i zamknęła oczy, skupiona bez reszty na swej nowej roli. Zaczęła się ostrożnie poruszać, zbyt niedoświadczona, by znaleźć czy utrzymać odpowiedni rytm. Sebastian dotąd w trakcie współżycia raczej nie wydawał z siebie żadnych głośnych dźwięków, jednak kiedy Evie zaczęła się unosić i opadać, za każdym razem nasuwając się na niego mocniej, a jej rozpalone, wilgotne wnętrze ściskało go i masowało, usłyszał własny głos wypowiadający czułe słowa, przemieszane ze sprośnościami i wyznaniami miłości.

Jakoś udało mu się ją nakłonić, by bardziej się nad nim pochyliła, zmieniając

kąt między nimi na mniejszy. Opierała się przez moment ze strachu, że narazi go na ból w ranie, ale chwycił ją za głowę i drżącym głosem wyszeptał:

– Tak, rób to w taki sposób, kochanie. O tak… Poruszaj się na mnie… tak…

Evie natychmiast poczuła różnicę, wzmożone tarcie dosięgnęło jej najczulszego punktu.

– Och! – Głośno wciągnęła powietrze, oczy zrobiły jej się wielkie i jeszcze bardziej okrągłe. – Och, to jest takie… – nie dokończyła, bo przejął inicjatywę, ustanawiając zdecydowany, nieco szybszy rytm.

Cały świat jakby skupił się w tym jednym miejscu, gdzie ich ciała łączyły się w jedność. Długie rzęsy Evie opuszczone na policzki ukryły przed nim jej spojrzenie, widział tylko mocny rumieniec oblewający stopniowo twarz i szyję. Zadziwiony sam sobą, odkrył, że wypełnia go nieprzebrana, żarliwa czułość, że używa swego ciała głównie po to, by dać rozkosz tej kobiecie.

– Pocałuj mnie – poprosił szeptem, a potem odszukał ustami jej usta i zagarnął je nieśpiesznym, głębokim pocałunkiem.

Załkała głośno, wstrząsana dreszczem, i rozpaczliwie naparła na niego całym swym ciężarem. Czując, jak zaciska się wokół niego, pobudzony pulsującym skurczem, dołączył do niej w ekstatycznym spełnieniu. Kiedy już się odprężyła i próbowała złapać równy oddech, położył dłonie na jej wilgotnych plecach, a potem zsunął je na bujne krągłości pośladków, gładząc je leciutko opuszkami palców. Zachwyciło go, że w odpowiedzi bezwiednie poruszyła biodrami i jeszcze raz zacisnęła na nim wewnętrzne mięśnie. Gdyby był w normalnej kondycji, gdyby miał dość siły… Och, robiłby z nią takie rzeczy…

Zamiast tego wyczerpany opadł na poduszkę. Od doznań i wysiłku kręciło mu się w głowie. Evie zsunęła się z niego i przywarła do jego boku. Sebastian resztką sił nabrał pełną garść jej ognistych loków, przyłożył sobie do twarzy, a potem potarł nimi policzek.

– Wykończysz mnie – wymruczał i natychmiast poczuł, jak Evie wygina w uśmiechu usta przyciśnięte do jego ramienia.

– Teraz, kiedy przegrałeś zakład – powiedziała stłumionym głosem – będziemy musieli pomyśleć o jakimś innym fancie, bo lorda Westcliffa już przeprosiłeś.

W istocie Sebastian zdobył się na pełną skruchy przemowę do Westcliffa i Lillian przed ich wyjazdem z klubu, choć wypowiadane słowa grzęzły mu w gardle. Przy okazji odkrył, że jedyną rzeczą gorszą od wyrażania przeprosin jest uzyskiwanie przebaczenia. Specjalnie wybrał na to moment, kiedy Evie nie było w pobliżu.

– Lillian mi powiedziała – odezwała się, jakby czytała w jego myślach. Uniosła głowę z sennym uśmiechem. – Zastanawiam się, jakie będzie twoje kolejne zadanie.

– Bez wątpienia coś wymyślisz – rzekł z ponurym westchnieniem i dosłownie sekundę po zamknięciu oczu zapadł w głęboki, uzdrawiający sen.

Gdy Westcliff przybył do klubu następnego wieczoru, ze zdziwieniem przyjął

wiadomość, że Sebastian poszedł do głównej sali gier — po raz pierwszy od czasu strzelaniny.

– Dość wcześnie, nie sądzisz? – spytał Evie, idąc z nią z prywatnej części budynku ku galerii na drugim piętrze. Cały czas nie spuszczał z nich oczu pracownik umieszczony tam przez Cama w ramach wzmocnienia środków bezpieczeństwa. Do czasu złapania Bullarda postanowiono poddawać wszystkich gości dyskretnej obserwacji.

– Forsuje się – przyznała Evie z zatroskaną miną. – Za nic w świecie nie chce sprawiać wrażenia bezradnego. No i uważa, że nic nie zostanie zrobione jak należy, jeśli osobiście wszystkiego nie dopatrzy.

Ciemne oczy Westcliffa błysnęły wesołością.

– Zainteresowanie St. Vincenta tym miejscem wydaje się całkiem szczere. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się po nim, iż z własnej woli przyjmie taką odpowiedzialność. Przez lata brakowało mu celu i pędził próżniacze życie, marnując swą niemałą inteligencję. Wygląda, że potrzebował jedynie odpowiedniego ujścia dla swych talentów.

Weszli na balkon i stojąc obok siebie, oboje wsparci łokciami na balustradzie, patrzyli z góry na szczelnie wypełnioną klientami główną salę gier. Evie dostrzegła złocistą czuprynę Sebastiana. Uśmiechnięty, przysiadł na blacie biurka w rogu pomieszczenia i prowadził swobodną pogawędkę z grupą otaczających go mężczyzn. Jego wyczyn sprzed dziesięciu dni, kiedy to uratował Evie życie, zyskał mu powszechny podziw i sympatię, zwłaszcza po artykule w dzienniku „Times" przedstawiającym go w heroicznym świetle. To i oznaki wznowienia przyjaźni z potężnym lordem Westcliffem wystarczyły, by Sebastian zdobył natychmiastową i szeroką popularność. Codziennie do klubu docierały liczne zaproszenia domagające się obecności lorda i lady St. Vincent na balach, wieczorach muzycznych i innych wydarzeniach towarzyskich. Odrzucali je z powodu żałoby.

Przychodziły też listy, mocno wyperfumowane, pisane kobiecymi rękami. Evie nie odważyła się otworzyć żadnego z nich, nie pytała też o nadawczynie. Koperty, układane na biurku w gabinecie, w końcu utworzyły spory stos; leżały zapieczętowane i nietknięte, aż w końcu Evie poczuła, że musi poruszyć drażliwy temat.

– Masz cały stos nieotwartej korespondencji – zwróciła się do Sebastiana wcześniej tego ranka, gdy jedli razem śniadanie w jego pokoju. – Zajmuje już połowę biurka. Co zrobimy z tymi wszystkimi listami? – Uśmiechając się szelmowsko, zaproponowała: — Może ci je poczytam, kiedy będziesz odpoczywał?

Sebastian zmrużył oczy.

– Pozbądź się ich. Albo jeszcze lepiej — odeślij je bez otwierania.

Odpowiedź niezmiernie ją ucieszyła, choć starała się tego nie pokazać.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś korespondował z innymi kobietami – powiedziała niewinnym tonem. – Większość mężczyzn tak robi bez żadnych nieodpowiednich…

– Ja nie. – Popatrzył jej głęboko w oczy, jakby chciał się upewnić, że dobrze

go zrozumiała. – Już nie.

Teraz, stojąc na balkonie ramię w ramię z Westcliffem, Evie z przyjemnością patrzyła na swego męża. Mimo odzyskania normalnego apetytu Sebastian nadal był zbyt szczupły i eleganckie wieczorowe ubranie wisiało trochę zbyt luźno na jego szerokich ramionach. Jednak jego twarz miała zdrowy kolor, a utrata wagi podkreślała wyrazistą urodę rysów. Choć poruszał się z widoczną ostrożnością, zachował wdzięk drapieżnika, który kobiety tak podziwiały, a mężczyźni bezskutecznie próbowali naśladować.

– Dziękuję, że go uratowałeś – powiedziała do Westcliffa, nie odrywając wzroku od Sebastiana.

Westcliff zerknął na nią z ukosa.

– To ty go uratowałaś, Evie. Tamtego wieczoru, kiedy zaproponowałaś mu małżeństwo. Co moim zdaniem dowodzi, że momenty szaleństwa czasami prowadzą do pozytywnych skutków. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zejdę na dół i powiem St. Vincentowi, jak obecnie wygląda sprawa poszukiwań Bullarda.

– Czy został znaleziony?

– Jeszcze nie. Ale wkrótce to nastąpi. Po wyczyszczeniu plakietki na broni nadal nie dało się odczytać wygrawerowanego nazwiska, dlatego zaniosłem pistolet do firmy Manton i Syn i poprosiłem o dane dotyczące właściciela. Ta broń ma dziesięć lat, więc wymagało to przeszukania wielu pudeł ze starymi pokwitowaniami. Powiedziano mi z całą pewnością, że pistolet został wykonany dla lorda Belwortha, który akurat dziś wieczorem wraca do Londynu w związku z jakąś sprawą wymagającą jego obecności w parlamencie. Zamierzam rano złożyć mu wizytę i zasięgnąć od niego informacji. Jeśli zdołamy odkryć, jak Bullard wszedł w posiadanie broni Belwortha, może nam to pomóc go zlokalizować.

Evie zrobiła stropioną minę.

– Wydaje mi się niemożliwe znalezienie pojedynczego człowieka w mieście zamieszkanym przez ponad milion ludzi.

– Prawie dwa miliony – sprostował Westcliff. – Mimo to nie wątpię, że zostanie znaleziony. Mamy środki i wolę, żeby tego dokonać.

Mimo zatroskania Evie uśmiechnęła się pod nosem na myśl o tym, jak bardzo Westcliff przypomina swoją żonę. Lillian z zasady nie uznawała porażek. Widząc, że jej towarzysz unosi pytająco brew, wyjaśniła:

– Właśnie sobie myślałam, jak doskonale pasujesz do kobiety o silnym charakterze, takiej jak Lillian.

Wzmianka o ukochanej żonie natychmiast rozświetliła jego spojrzenie.

– Powiedziałbym, że nie ustępujesz jej siłą charakteru – odparł, po czym dodał, również z uśmiechem: — Ona jest tylko bardziej hałaśliwa.

ROZDZIAŁ 21

Westcliff poszedł rozmawiać z Sebastianem, a Evie wróciła do pokoju, żeby zażyć odprężającej kąpieli w wodzie z hojnym dodatkiem perfumowanego olejku. Moczyła się tak długo, aż jej skóra nabrała różanego zapachu. Później włożyła jeden z podbijanych aksamitem szlafroków Sebastiana, kilkakrotnie podwijając rękawy. Następnie usiadła z podwiniętymi nogami w fotelu przed kominkiem i rozczesywała włosy, podczas gdy pokojówki krzątały się przy opróżnianiu i wynoszeniu wanny. Jedna z nich, ciemnowłosa dziewczyna o imieniu Frannie, została dłużej, żeby doprowadzić pokój do porządku. Pościeliła łóżko i wsunęła pod kołdrę metalowy ogrzewacz.

– Czy mam… mam przygotować też pani pokój, milady? – spytała ostrożnie.

Evie przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Służba dobrze wiedziała, że mają z St. Vincentem osobne sypialnie. Jeszcze im się nie zdarzyło przespać nocy w jednym łóżku. Nie wiedziała, jak poruszyć delikatny temat z Sebastianem, ale po tym wszystkim, co między nimi zaszło, nie chciała już uprawiać żadnych gierek. Życie mijało zbyt szybko i było zbyt kruche, żeby marnować czas. Nie miała żadnej gwarancji, że mąż dochowa jej wierności. Miała tylko nadzieję… i przeczucie, że choć mężczyzna, którego poślubiła, nie zasługiwał na zaufanie, z tym obecnym, odmienionym, może być inaczej.

– Nie sądzę – odparła, przeciągając szczotką po włosach. – Dzisiaj zostanę na noc w tym pokoju, Frannie.

– Tak, milady. Jeśli pani sobie życzy, to… – Frannie urwała raptownie, bo obie zauważyły wysoką postać Sebastiana. Stanął tuż przy drzwiach, oparty plecami o ścianę, i w milczeniu przyglądał się żonie. Mimo ciepła bijącego od kominka Evie dostała gęsiej skórki na całym ciele, a po kręgosłupie przebiegł jej zmysłowy dreszcz.

Sebastian stał w swobodnej pozie, kołnierzyk miał rozpięty pod szyją, czarny krawat zwisał luźno. Ogień na palenisku roztaczał złocisty blask, oświetlał jego elegancką sylwetkę i rysy, które mogłyby należeć do jakiegoś antycznego boga. Chociaż nie odzyskał jeszcze pełni wigoru, emanował niebezpieczną męską siłą, która przyprawiała Evie o drżenie kolan. Zachowywał całkowite milczenie, po prostu na nią patrzył. Przypomniała sobie gładkość jego skóry, twarde muskuły pod luźno skrojonym ubraniem i poczuła ciepło rumieńca na policzkach.

Frannie pośpiesznie zebrała rzeczy do prania i wyszła z pokoju.

Sebastian nadal przyglądał się Evie, która odłożyła szczotkę i wstała z fotela. Wtedy odepchnął się od ściany, podszedł do niej i położył ręce na jej barkach. Kciukami odnalazł linie obojczyków pod grubym materiałem szlafroka. Evie czuła, jak serce jej przyśpiesza, a skóra zaczyna ją mrowić pod warstwą aksamitu i jedwabiu. Zamknęła oczy, kiedy przyciągnął ją do siebie, żeby muśnięciami warg dotykać jej brwi, skroni, policzka. Pieszczota miała w sobie niezmierną delikatność, mimo że oboje aż iskrzyli z podniecenia. Stali tak długą chwilę, poprzestając na lekkim dotyku, napawając się wzajemną bliskością.

– Evie… – odezwał się w końcu szeptem. – Chcę się z tobą kochać.

– M-myślałam, że n-nigdy tak tego nie nazwiesz – wydukała z trudem.

Podniósł ręce do jej twarzy, wodził po niej opuszkami palców. Evie stała bez ruchu i czuła, jak zapach jego skóry — świeży, lekko goździkowy — mąci jej w głowie, jakby wdychała jakiś narkotyk.

Sięgnął w rozcięcie swojej koszuli pod szyją i chwycił obrączkę wiszącą na cienkim łańcuszku. Pociągnął ją i przerwał kruche złote ogniwka. Evie wstrzymała oddech, kiedy sięgnął po jej lewą rękę i nałożył jej obrączkę na serdeczny palec. Ich dłonie przylgnęły do siebie wewnętrzną stroną, tak samo jak podczas ceremonii ślubnej. Sebastian pochylił głowę, dotknął czołem czoła żony i wyszeptał:

– Chcę wypełnić cię sobą bez reszty… wdychać powietrze z twoich płuc… zostawić odciski palców na twojej duszy. Chcę ci dać więcej rozkoszy, niż potrafisz znieść. Chcę się z tobą kochać, Evie, jak jeszcze nigdy z nikim.

Drżała tak gwałtownie, że ledwie mogła ustać na nogach.

– Ale twoja r-rana… Musimy być ostrożni…

– Pozwól, że ja będę się o to martwił.

Zagarnął jej usta czułym pocałunkiem. Puścił jej dłoń i przyciągnął ją do siebie mocniej, naciskając na jej ramiona, plecy, biodra, aż wtopiła się w niego całą długością ciała. Pragnęła go tak bardzo, że aż ją to przerażało. Próbowała pochwycić jego wargi, błądzące miękko po jej twarzy, zaczęła mu rozpinać koszulę z niezdarnym pośpiechem, który wzbudził jego wesołość.

– Powoli – zaśmiał się gardłowo. – Noc dopiero się zaczyna. A mam zamiar długo się z tobą kochać.

Evie, czując, jak nogi jej drżą, mocniej pociągnęła go za połę surduta.

– Ale ja n-nie ustoję już długo – powiedziała tonem ni to żalu, ni to usprawiedliwienia.

Zobaczyła błysk zębów w uśmiechu i usłyszała chropawy od namiętności głos:

– Połóż się na łóżku, kochanie.

Usłuchała z wdzięcznością. Półleżąc, patrzyła, jak Sebastian zdejmuje z siebie resztę ubrania. Widok białego bandaża na wysokości pasa przypomniał jej, jak niewiele brakowało, by go straciła. Na samą myśl o takiej możliwości twarz jej stężała z emocji. Był jej tak nieskończenie drogi. Perspektywa spędzania z nim tej nocy napawała ją szczęściem. Materac ugiął się pod jego ciężarem, Evie przetoczyła się ku niemu, tak że oddzielała ich od siebie jedynie tkanina szlafroka. Przyłożyła dłonie do jego piersi, pod palcami miała szorstki, sprężysty

zarost, a pod nim twarde mięśnie.

Przesunął ustami po jej twarzy, gorący powiew jego oddechu przyprawił ją o drżenie.

– Evie, przez ostatnich kilka dni nie miałem nic innego do roboty, więc leżałem w tym łóżku i myślałem o rzeczach, których przez całe dotychczasowe życie starałem się unikać. Mówiłem ci kiedyś, że nie jestem stworzony do posiadania żony i rodziny. Że dziecko w ogóle nie będzie mnie interesować, gdybyś… – urwał z wahaniem i milczał dłuższą chwilę. – Ale… prawda jest taka, że chcę, byś urodziła moje dziecko. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego pragnę, dopóki nie przyszło mi do głowy, że mógłbym nie mieć takiej możliwości. Pomyślałem… – Uśmiechnął się ironicznie. – Do licha, nie mam pojęcia, jak być mężem czy ojcem. Ale ponieważ twoje oczekiwania w obu dziedzinach wydają się niezbyt wysokie, może uda mi się choć w połowie cię zadowolić. – Zaśmiał się z jej udawanej groźnej miny, ale szybko znów spoważniał. — Znam różne sposoby, żeby nie dopuścić do poczęcia. Ale jeśli kiedyś uznasz, że jesteś gotowa, chcę, żebyś mi powiedziała…

Evie uciszyła go pocałunkiem. Podczas kolejnych minut nie padły żadne słowa. Dała się porwać w otchłań przyjemności. Emocje i instynkt tak wyostrzyły jej zmysły, że każdy dźwięk, dotyk, smak wydawał się spotęgowany aż do granic bólu.

Sebastian powoli rozsuwał poły jej szlafroka, pieszcząc odsłonięte piersi delikatnymi muśnięciami warg. Stwardniałe brodawki sterczały, jakby prosiły o jego dotyk, i kiedy w końcu otoczył jedną z nich wilgotnym ciepłem ust, Evie wydała z siebie jęk ulgi. Z początku używał jedynie koniuszka języka, nadzwyczaj delikatnie, zbyt delikatnie, więc bezwiednie uniosła się ku niemu, zachęcając do śmielszych pieszczot. Stopniowo wypełniał jej żądanie, lizał, ssał i leciutko szczypał zębami, aż poczuła pulsujące mrowienie w dole brzucha.

Nagle szlafrok zaczął ją uwierać, próbowała się z niego wyswobodzić, nerwowo szarpiąc fałdy aksamitu. Sebastian uspokoił ją cichym mruczeniem, po czym pomógł jej wyciągnąć ręce z rękawów. Wyzbywszy się niechcianej przeszkody, zarzuciła mu ramiona na szyję, gorliwie poddając się pieszczotom jego dłoni i warg.

W pewnym momencie wsunął palce między jej uda i mocząc je w wypływających z niej sokach, kreślił nimi koła na jej ciele.

– Sebastianie… proszę, nie mogę czekać dłużej… – urwała, bo chwycił ją i obrócił tak, że leżeli oboje na boku, wpasowani w siebie jak dwie łyżeczki w komplecie. Kiedy otoczył ją ramionami, poczuła się bezpieczna i chroniona, nawet kiedy sięgnął w dół, żeby rozsunąć jej nogi.

Poruszyła się niespokojnie, czując, że wchodzi w nią od tyłu. Wstrzymując oddech, przylgnęła twarzą do jego muskularnego ramienia.

– Spokojnie – wymruczał. Odgarnął jej włosy z szyi i ucha i pocałował odsłoniętą skórę. – Pozwól mi się z tobą kochać w taki sposób, skarbie. — Pieścił ją delikatnie, dopóki nie poczuł, że się odpręża, wtedy wszedł w nią częściowo… i wycofał się, kiedy już była pewna, że całkowicie się w niej zagłębi. Zaskoczona i trochę rozczarowana, zaczęła napierać na niego, kołysząc biodrami, i gdy

w końcu wypełnił ją sobą bez reszty, wydała z siebie głośny jęk rozkoszy. Pozycja nie pozwalała na zbyt dużą swobodę ruchu, więc Sebastian skupił się na mocy i głębokości kolejnych pchnięć, podczas gdy Evie wyginała ciało w łuk, szukając ułożenia, które zapewni jej najsilniejsze doznania.

Usłyszała za sobą zduszony śmiech.

– Jesteś zbyt niecierpliwa, kochanie. Nie walcz, pozwól, by rozkosz sama do ciebie przyszła. No już, oprzyj się o mnie. – Ułożył sobie jej udo na kolanie, otwierając ją szerzej. Pisnęła cicho, czując, że wsunął się jeszcze głębiej, ani na moment nie wstrzymując ruchliwych palców.

Bliska szaleństwa, napięła wszystkie mięśnie w oczekiwaniu na moment ekstazy, ale Sebastian wcale się nie śpieszył. Powoli budował w niej napięcie, prowadził ją na skraj rozkoszy i nagle zawracał, by następnym razem zajść dalej, jeszcze dalej. Zadawał jej słodką torturę, każąc czekać i czekać, aż wreszcie osiągnęła spełnienie, wstrząsana całą serią dreszczy, od których zatrzęsło się łóżko.

Sebastian wysunął się z niej, wciąż twardy jak skała. Ułożył ją na plecach i wodząc otwartymi ustami po skórze, zsuwał się w dół po jej brzuchu. Kiedy chwycił ją za kostki i zginając jej nogi w kolanach, uniósł je w górę, półprzytomnie pokręciła głową.

– Jestem zbyt zmęczona… Poczekaj, Sebastianie…

Nie słuchając protestów, zlizywał z niej słoną wilgoć, aż w końcu uspokoiła się i usłyszał, jak oddech jej zwalnia do normalnego rytmu. Po długich minutach cierpliwości odnalazł ustami jej najczulsze miejsce i zaczął je ssać. Wzdrygnęła się przed delikatną agresją jego ust, na co podciągnął ją wyżej i zaczął poruszać językiem w stałym rytmie, jednocześnie zaciskając dłonie na jej biodrach. Nagle odniosła wrażenie, że jej ciało nie należy już do niej, nie podlega jej woli, istnieje tylko po to, by chłonąć przyjemność. Sebastianie… Nie miała siły się odezwać, a mimo to usłyszał jej nieme błaganie i w odpowiedzi zrobił ustami coś, co pchnęło ją w otchłań niewyobrażalnej rozkoszy. Parę razy, kiedy była pewna, że już się z niej wynurza, że nadchodzi ukojenie, następował kolejny skurcz, aż wyczerpanie kazało jej prosić, by przestał.

Uniósł się nad nią i popatrzył jej w twarz dziwnie błyszczącymi oczami. Otworzyła się przed nim, zarzucając mu ręce na plecy; wypełnił ją sobą i dotknął ustami jej ucha. Serce waliło jej tak głośno, że ledwie słyszała wypowiadane szeptem słowa:

– Evie, chcę od ciebie czegoś… Chcę, żebyś osiągnęła spełnienie jeszcze raz.

– Nie – powiedziała słabym głosem.

– Tak. Chcę czuć, jak zaciskasz się wokół mnie.

Wolno potoczyła głową na boki po poduszce.

– Nie mogę… Nie mogę…

– Owszem, możesz. Pomogę ci. – Wsunął dłoń między ich połączone ciała. – Wpuść mnie w siebie głębiej… Jeszcze głębiej…

Jęknęła bezradnie, kiedy poczuła, jak zręcznymi ruchami palców na nowo pobudza jej odrętwiałe z wyczerpania nerwy. Chwilę później rzeczywiście wsunął się jeszcze głębiej, jakby wciągnięty przez jej ponownie ożywione wnętrze.

– Mmm… – zamruczał. – Tak, właśnie… Och, kochanie, jesteś taka cudowna…

Zagłębiał się w niej raz po raz, mocno i pewnie. Oplotła go nogami i ramionami, przywarła twarzą do jego gorącej szyi i krzycząc jego imię, zacisnęła wokół niego pulsujące mięśnie. Sebastian zadrżał gwałtownie w jej ramionach, oddając się jej całkowicie, czcząc ją każdą cząstką swego ciała i swej duszy.

Evie obudziła się sama w wielkim łóżku i od razu zobaczyła bladoróżowe plamy na śnieżnobiałej pościeli, jakby ktoś rozchlapał wino. Zamrugała półprzytomnie, opierając się na łokciu, dotknęła jednej z nich… i odkryła, że to płatek róży. Wszędzie wokół niej leżały różane płatki, oberwane z rozkwitłego kwiatu i rozrzucone po posłaniu. Z błogim uśmiechem przeciągnęła się na pachnącym łożu.

Ostatnia noc była jak niekończący się erotyczny sen. Nie mogła uwierzyć w to wszystko, na co pozwoliła Sebastianowi; nawet nie przypuszczała, że takie rzeczy są możliwe. A potem, gdy po namiętnych uniesieniach nastąpiło ukojenie, leżała przytulona do jego piersi i rozmawiali, wydawało jej się, że całymi godzinami. Opowiedziała mu nawet o tamtym wieczorze, kiedy ona, Annabelle i siostry Bowman zostały przyjaciółkami, siedząc rzędem pod ścianą podczas balu. „Zrobiłyśmy listę potencjalnych kandydatów na męża w naszych pustych karnetach. Lord Westcliff ją otwierał, ma się rozumieć. A twoje nazwisko figurowało na samym końcu, bo nie wyglądałeś na zainteresowanego ożenkiem”. Sebastian zaśmiał się, splatając swoje gołe nogi z jej nogami. „Czekałem, żebyś to ty mnie poprosiła”. „Nigdy nawet na mnie nie spojrzałeś”, przypomniała mu cierpko. „Nie należałeś do mężczyzn, którzy proszą do tańca panny podpierające ścianę”. Sebastian, milcząc, pogłaskał ją po włosach. „Rzeczywiście”, przyznał po dłuższej chwili. „Byłem głupi, że cię nie dostrzegałem. Gdybym się postarał spędzić choć pięć minut w twoim towarzystwie, nigdy byś mi nie umknęła”. Po tych słowach uwodził ją, jakby nadal miał do czynienia z nieśmiałą dziewicą, niespiesznie i cierpliwie, aż w końcu pogrążył się w jej rozpalonym namiętnością ciele.

Wspominając z rozmarzeniem godziny niezmiernej czułości, Evie umyła się i włożyła suknię z wełny lamowanej jedwabiem. Następnie zeszła na dół, żeby odszukać Sebastiana, którego spodziewała się zastać w biurze nad rachunkami z poprzedniego wieczoru. W klubie było pusto, nie licząc personelu sprzątającego obiekt na wieczorne przyjęcie gości oraz pracowników remontowych, którzy układali nowe dywany i malowali drewniane elementy wyposażenia.

Evie weszła do gabinetu. Zastała tam Sebastiana oraz Cama siedzących po przeciwnych stronach biurka. Obaj ślęczeli nad księgami rachunkowymi, wykreślali jakieś pozycje piórami świeżo namoczonymi w atramencie i pisali uwagi przy długich kolumnach cyfr. Obaj też podnieśli wzrok, kiedy stanęła w progu.

Wytrzymała spojrzenie męża tylko przez moment, trudno jej przychodziło

zachowanie spokoju w jego obecności po tym, co się działo w nocy. Na jej widok Sebastian urwał w pół zdania i gapił się, jakby zapomniał, co mówił do Cama. Wyglądało, że żadne z nich dwojga nie oswoiło się jeszcze z uczuciami, tak świeżymi i potężnymi. Rzuciwszy słowo powitania, Evie gestem poprosiła obu panów, by pozostali na miejscach, po czym podeszła do męża.

– Jadłeś już śniadanie, milordzie? – spytała.

Sebastian z uśmiechem pokręcił głową.

– Jeszcze nie.

– Pójdę do kuchni i sprawdzę, co możemy dostać.

– Zaczekaj chwilkę – poprosił. – Już prawie skończyliśmy.

Kiedy mężczyźni omawiali kilka ostatnich punktów sprawy dotyczącej ewentualnej inwestycji w budowę hali targowej na St. James Street, Sebastian ujął rękę Evie opartą o blat biurka i przejechał wierzchem jej dłoni po swoim policzku, nie odrywając wzroku od dokumentów. Najwyraźniej nie miał świadomości, co zdradza ten intymny gest, ale Evie spłonęła rumieńcem, napotkawszy spojrzenie Cama. Rohan popatrzył na nią z udawaną przyganą, jak niania, która przyłapała dzieci na wymianie buziaków, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

Sebastian, zupełnie nie zdając sobie sprawy z ich niemego porozumienia, wręczył dokumenty Camowi, który natychmiast spoważniał.

– Nie podoba mi się ten plan – stwierdził St. Vincent. – Wątpię, żeby dochody z tego interesu wystarczyły na utrzymanie opłacalności całej hali, zwłaszcza przy takich czynszach. Podejrzewam, że w ciągu roku inwestycja zmieniłaby się w białego słonia.

– Białego słonia? – zdumiała się Evie.

Od drzwi dobiegł nowy głos:

– Biały słoń to rzadkie zwierzę. Jest nie tylko drogi, ale też trudny w utrzymaniu. Historycznie rzecz ujmując, gdy starożytny władca chciał kogoś zrujnować, dawał mu w prezencie białego słonia. – Westcliff skłonił głowę nad dłonią Evie, a potem zwrócił się do Sebastiana: — Uważam, że właściwie oceniasz ten interes z halą. Całkiem niedawno mnie także zaproponowano tę inwestycję i odrzuciłem ją z tego samego powodu.

– Zapewne się okaże, że obaj popełniliśmy błąd – stwierdził kwaśno Sebastian. – Nie da się przewidzieć czegoś, co jest związane z kobietami i ich upodobaniem do zakupów. – Wstał, żeby uścisnąć dłoń hrabiego. – Ja i moja żona zamierzamy zjeść śniadanie. Mam nadzieję, że do nas dołączysz.

– Chętnie napiję się kawy – odparł Westcliff. – Wybaczcie mi niezapowiedzianą wizytę, ale przynoszę pewne nowiny. – Trzy pary oczu — Evie, Sebastiana i Cama — wpatrywały się w niego z napięciem. – Udało mi się w końcu spotkać z lordem Belworthem. Przyznał, że to on był pierwotnym właścicielem pistoletu, z którego postrzelono St. Vincenta. Powiedział mi też w zaufaniu, że jakieś trzy lata temu dał ten zestaw broni do pojedynku Clive'owi Eganowi wraz z kilkoma sztukami rodowej biżuterii i innych drobiazgów. Dzięki tej łapówce zyskał więcej czasu na uregulowanie swoich zobowiązań finansowych wobec klubu.

Evie zamrugała na wzmiankę o poprzednim zarządcy klubu.

– Zatem to pan Egan ukrywa Bullarda?

– Prawdopodobnie tak.

– Ale dlaczego? Czy to znaczy, że Bullard próbował mnie zabić na polecenie Egana?

– Dowiemy się tego – rzekł Sebastian z kamiennym wyrazem twarzy. – Mam zamiar złożyć dziś Eganowi wizytę.

– Będę ci towarzyszył – oznajmił Westcliff. – Dzięki swoim źródłom zdobyłem adres Egana. Całkiem niedaleko stąd, nawiasem mówiąc.

Sebastian pokręcił głową.

– Dzięki za pomoc, ale nie chcę cię więcej trudzić tą sprawą. Twoja żona z pewnością miałaby mi za złe, że pozwalam ci się wystawiać na ryzyko. Zabiorę ze sobą Rohana.

Evie zaczęła protestować, wiedząc, że w tej sytuacji asysta Westcliffa zapewniłaby Sebastianowi większe bezpieczeństwo. Dopiero co zaczął dochodzić do siebie po postrzale. A gdyby przyszło mu do głowy zrobić coś głupiego, Cam z pewnością nie zdołałby go powstrzymać, ostatecznie był jego pracownikiem, i to przynajmniej o osiem lat młodszym. Westcliff znał Sebastiana znacznie lepiej i miał na niego nieporównywalnie większy wpływ.

Jednak zanim Evie udało się wypowiedzieć choćby jedno słowo, Westcliff wyraził swoje zdanie:

– Rohan jest w istocie rozsądnym i sprawnym chłopcem. Dlatego można mu zaufać i pozostawić go tu z Evie, żeby dopilnował jej bezpieczeństwa.

Sebastian ściągnął brwi, wyraźnie gotowy się spierać. Ugryzł się jednak w język, bo żona ścisnęła go za ramię i przytulając się do niego lekko, wyznała:

– Wolałabym takie rozwiązanie.

Spojrzał w jej uniesioną twarz i jego rysy natychmiast złagodniały, co dało jej oszałamiająco miłe poczucie, że byłby gotów zrobić wszystko, byle tylko ją zadowolić.

– No dobrze. Skoro obecność Rohana cię uspokoi, niech tak będzie.

Obiekcje Sebastiana wobec zabierania Westcliffa do Clive'a Egana po części brały się stąd, że wciąż czuł się przy nim niezręcznie. Cóż, trudno o dobre samopoczucie w towarzystwie człowieka, którego żonę się porwało. Manto otrzymane wówczas od Westcliffa trochę oczyściło atmosferę, a i późniejsze przeprosiny Sebastiana pomogły. Wyglądało też na to, że małżeństwo Sebastiana z Evie i jego gotowość do poświęcenia się dla niej skłoniły hrabiego do ostrożnej przychylności, która z czasem mogła doprowadzić do wznowienia przyjaźni. Jednakże ich wzajemne stosunki przybrały nową formę i istniała możliwość, że już nigdy nie będą tak swobodne jak niegdyś.

Jak na człowieka, który planował czerpać z życia pełnymi garściami, nie bacząc na konsekwencje, Sebastiana męczyło całkiem sporo niewesołych refleksji na temat dawnych zachowań. Jego postępowanie wobec Lillian Bowman stanowiło jedną wielką pomyłkę. Okazał się skończonym idiotą, poświęcając

męską przyjaźń z powodu kobiety, której tak naprawdę nigdy nie chciał. Gdyby zadał sobie trud rozważenia innych możliwości, może już wówczas odkryłby Evie, mając ją tuż pod nosem.

Ku uldze Sebastiana rozmowa z Westcliffem przebiegała całkiem przyjaźnie, kiedy powóz wiózł ich przez zachodnią część Londynu, gdzie na przedmieściach, cieszących się zainteresowaniem w kręgach klasy średniej, budowano otoczone zielenią rezydencje. Adres nie pozostawiał wątpliwości, że Clive Egan dysponuje niemałymi środkami. Mając w pamięci, ile pieniędzy Egan pozyskał przez lata oszukiwania i podstępnego uszczuplania dochodów należących do klubu, Sebastian powiedział Westcliffowi wszystko, co wiedział o byłym zarządcy. Rozwijając temat, przeszedł do bieżącej kondycji klubu i niezbędnych inwestycji. Doceniał możliwość zwierzenia się człowiekowi, który uchodził za jednego z najlepszych ekspertów finansowych w kraju i chętnie służył w tych kwestiach poradą. Obaj zauważyli, że ich rozmowa daleko odbiega od tych, jakie toczyli w przeszłości, gdy Sebastian zwykle paplał o skandalach i romansach, co zawsze kończyło się pouczającym wykładem ze strony Westcliffa.

W końcu powóz zatrzymał się przy placu otoczonym nowymi domami, do których prowadziły brukowane ścieżki. Wszystkie budynki miały po dwa piętra i były wyjątkowo wąskie, żaden nie przekraczał czterech metrów szerokości. Stara służąca i zapewne kucharka otworzyła im drzwi i z pomrukiem niechęci odskoczyła na bok, kiedy nie czekając na zaproszenie, weszli do środka.

Dom wyglądał na jeden z tych bezosobowo urządzonych, jakie często wynajmowano mężczyznom z klasy średniej, którzy jeszcze się nie ożenili. Ponieważ całość składała się z zaledwie trzech pokoi i garderoby, zlokalizowanie Egana nie przedstawiało trudności. Dawny zarządca klubu siedział w wielkim fotelu przed kominkiem, w salonie cuchnącym alkoholem i uryną. Parapety obydwu okien mieściły kolekcję butelek, kilka następnych poniewierało się koło paleniska. Egan, ze szklistym spojrzeniem zdeklarowanego alkoholika, przyjął wizytę bez zaskoczenia. Wyglądał dokładnie tak samo jak przed dwoma miesiącami, kiedy Sebastian go zwalniał – rozczochrany, z nalaną twarzą, spróchniałymi zębami, gąbczastym nosem i cerą czerwoną od popękanych naczynek. Popatrzył na gości wodnistymi szarymi oczami i z pijackim uśmiechem podniósł do ust kieliszek trunku.

– Słyszałem, że przestrzelili ci bebechy – zwrócił się do Sebastiana. – Ale nie wyglądasz mi na ducha, więc chyba opowieść była zmyślona.

– Tak się składa, że była prawdziwa – odparł Sebastian, mierząc go lodowatym spojrzeniem. – Ale jeszcze nie trafiłem do piekła. – Myśl, że Egan może być odpowiedzialny za próbę zabójstwa jego żony, utrudniała mu panowanie nad sobą, ponieważ miał wielką ochotę rzucić się na drania. Powstrzymywało go tylko to, że Egan dysponował informacjami, których potrzebowali.

Gospodarz zarechotał i machnięciem wskazał na rząd butelek.

– Nalejcie sobie, jeśli chcecie. Nieczęsto odwiedzają mnie tak wysoko postawieni dżentelmeni.

Westcliff odezwał się całkiem spokojnie:

– Nie, dzięki. Przyszliśmy spytać o pańskiego poprzedniego gościa. Jossa Bullarda. Gdzie on jest?

Egan pociągnął kolejny łyk alkoholu i posłał mu kamienne spojrzenie.

– Skąd, u diabła, mam to wiedzieć?

Westcliff wyciągnął z kieszeni wykonany na zamówienie pistolet i ułożył go na otwartej dłoni.

Egan wytrzeszczył oczy i gwałtownie spurpurowiał na twarzy.

– Skąd to macie? – wychrypiał.

– To z niego strzelał Bullard – wyjaśnił Sebastian, nakazując sobie spokój, mimo że gotowało się w nim ze złości. – I chociaż wątpię, żeby ten tępy osiłek, który teraz siedzi ci na karku, miał w głowie coś, co choć z grubsza przypomina mózg, nawet ty powinieneś rozumieć, co może oznaczać udział w próbie morderstwa. Masz ochotę na dłuższy pobyt we Fleet Ditch? Da się załatwić…

– St. Vincent – mruknął ostrzegawczo Westcliff, usiłując przywołać Sebastiana do porządku.

– Musiał mi go ukraść! – wykrzyknął Egan, krztusząc się i plując; przy gwałtownym ruchu zawartość jego kieliszka wychlapała się na podłogę. – Złodziejskie nasienie. Nie wiedziałem, że go ma. To nie moja wina, zapewniam was! Ja chcę tylko świętego spokoju. Niech go szlag!

– Kiedy ostatni raz go widziałeś?

– Jakieś trzy tygodnie temu. – Podniósł butelkę z podłogi i przyssał się do niej jak wygłodzone niemowlę. – Pomieszkiwał tu od czasu do czasu po tym, jak się wyniósł od Jennera. Nie miał dokąd pójść. Nawet z noclegowni go przeganiali, odkąd było widać, że ma syfilis.

Sebastian z Westcliffem wymienili szybkie spojrzenia.

– Syfilis? – upewnił się Sebastian.

Egan popatrzył na niego z drwiną.

– Kiła. Doprowadziła go do szaleństwa. Jeszcze jak był w klubie, pojawiły się oznaki… spowolnienie mowy, nerwowe tiki twarzy, pęknięcia i dzioby na nosie. Tylko ślepy by nie zauważył.

– Zwykle nie przyglądam się moim pracownikom aż tak uważnie – stwierdził z ironią Sebastian, podczas gdy w głowie myśli kłębiły mu się gorączkowo. Kiła była brzydką chorobą przenoszoną drogą kontaktów seksualnych i prowadziła do stanu, który lekarze nazywali postępującym szaleństwem. Kończyło się pomieszaniem zmysłów, czasami częściowym paraliżem i odrażającą utratą tkanki miękkiej, między innymi nosa. Jeśli Bullard rzeczywiście cierpiał na tę straszną chorobę i doszło do takiego stanu, nie było dla niego nadziei. Dlaczego jednak w przypływie demencji obrał Evie za cel swego ataku?

– Prawdopodobnie nie jest już zdolny myśleć – rzekł Egan z goryczą i znów podniósł butelkę do ust. Na moment zamknął oczy, przeczekując palenie w gardle, i przycisnął podbródek do piersi. – Chłopak przyszedł tu tamtej nocy i w kółko gadał o tym, że pana zabił. Trząsł się jak galareta, skarżył się na hałas i ból głowy. Miał mnóstwo pretensji i zarzutów. Bez sensu. Zapłaciłem pewnemu człowiekowi, żeby zabrał go do domu wariatów, tego przy drodze na Knightsbridge. Tam jest teraz Bullard — albo martwy, albo w takim stanie, że

śmierć będzie dla niego wybawieniem.

– Dlaczego próbował zabić moją żonę? – odezwał się Sebastian bardziej z irytacją niż ze współczuciem. — Przecież nigdy nie wyrządziła mu żadnej krzywdy.

Egan odpowiedział posępnym tonem:

– Zawsze nią pogardzał, nieszczęsny bękart. Nawet w dzieciństwie. Po jednej z wizyt Evangeline w klubie, kiedy Bullard zobaczył, jak bardzo Jenner jest nią zachwycony, przez wiele dni chodził jak struty. Naśmiewał się z niej… – Urwał, wspomnienie wywołało przelotny uśmiech na jego twarzy. – Śmieszne z niej było stworzenie. Piegowate, nieśmiałe i okrągłe jak morświn. Słyszałem, że teraz jest piękna, choć nie bardzo umiem to sobie wyobrazić...

– Jenner był jego ojcem? – przerwał mu Westcliff z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy.

Postawione znienacka pytanie zaskoczyło Sebastiana. Uważnie słuchał odpowiedzi Egana.

– Mógł być. Jego matka, Mary, zaklinała się, że jest. – Gospodarz ostrożnie odstawił butelkę na podłogę i splótł ręce na wydatnym brzuchu. — Była prostytutką z burdelu. Wieczór, kiedy obsługiwała Ivo Jennera, okazał się najszczęśliwszy w jej życiu. Jennerowi spodobała się Mary i płacił burdelmamie, żeby trzymała ją tylko dla niego. Któregoś dnia Mary przyszła z brzuchem i powiedziała, że to jego dziecko. A Jenner, który miał miękkie serce, rozstrzygnął wątpliwości na jej korzyść. Utrzymywał ją przez resztę jej życia, a chłopakowi, odkąd podrósł, pozwalał pracować w klubie. Mary zmarła dawno temu. Tuż przed śmiercią powiedziała Bullardowi, że Jenner jest jego ojcem. Kiedy chłopak poszedł z tym do Jennera, ten powiedział mu, że niezależnie od tego, czy to prawda czy nie, pozostanie tajemnicą. Nie chciał oficjalnie uznać Bullarda. Z jednej strony chłopaka trudno było nazwać udanym, a z drugiej… Jenner zawsze widział tylko swoją córkę. Chciał, żeby po jego śmierci wszystko przypadło Evie. Bullard miał to Evie za złe, ma się rozumieć. Uważał, że gdyby nie ona, Jenner uznałby go za syna, zrobiłby dla niego więcej, dał mu więcej. I prawdopodobnie co do tego miał rację. – Egan się skrzywił. – Zanim sprowadziła pana do klubu, milordzie, Bullard był już chory na kiłę i zaczynał tracić zmysły. Smutny koniec niewesołego życia. – Spoglądając na swoich gości z ponurą satysfakcją, dodał: — Znajdziecie go w Tottenham Hospital, jeśli chcecie się mścić na biednym wariacie. Niech pan robi, co uważa, milordzie, ale moim zdaniem Stwórca wymierzył już Bullardowi najgorszą karę, jaką może znieść ludzkie ciało.

ROZDZIAŁ 22

W czasie nieobecności męża Evie podejmowała się różnych mało wymagających zajęć w klubie, sortowała pieniądze i pokwitowania, porządkowała zaległą korespondencję, aż w końcu zabrała się do nieprzeczytanych listów adresowaneych do Sebastiana. Naturalnie nie oparła się pokusie, by kilka z nich otworzyć. Zawierały sentymentalne bzdury z erotycznym podtekstem, a w dwóch znalazła nawet aluzje, że adresat z pewnością musiał już się znudzić swoją nową małżonką. Intencje autorek były tak oczywiste, że Evie poczuła się zażenowana. Tak czy inaczej, listy przypomniały jej o grzesznej przeszłości Sebastiana, która minęła mu głównie na romansach i miłosnych podbojach.

Niełatwo było zaufać takiemu mężczyźnie i nie czuć się przy tym naiwną idiotką. Zwłaszcza gdy miało się pewność, że zawsze będzie podziwiany i uwodzony przez inne kobiety. Evie czuła jednak, że jej mąż zasługuje na szansę, by mógł pokazać, ile naprawdę jest wart. A ona mogła dać mu możliwość rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Gdyby mu się udało, nagrodą dla nich obojga byłoby przyszłe szczęście małżeńskie. Miałaby dość siły, żeby zaryzykować i go pokochać, stawiać mu wymagania ze świadomością, że czasami może nawet nie zdoła im sprostać. A Sebastian chyba chciał być traktowany jak zwykły człowiek, pragnął, by ktoś widział nie tylko jego atrakcyjną powierzchowność i oczekiwał od niego nie tylko łóżkowych akrobacji. Chociaż Evie musiała przyznać, uśmiechając się nieznacznie na tę myśl, że w pełni docenia zarówno jego urodę, jak i dokonania w sypialni.

Z satysfakcją patrzyła, jak listy zmieniają się w popiół na palenisku kominka, jednak w końcu poczuła się senna i poszła się położyć. Mimo zmęczenia niepokój o Sebastiana nie pozwalał jej się odprężyć. Myśli kłębiły się w jej głowie, aż strudzony mózg położył kres bezproduktywnym obawom i zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, po mniej więcej godzinie, Sebastian siedział obok niej na skraju łóżka. Trzymał w palcach luźny kosmyk jej ognistych włosów i patrzył na nią oczami o barwie świtającego nieba. Usiadła na posłaniu i uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

Delikatnie pogłaskał ją po głowie.

– Kiedy śpisz, wyglądasz jak mała dziewczynka – powiedział cicho. – Mam ochotę przez cały czas cię pilnować.

– Znalazłeś Bullarda?

– I tak, i nie. Najpierw powiedz mi, co robiłaś pod moją nieobecność.

– Pomagałam Camowi porządkować biuro. I spaliłam wszystkie listy od twoich wielbicielek. Płomień sięgał wysoko, aż dziw, że nikt nie wezwał straży pożarnej.

Uniósł kąciki warg w uśmiechu, ale oczy miał poważne.

– Czytałaś któryś z nich?

Evie nonszalancko wzruszyła jednym ramieniem.

– Kilka. Zawierały pytania, czy już się znudziłeś żoną.

– Nie. – Przesunął otwartą dłonią po jej udzie. – Znudziły mnie niezliczone wieczory spędzone na plotkach i jałowych flirtach. I spotkania z kobietami, które nie miały mi nic ciekawego do powiedzenia. Wszystkie wydają mi się takie same. Nigdy żadna mnie tak naprawdę nie obchodziła. Żadna poza tobą.

– Nie mam im za złe, że cię pragną – powiedziała Evie, zarzucając mu ręce na szyję. – Ale nie zamierzam się z nimi dzielić.

– Nie będziesz musiała. — Ujął jej twarz w obie dłonie i dotknął jej ust w szybkim pocałunku.

– Powiedz mi o Bullardzie – poprosiła, gładząc jego nadgarstki.

W milczeniu słuchała relacji męża ze spotkania z Eganem oraz wiadomości o Jossie Bullardzie i jego matce. Oczy zrobiły jej się wielkie i okrągłe, a potem wypełniła je litość. Biedny Joss nie miał wpływu na swoje pochodzenie ani na nędzne wychowanie, przez które zżerała go gorycz.

– Jakie to dziwne – odezwała się z zadumą. – Zawsze chciałam… wręcz miałam nadzieję, że Cam jest moim bratem, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że może nim być Joss.

Bullard zawsze był taki nieprzystępny i odpychający… Tylko na ile te cechy wzięły się z tego, że został odepchnięty przez Ivo Jennera? Chyba każdy by zgorzkniał, czując się niechcianym, wstydliwym sekretem człowieka, który mógł być jego prawdziwym ojcem.

– Pojechaliśmy do szpitala w Tottenham – mówił dalej Sebastian – gdzie został umieszczony na oddziale dla nieuleczalnie chorych. To przygnębiające miejsce pilnie potrzebuje wsparcia finansowego. Są tam kobiety i dzieci, które… — urwał z bolesnym grymasem. – Wolę tego nie opisywać. Zawiadujący szpitalem powiedział, że Bullard trafił do nich w ostatnim stadium kiły.

– Chcę mu pomóc – oznajmiła stanowczym tonem Evie. – Możemy przynajmniej kazać przenieść go do lepszego szpitala…

– Nie, kochanie. – Sebastian przesunął palcem po wystających kostkach na jej dłoni. – Joss Bullard umarł dwa dni temu. Pokazali nam miejsce, gdzie on i dwaj inni pacjenci zostali pochowani we wspólnym grobie.

Evie odwróciła wzrok, wstrząśnięta smutną wiadomością.

– Biedny chłopiec – wydusiła przez ściśnięte gardło. Oczy jej zwilgotniały. – Bardzo mi go żal.

– Mnie nie – stwierdził obojętnie Sebastian. – Jeśli nawet dorastał bez rodzicielskiej miłości, to nie różnił się od wielu innych ludzi, którzy sami muszą sobie radzić na świecie. I tak miał łatwiej niż Rohan, który z powodu swej

cygańskiej krwi jest obiektem uprzedzeń. Nie płacz, Evie. Bullard nie jest wart twoich łez.

Evie wydała z siebie drżące westchnienie.

– Przepraszam. Nie chciałam aż tak ulegać emocjom. Po prostu mam za sobą kilka trudnych tygodni. Moje uczucia zostały poddane wielu próbom i chyba nie bardzo udaje mi się nad nimi panować.

Została przygarnięta do ciepłej piersi, otoczona muskularnymi ramionami; usłyszała głos Sebastiana, stłumiony, bo mówił z twarzą zanurzoną w jej włosach:

– Evie, kochanie, nie przepraszaj za to, że okazujesz uczucia. Przeszłaś piekło. I tylko brutal bez serca, taki jak ja, potrafi naprawdę docenić odwagę, jakiej potrzeba, by być szczerym w kwestii swoich uczuć.

– Nie jesteś bez serca – powiedziała, wtulona policzkiem w jego obojczyk. Westchnęła. – Może to niewłaściwe, ale choć naprawdę żal mi Bullarda, czuję ulgę, że już go nie ma. Przez niego omal cię nie straciłam.

Przedzierając się przez rude pukle, odnalazł ustami wrażliwy brzeg ucha.

– Nie miałaś tyle szczęścia.

– Przestań – obruszyła się, żart wcale jej nie rozśmieszył. Odchyliła głowę, żeby spojrzeć na męża. – O takich rzeczach się nie żartuje. Ja… – Głos jej zadrżał tak mocno, że musiała zrobić pauzę. — Chyba nie umiałabym żyć bez ciebie.

Przygarnął ją do siebie z całych sił i na moment znów ukrył twarz w jej włosach.

– Och, Evie – odezwał się. – Chyba jednak muszę mieć serce, bo w tej chwili o mało nie eksploduje mi z bólu.

– Tylko serce? – spytała tonem niewiniątka.

Śmiejąc się, delikatnie pchnął ją na łóżko.

– I jeszcze parę innych organów – przyznał z przewrotnym błyskiem w oku. – A ty, jako żona, masz obowiązek ulżyć mi w bólu.

W odpowiedzi tylko chwyciła go za ramiona i pociągnęła na siebie.

Nieświadomi osobistych problemów właścicieli czy pracowników, goście co noc tłumnie odwiedzali klub Jennera, zwłaszcza odkąd po mieście rozniosło się, że nie przyjmuje nowych członków, ponieważ limit wyznaczono na dwa i pół tysiąca. Ci, którym zależało na uzyskaniu tego statusu, musieli się zapisywać na listę oczekujących w nadziei, że zwolni się dla nich miejsce.

Osobliwe połączenie zubożałego wicehrabiego z klubem hazardowym chylącym się ku upadkowi zaowocowało zdumiewającym rezultatem. Pracownicy albo dali się porwać prądowi dynamicznej energii Sebastiana, albo byli zwalniani. Nową działalność klubu cechowała bezwzględna skuteczność, jakiej nigdy wcześniej tam nie widziano. Nawet Ivo Jenner w najlepszych latach nie rządził swoim małym imperium tak żelazną ręką.

W przeszłości skrywana niechęć Jennera do arystokratów kazała mu traktować niektórych członków klubu z czołobitnością, która sprawiała, że czuli się tu nieswojo. Sebastian był jednym z nich, więc zachowywał naturalną swobodę w ich towarzystwie, a poza tym jego błyskotliwa obecność podgrzewała

atmosferę ekscytującej rozrywki. Ilekroć znalazł się w pobliżu, klubowi goście więcej się śmiali, wydawali więcej pieniędzy, więcej rozmawiali i więcej jedli.

Podczas gdy inne tego rodzaju przybytki serwowały nieśmiertelny befsztyk i szarlotkę, wytworny bufet u Jennera na bieżąco zaopatrywano w wyszukane dania: gorącą sałatkę z homara, zapiekankę z bażanta, krewetki na pierzynce z selerowego purée, przepiórki nadziewane winogronami i kozim serem podawane w śmietanowym sosie. No i ulubiony deser Evie – tort migdałowy pieczony bez mąki, dekorowany malinami i grubą warstwą bezy. Jedzenie i atrakcje w klubie tak szybko i znacząco się poprawiły, że w końcu żony zaczęły narzekać, iż mężowie spędzają tam zbyt wiele wieczorów.

Rzutka natura Sebastiana znalazła w prowadzeniu klubu doskonałe pole do popisu. Wiedział, jak zapewnić środowisko, w którym mężczyźni będę się chętnie relaksować, a przy okazji nakłonić ich do wydawania pieniędzy. Gry prowadzono z absolutną uczciwością; hazard teoretycznie był zakazany, ale otwarcie uprawiano go w całym Londynie, a dbanie o reputację klubu stanowiło najlepszy sposób na uniknięcie kłopotów ze strony władz.

Z początku Sebastian musiał znieść parę kpiących uwag od znajomych, jednak ich podejście szybko ulegało zmianie, gdy przyszło im prosić go o zwiększenie sumy kredytu czy odroczenie spłat należności. Jak na człowieka, który nigdy nie miał dużo pieniędzy, St. Vincent zarządzał nimi z wyjątkowym talentem. Jak stwierdził z podziwem Cam, Sebastian miał nos jak terier i wyczuwał każde niepewne saldo na rachunku czy cokolwiek innego, co mogło świadczyć o wątpliwej wypłacalności gracza.

Któregoś wieczoru Evie stanęła obok biurka Cama w głównej sali, żeby obserwować, jak przy jednym ze stołów Sebastian prowadzi grę o wyjątkowo wysokie stawki. Nagle wyczuła obok siebie obecność starszego mężczyzny. Odwróciwszy się, rozpoznała lorda Haldane'a, dżentelmena, którego Sebastian przedstawił jej przed tygodniem.

– Milordzie – powiedziała, kiedy z uszanowaniem pochylił się nad jej ręką – jakże miło znów pana widzieć.

Uśmiechnął się. Jego brązowe oczy błyszczały ciepło na tle jowialnego oblicza.

– Cała przyjemność po mojej stronie, lady St. Vincent.

Oboje spojrzeli w kierunku głównego stołu, gdzie Sebastian właśnie pozwolił sobie na żartobliwą uwagę, by rozluźnić nieco napięcie spowodowane wysokością stawki. Panowie otaczający blat wybuchnęli zgodnym śmiechem. Evie nie mogła wyjść ze zdumienia, jak naturalnie Sebastian prezentuje się w swej nowej roli – jakby się do niej urodził. Co ciekawe, sprawiał wrażenie, że w klubie czuje się na swoim miejscu nawet bardziej niż jej ojciec. Ivo Jenner przy swym porywczym charakterze zawsze miał trudności z ukryciem niepokoju, kiedy któryś z członków klubu na skutek wyjątkowego szczęścia w grze groził rozbiciem banku. Tymczasem Sebastian zachowywał spokój i dobry humor niezależnie od okoliczności.

Myśli lorda Haldane'a widocznie biegły podobnym torem, bo patrząc na odległą postać Sebastiana, rzucił przed siebie:

– Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę kogoś podobnego.

– Milordzie? – odezwała się Evie z roztargnieniem, spoglądając na męża, który właśnie ruszył w ich stronę.

Mina mężczyzny wskazywała, że pogrążył się we wspomnieniach.

– Widziałem w życiu tylko jednego człowieka, który chodził po klubie hazardowym w taki sposób. Jak najbardziej czarujący z drapieżników chodzi po swoim rejonie łowieckim.

– Ma pan na myśli mojego ojca? – spytała Evie.

Haldane z uśmiechem pokręcił głową.

– Mój Boże, nie. Nie pani ojca.

– Kogo więc… – Evie nie dokończyła pytania, bo Sebastian zdążył do nich dotrzeć.

– Milady… – Objął ją lekko w talii, kłaniając się jednocześnie lordowi Haldane'owi. – Wygląda na to, że będę musiał cię ostrzec, kochanie. Ten dżentelmen jest wilkiem w owczej skórze.

Evie oczekiwałaby, że starszy mężczyzna obrazi się za tego rodzaju uwagę, tymczasem Haldane zachichotał z miną osoby, której próżność została przyjemnie połechtana.

– Gdybym był dwadzieścia lat młodszy, bezczelny chłopcze, tobym ci ją ukradł. Mimo twego powszechnie osławionego uroku nie dorównujesz mężczyźnie, którym byłem przed laty.

– Wiek nie stępił pańskiego dowcipu – odpowiedział z uśmiechem Sebastian i zaborczym gestem przyciągnął Evie do drugiego boku, z dala od lorda Haldane'a. – Proszę nam wybaczyć, milordzie, ale wolę przemieścić żonę na bezpieczniejsze terytorium.

– Nie ulega wątpliwości, że owinęła sobie pani tego niecnotę wokół małego palca. – Haldane zwrócił się do Evie. – Dobrze zatem, proszę iść i okiełznać jego zazdrość.

– S-spróbuję – obiecała niepewnie Evie. Z jakiegoś powodu obaj panowie się roześmiali. Sebastian nie odrywał dłoni od pleców żony, kiedy wychodzili z głównej sali.

– Wszystko w porządku, skarbie? – spytał, nachylając się do jej ucha.

– Tak. Ja tylko… – urwała, by dokończyć z bezradnym uśmiechem: – Tylko chciałam cię zobaczyć.

Kiedy mijali szeroką kolumnę, Sebastian zatrzymał Evie, żeby skraść jej buziaka.

– Może pójdziemy pograć w bilard? – spytał szeptem i zaśmiał się na widok rumieńca oblewającego jej policzki.

Popularność klubu wzrosła po tym, jak gazety zaczęły o nim pisać w napuszonym stylu:

W końcu klub Jennera może zyskać odpowiednią pozycję wśród miejsc

odwiedzanych przez londyńską elitę dżentelmenów, ponieważ szczyci się siedzibą, która otwiera swe podwoje tylko dla wybrańców, a do tego statusu aspirują wszyscy arystokratyczni młodzieńcy. Kuchnia zadowala najbardziej wybredne podniebienia, a imponująca piwnica z winem jest w stanie sprostać oczekiwaniom nawet najbardziej wymagających miłośników trunku…

W innym wydaniu:

Nie sposób wyrazić słowami świetności nowego wystroju wnętrz, które zapewniają elegancki entourage spotkaniom klientów charakteryzujących się najwyższym poziomem intelektu i kultury osobistej. Nic dziwnego, że liczba kandydatów na członków klubu znacząco przewyższa liczbę dostępnych miejsc…

I jeszcze w innym:

Wielu sugeruje, a mało kto się z nimi nie zgadza, że renesans klubu Jennera nastąpił za sprawą pewnego dżentelmena, który potrafi z zaiste diabelskim wdziękiem dyskutować o modzie, polityce, literaturze i arystokracji. Chodzi, ma się rozumieć, o osławionego lorda St. Vincenta, obecnego właściciela idealnego klubu, który zapowiada się na ważną instytucję w życiu West Endu…

Któregoś wieczoru, siedząc w biurze, Evie zapoznała się z tymi artykułami. Nie przypuszczała, że jej mąż i klub budzą aż takie zainteresowanie. Cieszyło ją, że pod rządami Sebastiana klub jej ojca rozkwita, i czasami się zastanawiała, jak to będzie, kiedy żałoba dobiegnie końca i zaczną brać udział w towarzyskim życiu stolicy. Z pewnością będą zapraszani w wiele różnych miejsc. A jako niezbyt rozchwytywana panna dotąd nie miała okazji ćwiczyć umiejętności niezbędnych w takich sytuacjach. Musiała przezwyciężyć swoją nieśmiałość, nauczyć się błyskotliwie prowadzić rozmowę. Stać się osobą czarującą i pewną siebie…

– Skąd ta ponura mina, skarbie? – Sebastian przysiadł na blacie biurka i popatrzył na żonę z pytającym uśmiechem. – Przeczytałaś coś niemiłego?

– Wręcz przeciwnie – mruknęła Evie. – Wszyscy wychwalają klub pod niebiosa.

– Rozumiem. – Delikatnie pogładził ją po policzku. – I to cię martwi, ponieważ…

– Ponieważ stajesz się bardzo popularny – wyrzuciła z siebie szybko. – I to nie z powodu uganiania się za kobietami. Ludzie będą zabiegać o twoje względy, a mnie skończy się żałoba i zaczniemy być zapraszani na bale i przyjęcia, a nie sądzę, żebym umiała przestać chować się po kątach. Wiesz, ja nadal jestem nieobytą szarą myszką. Muszę się nauczyć swobodnej, dowcipnej konwersacji, bo inaczej będę cię irytować albo jeszcze gorzej — będziesz się mnie wstydził…

– Evie, dość. Dobry Boże… – Sebastian przyciągnął nogą krzesło, usiadł naprzeciwko żony i objął kolanami jej nogi. Następnie wziął ją za obie ręce

i z uśmiechem popatrzył jej w oczy. – Nie wytrzymasz dwudziestu minut bez wyszukania sobie jakiegoś powodu do zmartwienia, tak? Nie musisz być inna, niż jesteś. – Pochylił się, by ucałować jej dłonie. Kiedy znów podniósł głowę, twarz miał całkiem poważną. Dotknął ślubnej obrączki i lekko potarł wygrawerowane na niej słowa. – Jak mógłbym się ciebie wstydzić? To przecież ja jestem łobuzem. Ty nigdy w życiu nie zrobiłaś nic nagannego. A co do salonowych popisów, mam nadzieję, że nigdy się nie upodobnisz do tych głupich gęsi, które plotą bezmyślnie i bez ustanku, nie mówiąc przy tym nic ciekawego. – Przyciągnął ją do siebie i dotknął ustami miejsca na szyi, gdzie kończyła się stójka sukni z prążkowanego jedwabiu. Gdy znów się odezwał, powiew jego oddechu musnął wilgotne miejsce na skórze, przyprawiając Evie o dreszcz. – Nie jesteś szarą myszką. Ale masz moje przyzwolenie na chowanie się po kątach, skarbie. Pod warunkiem że zabierzesz mnie ze sobą. Co więcej, będę się przy tym upierał. I ostrzegam cię, okropnie się zachowuję w takich sytuacjach, prawdopodobnie będę cię sprowadzał na złą drogę w altanach, na balkonach, pod schodami oraz za dużymi doniczkowymi roślinami. A jak zaczniesz narzekać, to ci przypomnę, że nie powinnaś była wychodzić za pozbawionego zasad hultaja.

Evie wygięła szyję, poddając się delikatnej pieszczocie jego palców.

– Nie będę narzekać.

– Spolegliwa żonka – pochwalił szeptem. – Będę na ciebie wywierał okropny wpływ. A teraz może dasz mi całusa i pójdziesz na górę się wykąpać? Zanim skończysz, dołączę do ciebie.

Wanna była w połowie napełniona wodą, kiedy Evie weszła do sypialni. Frannie i druga pokojówka chwyciły za dzbanki z drewnianymi uchwytami, żeby po raz kolejny zejść na parter.

Przyjemnie rozgrzana pocałunkami męża, Evie zaczęła rozpinać rękawy sukni.

– Pomogę pani, jak wrócę z ostatnią porcją wody, milady – zaproponowała Frannie.

Evie podziękowała jej z uśmiechem. Podeszła do toaletki i wzięła do ręki flakonik perfum, prezent przysłany niedawno przez lady Westcliff. Niezwykle wrażliwa na zapachy, Lillian uwielbiała perfumy i inne aromatyczne substancje i od jakiegoś czasu eksperymentowała z własnymi kompozycjami. Ta była bogata, z ciekawie dobranych składników, między innymi róż, z ostrą nutą drzewną, połączonych ambrą. Evie ostrożnie wlała kilka złotych kropli do wanny i westchnęła z przyjemnością, kiedy wonna para wypełniła jej nozdrza.

Wróciła do toaletki, usiadła na krześle i zdjęła buty. Schylona, sięgnęła pod spódnicę, by zsunąć pończochy. Niewiele widziała w tej pozycji, ale nagły lodowaty dreszcz na plecach i ledwie słyszalne skrzypnięcie wyłożonej dywanem podłogi zjeżyły jej włosy na karku. Kątem oka dostrzegła cień przesuwający się po podłodze. Podniosła głowę, spojrzała przez ramię… i zobaczyła niechlujną postać, która się do niej zbliżała. Krzyknęła z przerażenia i poderwała się z miejsca tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. Kiedy się odwracała twarzą do intruza, usłyszała jego chropawy głos:

– Ani słowa. Bo cię rozpruję od szyi do brzucha.

W ręku ściskał długi nóż. Stał bardzo blisko, mógł jej dopaść jednym skokiem.

Najgorsza zjawa z najgorszych sennych koszmarów czy strachów z dzieciństwa nie wyglądała tak potwornie jak zniekształcona straszną chorobą twarz mężczyzny, który wtargnął do jej pokoju. Evie zrobiła krok w stronę wanny, starając się ustawić tak, by oddzielała ją od szaleńca. Jego odzienie stanowiły podarte łachmany. Stał dziwnie skrzywiony w lewo, jak marionetka ze sznurkami oberwanymi z jednej strony. Całą odsłoniętą skórę — na rękach, szyi, twarzy — pokrywały otwarte, ropiejące rany, jakby ciało gniło do kości. Jednak najbardziej przerażająco prezentowały się poszarpane resztki tkanki tworzącej kiedyś nos. Wyglądał jak dziwna chimera złożona z tułowia, kończyn i rysów, które w ogóle do siebie nie pasowały.

Evie rozpoznała go mimo brudu, ran i szokującej deformacji twarzy. Z najwyższym trudem udało się jej zachować spokój, choć w środku aż dygotała.

– Panie Bullard – wydusiła z siebie. – W szpitalu powiedzieli, że pan umarł.

Głowa dziwnie zwisała spomiędzy jego ramion. Cały czas wpatrywał się w Evie nieruchomym wzrokiem.

– Wyniosłem się z tego cholernego miejsca – wycharczał. – W nocy rozbiłem okno i uciekłem. Miałem dość tych diabłów, które próbowały wlewać mi do gardła swoje diabelskie mikstury. – Ruszył w jej stronę chwiejnym, nierównym krokiem. Evie powoli okrążyła wannę, serce łomotało jej głośno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. – Nie miałem zamiaru wykorkować w tej przeklętej dziurze, zanim nie poślę cię do piekła.

– Dlaczego? – spytała cicho. Starała się nie patrzeć w stronę drzwi, przy których kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Pomyślała, że to pewnie Frannie przyniosła wodę. Niewyraźna postać zniknęła bezszelestnie tak samo szybko, jak się pojawiła; Evie modliła się w duchu, żeby dziewczyna sprowadziła pomoc. Sama mogła jedynie starać się trzymać jak najdalej od Jossa Bullarda.

– Zabrałaś mi wszystko – warknął, kuląc ramiona jak zwierzę przyparte do ściany klatki. – Wszystko dał tobie, przeklęty drań. Widział tylko małą, brzydką jąkałę, choć byłem jego synem. Jego synem! A ukrywał mnie jak brudny nocnik. – Paskudny grymas wykrzywił mu twarz. – Robiłem wszystko, o co mnie prosił… Zabiłbym, żeby go zadowolić. Ale to się nigdy nie liczyło. Zawsze widział tylko ciebie, ty cholerny pasożycie!

– Przykro mi. – Szczery żal w głosie Evie jakby na moment go zdezorientował. Zamilkł, przyglądał się jej z głową pochyloną pod nienaturalnym kątem. – Panie Bullard… Joss… Mojemu ojcu zależało na tobie. W ostatniej woli życzył sobie, żeby ci pomóc, żeby się tobą zaopiekować.

– Za późno! – Uniósł obie ręce do głowy, jakby nieznośny ból nagle wypełnił mu czaszkę. W jednej dłoni trzymał nóż. – Przeklęty… Niech go diabli…

Widząc szansę na ucieczkę, Evie rzuciła się ku drzwiom. Jednak Bullard od razu ją złapał i pchnął na ścianę. Uderzyła potylicą o twardą powierzchnię tak mocno, że gwiazdy zawirowały jej przed oczami. Zamrugała, próbując odzyskać jasność widzenia. Czuła nieprzyjemny ucisk na klatce piersiowej i szczypanie z boku szyi. Stopniowo dotarło do niej, że Bullard chwycił ją za szyję uzbrojoną

ręką. Ostrze noża naciskało na skórę za każdym razem, gdy wciągała powietrze. Dyszał ciężko, jego oddech cuchnął obrzydliwie. Czuła, że cały drży, i z wysiłkiem starała się napiąć mięśnie.

– Razem pójdziemy się z nim spotkać – powiedział prosto do jej ucha.

– Z kim? – wymamrotała Evie, powoli odzyskując widzenie.

– Z naszym ojcem. Pójdziemy się z nim spotkać w piekle… Ty i ja. – Zarechotał. – Pewnie ciupie w karty z samym Belzebubem. – Nacisnął na nóż; wyraźnie sprawiło mu przyjemność, że się wzdrygnęła. – Zarżnę ciebie, a potem siebie. Ciekawe, czy tatusiowi się spodoba, że wchodzimy do piekła razem, ręka w rękę.

Evie szukała w myślach słów, które choć na chwilę przywiodłyby go do opamiętania, gdy od drzwi dobiegł głos:

– Bullard. — To był Sebastian. Zdumiewająco spokojny. Jego obecność wzbudziła w Evie nieopisaną ulgę, choć zagrożenie bynajmniej nie minęło ani nawet się nie zmniejszyło.

– Najwidoczniej administracja w Tottenham pozostawia wiele do życzenia – mówił, powoli wkraczając do pokoju. Nawet nie spojrzał na Evie, cały czas z hipnotyczną intensywnością wpatrywał się w twarz Jossa.

– Myślałem, że dostałeś ode mnie kulkę – warknął Bullard.

Sebastian wzruszył ramionami.

– Skończyło się na draśnięciu. Powiedz mi… jak ci się udało dostać do klubu? Nasi ludzie pilnują wszystkich drzwi.

– Przez piwnicę na węgiel. Jest stamtąd wyjście na Rogue's Lane. Nikt o nim nie wie. Nawet ten pół-Cygan Rohan. Cofnij się, bo nabiję ją jak gołębia na rożen – rzucił groźnie, gdy Sebastian wykonał kolejny krok w jego stronę. Ustawił nóż pod takim kątem, jakby zamierzał go zatopić w piersi Evie.

– W porządku. – Sebastian natychmiast się cofnął. – Spokojnie. Zrobię wszystko, o co poprosisz. – Głos miał cichy i przyjazny, twarz pozbawioną wyrazu. Tylko po bokach policzków zaczęły mu ściekać błyszczące strużki potu. – Bullard… Joss… posłuchaj mnie. Nic nie tracisz, słuchając tego, co mam ci do powiedzenia. Jesteś wśród przyjaciół. Twoja… twoja siostra i ja chcemy spełnić życzenie twojego ojca i ci pomóc. Powiedz mi, czego chcesz. Mogę ci załatwić morfinę na złagodzenie bólu. Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. Będziesz miał czyste łóżko i ludzi, którzy się tobą zaopiekują. Cokolwiek zechcesz, dostaniesz to.

– Pogrywasz sobie ze mną – odezwał się podejrzliwie Bullard.

– Wcale nie. Przysięgam, że mówię prawdę. Dam ci wszystko, czego zechcesz. Pod warunkiem że nie skrzywdzisz Evie. Bo wtedy nie będę mógł nic dla ciebie zrobić. – Mówiąc, powoli zbliżał się do okna, zmuszając Bullarda do odwrócenia głowy. – Puść ją, to…

– Dość. – Bullard wzdrygnął się nerwowo. – Ten cholerny hałas w uszach… – Wydał z siebie odgłos przypominający zwierzęcy skowyt.

– Mogę ci pomóc – powtórzył cierpliwie Sebastian. — Potrzebujesz lekarstwa. I wypoczynku. Opuść ramiona, Joss. Nie ma potrzeby nikogo krzywdzić. Jesteś u siebie. Opuść ręce, to ci pomogę.

Evie z niedowierzaniem odkryła, że nacisk ramienia Bullarda słabnie, jakby rozluźnił mięśnie pod wpływem głosu Sebastiana. Jednocześnie nieco się odwrócił w jego stronę.

Wtedy rozległ się ogłuszający huk. Evie, gwałtownie puszczona przez Bullarda, zatoczyła się do tyłu. Oszołomiona, jak przez mgłę ujrzała Cama, który stał w drzwiach z dymiącym pistoletem w dłoni. Sebastian specjalnie zajął taką pozycję, żeby stworzyć Rohanowi możliwość oddania celnego strzału.

Zanim Evie zdążyła spojrzeć na zwłoki w łachmanach, skurczone na podłodze, Sebastian porwał ją w ramiona i omal nie zgniótł w uścisku. Całe napięcie, wielkim wysiłkiem trzymane na wodzy przez ostatnich kilka minut, dało o sobie znać gwałtownym dreszczem. Rozpaczliwie tulił żonę do piersi, wzdychając z ulgą i przeklinając na przemian.

Evie miała wrażenie, że jej puls już nigdy nie odzyska normalnego rytmu.

– Frannie cię sprowadziła? – udało jej się w końcu wydukać.

Sebastian potwierdził ruchem głowy; drżącymi palcami przygładził jej włosy.

– Powiedziała mi, że w twoim pokoju jest jakiś człowiek. Nie rozpoznała go. – Odsunął Evie od siebie na odległość ramion i przyjrzał się jej uważnie. Widząc na szyi maleńki ślad po nożu, gwałtownie zbladł, uświadomiwszy sobie, jak niewielka odległość dzieliła ostrze od tętnicy. Ucałował czerwony punkcik na skórze i ponownie przycisnął Evie do siebie zaborczym gestem. — Do licha, Evie. To jest nie do zniesienia.

Obróciła się w jego objęciach, żeby spojrzeć na Cama, który zarzucił na głowę i ramiona Bullarda własny surdut, by zasłonić obrażenia.

– Cam, nie musiałeś go zabijać – odezwała się sztywno. – Zamierzał mnie uwolnić. Już opuszczał ramię…

– Nie miałem pewności, czy to zrobi – odparł Cam drewnianym tonem. – Musiałem wykorzystać sposobność do strzału. – Wyraz jego twarzy nie zdradzał, co czuje, ale oczy miał szkliste od łez. Evie uświadomiła sobie, że właśnie został zmuszony do zabicia człowieka, którego znał od dziecka.

– Cam... – zaczęła ze współczuciem, ale gestem poprosił ją, by zamilkła.

– Tak było dla niego lepiej – powiedział, unikając jej wzroku. – Żadna istota nie powinna tak cierpieć.

– Tak, ale ty…

– Nic mi nie jest – rzucił ostro.

Widok, jaki sobą przedstawiał, przeczył temu zapewnieniu. Sprawiał wrażenie tak głęboko wstrząśniętego, że Evie, nie mogąc się powstrzymać, podeszła do niego, objęła go serdecznie i przytuliła po matczynemu. Pozwolił jej na to, choć nie odwzajemnił uścisku; stopniowo dochodził do siebie, aż w końcu poczuła lekkie cmoknięcie w głowę.

Na tyle Sebastian był w stanie pozwolić. Potem podszedł do nich, wziął Evie za rękę i zwrócił się szorstko do Cama:

– Poślij kogoś do kostnicy, żeby przyjechali po ciało.

– Tak — odparł Rohan nieobecnym tonem. Po chwili wahania odezwał się znowu, już bardziej przytomnie: — Na dole pewnie słyszeli hałas. Będziemy musieli podać jakieś wyjaśnienie.

– Powiedz im, że ktoś czyścił broń i przypadkiem wypaliła – poradził mu Sebastian. – Powiedz też, że nikt nie ucierpiał. Kiedy przyjedzie człowiek z kostnicy, wprowadź go tylnym wejściem. I zapłać mu za milczenie.

– Tak, milordzie. A jeśli konstabl zacznie wypytywać…

– Przyślij go do biura, sam się nim zajmę.

Cam pokiwał głową i wyszedł.

Sebastian zabrał Evie z pokoju, zamknął drzwi, schował klucz do kieszeni i poprowadził ją do innej sypialni na drugim końcu korytarza. Szła za nim, próbując zrozumieć to, co właśnie się wydarzyło. Sebastian milczał. Jego stężałe rysy mówiły, że stara się zachować zimną krew. Kiedy już się znaleźli w pokoju, do którego zmierzali, odezwał się:

– Zostań tutaj. Przyślę do ciebie pokojówkę. Z kieliszkiem brandy. Chcę, żebyś wypiła do dna.

Evie popatrzyła na niego z niepokojem.

– Przyjdziesz do mnie?

Potwierdził skinieniem.

– Ale najpierw muszę dopilnować pewnych spraw – zastrzegł.

Jednak tego wieczoru już do niej nie wrócił. Czekała na próżno, aż w końcu samotnie położyła się do łóżka. Spała niespokojnie, co jakiś czas odruchowo dotykała posłania obok, szukając ciepłego ciała Sebastiana. Rano, wyczerpana i zatroskana, z czerwonymi oczami, zagadnęła pokojówkę, która przyszła rozpalić w kominku:

– Widziałaś dziś lorda St. Vincenta?

– Tak, milady. Jego lordowska mość i pan Rohan nie spali prawie całą noc, tylko rozmawiali.

– Powiedz mu, że chciałabym go widzieć.

– Tak, milady. – Dziewczyna postawiła dzbanek z gorącą wodą na umywalce i wyszła.

Evie wstała z łóżka, umyła się i przeciągnęła rękami po zmierzwionych włosach. Szczotka, grzebień i spinki zostały w tamtej sypialni, gdzie…

Zadrżała z odrazy i żalu na wspomnienie wydarzeń poprzedniego wieczoru. Mogła się tylko cieszyć, że ojciec nie zobaczył, jaki los spotkał biednego Jossa Bullarda. Zastanawiała się, jakie uczucia żywił do tego młodego człowieka, czy kiedykolwiek dopuszczał możliwość, że Joss naprawdę jest jego synem.

– Papo… – westchnęła, patrząc na odbicie swoich niebieskich oczu w lustrze. Oczu Ivo Jennera. Zabrał ze sobą do grobu tak wiele tajemnic, tak wiele spraw pozostawił niewyjaśnionych. Wiedziała, że zawsze będzie żałować, iż nie poznała go lepiej. Pocieszała ją myśl, że byłby zadowolony, widząc, jak jego klub osiąga poziom, do jakiego zawsze aspirował. I że jego własna córka swoimi działaniami doprowadziła do uratowania i rozkwitu dzieła jego życia.

Pomyślała o Sebastianie i niemal natychmiast zobaczyła go w progu – w tym samym ubraniu, które miał na sobie wieczorem. Gęste złote włosy miał rozczochrane, oczy mocno podkrążone. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ale zdecydowanego, zachowywał się jak człowiek, który podjął trudne, nieprzyjemne decyzje i zamierza się ich trzymać.

– Jak się miewasz? – powitał ją, przyglądając się jej uważnie.

Evie miała ochotę podbiec do męża, ale powstrzymał ją wyraz jego twarzy. Stojąc przy umywalce, popatrywała na niego z zaciekawieniem.

– Jestem trochę zmęczona. Choć nie tak bardzo jak ty. Pokojówka mówiła, że w ogóle się nie kładłeś. O czym rozmawialiście z Camem?

Sebastian podrapał się po karku.

– Trochę trudno mu się pogodzić z tym, co zaszło wczoraj wieczorem. Ale dojdzie do siebie.

Evie stała przed nim z niepewną miną. Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo się stara zachować między nimi dystans. Jednak kiedy obejmował wzrokiem jej nocną koszulę, nie udało mu się skryć wyrazu tęsknoty w oczach. To odkrycie dodało jej otuchy.

– Chodź do mnie – poprosiła ściszonym głosem.

Zamiast usłuchać, przeszedł do okna, oddalając się od niej jeszcze bardziej. W milczeniu patrzył na ulicę zatłoczoną powozami, na chodnik pełen pieszych.

Zaniepokojona takim zachowaniem, Evie wpatrywała się w jego plecy, w nienaturalnie napiętą linię ramion. W końcu odwrócił się do niej.

– Mam dość – powiedział z kamienną miną. – Nie jesteś tu bezpieczna, mówiłem to od samego początku. I o jeden raz za dużo okazało się, że miałem rację. Podjąłem decyzję, od której nie ma odwołania. Jutro wyjeżdżasz. Wysyłam cię na wieś, na jakiś czas zamieszkasz w naszej rodzinnej posiadłości. Ojciec chce cię poznać. Zapewni ci dość miłe towarzystwo, poza tym mieszka tam kilka rodzin, więc będziesz miała trochę rozrywki…

– A ty zamierzasz tu zostać? – Evie bardziej stwierdziła, niż spytała, marszcząc czoło.

– Owszem. Będę zarządzał klubem i od czasu do czasu przyjadę w odwiedziny.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nie mogła uwierzyć, że proponuje jej rozłąkę.

– Dlaczego? – spytała z żalem.

– Nie mogę cię trzymać w takim miejscu i bezustannie się martwić tym, co może cię tu spotkać.

– Na wsi ludziom też przydarzają się różne rzeczy.

– Nie będę się z tobą spierał – rzekł ponuro. – Pojedziesz tam, gdzie cię wysyłam, i koniec.

Dawna Evie skuliłaby się w sobie z poczuciem krzywdy i prawdopodobnie spełniła polecenie bez dalszej dyskusji. Jednak nowa Evie miała znacznie więcej siły, nie mówiąc już o tym, że była zakochana po uszy.

– Nie wydaje mi się, żebym umiała żyć z dala od ciebie – oznajmiła spokojnie. – Zwłaszcza że nie rozumiem powodu, dla którego miałabym wyjechać.

W chłodnym pancerzu opanowania coś pękło, na twarz Sebastiana wpełzł ceglasty rumieniec. Przejechał dłońmi po włosach, jeszcze bardziej mierzwiąc złotą czuprynę.

– Ostatnio zrobiłem się taki roztargniony, że nie mogę podjąć najprostszej decyzji. Nie potrafię jasno myśleć. Mam kamień w żołądku i ściska mnie w piersi,

a ilekroć widzę, jak rozmawiasz z innym mężczyzną albo się do kogoś uśmiechasz, dostaję bzika z zazdrości. Nie sposób tak żyć… – urwał i spojrzał na nią z niedowierzaniem, kiedy się uśmiechnęła. — Do licha, Evie, co w tym zabawnego?

– Nic – odpowiedziała, szybko tłumiąc uśmiech. – Po prostu… to brzmi tak, jakbyś próbował mi powiedzieć, że mnie kochasz.

To słowo podziałało na Sebastiana jak grom z jasnego nieba.

– Nie – rzekł stanowczo, rumieniąc się jeszcze bardziej. – To niemożliwe. Nie o tym mówię. Muszę tylko znaleźć sposób… – Głośno wciągnął powietrze, kiedy do niego podeszła. – Evie, nie. — Przebiegł go dreszcz, gdy dotknęła obiema rękami jego twarzy. – To nie jest to, co myślisz… – powiedział już mniej pewnie. Usłyszała lęk w jego głosie. Lęk, jaki musiał czuć mały chłopiec, kiedy każda kobieta, którą kochał, znikała z jego życia zabierana przez bezlitosną chorobę. Nie wiedziała, jak dodać mu otuchy, jak ukoić żal z odległej przeszłości. Stając na palcach, pocałowała męża w usta. Podniósł ręce do jej łokci, jakby chciał ją od siebie odepchnąć, ale najwidoczniej nie potrafił się na to zdobyć. Odwrócił głowę, oddech mu przyśpieszył. Evie jednak nie dała się zniechęcić, okrywała pocałunkami jego policzek, brodę, szyję. – Do licha – wyrzucił z siebie z rozpaczą. – Muszę cię odesłać.

– Ty nie starasz się mnie chronić. Próbujesz chronić siebie. – Przylgnęła do niego całą długością ciała. – Ale możesz podjąć ryzyko i kogoś pokochać, prawda?

– Nie – wyszeptał.

– Właśnie, że tak. Musisz. – Zamknęła oczy i przysunęła twarz do jego twarzy. – Bo ja cię kocham, Sebastianie. I potrzebuję, żebyś odwzajemnił moją miłość. I to nie p-połowicznie.

Usłyszała, jak z sykiem wciąga powietrze. Położył dłonie na jej ramionach, ale zaraz je cofnął.

– Musisz mi pozwolić samemu wyznaczać granice, inaczej…

Znów przywarła do jego ust nieśpiesznie, namiętnie; nie ustępowała, dopóki jej się nie poddał. Jęknął gardłowo, otoczył ją ramionami i odwzajemnił pocałunek z takim zaangażowaniem, że po chwili całe jej ciało zdawało się płonąć. W końcu oderwał się od niej, gwałtownie chwytając powietrze.

– Połowicznie? Mój Boże! Kocham cię tak bardzo, że tonę w swoich uczuciach. Nie umiem się przed nimi bronić. Nie wiem już, kim jestem. Wiem tylko, że to silniejsze ode mnie… – Oddychał głośno, nierówno, jakby brakowało mu tchu. – Zbyt wiele dla mnie znaczysz – wyrzucił z siebie drżąco.

Evie pogładziła go po szerokiej piersi. Rozumiała jego wzburzenie, uczucia, o których mówił, były dla niego nowe i nieznane, nic więc dziwnego, że go przerażały. Przypomniało jej się pewne zwierzenie Annabelle — że na początku małżeństwa pan Hunt nie radził sobie z intensywnością uczuć, jakie do niej żywił, i potrzebował czasu, żeby się z nimi oswoić.

– Sebastianie… – zaczęła – to nie zawsze będzie tak wyglądało. Po jakimś czasie wyda ci się bardziej naturalne i będzie ci łatwiej.

– Nie, nie będzie. — Powiedział to z taką pewnością i pasją, że musiała skryć

uśmiech, przytulając twarz do jego obojczyka.

– Kocham cię – powtórzyła i natychmiast poczuła, że zadrżał. – Możesz mnie o-odesłać, ale mnie nie powstrzymasz, zawsze będę do ciebie wracać. Chcę z tobą spędzać każdy dzień. Chcę patrzeć, jak się golisz rano. Chcę z tobą pić szampana i tańczyć. Chcę ci cerować skarpetki. Chcę spać z tobą w jednym łóżku każdej nocy i chcę urodzić ci dzieci. – Na chwilę popadła w zadumę. – Myślisz, że ja się nie boję? Może obudzisz się pewnego ranka i powiesz, że jesteś mną zmęczony. Może te wszystkie rzeczy, które teraz tak dobrze znosisz, staną się dla ciebie nie do zniesienia… Moje jąkanie, moje piegi…

– Nie bądź głupia – przerwał jej szorstko. – Twoje jąkanie nigdy nie będzie mi przeszkadzać. A twoje piegi po prostu kocham. Kocham… – głos mu się załamał. Uścisnął ją mocno. – Do diabła, Evie. Chciałbym być kimś innym zamiast sobą!

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Dlaczego? Moja przeszłość to szambo.

– Też mi nowina.

– Nigdy nie zdołam wystarczająco odpokutować za to, co zrobiłem. Chryste, żałuję, że nie mogę przeżyć życia od nowa! Postarałbym się być lepszym człowiekiem. Dla ciebie.

– Nie musisz być nikim innym. Wystarczy, że będziesz sobą. – Evie uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Czyż nie to mówiłeś mi wcześniej? Jeśli możesz mnie kochać bezwarunkowo, Sebastianie, czy ja nie mogę cię kochać w taki sam sposób? Wiem, kim jesteś. Myślę, że znamy się nawzajem lepiej, niż każde z nas zna siebie samego. I nie waż się mnie odsyłać, ty t-tchórzu. Kto inny będzie kochał moje piegi? Kto inny by się troszczył o moje zmarznięte stopy? Kto inny by mnie molestował w sali bilardowej?

Powoli uchodziło z niego napięcie. Czuła, jak się odpręża, jego uścisk stał się miększy, bardziej tkliwy. Uniósł jej dłoń do swojej twarzy i dotknął ustami ciepłego krążka ślubnej obrączki.

– W tobie pokładam swoją miłość – wyszeptał.

W tym momencie upewniła się, że odniosła zwycięstwo. Ten niedoskonały, niezwykły, namiętny mężczyzna należał do niej — ciałem, sercem i duszą. Pokładał w niej zaufanie, którego nigdy by nie zawiodła. Ogarnięta ulgą i nieprzebraną czułością, wtuliła się w jego objęcia. Widząc łzę wypływającą z kącika jej oka, Sebastian delikatnie otarł ją palcem. To, co zobaczyła w jego oczach, zaparło jej dech w piersi.

– A z tą salą bilardową to chyba masz rację – powiedział dziwnie zduszonym głosem.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęła, a on porwał ją na ręce i zaniósł do łóżka.

EPILOG

Zima prawie się kończyła. Ponieważ żałoba Evie zbiegła się z ciążą Annabelle, przyjaciółki spędzały razem dużo czasu. Obie musiały unikać wydarzeń towarzyskich takich jak bale i duże przyjęcia, ale całkiem im to odpowiadało, ponieważ od Bożego Narodzenia panował dotkliwy ziąb, a wiosna jakoś nie śpieszyła się z nadejściem. Zamiast więc włóczyć się po mieście, siadały przy wielkim kominku w luksusowym hotelowym apartamencie Huntów czy nawet częściej spotykały się z Lillian i Daisy w jednym z przytulnych salonów w Westcliff Marsden Terrace. Czytały, plotkowały i zajmowały się robótkami, wypijając przy tym niezliczone filiżanki herbaty.

Któregoś popołudnia Lillian, siedząc przy biurku w kącie, pracowicie układała list do jednej ze swoich szwagierek, Daisy zaległa na kanapie z powieścią, zwinięta w kłębek pod kaszmirowym pledem, Annabelle zajmowała fotel przy buzującym ogniem palenisku, trzymając rękę na coraz bardziej odstającym brzuszku, a Evie siedziała przed nią na niskim stołku i masowała jej opuchnięte stopy.

– Och, cóż za ulga – westchnęła Annabelle. – Nikt mnie nie ostrzegł, że podczas ciąży tak bolą nogi. Chociaż powinnam się sama tego spodziewać przy tym dodatkowym ciężarze, który muszę dźwigać. Dziękuję ci, Evie. Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie.

Z kąta dobiegł kpiący głos Lillian:

– Mnie mówiła dokładnie to samo, kiedy ostatnio masowałam jej stopy. Jej oddanie trwa tylko do następnego masażu. Przyznaj, Annabelle, jesteś płocha.

Annabelle rozciągnęła usta w leniwym uśmiechu.

– Poczekaj tylko, aż sama zajdziesz w ciążę, moja droga. Będziesz błagać o masaż stóp każdego, kto się na to zgodzi.

Lillian otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, rozmyśliła się jednak w ostatniej chwili i pociągnęła łyk wina z kieliszka stojącego na biurku.

– No dalej, powiedz im – odezwała się spod koca Daisy, nie odrywając wzroku od książki.

Annabelle i Evie równocześnie spojrzały na Lillian.

– Co ma nam powiedzieć? – pytanie też zabrzmiało unisono.

Lillian szybko wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się wstydliwie.

– W połowie lata hrabia Westcliff w końcu doczeka się swojego potomka.

– Chyba że urodzi się dziewczynka – dodała Daisy.

– Gratulacje! – wykrzyknęła Evie, na chwilę porzucając Annabelle. Podeszła do Lillian, żeby ją uściskać. – Cudowna wiadomość!

– Westcliff szaleje z zachwytu, choć stara się tego nie okazywać – powiedziała Lillian, odwzajemniając uścisk. Jestem pewna, że w tym momencie chwali się St. Vincentowi i Huntowi. Chyba uważa, że to wyłącznie jego zasługa.

– No cóż, jego wkład był niezwykle istotny, nieprawdaż? – zauważyła z rozbawieniem Annabelle.

– Owszem – przyznała Lillian. – Ale większa część przedsięwzięcia należy do mnie.

Annabelle uśmiechnęła się do przyjaciółki z drugiego końca pokoju.

– Doskonale sobie poradzisz, moja droga. Wybacz, że nie pędzę do ciebie, ale wiedz, że też bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że urodzi się wam dziecko odmiennej płci od mojego i będziemy mogli je w przyszłości pożenić. – Przybrała błagalny ton. – Evie… wracaj. Nie możesz mnie zostawić po wymasowaniu tylko jednej stopy.

Evie wróciła na swój stołek przed kominkiem. Zerknąwszy na Daisy, zauważyła, że dziewczyna patrzy na starszą siostrę z oddaniem i zadumą.

– Skoro już rozmawiamy o mężach i dzieciach – powiedziała, podejmując przerwany masaż — nie możemy zapomnieć o znalezieniu jakiegoś dżentelmena dla Daisy.

Ciemnowłosa miłośniczka literackich romansów podziękowała jej serdecznym uśmiechem.

– Jesteś kochana, Evie. Nie mam nic przeciwko temu, żeby poczekać. Ostatecznie ktoś musi być ostatni w kolejce. Zaczynam się jednak zastanawiać, czy kiedykolwiek znajdę odpowiedniego kandydata na męża.

– Oczywiście, że znajdziesz – zapewniła ją Annabelle. – Nie przewiduję z tym żadnych trudności, Daisy. Wszystkie dość znacznie poszerzyłyśmy kręgi naszych znajomości i zrobimy, co trzeba, żeby znaleźć ci idealnego kandydata.

– Pamiętajcie tylko, że nie chcę wychodzić za człowieka takiego jak lord Westcliff – zastrzegła Daisy. – Jest zbyt przytłaczający. Za takiego jak St. Vincent też nie. Zbyt nieprzewidywalny.

– A co powiesz na kandydata podobnego do pana Hunta? – spytała Annabelle.

Daisy zdecydowanie pokręciła głową.

– Za wysoki.

– Robisz się dość wybredna – zauważyła Annabelle bez uszczypliwości.

– Wcale nie! Mam całkiem rozsądne oczekiwania. Chcę miłego mężczyzny z upodobaniem do długich spacerów i książek, którego uwielbiają psy, dzieci…

– Oraz wszystkie wysoko rozwinięte okazy fauny i flory – wtrąciła zgryźliwie Lillian. – Powiedz mi, moja droga, gdzie mamy szukać takiego ideału?

– Na pewno nie na balach, w których brałam udział do tej pory – odparła ponuro Daisy. – Wydawało mi się to niemożliwe, ale tegoroczny wybór jest jeszcze gorszy od poprzedniego. Zaczynam wierzyć, że w takich okolicznościach nie sposób znaleźć mężczyzny wartego ślubu.

– Chyba masz rację – przyznała jej Lillian. – Na tych imprezach panuje zbyt duża konkurencja. A najlepsze zdobycze już są przebrane. Czas podjąć polowanie na nowym gruncie.

– W biurze klubu są akta wszystkich jego członków – podsunęła Evie. — Mniej więcej dwóch i pół tysiąca zamożnych dżentelmenów. Oczywiście duża część z nich ma już żony, ale z pewnością mogłabym wyszukać nazwiska panów do wzięcia.

– Lord St. Vincent udzieliłby ci dostępu do tak poufnych danych? – wyraziła wątpliwość Daisy.

– A czy on jej kiedykolwiek czegokolwiek odmawia? – wtrąciła Lillian sprośnym tonem.

Evie, często znosząca docinki przyjaciółek na temat widocznego oddania Sebastiana, z uśmiechem opuściła wzrok na swą ślubną obrączkę.

– Rzadko – przyznała, czym tylko pobudziła Lillian do dalszych kpin:

– Słowo daję, ktoś powinien uświadomić St. Vincentowi, że jest chodzącym banałem. Ucieleśnia wszystko to, co mówią o nawróconych rozpustnikach.

Annabelle odchyliła się na oparcie fotela i spytała szczerze zaciekawiona:

– Czy on się rzeczywiście nawrócił, moja droga?

Evie pomyślała o swoim czułym, kochającym mężu, który czekał na nią na dole, i usta same wygięły jej się w uśmiechu.

– Tyle, ile trzeba – odpowiedziała wymijająco. I nie chciała dodać nic więcej.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
EPILOG